

ZESZYT STO TRZYDZIESTY PIERWSZY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
2000

ZESZYT STO TRZYDZIESTY PIERWSZY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
2000

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 510

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0178

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Andrzej GRZYWACZ, Marcin KWIECIEN

RADA NARODOWA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ W WALCE Z SANATORAMI 1939–1941

Wstęp

Dotychczas publikowane na łamach *Zeszytów Historycznych* teksty dotyczące konfliktów pomiędzy sikorszczykami a sanatorami miały za zadanie szkicowe zaprezentowanie trzech wycinków ważnego aspektu funkcjonowania polskich władz na uchodźstwie: działalności Biura Rejestracyjnego Ministerstwa Spraw Wojskowych, Komisji dla rejestracji faktów i zbierania dokumentów dotyczących przebiegu ostatnich zdarzeń w Polsce, zwanej w skrócie Komisją Rejestracyjną bądź Komisją Hallera oraz Wojskowego Trybunału Orzekającego. Charakterystyka pracy wymienionych instytucji – dalece niepełna nawet w aspektach poruszonych na łamach *Zeszytów Historycznych* – tym bardziej nie wyczerpuje obrazu wysiłków, jakie rząd gen. Władysława Sikorskiego i politycy partii opozycyjnych wobec *regime'u* pomajowego podjęli w celu zwalczania wszelkich objawów działalności członków byłego obozu rządzącego. Nurt rozliczeniowy – choć naszym zdaniem nie najważniejszy wśród problemów podjętych przez polskie władze emigracyjne – zajmował jednak bardzo wysokie miejsce na liście priorytetów politycznych rządu i czasami

– szczególnie zaś w okresie paryskim od października 1939 roku do czerwca 1940 roku – nabierał szczególnej politycznej wagi z punktu widzenia kierowników nawy państwowej i angażował bardzo okazałą część ich energii.

Ważnym fragmentem artykułu poświęconego Komisji Rejestracyjnej był podrozdział traktujący o burzliwych dyskusjach na forum Rady Narodowej, podczas których padały pełne nienawiści głosy i sugerowano wcielenie w życie przerażających wręcz projektów zmierzających do generalnego, zbiorowego obrachunku z przeszłością. To w końcu Rada Narodowa energicznie dopominała się podjęcia wyraźnych kroków rozliczeniowych wobec kierownictwa politycznego i wojskowego II Rzeczypospolitej i właśnie z jej inicjatywy przyspieszono powołanie organu mającego skupić w swych ramach niemal całość wysiłków w tym kierunku – tzw. Komisji Winiarskiego. Działalność Rady na niwie zwalczania wpływów sanacyjnych nie ograniczyła się wyłącznie do odegrania roli katalizatora i zgłaszania – delikatnie mówiąc – dyskusyjnych wniosków. Rada poświęcała tej kwestii wiele czasu i wykazywała ponadprzeciętną aktywność w monitowaniu i uczulaniu władz państwowych do energiczniejszego tępienia sanacyjnych pozostałości. Wątek rozrachunkowy powracał nie tylko w „monograficznych” dyskusjach jemu właśnie poświęconych, ale i wpływał przy okazji wszelkich możliwych tematów stanowiących przedmiot posiedzeń Rady Narodowej. Czy to przy okazji rozpatrywania kierunków polityki zagranicznej, czy przy omawianiu sytuacji w armii, czy na posiedzeniach poświęconych zagadnieniom budżetowym – padały gromkie zarzuty pod adresem przedwojennej przeszłości i ówczesnych przywódców państwa, indagowano przedstawicieli władz o nazbyt opieszale „czyszczenie” aparatu politycznego i wojskowego od osób politycznie nieprawomyślnych, wygłaszano antysanacyjne tyrady, a nawet dochodziło do karczemnych awantur. Usiłowano wpłynąć na przyspieszenie prac Komisji Winiarskiego, próbowano nawet weryfikować całość polityki personalnej gen. Kazimierza Sosnkowskiego w Polskich Siłach Zbrojnych. Nie cofano się i przed obrzucaniem kalumniami konkretnych, podanych z imienia i nazwiska oficerów, żądając ich usunięcia z wojska.

Autorzy dotychczas trzyodcinkowego mini-cyklu pod wspólnym tytułem „Sikorszczyzy kontra sanatorzy” postanowili więc wyodrębnić materie związane z działalnością Rady Narodowej w interesującym ich aspekcie aż do 1945 roku i podjąć się próby nakreślenia tego problemu w szeregu osobnych artykułów. Pierwszy z nich obejmuje zagadnienie walki z sanatoriami w łonie Rady Narodowej, od jej powstania do kryzysu lipcowego 1941 roku, spowodowanego zawarciem układu Sikorski – Majski. Konieczność ograniczenia objętości artykułu zmusiła autorów do pominięcia bardzo interesującej kwestii stosunku Rady Narodowej do obozów izolacyjnych na wyspie Bute. Zagadnienie to zostanie uwzględnione w monograficznym artykule poświęconym obozom w Rothesay i Tighnabruaich. Podstawę źródłową do napisania niniejszego szkicu stworzyły niezwykle bogate zbiory Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, gdzie znajduje się niemal komplet protokołów posiedzeń Rady Narodowej RP. Pewne uzupełnienie niektórych fragmentów pracy stanowiły zbiory Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie i Studium Polski Podziemnej w Londynie. Ciekawym zjawiskiem, dającym się zauważyć w protokołach Rady są ingerencje jej członków w pierwotny tekst. Zasadniczo jednak zachowane zbiory londyńskie nie zostały poddane daleko idącej „obróbce” i odzwierciedlają nieraz bardzo specyficzny klimat obrad, ich temperaturę, czasem gwałtowne reakcje dyskutantów. Ciekawym z tego punktu widzenia zabiegiem było porównanie innej wersji protokołów niektórych posiedzeń, znajdujących się w kolekcji Ignacego Paderewskiego, dostępnej w zbiorach Archiwum Akt Nowych w Warszawie. Nie trudno zauważyć, że pewne mocniejsze i bardziej gwałtowne sformułowania czy określenia zostały w nich złagodzone lub nawet całkowicie usunięte. Zabieg taki występował kilkakrotnie właśnie przy okazji dyskusji nad przedwojenną przeszłością, co piszący niniejszy tekst zaznaczyli w przypisach. Artykuł nie mógłby powstać, gdyby nie ubiegłoroczny wyjazd stypendialny obu autorów do Londynu, sfinansowany dzięki hojności Fundacji Bankowej im. Leopolda Kronenberga oraz Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej, jak również tegoroczny pobyt jednego z piszących te słowa

w Londynie dzięki stypendium Fundacji z Brzezia Lanckorońskich. Za stworzenie finansowej podstawy do przeprowadzenia kwerend obaj autorzy pragną złożyć wymienionym Instytucjom gorące wyrazy wdzięczności. Serdeczne podziękowania za wszelką pomoc w kwerendach, wskazówki i zachęty do pracy kierują także pod adresem Pana Redaktora Jerzego Giedroycia, Pana mgr. Zbigniewa S. Kowalskiego, Pana mgr. Andrzeja Suchcitzę i Pana rtm. Wacława Milewskiego.

Początki Rady Narodowej.

Po katastrofie wrześniowej 1939 roku i podjęciu dzieła odtwarzania struktur państwowych na uchodźstwie we Francji wyłoniła się niemal natychmiast kwestia stworzenia organu o charakterze namiastki parlamentu na obczyźnie. Miał on posłużyć jako zaplecze dla rządu i prezydenta a ponadto ułatwiać wymianę poglądów i konsultacje pomiędzy głównymi siłami politycznymi reprezentowanymi we Francji. Pojawiał się jednak poważny problem natury prawnej. Istniejące obie Izby parlamentu ze względu na swój skład nie odpowiadały nowemu kierownictwu państwa, ponadto ich zwołanie w zmniejszonym składzie napotykałoby trudności o charakterze technicznym. Podjęto w rezultacie decyzję o rozwiązaniu Sejmu i Senatu, co formalnie znalazło wyraz w opublikowanym 9 listopada stosownym zarządzeniu prezydenta Władysława Raczkiewicza datowanym na 2 listopada. Wyraźnie wskazano w treści dokumentu, że *wybory, przeprowadzone w listopadzie 1938 roku ani Izby, które z nich wyszły, nie zadośćuczyniły potrzebom państwa [i że] należy odnowić skład Izb, ażeby mogły one dać pełniejszy wyraz nurtującemu w społeczeństwie prądom*¹. Przepisy prawne Konstytucji kwietniowej nakazywały w razie rozwiązania Sejmu i Senatu rozpisanie w terminie trzydziestodniowym nowych wyborów. Sytuacja wojenna i poddanie całości terytorium Polski okupacji niemiecko-sowieckiej uniemoż-

1. Monitor Polski. Dziennik urzędowy Rzeczypospolitej Polskiej, nr 245-251, Paryż 9 listopada 1939, s. 1.

liwiało spełnienie wymogów prawnych, ze względu na działanie czynnika niezależnego od prezydenta. Na czas wojny, do chwili powstania faktycznych możliwości zadośćuczynienia przepisom konstytucji, miało więc pojawić się ciało tymczasowe, wyposażone w uprawnienia opiniodawcze i doradcze, funkcjonujące u boku Prezydenta RP. Projekty stworzenia takiej namiastki parlamentu wyszły spod pióra gen. broni Józefa Hallera, gen. broni Lucjana Żeligowskiego, Zygmunta Nagórskiego, Karola Popiela, Tytusa Filipowicza, Władysława Baranowskiego, Wacława Bitnera i otoczenia prezydenta Raczkiewicza². 30 listopada prezydent w przemówieniu do obywateli Rzeczypospolitej – zapowiedział powołanie wspomnianej Rady Narodowej, przewidzianej *jako ciało opiniodawcze, które składać się będzie z najgodniejszych obywateli, znajdujących się na Zachodzie i reprezentujących wszystkie kierunki myśli politycznej. Rada ta powołana będzie do omawiania najważniejszych zagadnień państwowych*³.

Ostatecznie 9 grudnia 1939 r. prezydent wydał dekret o powołaniu Rady Narodowej. Jej kompetencje określono w art. 3 i 4 dekretu: *Art. 3. (1) Rada Narodowa wydawać będzie opinię we wszystkich wniesionych przez Rząd na jej sesję sprawach. (2) Rząd wnosić będzie w szczególności na sesję Rady Narodowej budżet państwowy. Opinie swe wyrażać może Rada Narodowa również w postaci wniosków dotyczących potrzeby wydania odpowiednich dekretów i rozporządzeń. Art. 4. Rada Narodowa może zarówno na wniosek Rządu, jak z własnej inicjatywy, opracowywać zagadnienia przyszłego ustroju państwa, zwłaszcza ordynacji wyborczej do Izb Ustawodawczych. Do Rady Narodowej mogło należeć minimum 12 a maksimum 24 członków z nominacji prezydenta na wniosek*

2. M. Dymarski, „Stosunki wewnętrzne wśród polskiego wychodźstwa politycznego i wojskowego we Francji i w Wielkiej Brytanii 1939-1945”, Wrocław 1999, s. 57-59; „Historia sejmu polskiego”, t. II, cz. 2 – „II Rzeczpospolita” (napisał A. Ajnenkiel), Warszawa 1989, s. 239-240.

3. Przemówienie Prezydenta Rzeczypospolitej do obywateli RP, 30 listopada 1939 r., w: Monitor Polski..., nr 271-276, Paryż 9 grudnia 1939, s. 1.

premiera rządu (art. 5). Prezydent zwoływał, otwierał i odraczał sesje Rady (art. 2), mógł też w dowolnym czasie rozwiązać Radę „w umotywowanym zarządzeniu” (art. 13). Uchwały przyjmowano zwykłą większością głosów, przy wymaganym *quorum* 2/3 ogólnej liczby członków. Członkowie rządu mogli uczestniczyć w posiedzeniach Rady lecz bez możliwości udziału w głosowaniach⁴. Nowa nazwa Rady – Rada Narodowa Rzeczypospolitej Polskiej – ustaliła się w wyniku wydania przez prezydenta Raczkiewicza kolejnego dekretu, 21 grudnia⁵. Tego samego dnia prezydent mianował pierwszych 16 członków⁶, zaś 18 stycznia 1940 r. dalszych trzech⁷. Premier gen. Sikorski zwrócił się do Ignacego Jana Paderewskiego (związany ze Stronnictwem Pracy) z prośbą o przyjęcie obowiązków przewodniczącego Rady Narodowej. Udział wielkiego pianisty i zarazem sławnego Polaka w pracach tego gremium miał służyć podniesieniu autorytetu Rady i znalezieniu duchowego przywódcy, okazał się zresztą w praktyce czysto symboliczny. Ze względu na podeszły wiek i stan zdrowia przewodniczący, choć opuścił Szwajcarię i przyjął propozycję premiera, ograniczył się w praktyce do osobistego uczestnictwa w jednym – inauguracyjnym posiedzeniu⁸. Wiceprezesami wybrano Hermana Liebermana (Polska Partia Socjalistyczna), Stanisława Mikołajczyka (Stronnictwo Ludowe) i Tadeusza Bieleckiego (Stronnictwo Narodowe)⁹.

Do pierwszego składu Rady powołano polityków różnego formatu, reprezentujących zasadniczo główne siły przedwrzesniowej opozycji. Trzon stanowili reprezentanci czterech

4. Dziennik Ustaw RP, Angers 11 grudnia 1939 r., nr 104, poz. 1008; przedruk w: Monitor Polski..., Paryż 30 grudnia 1939, s. 1-2.

5. Dziennik Ustaw RP, Angers 30 grudnia 1939 r., nr 105, poz. 1009; przedruk w: Monitor Polski..., Paryż 30 grudnia 1939, s. 2.

6. Monitor Polski..., Paryż 30 grudnia 1939, s. 1.

7. Monitor Polski..., Angers 20 stycznia 1940, s. 1.

8. Dymarski, Stosunki..., s. 59-60; Turkowski, Rada Narodowa..., s. 393; R. Wapiński, Ignacy Paderewski, Wrocław 1999, s. 204.

9. Dymarski, Stosunki..., s. 60; Monitor Polski..., Angers 29 stycznia 1940, s. 10; E. Duraczyński, Rząd Polski na uchodźstwie 1939-1945. Organizacja, personalia, polityka, Warszawa 1993, s. 46-47; Protokoły..., t. I, dok. 10a, s. 121-122.

filarów politycznych wspierających rząd: PPS, SL, SP i SN. Polską Partię Socjalistyczną reprezentowali – obok wiceprzewodniczącego Hermana Liebermana – Tadeusz Tomaszewski (zastąpiony wkrótce przez Adama Ciołkosza), Stronnictwo Ludowe – obok wiceprzewodniczącego Stanisława Mikołajczyka – dr Jan Jaworski, Stronnictwo Pracy – obok nominalnego przewodniczącego Ignacego Paderewskiego – ks. dziekan Jan Brandys (zastąpiony wkrótce przez Elżbietę Korfantową), Michał Kwiatkowski i Zygmunt Nowakowski, Stronnictwo Narodowe – obok wiceprzewodniczącego Tadeusza Bieleckiego – Zofia Zaleska. Do składu włączono również związanych przed wojną z kołami sanacyjnymi Tytusa Filipowicza (Polskie Stronnictwo Demokratyczne) i Stanisława Mackiewicza (konserwatysta, wydawca wileńskiego *Słowa*), ks. biskupa polowego WP Józefa Gawlinę, sympatyzującego ze Stronnictwem Narodowym Stanisława Józwiaka, reprezentujących francuską Polonię Józefa Szczerbińskiego i Józefa Szymanowskiego, przedstawiciela Polaków na Śląsku Opolskim Arkadiusza Bożka, gen. broni Lucjana Żeligowskiego, wreszcie dr. Ignacego Szwarcbarta (syjonista).

Powołując pierwszy skład Rady Narodowej RP kierowano się kilkoma kryteriami. Często decydował podstawowy względ praktyczny – obecność danego polityka we Francji – bowiem szereg wybitnych postaci przedwojennego życia politycznego pozostała w okupowanym kraju. Najważniejsze znaczenie miały kryteria polityczne, wśród których pierwszoplanowe miejsce zajmowała ocena stosunku kandydatów do osoby premiera Sikorskiego i jego rządu. Tłumaczyłoby to chętnie sięganie po osobistości związane przed wrześniem 1939 r. z Frontem Morges. Agendy rządowe starały się zresztą, aby podczas ewakuacji do Francji sito weryfikacyjne pozwoliło na wyłowienie lojalnych osobistości, zaś politycznie niepożądanym utrudniano przybycie na Zachód. Pojawienie się niektórych kandydatur wynikało z ucierania się stanowisk prezydenta i premiera i osiągniętego w tym zakresie kompromisu. Zasiadanie w Radzie pozwalało na pobieranie niebagatelnego uposażenia, w wysokości 7.500 franków francuskich miesięcznie. Trudno powstrzymać się od wniosku, że pozbawiona realnej władzy Rada, pojawiła się również jako organ

służący usprawiedliwieniu wsparcia finansowego dla szeregu przedstawicieli świata polityki i życia społecznego na uchodźstwie. Radzie od początku zarzucano grzech nieuwzględnienia pełnego *spectrum* orientacji politycznych. Szczególnie jaskrawo rzucał się w oczy niemal brak przedstawicieli mniejszości narodowych z wyjątkiem syjonisty dr. Szwarcbarta. Nikt nie zatroszczył się o włączenie do tego gremium osób reprezentujących interesy Ukraińców czy Białorusinów. Początkowo protestowali także Polacy z Małopolski Wschodniej, wobec braku reprezentacji Polaków z Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej¹⁰.

Początki dyskusji nad klęską wrześniową

Zarządzeniem prezydenta Raczkiewicza otwarto sesję Rady Narodowej RP i zwołano jej pierwsze posiedzenie na 23 stycznia 1940 r. do gmachu ambasady RP w Paryżu¹¹. Inauguracyjne przemówienie wygłosił prezydent Raczkiewicz. Skoncentrował się głównie na celach, dla których zdecydowano się powołać Radę, i zadaniach przed nią stojących. Akcentował pragnienie znalezienia przez władzę wykonawczą opinii ze strony *grona obywateli, którym by doświadczenie, zalety umysłu i charakteru, a wreszcie autorytet, który daje zasługa pozwoliły skutecznie i miarodajnie rozważyć podstawowe zagadnienia, które w tej wielkiej chwili dziejowej przed naszym narodem powstają*. Rada miała spełniać rolę namiastki trybuny parlamentarnej – forum wystąpień publicznych oraz stanowić *dla Rządu sprawdzian jego poczynań*. Za główną misję Rady prezydent uznał jednak *ustalenie zasadniczych tez wojennej i powojennej rzeczywistości polskiej, (...) określanie naszych dążeń i postulatów w obliczu dziejowych zagadnień, które zarówno wojna obecna, jak pokój (...) przed nami postawią*. Prezydent Raczkiewicz pominął natomiast całkowicie wątek odpowiedzialności za

10. E. Duraczyński, *Rząd Polski...*, s. 46-47; A. Pragier, *Czas przeszły dokonany*, Londyn 1966, s. 575.

11. *Monitor Polski...*, Angers 20 stycznia 1940, s. 5.

klęskę Polski we wrześniu 1939 r. i uchylił się od akcentów polemicznych wobec systemu pomajowego¹².

Już wśród słów kolejnego mówcy – Ignacego Paderewskiego, który objął obowiązki przewodniczącego – dawało się wyłowić stonowaną krytykę. Były premier mówił o swym przekonaniu, że *tu na emigracji, nikt z nas nie życzy sobie mechanicznego powrotu do stosunków przedmajowych, [a] ostatnie trzynaście lat rządów w Polsce stało się w dużej mierze przyczyną tego co kraj spotkało*. Wyrażał również ufność we współpracę wszystkich czynników partyjnych i państwowych pod hasłem jedności narodowej, zaś Rada Narodowa miała stworzyć dla rządu *oparcie trwałe i niewzruszalne [oraz] stanąć na najwyższym poziomie moralnym*¹³.

Wyraźnie ostrzejsze tony zabrzmiały w polemicznym przemówieniu gen. Sikorskiego, który już omawiając genezę utworzenia Rady Narodowej nie omieszkiał zaznaczyć, że *odsunięcie Narodu od współpracy i odpowiedzialności za byt państwa odbiło się na nas srodze w chwili narzuconej nam wojny. Polska (...) podjęła walkę zbyt nierówną, ażeby ją wygrać. Lecz że ją przegrała tak szybko, było to winą systemu, który pozostawał w dysharmonii z Narodem, zużywając jego energię w duchu bezużytecznym i szkodliwym*. Charakteryzując aktualną sytuację gen. Sikorski odciął się radykalnie od poprzednich metod, widząc celowość szukania kontroli dla poczynań rządu ze strony opinii publicznej i ciała reprezentacyjnego, stanowiącego jej emanację. Natychmiast jednak zastrzegł się, że *wojna wymaga szybkiego i sprężystego działania*, zaś akceptacja dla kontroli władzy wykonawczej istnieje wyłącznie z *tym zastrzeżeniem (...), że nie skrepuje nas ona w twórczej pracy*. Równie znamienne generał nakreślił sens istnienia Rady, którą traktował *nie jako reprezentację kluczową stronnictw lecz jako grono przedstawicieli tych prądów ideowych, które wykazały swoją żywotność i trafną orientację polityczną*. Szczególnie słowa o trafnej orientacji politycznej musiały zabrzmieć niepokojąco, tym bardziej że premier ich nie spreeczował¹⁴.

12. Monitor Polski..., Angers 29 stycznia 1940, s. 7-8.

13. Monitor Polski..., Angers 29 stycznia 1940, s. 8-9.

14. Monitor Polski..., Angers 29 stycznia 1940, s. 9-10.

Podczas inauguracji dominowało jednak jeszcze umiarkowanie i głoszenie szczytnych haseł o pojednaniu narodowym oraz zaniechaniu walk partyjnych w imię wspólnego dobra jakim jest przyszłość nowej, demokratycznej i praworządnej Polski. Ale wkrótce także na forum Rady Narodowej RP miały zabrzmieć zdecydowanie ostrzejsze oracje. Zarówno podczas obrad plenarnych, jak i w trakcie dyskusji toczonych w ramach komisji powołanych przez Radą Narodową RP na jej II posiedzeniu 7 lutego 1940 r. w Angers¹⁵.

Rada Narodowa wobec kwestii powołania komisji badawczej i exposé premiera

Pierwsze posiedzenia upłynęły zasadniczo pod znakiem konstituowania struktur Rady Narodowej i załatwiania kwestii regulaminowo-proceduralnych. Stanowcze i emocjonalne wypowiedzi dyskutantów nad zagadnieniami przeszłości padły jednak dopiero na marcowym posiedzeniu Rady. Okazję do gwałtownych ataków na okres przedwojenny i ówczesne czynniki decyzyjne, jak też składania wyraźnych deklaracji przez reprezentantów głównych orientacji politycznych stworzyło *exposé* premiera, wygłoszone podczas plenarnego posiedzenia 5 marca 1940 r. Wystąpienie gen. Sikorskiego zostało poprzedzone nie mniej ważnym wstępem wiceprzewodniczącego Rady Stanisława Mikołajczyka. Prowadzący wówczas obrady poruszył zagadnienie obecnych wśród żołnierzy obaw przed powrotem po zwycięskiej wojnie systemu pomajowego i ludzi odpowiedzialnych – według niego – za tak szybkie załamanie się państwa. Stawiał pytania o to, czy powtórzy się to wszystko, co od maja 1926 roku przerodziło się w system, który poza względami natury zewnętrznej w ostateczności przyczynił się do tak szybkiego załamania nas przez wroga. Mikołajczyk z przekonaniem mówił o nierealności przywrócenia sanacyjnej dyktatury, gdyż całkowicie zmieniły się warunki wewnętrzne i zewnętrzne. Obarczał przy tym częścią winy za trwanie systemu również

15. Monitor Polski..., 22 lutego 1940, s. 14.

niektórych jego aktualnych krytyków, którym oportunizm nie pozwalał na postawę opozycyjną. Bardzo stanowczo zabrzmiały deklaracje odnoszące się do kwestii piętnowania winnych klęski wrześniowej. *Nie mogę przyjąć sugestii, że nie czas na szukanie winnych, bo to rozprasza nasze siły. Uważam, że tam, gdzie się to da uczynić, należy winnych, którzy przyczynili się do przyspieszenia i pogłębienia naszej klęski ustalić, by uchronić siebie i innych od popełniania tych samych błędów, a narodowi dać pewność, że każda wina uzyskuje zasłużoną karę, gdyż zdrowie moralne narodu tego wymaga. O rozpraszaniu sił nie może być mowy, gdyż ci, którzy stworzyli system, cienkim tylko naskórkiem za pomocą siły aparatu państwowego nakrywali polską rzeczywistość. Że samopoczucie wielu na emigracji jest inne – to przyczyna leży w dysponowaniu autami, pieniędźmi i aparatem państwowym przy wyjeździe za granicę, a nie w układzie sił politycznych w kraju. W tym tkwi również przyczyna pretensji, a nawet poczucie rzekomej krzywdy, gdy do swej dyspozycji nie uzyskują tego, do czego nie posiadają moralnego prawa, a co tak łatwo kosztem społeczeństwa i jego ofiar uzyskiwali. Żaden z nas nie byłby, nawet gdyby mu ofiarowano, sięgnął po to, co tu niektórzy z tych panów uważają za swe przyrodzone prawa. A przecież to nie jest żaden porachunek partyjny, ale zwykła konsekwencja upadku systemu który, naszym zdaniem, przyniósł tyle klęsk krajowi i do którego, jak mówimy wszyscy, nie chcemy powrócić. (...) Tyle się mówiło w Polsce o niewciągnięciu wojska do polityki i niemożności poruszania zagadnień wojskowych w dyskusji publicznej. Podporządkowaliśmy się temu wszyscy i po tym, co się okazało we wrześniu, żałujemy tego. Nie pójdziemy więc starą, niewłaściwą drogą. Nie chcemy w tej chwili zbyt skrupulatnie szukać winnych, ale nie zgodzimy się na uchylanie od odpowiedzialności pod płaszczykiem „legendy”¹⁶.*

Zasadnicze *exposé* wygłosił jednak premier. Pozornie od-

16. Protokół posiedzenia RN RP, Angers 5 marca 1940, IPMS A. 5. 1/4, k. 6-9.

woływał się na wstępie do przyszłych sprawiedliwych sądów historii, która zawyrokuje nad słusnością posunięć przedwojennej ekipy rządzącej. Nie zapomniał podkreślić, że nowe władze stanowczo zerwały z *trybem poprzednich rządów osobistych, które wyrządziły państwu olbrzymie szkody*. Zaraz jednak po pierwszych deklaracjach zaczął stawiać retoryczne w gruncie rzeczy pytania, zawierające w swej treści odpowiedzi i skrajnie negatywny osąd sanacyjnego kierownictwa politycznego oraz wojskowego. Osąd tyleż jasny, jednowymiarowy i stanowczy, co niesprawiedliwy i rozmiągający się z rzeczywistością, nacechowany brakiem obiektywizmu i politycznie zabarwioną wrogością. Gen. Sikorski rozpoczął od rozprawienia się z polską polityką zagraniczną przed wrześniem 1939 r. i jej twórcami. Uznał, że *poważne błędy cechowały (...) politykę europejską ostatnich lat. (...) Błędy te jednak nie usprawiedliwiają omyłek własnych. Sprawili zaś one, że Polska żadną miarą nie mogła wygrać narzuconej jej nierównej, a osamotnionej walki*. Szybko też nawiązał do aspektów wojskowych klęski wrześniowej i przeszedł do wyliczania długiej listy błędów i zaniedbań sanacyjnego kierownictwa. *Przyszłość okaże, kto jest w Polsce odpowiedzialny za opóźnienie mobilizacji powszechnej, skutkiem czego w roku 1939 wystawiono i uzbrojono mniej dywizji, aniżeli mogliśmy ich wystawić z końcem roku 1925. Wykażą to dokumenty, czy prawdą jest, że łudzone się u nas do ostatniej nieomal godziny i nie wierzone w konflikt zbrojny z Niemcami, pomimo że dywizje niemieckie stały już nad polską granicą, o czym byliśmy dokładnie poinformowani. (...) Dlaczego do kwietnia 1939 roku nie istniał należycie opracowany i przedyskutowany plan wojny z Niemcami, po zarzuceniu starego? (...) Dlaczego utrzymano ilość pułków i jednostek kawaleryjskich (...) a zmniejszono ilość samolotów bojowych? Tych ostatnich mieliśmy więcej z końcem roku 1925 aniżeli w czternaście lat później, tj. w chwili wybuchu konfliktu. Dlaczego nie uzgodniono swych kroków dość wcześnie ze sprzymierzonymi, narażając kraj na osamotnienie z tak potężnym jak Niemcy przeciwnikiem? Dlaczego polityka polska ostatnich czasów ułatwiała Niemcom powzięcie*

inicjatywy napaści? Te tragiczne dla Polaków pytania będą musiały być wyjaśnione bez reszty. Pytania te nie wyczerpują całości zagadnienia. Rzucam je by uspokoić opinię kraju, wzburzoną rzekomym tolerowaniem winy i winowajców. Na sądy nie pora w tej chwili i na terenie obcym. Rząd jednak uczyni co do niego należy, ażeby materiał dla przyszłych badań przygotować, a odbudowane z gruzów wojsko uchronić przed powtórzeniem starych błędów. Biorąc pod uwagę wielość zarzutów wysnutych na podstawie emocjonalnych i nie popartych odpowiednią bazą archiwalną uprzedzeń, wyłącznie jako błahy ozdobnik zabrzmiało zdanie o zaniechaniu rozrachunku sądowego w chwili obecnej i na emigracyjnym gruncie. Pytania generała zawierały już bowiem w swej treści gotowe odpowiedzi. Nie dotyczyły kwestii sprawiedliwego określenia przyczyn przegranej w wojnie obronnej, lecz z góry narzucone stwierdzenie, że ktoś zawinił, czegoś nie dopilnował lub zaniedbał, tkwił w politycznej ślepotcie, lub niekompetencją sprowadził na kraj i naród zgubę. Należało jedynie wskazać winnych, co w świetle licznych już wypowiedzi premiera nie nasuwało specjalnych trudności. Wypowiedziane słowa brzmiały tym bardziej niepokojąco, że w kolejnych akapitach padły już ostre ostrzeżenia pod adresem tych, którymi nic nie wstrząsnęło i których niczego nie nauczyła tak wielka katastrofa. Jak nazwać chęć kontynuowania oszustwa i dziecinne przygotowywanie się tu, na emigracji, do uchwycenia rządów w Polsce w swoje ręce przed przybyciem na miejsce rządu legalnego? (...) Intrygi te znalazły poniekąd nieoczekiwane a mimowolne poparcie w niektórych organach prasy emigracyjnej. Brak dyscypliny obywatelskiej tych organów prasowych, żerowanie na plotkarstwie i niesprawdzonych wiadomościach, szerzenie przez to niepokoju i szkodenie dobremu imieniu Polaków – nie będzie przez nas tolerowane. Tym bardziej, że domaga się tego jak naj-energiczniej kraj, gorszący się tego rodzaju widowiskiem¹⁷.

Exposé Sikorskiego otwarło prawdziwą licytację potępieńczych głosów nad okresem 1926-1939 i sanacyjnym

17. *Ibidem*, k. 17-19.

przywództwem. Przedstawiciele poszczególnych partii w Radzie Narodowej prześcigali się wzajemnie w piętnowaniu błędów, zaniechań i przestępstw w przedwrześniowej Polsce. Domagali się też w większości stanowczym głosem rozliczenia winnych. Po wznowieniu obrad 8 marca 1940 roku mówcy niemal prześcigali się w identyfikowaniu odpowiedzialnych i moralnym rozliczaniu z realnych oraz wydumanych przewin. Tadeusz Bielecki (SN) zdecydowanie potępił rządy pomajowe i obarczył je pełną odpowiedzialnością za trzynastcie lat naruszania prawa. Stwierdził również wyraźnie, że Stronnictwo Narodowe walczyło z sanacją wówczas, gdy ta znajdowała się u władzy, nie zaś dopiero po klęsce państwa. Poparł twierdzenie o tym, że *na sądy nie pora w tej chwili i na terenie obcym*, uznał jednak konieczność zgromadzenia i upublicznienia odpowiedniego materiału dokumentacyjnego w celu umożliwienia wydania *bezstronnego sądu, zgodnego z prawdą historyczną*. Zebrany zbiór archiwaliów pozwoliłby następnie na pociągnięcie winnych klęski wrześniowej do odpowiedzialności. Zdaniem czołowego polityka Stronnictwa Narodowego należało, szczególnie w aktualnej sytuacji, baczyć na to, aby nie dopuścić *do zmartwychwstania upiorów niedawnej przeszłości i nie dawać wpływu na bieg polityki państwowej ludziom odpowiedzialnym bezpośrednio za klęskę*. *Walczyć należy bezwzględnie z systemem, z błędami, a być wyrozumialszym dla ludzi, którzy szczerze z błędami zerwali i mogliby jeszcze uczciwie i z pożytkiem Polsce służyć*¹⁸.

Znacznie bardziej radykalnie zabrzmiały słowa przedstawiciela Stronnictwa Pracy, Michała Kwiatkowskiego. Podkreślał dobitnie, że *nie wolno nam spuścić zasłony na przeszłość i nie doszukiwać się win u tych, którzy sami z własnej woli wzięli na siebie odpowiedzialność za przyszłe losy Narodu i Państwa, bez liczenia się z opinią i wolą społeczeństwa*. (...) *Aby więc na przyszłość nie powtórzyły się winy i błędy, które uspiły czujność rządu poprzedniego i rządzącego wówczas Polską obozu (...), trzeba nam*

18. Protokół posiedzenia RN RP, Angers 8 marca 1940, IPMS, A. 5. 1/4A, k. 3-4.

prawdzie spojrzeć prosto w oczy. Wyjaśnione być musi jakimi środkami, z jakich przyczyn i w jakim celu odpowiedzialne za ostatnie trzynaście lat przedwojennych czynniki rządowe nie tylko usiłowały usypiać czujność Narodu, ale same oddawały się katastrofalnym w skutkach złudzeniom, mimo ostrzeżeń jakie płynęły zarówno z historii polskiej, jak i z naszego położenia geograficznego, z własnych wynurzeń Hitlera i jego towarzyszy, z ostrzeżeń polskiej opinii publicznej i reprezentujących ją stronnictw niezależnych ludu polskiego, z ostrzeżeń zaprzyjaźnionych i zainteresowanych w istnieniu Polski innych państw, a w końcu z systematycznego łamania traktatów i zobowiązań przez rządy hitlerowskie i z tragedii, które przed nami przeżywały kolejno inne państwa i narody. Michał Kwiatkowski zapewniał o stanowczej opozycji Stronnictwa Pracy wobec sanacji już w okresie przedwojennym i uwypuklał represje, jakim poddawano działaczy partii, szczególnie Wojciecha Korfanteo. Partia – zdaniem mówcy – zawsze stała w pierwszej linii tych czynników, które przestrzegały i walczyły z karygodnym wprost lekceważeniem niebezpieczeństw, grożących na naszej zachodniej granicy. (...) Jesteśmy wdzięczni gen. Sikorskiemu, że (...) podał Narodowi do wiadomości liczby i fakty, świadczące o niezrozumiałej wprost lekkomyślności z jaką poprzedni rząd zaniedbał należyte uzbrojenie armii i przygotowanie obrony Państwa Polskiego. (...) Z dramatycznych pytań, które sformułował Pan Premier i Wódz Naczelny, wyziera (...) potworna rzeczywistość, że nasze przygotowanie do wojny z końcem sierpnia 1939 roku pozostawało w tyle w stosunku do tego, które zostawił dzisiejszy Wódz Naczelny, gdy w listopadzie 1925 roku odchodził z ministerstwa spraw wojskowych [sic!]. Dalej – w atmosferze niemal bałwochwalczych zachwyków pod adresem gen. Sikorskiego – posypały się już własne, konkretne zarzuty i zachęcania do inkwizytorskich śledztw. Kwiatkowski nawoływał co prawda do ujawnienia prawdy i przyjrzenia się licznym aspektom funkcjonowania państwa przed wrześniem 1939 r., z drugiej jednak strony przesądzał faktycznie o wyniku prowadzonych dochodzeń i nie czekając na rezultaty akcji rejestracyjnej wskazywał winnych.

Usypianie czujności Narodu rozpoczęło się od usuwania wpływu na kierunek polityki wewnętrznej i zewnętrznej, oraz od uniemożliwiania mu kontroli poczynąń rządu i jego organów. (...) Podkreślić (...) pragnę, że w związku z niedostatecznym uzbrojeniem armii i kraju zbadać będzie trzeba gospodarkę tych licznych usamodzielnionych przedsiębiorstw państwowych i wytwórni wojskowych, które do ostatnich czasów wywoziły z kraju sprzęt wojenny, czy to do Hiszpanii, czy do innych państw, jako rzekomo przestarzały, a którego zabrakło później w Polsce. Trzeba też zbadać rachunki różnych pośredników, którzy dorobili się ogromnych majątków, chociaż zyskami z tego tytułu dzielić się musieli z innymi zainteresowanymi. Zbadać będzie trzeba udział wysoko postawionych osób w pewnych koncesjonowanych przedsiębiorstwach i gospodarkę kredytową w bankach państwowych, połączoną [ze] stwarzaniem wysoko płatnych posad różnym protegowanym osobom wojskowym, które wskutek takich stosunków więcej myślały o intratnych karierach, niż o przygotowaniu kraju na wypadek wojny. (...) Po zawarciu paktu o nieagresji z Niemcami usypianie czujności Narodu (...) posunęło się do granic zupełnie niewytłumaczalnych. Polska polityka zagraniczna nastawiła się w taki sposób na Berlin, że nie cofnęła się nawet przed osłabianiem stosunków polsko-francuskich. Natomiast inspirowana prasa sanacyjna poczęła szerzyć ufność do perfidnych zapewnień Hitlera i (...) domagać się kolonii nawet pod adresem Francji w chwili, w której każdy Polak powinien był myśleć o Śląsku Opolskim, Gdańsku i Prusach Wschodnich. Z podobnym zaślepieniem działano równolegle z polityką niemiecką przeciw Czechosłowacji. Dalej nie było już miejsca na banalne i jednostronne analizy, lecz zabrzmiały jednoznaczne i wyraźne przestrogi pod adresem przedstawicieli sanacji. Określono ich w ledwie skrywany sposób mianem wrogów, którzy nie próżnują, czyhając jedynie na okazję, aby wszelkimi dostępnymi środkami wywołać niezadowolenie z polityki aktualnych władz. Padły ostrzeżenia przed tymi, którzy przez 13 lat Polskę uważali za swój folwark i bez kontroli w niej żyli tak dostatnio, że podczas największej katastrofy wywieźli za granicę wielkie

fortuny oraz przed prasowymi piewcami i chwalcami, którzy sanacyjnej polityce się wysługiwali i jej bronili a dzisiaj drżą (...) przed rachunkiem sumienia, jaki z nimi kiedyś zrobi Naród. (...) Tęskniący za utraconymi posadami, subwencjami i wygodnym życiem sprawcy tragedii i ich pomocnicy w Rumunii, na Węgrzech i na wychodźstwie, usiłują zaczepiać Rząd obecny pod pochlebnymi na razie jeszcze zasłonami. Przez lata całe pomagali osłabiać czujność Narodu, kazali mu wierzyć w obietniczki Hitlera i w ten sposób sprowadzili katastrofę na Polskę, która kosztowała miliony żywotów ludzkich i kilkadziesiąt miliardów strat majątku narodowego polskiego oraz bezmiar cierpień całego Narodu. Niechaj więc bezpośrednio i pośrednio winni tych strat troskę o oszczędność pozostawiają tym, którzy na największe narażali się przykrości, by oszczędzić Narodowi Polskiemu owych (...) strat¹⁹.

Na tle długich i nie zostawiających suchej nitki na ekipie sanacyjnej wywodów przedmówcy wystąpienie Józefa Ścierbińskiego zabrzmiało stosunkowo łagodnie. I on jednak nie zapomniał krótko, ale dosadnie ustosunkować się do zagadnienia odpowiedzialności za klęskę wrześniową. Uznał, że *cały Naród zgodnie potępia dziś system rządzenia stosowany w Polsce od roku 1926 i widzi w nim główną przyczynę osłabienia państwa i niepomyślnego przebiegu pierwszego okresu wojny. Zdrowie moralne Narodu domaga się gruntownego i wyraźnego ustalenia winnych, którzy znalazłszy się na odpowiedzialnych stanowiskach, nie spełnili ciężkich na nich obowiązków*²⁰.

Dr Jan Jaworski ponownie podgrzał temperaturę obrad, ustosunkowując się do polityki zagranicznej II Rzeczypospolitej. Linie polityczną nakreśloną przez Józefa Piłsudskiego i realizowaną przez Józefa Becka poddał druzgocącej krytyce. Oceniał ją jako *nastawioną na współpracę z Niemcami* i uznał jej twórców za winnych remilitaryzacji Niemiec. Wszystkie kataklizmy dwudziestolecia obciążały – zdaniem Jaworskiego – sterników polskiej dyplomacji; zarówno

19. *Ibidem*, k. 12-18, 21-22.

20. *Ibidem*, k. 28.

łamanie postanowień traktatu wersalskiego, jak aneksja Austrii i Sudetów, wyniknęło z błędów i ślepoty politycznej ministra Becka. Rząd polski został nazwany *bezkontrolnym* i odpowiedzialnym za brak planów wojennych przeciwko Niemcom. Jaworski nie miał wątpliwości, że to dyktatura sanacyjna spowodowała zanik wszelkiej inicjatywy i samodzielności, jak też dezorganizację podczas kampanii wrześniowej. Zarzuty nabrały jeszcze większych rumieńców, gdy przyszło do oceny kierownictwa wojskowego. Nie ma wytłumaczenia dla Naczelnego Wodza, który opuścił swą armię. *Tę armię, której jednostki tak dzielnie walczyły, tego żołnierza, który chlubą bohaterstwa okrył Polskę. Nie ma wytłumaczenia i usprawiedliwienia za dezercję p. Rydza-Śmigłego, tak jak nie ma wytłumaczenia za niedopuszczenie do dowodzenia armią innych dowódców, z których wielu, jak np. gen. Sikorski, od pierwszego dnia oddali się do dyspozycji, nie uzyskując jakiegokolwiek przydziału.* Wymuszone sytuacją przekroczenie granicy rumuńskiej przez władze Rzeczypospolitej zostało określone bez cienia wątpliwości jako ucieczka. Wreszcie na zakończenie tego wątku padły znamienne słowa: *z uznaniem przyjmujemy oświadczenie Rządu o pociągnięciu do odpowiedzialności winnych klęski Polski. Pragniemy tylko, by oświadczenie to było spieszenie wykonane i z całą bezwzględnością, gdyż tego domaga się cały skrzywdzony Naród Polski i poczucie sprawiedliwości*²¹.

Szczególnie zajadłe atakował ekipę sanacyjną były jej członek, dyplomata Tytus Filipowicz. Znaczną część swego wystąpienia poświęcił wątkowi rozliczeń. Wśród trzech głównych przyczyn niepowodzenia Polski we wrześniu 1939 r. wymienił *błędy i nieprzygotowanie polskiego rządu i polskiego naczelnego dowództwa*. Uznał wprost, że *nasz był rząd i nasze było naczelne dowództwo w całej pełni odpowiedzialne są za spowodowanie sytuacji, która ułatwiła Niemcom skuteczność ich uderzenia*. Dalej zaś nastąpiła wyrażna zachęta do jak najszybszego rozrachunku i osądzenia przeszłości natychmiast – przy czym wyrok dawał się wyczytać już ze słów byłego ambasadora. *Uważam, że pierwszym*

21. *Ibidem*, k. 37-39.

tutaj obowiązkiem jest odgrodzenie się z całą jasnością i całą stanowczością zarówno od polityki ostatnich rządów, jak i od ludzi biorących udział w tych rządach, ludzi, którzy brakiem umiejętności rządzenia, egoistycznym trzymaniem się władzy oraz zbrodniczą lekkomyślnością zaniedbali przygotować materialnie państwo do przeciwstawienia się obcej przemocy, a w chwili najtragiczniejszej pierwsi opuścili ziemię polskie krwią płynące. Uważam, że opinia polska, dotknięta w swych najgłębszych uczuciach honoru i patriotyzmu przez poprzednich kierowników państwa, powinna otrzymać zadośćuczynienie. Rada Narodowa, nie czekając na przyszłe wyroki historii, powołana jest już dziś do zajęcia w tej sprawie wyraźnego stanowiska, gdyż tylko taka droga będzie zgodna z uczuciem powszechnego oburzenia, poczuciem klęski i przerażenia całego narodu. Musimy powiedzieć wyraźnie, że rządy poprzednie ponoszą odpowiedzialność za to co czyniły, że choć nie w tej chwili to w przyszłości, w odpowiednim czasie i miejscu powinny być oddane pod sąd, czy to przed Trybunał Stanu, czy przed inne sądy RP, które w normalnym trybie postępowania ustaliłyby winę i określiły karę. To właśnie mówi wniosek, który jest w rękach p. prezesa. Jeśli go przyjmujemy – będzie to choć tymczasowym zaspokojeniem wołania o sprawiedliwość i obietnicą zadośćuczynienia. (...) Poza tym przyjęcie wniosku przetnie możliwość wyciągania naszych smutnych spraw wewnętrznych na zagraniczne forum emigracji, co gdyby miało dziać się, przyczyniłoby się do obniżenia wysokich wartości, jakie bohaterska Polska złożyła dla wspólnej sprawy aliantów²².

Oryginalne stanowisko zajął konserwatysta i piłsudczyk Stanisław Mackiewicz. Próbował z jednej strony przestrzec zebranych przed totalną i zbiorową zemstą i piętnowaniem wszystkiego, co dokonało się w Polsce po maju 1926 r. Nie negował jednak konieczności osądzenia odpowiedzialnych za stan przygotowań państwa do wojny. Pojawiło się hasło postawienia członków ostatniego rządu II RP przed Trybunałem Stanu, a wojskowych przed sądem wojennym. Nie brakło i

22. *Ibidem*, k. 41-43.

w tym przemówieniu brutalnych personalnych ataków i demagogicznych porównań. Jeżeli chodzi o odpowiedzialność za wojnę – to w enuncjacjach na emigracji (...) słyszę trzy momenty, które są z sobą niezgodne. Jeden moment, występujący bardzo silnie: odłożmy sądy, pozostawmy sąd krajowi. Drugi moment – nawracanie w każdym przemówieniu jednak do tego tematu. Trzeci – rozciąganie odpowiedzialności aż po maj 1926 r., kiedy to wszyscy stają się odpowiedzialni. Otóż ja jako prawnik muszę powiedzieć, że jeżeli rozciągniemy tę odpowiedzialność aż po maj – to tej odpowiedzialności na każdym człowieku pozostaje bardzo mało. (...) Nawet tu, w tej Radzie zasiadają ludzie, którzy tkwili w systemie majowym. Ja też byłem piłsudczykiem i ja się tego nie zapieram, że byłem i jestem piłsudczykiem. (...) Uważam (...), że to co może być historycznie polityczną odpowiedzialnością – to jest rzecz inna. Od tej odpowiedzialności nikt się nie będzie uchylał. To jest inna odpowiedzialność nie o charakterze błędów, lecz zbrodni. Taką zbrodnią było nieprzygotowanie wojska do wojny, niefinansowanie tych przygotowań. Taką zbrodnią było stanowisko Becka w sprawie Słowacji. To już nie mogło wynikać z błędów. Jeżeli mi ktoś mówi, że marsz. Śmigły- Rydz przekroczył granicę polską myśląc, że armia rumuńska odda mu się pod rozkazy – to mu powiem, że kłamie, albo jest głupi! Ja uważam, że Rząd powinien swoje stanowisko sprecyzować w sposób jasny i konkretny. Rząd nie powinien tego rozciągać na małych urzędników, Rząd powinien powiedzieć, kto jest winny i (...) powinien (...) tych głównych winowajców wyraźnie wskazać. (...) Rząd powinien ogłosić, że prezes Rady Ministrów Składkowski, minister spraw zagranicznych Beck, minister spraw wojskowych Kasprzycki, minister skarbu Kwiatkowski, jak również b. inspektor sił zbrojnych gen. [sic!] Rydz-Śmigły, oraz szef Sztabu Generalnego [sic!] Stachiewicz, jak również inni członkowie gabinetu ministrów – źle zasłużyli się Ojczyźnie. Innych nie wymieniam z nazwisk, ale uważam, że nie możemy stać na stanowisku, że któryś z członków ostatniego gabinetu jest niewinny. A to, że na zamku się zbierał generalny inspektor sił zbrojnych z ministrami – to było

łamanie konstytucyjnej zasady, przeciwko czemu tamci ministrowie mogli wystąpić. Po drugie Rząd powinien ogłosić, że wszyscy członkowie ostatniego gabinetu będą postawieni przed Trybunał Stanu, a Rydz i gen. Stachiewicz będą postawieni przed sąd wojenny. I uważam, że każda z wyżej wymienionych osób, jeżeli chce ratować honor ze względu na swoje dzieci – może wstąpić do wojska jako prosty szeregowiec, nie licząc na żadne stopnie i odznaczenia. (...) Nigdy nie przypuszczałem, że Rydz zachowa się tak, jak się zachował – i dziś, gdy porównuję Hachę i naszego byłego naczelnego wodza – to wyżej stawiam Hachę. Bo Hacha wziął sam na siebie całą hańbę, a Rydz pozostawił te dzieci, które szukały benzyny dla tanków i nie znajdowały jej. Rydz tę hańbę pozostawił nam! My mamy hańbę na honorze, powinniśmy wyraźnie się od niego odciąć²³.

Po przemówieniu dr. Ignacego Szwarcbarta ks. dziekan Jan Brandys odczytał wniosek nagły, który wpłynął pod obrady w związku z toczoną dyskusją: Zważywszy, że za klęskę, jaką poniosła Polska, oprócz najazdu wrogów i przyczyn zewnętrznych natury geograficznej i politycznej, złożyły się również powody wewnętrzne, za które odpowiedzialne są ostatnie rządy polskie, Rada Narodowa wzywa Rząd, aby natychmiast powołał nadzwyczajną komisję, która: I. zbierze i zbada wszystkie dokumenty, stwierdzające powody natury politycznej i wojskowej, które ułatwiły Niemcom i bolszewikom opanowanie Polski, II. przygotowuje akta oskarżenia na wszystkich, których zebrany materiał okaże winnych lub niedbałych i to bez względu na stanowisko przez nich piastowane. Uzasadnienie: wyjaśnienie tych spraw i przygotowanie formalnego oskarżenia jest konieczne, aby ocenić kto zawinił, że ofiarność Narodu Polskiego i waleczność jego żołnierzy zostały w wielkiej mierze zmarnowane, oraz aby uniknąć na przyszłość podobnych błędów. Wyjaśnienie tych spraw jest naglące, gdyż czas i nowe wypadki zacierają coraz bardziej przeszłość, z czego korzystają winni, starając się oświecić fakty na swą korzyść. Załatwienie powyższego wniosku

23. Ibidem, k. 55-57.

*stanować będzie chwilowe zadośćuczynienie, jakie winna otrzymać opinia Polski, dotknięta w swych najgłębszych uczuciach honoru i patriotyzmu przez zachowanie się poprzednich kierowników. Wniosek nagły tej treści został odesłany do Komisji Prawno-Konstytucyjnej Rady Narodowej i miał zostać poddany dyskusji już następnego dnia*²⁴.

Rankiem 9 marca, o godz. 9.25 zebrali się członkowie wspomnianej Komisji pod przewodnictwem Stanisława Mikołajczyka. Podczas dyskusji Tadeusz Bielecki zgłosił zastrzeżenie do posłużenia się we wniosku słowem *kłeska*, które sugeruje coś nieodwołalnego i ostatecznego. Przyjęto sugestię Jana Jaworskiego, proponującego posłużenie się zwrotem *wrześniowa kłeska*. Jaworski zgłosił ponadto poprawkę do wniosku, domagając się uzupełnienia fragmentu traktującego o winnych zwrotem z *byłym prezydentem Mościckim na czele*, jednak pomysł ten odrzucono. Wniosek w poprawionym brzmieniu Komisja uchwaliła jednomyślnie²⁵.

Teraz ponownie sprawa mogła powrócić na forum plenarnej sesji Rady Narodowej – i wróciła, wywołując kolejne namietne dysputy. Uchwalony przez Komisję wniosek został zreferowany przez prowadzącego obrady wiceprzewodniczącego Mikołajczyka. Stwierdził on jasno, w zdumiewający sposób interpretując zasadę domniemania niewinności, że *przez przyjęcie tego wniosku przesądzamy w naszej opinii, że istniała wina, za którą ponoszą odpowiedzialność ostatnie rządy polskie, które w złym dowodzeniu, a także poprzednio w złym rządzeniu państwem przyczyniły się do tak szybkiego rozwoju naszego nieszczęścia. Tym samym (...) przesądzamy także winę aktem politycznym; politycznie wina jest dla nas zupełnie oczywista i to możemy uznać, pozostawiając zebranie odpowiednich dowodów i dokumentów, które – o ile mi wiadomo – są już częściowo nagromadzone, oraz przygotowanie formalnego aktu oskarżenia odpowiednim ciałom, które rząd winien powołać*. Dalej jednak mówca z zalem stwierdzał o niedoskonałości obowiąz-

24. *Ibidem*, k. 73-74.

25. Protokół posiedzenia Komisji Prawno-Konstytucyjnej, Angers 9 marca 1940, IPMS, A. 5/13.

zującej konstytucji, której przepisy traktujące o *Trybunale Stanu* stanowią, że przed *Trybunał Stanu* mogą być powołani tak premier, jak ministrowie poszczególni tylko za wyraźne naruszenie konstytucji i aktów ustawodawczych. *A przecież nie o to nam tylko chodzi. (...) Dlatego też nie przesądzając formy sądu – żądamy zwołania nadzwyczajnej komisji śledczej, która zebrałaby materiał i przygotowała wypływające stąd wnioski, służące za podstawę do aktu oskarżenia i pociągnięcia do odpowiedzialności winnych.* Co do tego, że winni istnieją i akt oskarżenia powstanie, sprawozdawca nie wyrażał najmniejszych wątpliwości²⁶.

Treść wniosku spotkała się natychmiast z ripostą Stanisława Mackiewicza – zgłaszającego liczne wątpliwości prawne. *Konstytucja polska przewiduje trzy rodzaje władzy (...). Otóż, ten wniosek zmierza do tego, aby funkcje które sprawują sądy oddać rządowi. (...) To nie oznacza wcale, aby na ministra, który popełnił takiego rodzaju przestępstwo – nie było sądu. (...) Konstytucja polska nie stwarza przed sądem odpowiedzialności premiera czy ministra. Minister spraw wojskowych może być doskonale postawiony przed *Trybunał Stanu* za dezercję, minister skarbu również, za przywłaszczenie pieniędzy np. Więc tu nie jest konieczny *Trybunał Stanu*, może ich sędzić normalny sąd. Tu wniosek, ja przepraszam za porównanie, zmierza do czerezwyczajki. Czymże bowiem jest czerezwyczajka, jeżeli nie nadzwyczajną komisją śledczą... Porównanie wzbudziło gwałtowną reakcję prowadzącego obrady, jednak Mackiewicz wskazywał dalej, że broni w swym wystąpieniu oskarżonych, lecz fundamentalnych zasad praworządności, należących do zdobyczy kulturalnego świata. *Komisja, którą Panowie powołują, będzie działać poza procedurą. (...) Ponieważ się nie opiera na procedurze sądowej, więc i sami ci członkowie komisji, którzy będą sędziami śledczymi, oni będą jednocześnie twórcami i autorami przepisu proceduralnego;**

26. Protokół posiedzenia RN RP, Angers 9 marca 1940, IPMS, A. 5. 1/5, k. 2-3. Inna wersja protokołu, poddana daleko idącym zmianom redakcyjnym zachowała się w Archiwum Akt Nowych (AAN), kolekcja I. J. Paderewskiego, t. 3083; cytowany fragment, znacznie złagodzony tamże, k. 12.

to jest wielka wadliwość, jeżeli chodzi o karno-sądowe badanie. (...) Panowie przygotowują instytucję, która działa poza normalną władzą sądową, Panowie nadają tej instytucji prawa sędziego śledczego do szczególnych wag, Panowie dają prawo do stwarzania procedury tej władzy, która ma jednocześnie sąd. (...) Ja się spotkałem już tu, na terenie paryskim z takimi komisjami, które działały bez żadnej procedury, kiedy nie mówiono człowiekowi kto i o co go oskarża. To jest cofnięcie się o kilka wieków wstecz pod względem kultury sądowej, to jest cofnięcie się do czasów inkwizycji. I jeżeli Panowie wszyscy oburzali się słusznie na to, że dekret o stworzeniu obozu w Berezie był złamaniem prawa, (...) to ja uważam, że i tu się łamie prawo. Mimo tych prawniczych wywodów Mackiewicz stwierdził o całkowitym przekonaniu co do winy pewnych osób, na co nie potrzeba żadnych dowodów ze względu na oczywistość tej winy. Tu nie może być dwóch słów o tym, że przekroczenie granicy przez Rydza w czasie największych działań wojennych stanowi jego winę. Zaproponował na razie wstrzymanie się od wszelkich procedur badawczych i ukarania oskarżanych osób, zgodnie zresztą z zapowiedziami Pana Premiera Sikorskiego. Należało natomiast wydać akt polityczny, uznając w nim, że takie a takie osoby źle zasłużyły się Ojczyźnie, po czym Rada Narodowa powinna zwrócić się do rządu z prośbą o wyjednanie łaski u prezydenta dla winowajców i zezwolenie im na służbę wojskową w Armii Polskiej w charakterze szeregowców, bez możliwości jakichkolwiek odznaczeń czy awansów do końca wojny. Nie robię tego dla nich, a dla siebie i dla całego narodu, bo przecież będzie nam przyjemniej, gdy nasz naczelny wódz, który jednak w naszej historii pozostanie tym naczelnym wodzem... (p. Jaworski: Hańbą!)... tak jest, hańbą, zgadzam się, ale będzie nam przyjemniej, jeżeli on będzie mógł zrobić ten przyzwoity wysiłek i będzie służył jako szeregowiec. (...) W naszym interesie jest, żeby ta hańba była jak najmniejsza, więc nie należy utrudniać im tego, by się zrehabilitowali. Całość swych wywodów Stanisław Mackiewicz streścił następnie w formie wniosku, lecz wiceprezes Mikołajczyk odrzucił poprawkę ze

względów proceduralnych, jako sprzeczną z regulaminem²⁷.

Ad meritum ze zdaniem Mackiewicza polemizował dr Ignacy Szwarcbart. Stwierdził wprost, że choć ze względów formalnych jego przedmówca ma rację, to istnieją również ważne względy, przemawiające na korzyść sugerowanego projektu. Niejednokrotnie w dziejach ojczystych sejm powoływał komisje nadzwyczajne i nie traktowano tego, jako naruszenia prawa. Choć nie wolno niweczyć konstytucji, to życie *stwarza konstytucję*, zaś aktualnie nadeszły właśnie wyjątkowe czasy, których nikt nie mógł przewidzieć. Rada zaś szuka formy nie pozostającej w sprzeczności z porządkiem prawnym. Mówca dopatrywał się nadto sprzeczności w kolejnych wypowiedziach Mackiewicza. *Z jednej strony pan Mackiewicz idzie ogromnie daleko i potępia winnych, a z drugiej strony jest przeciwko temu, co zmierza ewolucyjnie do przygotowania sądu na nich. Kolega powiada: „potępić natychmiast w tej czy w innej formie” – a z drugiej strony powiada, że ta forma, która do tego zmierza, jest niesłuszna.* Szwarcbart odrzucił nadto pomysł przyjęcia wniosku zmierzającego do uznania byłego kierownictwa państwa jako tych, którzy źle zasłużyli się Ojczyźnie. *Historia (...) nie zna precedensu, że się ktoś źle przysłużył Ojczyźnie, więc na to też nie można się powoływać*²⁸.

Argumentację powyższą wsparł Michał Kwiatkowski. Wskazał również na stosowaną w różnych sytuacjach historycznych karę banicji. *Wiemy, że i we Francji nawet w stosunku do panującego była ona stosowana, ze względu na możliwość intryg i szkody, jakie by mogły powstać dla państwa – wypowiedziano dla całego domu panującego banicję.* Uznał on za niedopuszczalne umożliwienie członkom dawnych władz zaciągnięcie się do wojska. *Otworzyć drogę tym panom, którzy tak straszliwą klęską sprowadzili na Polskę, pozwolić im na wybielanie się – taka wyrozumiałość na pewno nie byłaby przez naród zrozumiana, a z punktu widzenia interesów państwowych – niedopuszczalna*²⁹.

27. *Ibidem*, k. 3-7.

28. *Ibidem*, k. 7-8.

29. *Ibidem*, k. 9.

Jeszcze dobitniej wyrażał się Jan Jaworski, wyrażając zdziwienie – nie wolne od złośliwych uszczypliwości – iż *dziś p. Mackiewicz chce bronić praworządności. (...) Przecież my żyjemy w warunkach w ogóle nadzwyczajnych i tego nie trzeba dowodzić. Więc jeśli tej praworządności nie przestrzegano w Polsce wtedy, kiedy było potrzeba, jeżeli Bereza była wbrew procedurze i wtedy ta procedura – o ile sobie przypominam, a nie myślę się na pewno – spotkała się z gorącym aplauzem p. Mackiewicza, to zdziwiony jestem, że w tej chwili na obczyźnie, kiedy należy się mniej liczyć z procedurą – to system ten wzbudził tyle zastrzeżeń. Zastrzeżenia wzbudził również pomysł odkładania wymiaru sprawiedliwości do czasów powojennych, gdyż to odkładanie zaciera odpowiedzialność, (...) a z drugiej strony cały szereg osób nie godzi się z tym, co się w Polsce stało, ale szuka powrotu do tej samej władzy i nie pokutuje, nie wkłada włosiennicy, ale wysyła kurierów, robi tajne nara-
dy, żeby podstawić nogę legalnemu rządowi. Dr Jaworski – sięgając po niemalże literacki patos – odrzucił sugestię dania szansy członkom kierownictwa wojskowego na rehabilitację poprzez wstąpienie do armii i służbę w linii. Za tyle zniszczenia, za tyle pożogi, śmierci, za tyle cierpienia, za te kałuże krwi, za te zbrodnie – teraz ograniczyć się do tego, że ktoś wstąpi do wojska i może jeszcze będzie bohaterem – to uważam byłoby wybielaniem tego wszystkiego. (...) Jeżeli ktoś chce zostać postacią historyczną, to musi na to zasłużyć. Ale taka postać, która zasłużyła tylko na spełnienie tylko [sic!] – nie może przejść do historii, ale jest hańbą. Myśmy też byli traktowani w Polsce, jako ci, którzy źle się zasługują Ojczyźnie. Dalej – jakby mówcy nie wystarczały już i tak zdecydowane, bezwzględne oskarżenia – padły wręcz przerażające sugestie, dowodzące niespotykanej skali mściwego zacietrzewienia członka Rady. Jesteśmy w kraju, gdzie Ludwik XVI został zgilotynowany i Francuzi wcale się tego nie wstydzą, bo są przekonani, że to było konieczne dla dobra państwa. Ja nie wiem, czy ta gilotyna nie będzie musiała jeszcze u nas zaistnieć [sic!!!]³⁰.*

30. *Ibidem*, k. 9-10.

Stanisław Józwiak uznał wniosek Stanisława Mackiewicza za całkowicie nieprzemyślany ze względu na nastroje panujące wśród społeczeństwa polskiego we Francji. *Bo jak sobie p. red. Mackiewicz wyobraża, jakby p. Rydz-Śmigły przeżył choć jeden dzień na terenie Francji, jak by go przyjęto w obozie, czy p. gen. Kasprzycki do wieczora by dożył? Jeżeli ci panowie chcą się bić za Polskę, to niech wstąpią do armii francuskiej, niech się biją w legii cudzoziemskiej, o ile ona ich przyjmie. Ale żeby potem przyjechać do Polski i tworzyć jaja kukułka – to chyba może tak myśleć ktoś, kto tych ludzi nie zna i nie wie, do czego taki wniosek (...) w praktyce może doprowadzić*³¹. Po dalszej krótkiej dyskusji nad wnioskiem i propozycją Mackiewicza, na wniosek prowadzącego obrady przegłosowano wniosek opracowany przez Komisję Prawno-Konstytucyjną przy jednym głosie wstrzymującym się (Mackiewicz)³².

Zakończenie dywagacji nad problemem powołania Komisji Nadzwyczajnej pozwoliło na podjęcie na nowo dyskusji nad *exposé* premiera. Stanisław Józwiak, szczycący się przedwojennym członkostwem w ONR, niezwykle patetycznie i ostro napiętnował *osobistości z ancien regime'u [które] prowadzą zbrodniczą agitację wśród oficerów i żołnierzy w ośrodkach uchodźczych*. Przedstawił w związku z tym karkołomny wywód, obciążając w nim sanatorów odpowiedzialnością za zbrodnie niemieckie i sowieckie na ziemiach polskich! *Robią nową grę i zamierzają ich zwerbować do nowych celów. Opóźniają oni przez swoje postępowanie rozwój i osłabiają siły armii polskiej. (...) Ci panowie (...) są za (...) zbrodnie popełniane przez okupantów, winnymi. Na swoje sumienie biorą największą zbrodnię, zbrodnię kainowską i tej zbrodni Kaina nawet Pan Bóg w swoim wielkim miłosierdziu Kainowi nie przebaczył, a tym więcej naród polski im tego nie przebaczy*. Mówca nie odmówił sobie nawiązania do fragmentów wystąpienia gen. Sikorskiego, traktujących o winnych klęski wrześniowej, i znalazł prostą acz oryginalną odpowiedź na pytania

31. *Ibidem*, k. 11.

32. *Ibidem*, k. 11-13.

premiera. Proponował nadto znacznie rozszerzyć krąg odpowiedzialnych. Dla mnie wszelkie prawdy polityczne są tylko wtórnym zjawiskiem: zjawisk gospodarczych i przejawów gospodarczych. Dlatego (...) w pierwszym rządzie są odpowiedzialni oprócz wojskowych, oprócz naczelnego sztabu – wszyscy ministrowie skarbu, którzy stali na czele skarbu od 13 lat [sic!]. W szeregu tych winnych ja widzę też p. Matuszewskiego, który tu, na emigracji, chce się wybielić, a jednak jego wina roztrwonienia skarbu naszego, który przy przejściu teki przez niego wynosił przeszło miliard złotych – jest niewątpliwa, bo nie przeprowadził na czas reglamentacji dewiz i dopiero, gdy skarb znalazł się u progu bankructwa – minister Kwiatkowski w r. 1936 zaprowadził reglamentację dewiz. (...) Każdy kto zmarnował, ciągnął dla siebie ostatni grosz wdowi ze społeczeństwa – musi być pociągnięty do odpowiedzialności, inaczej naród nas nie zrozumie. I dlatego, proszę Wysokiej Rady – my musimy się tym zająć, aby ci ludzie, którzy w tak lekkomyślny sposób roztrwonili dobro państwowe, aby ci wszyscy bez wyjątku pociągnięci zostali do odpowiedzialności. Bo to właśnie w ich winie leży źródło naszej niegotowości do obrony kraju. (...) Nas okłamywano w beczelny sposób. Tu wspomnę swoją rozmowę z min. Kasprzyckim, który mówił, że mamy tyle dział, że ich na pewno do obrony wystarczy. A przecież min. Kasprzycki co najmniej musiał wiedzieć, że musimy mieć trzy miliony karabinów maszynowych [sic!] – ale on wolał siedzieć na próbach teatralnych, on wolał oglądać widowiska teatralne. A panowie ministrowie jeździli na polowania, na wycieczki turystyczne na państwowych okrętach za darmo. (...) Każdy stwarzał sobie urzędy, ażeby tylko ten skarb państwa okradać. (...) A już szczyt hipokryzji popełnił p. Kwiatkowski, który jest autorem ustawy o podatku specjalnym, a w centrali Ministerstwa Skarbu, gdzie sam był ministrem, tam ten podatek nie obowiązywał, tam tego podatku nie ściągano. I zaległość z tego nieściąganego podatku wynosiła 6 milionów złotych. Dlatego ja uważam, że ci panowie, którzy przyjechali z Polski i do dziś dnia stoją na czele tych autonomicznych

instytucji i którzy w niektórych wypadkach pobierają do dziś dnia uposażenie, muszą być z tych stanowisk usunięci (oklaski)! (...) Po bezprzykładnej klęsce, gdy kierownicy tych instytucji znaleźli się na terytorium Rumunii – to dyrekcja banków wypłaciła swoim urzędnikom 10-miesięczne pobory i to w dewizach! Jeszcze gorzej wygląda rząd z p. Składkowskim na czele, który na mocy przedatowanego dekretu kazał sobie wypłacić z Banku Polskiego sumę kilkunastu milionów złotych; to jest oczywista kradzież i stąd się biorą środki na agitację przeciwko prawowitemu rządowi polskiemu we Francji, to stanowi siłę propagandy przeciwko rządowi. Na zakończenie padło wezwanie do stanowczego rozprawienia się z winnymi bez czekania na powrót do kraju. Wina ich jest tak oczywista i tak wielka, że tę karę muszą ci panowie, jeszcze tu, na emigracji, odczuć w ten sposób, że nie mogą ci panowie zajmować honorowych stanowisk (mówię o przyjęciu do armii i ich zweryfikowaniu). Te weryfikacje muszą być cofnięte, ażeby dać zadośćuczynienie opinii publicznej³³.

Gen. Żeligowski również odniósł się do rozrachunkowych wątków wystąpienia premiera, choć w znacznie bardziej zdystansowany sposób od większości swych poprzedników. Uznał, że wszyscy przedmówcy jednomyślnie zgodzili się co do winy członków poprzedniego rządu za brak przygotowania kraju do wojny i *pozbycie się wszelkiej odpowiedzialności. W tych strasznych (...) [okolicznościach] obowiązek był wszystkich, którzy stali na czele przeszłego rządu wyjść i powiedzieć: ja jestem za to wszystko odpowiedzialny. Jednakże tego nikt nie zrobił i dlatego nie ma tej kary, nie ma tych dróg, których byśmy nie szukali, ażeby uczynić odpowiedzialnymi i ukarać tych, którzy doprowadzili cały naród do tej tragedii obecnej. Generał zalecał jednak ostrożne postępowanie, gdyż w warunkach po przegranej kampanii następuje upadek autorytetów i rozpręga się dyscyplina w wojsku. My wszyscy musimy zrozumieć duszę naszego żołnierza, który stracił wszystko co ma najdroższego, a więc jak najmniej krytyki, a jak największa miłość.*

33. *Ibidem*, k. 14-19.

Niemal natychmiast też generał przeszedł do obszernych wywodów na swój ulubiony temat – historii walk słowiańsko-germańskich i pożądanej jedności Słowian, sięgając w rozważaniach aż do czasów Mieszka I³⁴

Dyskusję nad *exposé* gen. Sikorskiego zakończono dopiero na kolejnym posiedzeniu Rady Narodowej w Angers 14 marca 1940 r. Józef Szymanowski w imieniu wychodźstwa polskiego we Francji zapewnił, że w osobie gen. Sikorskiego Polonia powitała *męża opatrnościowego, około którego pragnie się skupić i według swoich sił i możliwości pomóc mu w wielkim zadaniu oswobodzenia cierpiącej Ojczyzny*. Podkreślił uznanie dla haseł walki o państwo praworządne i demokratyczne i nieufność wobec *polityki polskiej ostatnich lat [oraz] tych, którzy politykę Polski chcieli oprzeć na paktach z Niemcami. (...) Kilkuletnia walka, jaką związki i organizacje wychodźstwa polskiego prowadziły ze stalinowskimi agenturami i sanacyjnymi metodami, świadczy najlepiej o dojrzałości i karności obywatelskiej (...) wychodźstwa polskiego. Ci dawniejsi obrońcy polityki, która drogo Polskę kosztowała, a której destrukcyjną robotę potępił Pan Premier Sikorski, już od lat byli odosobnieni i stali poza nawiasem zorganizowanego wychodźstwa polskiego*³⁵.

Reprezentująca Stronnictwo Narodowe Zofia Zaleska uderzyła w najwyższe, moralizatorskie tony, domagając się *wprowadzenia surowych wymagań, ujmujących w bezwzględne karby wszystkie złe strony natury ludzkiej, domagam się nakazu, by siedem grzechów głównych, zakazanych pod groźbą potępienia w życiu prywatnym, było uznane za grzechy śmiertelne i w życiu publicznym. Pycha, chciwość, nieczystość, zazdrość, lenistwo, pijaństwo i obżarstwo, lenistwo w służbie Bożej – to są podstawy wszelkich przestępstw. Głęboka mądrość Kościoła winna być mistrzynią wszelkich rządów. Po dalszych, szczegółowych rozważaniach na tematy katechizmowe oraz szczegółowym*

34. *Ibidem*, k. 21-22.

35. Protokół posiedzenia RN RP, Angers 14 marca 1940, IPMS, A. 5. 1/6, k. 3-5.

rozważeniu konsekwencji zalewania robaka [sic!], reprezentantka narodowej demokracji przeszła do kwestii odpowiedzialności za klęskę wrześniową. Nie miała wątpliwości, że z życia publicznego trzeba gorącym żelazem wypalić wszystkie grzechy i ująć to życie w surowe i mocne wymagania. (...) Trzeba na równi z odwagą wojskową postawić odwagę cywilną i dla jej wzmocnienia domagać się, aby ci, którzy nie zdali egzaminu wobec straszliwej próby dziejowej, potracili swe rangi. Niech idą na front jako prości szeregowcy i śmiercią na polu bitwy zmażą swoją przeszłość. Odpowiedzialność za piorunującą szybkość klęski musi być ustalona przez sąd wojenny. Rozumiem, że do tego potrzeba dokumentacji, świadków, przewodu sądowego. Ale sprawiedliwość wymaga, aby członkowie byłego rządu Polski, którzy sami przed tymi straszhliwymi cierpieniami, jakie dzisiaj przechodzi naród, uciekli, by chociaż oni byli natychmiast zawieszeni w prawach wojskowych i obywatelskich. Tego, co oni uczynili, nie należy osłaniać względami na zagranicę, bo ona niestety w osobach korpusu dyplomatycznego patrzyła na tę niestawną ucieczkę. Oni to wytworzyli tę krzywdzącą nas niestęchanie opinię zagranicy, jakoby obrona Polski trwała zaledwie dwa tygodnie a nie półtora miesiąca. Już samo utworzenie nowego rządu we Francji było potępieniem tamtego – odebranie więc logicznie tym ludziom rang wojskowych i praw obywatelskich jest tylko logicznym następstwem, tak samo jak odebranie im płac pobieranych i wszelkich funduszów publicznych o ile ich już nie roztrwonili. Ale jednocześnie z tymi wymaganiami sprawiedliwości należy za zbrodnię ogłosić wszelkie próby rozciągnięcia na naród odpowiedzialności za winy i błędy byłego rządu i jego wiernych zwolenników³⁶.

Czym zaowocowała marcowa seria posiedzeń Rady Narodowej? Zagadnienie odpowiedzialności za klęskę wrześniową, szukanie winnych i dążenie do przyspieszonych rozliczeń dro-

36. Protokół posiedzenia RN RP, Angers 14 marca 1940, IPMS, A. 5. 1/6, k. 16-18; skrócona i przeredagowana wersja AAN, kol. Paderewskiego, t. 3083, k. 21.

gą na skróty przykuwało znaczną część uwagi dyskutantów. Już premier, poruszając w swym *exposé* wątek rozrachunkowy, nie stroniąc przy tym od jaskrawych uproszczeń i tendencyjnych ocen, otworzył prawdziwą puszkę Pandory. Idąca z najwyższego szczebla władzy zachęta do koncentrowania uwagi na ocenie przeszłości i jałowych rozliczeniach roznieciła inkwizytorski zapal wielu członków Rady. Nie bacząc na przeszkody prawne, na uwarunkowania międzynarodowe i możliwość zdyskredytowania w oczach sojuszników polskiego wysiłku zbrojnego we wrześniu 1939 roku, obradujący prześcigali się w najdziwniejszych często pomysłach, mających na celu napiętnowanie i osądzenie sanacyjnych decydentów. Odcinając się od skompromitowanych praktyk byłej ekipy rządzącej, w swych projektach zmierzali w istocie do odwrócenia o 180° rozmiągających się z zasadami demokracji oraz praworządności działań. Nie byli nawet skłonni stworzyć szansy zmycia na polu walki faktycznych i urojonych przewin proszących o jakikolwiek przydział liniowy oponentów. I – jak z niektórych przemówień dało się wywnioskować – wcale nie konieczność zadośćuczynienia potrzebie sprawiedliwości, lecz strach przed możliwym zrehabilitowaniem się w oczach opinii publicznej znienawidzonych sanatorów popychał nowe kierownictwo polityczno-wojskowe do odmowy. Mówcy nie zawahali się do posłużenia się groźbami i sięgania po krwawe historyczne przykłady, zalecając je jako właściwy dla istniejących warunków sposób rozwiązania politycznego sporu. Słowa o konieczności przywrócenia do łaski gilotyny są w tym kontekście wystarczająco wymowne. W końcowym rozrachunku, oprócz niemal jednomyślnej litanii zarzutów wobec kierownictwa politycznego i wojskowego II Rzeczypospolitej, posiedzenia Rady Narodowej doprowadziły do uchwalenia 9 marca wniosku obligującego rząd do powołania specjalnej komisji nadzwyczajnej, wyposażonej w uprawnienia śledcze, z zadaniem zbadania kto i w jakim stopniu ponosi odpowiedzialność za klęskę wrześniową.

Rada Narodowa wobec kierunków polityki zagranicznej i personaliów MSZ

Kolejną okazję do ostrych rozrachunków z przeszłością i tropienia przyczajonego, sanacyjnego przeciwnika, stworzyła dyskusja nad polską polityką zagraniczną. Zainicjowało ją *exposé* ministra spraw zagranicznych Augusta Zaleskiego, wygłoszone podczas posiedzenia w Angers 28 marca 1940 r. Dokonał on bilansu aktywów i pasywów polskiej dyplomacji i starał się w spokojnym tonie ocenić międzynarodowe aspekty wojny obronnej Polski w 1939 r. *Ponieśliśmy klęskę – to prawda, ale zastanówmy się nad jej przyczynami. W warunkach, w jakich znaleźliśmy się, klęska ta była (...) nieunikniona. Napadli na nas dwaj wiarołomni sąsiedzi o dalece przewyższającym posiadany przez Polskę potencjale ekonomicznym i wojskowym. W tych warunkach żadne poświęcenie żołnierza i samozaparcie się narodu nie mogło odwrócić klęski. Można dyskutować nad tym, czy mogliśmy się bronić dłużej czy krócej, czy wszystkie nasze możliwości były odpowiednio wykorzystane, tak w przygotowaniu wojny, jak i w jej prowadzeniu, czy wreszcie wszyscy wypełnili swój obowiązek. Naród Polski ma prawo domagać się, by to zostało wyświetlone. Dziwić się temu nie może nikt, a szczególnie ci, którzy są przyzwyczajeni do tego, że kapitan zatopionego okrętu o ile się uratuje, musi przed sądem zdać sprawę ze swego postępowania. Tym bardziej, że tu na obczyźnie, nie może chodzić o sądenie i karanie winnych, lecz jedynie o zebranie materiałów potrzebnych do wyświetlenia prawdy. Minister położył główny nacisk na wykazanie zasadniczej winy obu sąsiadów Polski, których niesprowokowana niczym i stanowiąca pogwałcenie traktatów oraz zasad prawa międzynarodowego napaść spowodowała klęskę Polski, pozostawionej przez sojuszników zachodnich bez żadnej realnej pomocy³⁷.*

Powściągliwość ministra Zaleskiego i niechęć do

37. Protokół posiedzenia RN RP, Angers 28 marca 1940, IPMS, A. 5. 1/8, k. 4-5.

składania potępieńczych wobec swego poprzednika deklaracji nie spotkały się z aplauzem członków Rady. Miał dysku-
tować więc nad aktualnymi priorytetami stojącymi przed
polską dyplomacją, przystąpili do zdecydowanej rozprawy z
polityką zagraniczną ministra Becka i jej wykonawcami.
Adam Ciołkosz usprawiedliwił ministra Zaleskiego za jego
umiar w krytyce koniecznością ostrożnego wypowiadania się
w drażliwych kwestiach, do czego zmusza zajmowane sta-
nowisko. *Ale my nie jesteśmy związani tym obowiązkiem
powściągliwości i umiaru.* Podejmując dyskusję nad *exposé*
ministra spraw zagranicznych odszedł daleko od tematu, do-
konując generalnego rozrachunku z okresem 1926-1939,
często zresztą nie pozbawionego wielu trafnych uwag, to-
nących jednak wśród emocjonalnych i potępieńczych reto-
rycznych deklaracji. Przede wszystkim zaś mało wiążących się
z zasadniczym tematem debaty – polityką zagraniczną. *Za
politykę min. Becka naród polski odpowiedzialności nie
bierze, chociaż płacić musi krwią i łzami jej koszty...
Trzeba powiedzieć, że taka polityka, jaka była uprawiana
zwłaszcza w okresie 1932-1939 nigdy więcej w Polsce
powtórzyć się nie może i nigdy się też nie powtórzy. Jakież
bowiem był rezultat tej polityki? Mielśmy cudowny
materiał żołnierski, ale nie mieliśmy wodza i nie mieliśmy
planu operacyjnego. (...) Nie mieliśmy lotnictwa, nie
mieliśmy służby łączności, w kraju po cudownym porywie
entuzjazmu – pozostało poczucie upokorzenia i klęski,
którą najlepiej personifikuje wódz naczelny. Wódz, który
nie umiał zginąć wśród żołnierzy! Nasze kresy ukraińskie
i białoruskie, zaplecze walczącej armii urządził Kostek-
Biernacki. Były tam pacyfikacje, było nawracanie całych
wsi przez Korpus Ochrony Pogranicza. Szalał bezmyślny
antysemityzm. Mielśmy ustrój wewnętrzny, który najwar-
tościowszy element (...) postawił poza jakimkolwiek wpły-
wem na życie państwa. I wreszcie mieliśmy złą politykę
zagraniczną. Nieprawda, że była ona polityką realizmu,
świętego egoizmu polskiego i zerwania z podziałami
ideologicznymi. To była polityka ideologii, ale ideologii
sprzecznej z polskimi interesami, chociaż transponowanej
na polski grunt. Polityka ideologii totalitarnej, przeniesio-*

nej w stosunki międzynarodowe. Adam Ciołkosz zapędził się w swoich wywodach tak daleko, że metaforycznie porównał zasady rządzące polską polityką zagraniczną do wyznawanych przez Hitlera, Mussoliniego i Stalina! *Polityka jest sztuką przewidywania i polityka Becka źle zdała swój egzamin z tej zdolności.* Ministra Becka atakowano nie cofając się przed metodą imputowania mu myśli, słów i czynów stanowiących raczej projekcję wyobrażeń oskarżycieli, niż rzeczywistość. Zarzucano mu radość z dojścia Hitlera do władzy i oszukiwanie narodu trwałością deklaracji o niestosowaniu przemocy z 26 stycznia 1934 r. Imputowano byłemu ministrowi wspieranie procesu hitleryzacji Gdańska, odpowiedzialność za upadek Czechosłowacji i odślonięcie południowej granicy Polski. Ściągnięto na Polskę sytuację tak straszliwą, jakiej nie znaliśmy od czasów Jana Kazimierza i od końca XVIII stulecia, od czasów rozbiorów. I za te wszystkie kataklizmy przedstawiciel PPS w Radzie Narodowej obciążał winą Józefa Becka³⁸.

Michał Kwiatkowski kontynuował poruszone przez Ciołkosza wątki, wzbogacając je własnymi oskarżeniami. Zarzucił sternikom polskiej dyplomacji całkowitą polityczną ślepotę, nieumiejętność wyciągania wniosków z doświadczeń historycznych i nadmierną ufność w obietnice nazistów. Personalnie obciążał ministra Becka winą za zbyt późne zerwanie z polityką współpracy z III Rzeszą i wiarę w zapewnienia niemieckie o pokojowych intencjach niemal do ostatniej chwili, mimo ostrzeżeń opozycyjnej prasy. Reprezentant Stronnictwa Pracy wskazywał, że istnienie obiektywnych uwarunkowań *nie uwalnia (...) nas jednak od obowiązku ścisłego zbadania błędów, które popełniła w przeszłości polska polityka zagraniczna, zwłaszcza że stała się ona jedną z głównych przyczyn największej katastrofy, jaka spadła na naród polski.* Kolejne fragmenty swego przemówienia Kwiatkowski poświęcił analizie polskiej Białej Księgi, szukając w niej potwierdzenia swoich oskarżeń. Wy-

38. Protokół posiedzenia RN RP, Angers 2 kwietnia 1940, IPMS, A. 5. 1/9, k. 13-21.

łaniający się z jego wywodów obraz reprezentuje karykaturę ministra Becka przykrojoną do wyobrażeń jego przeciwników politycznych – człowieka słabego, próżnego, ulegającego bezwzględnie pustym zapewnieniom Hitlera, ślepego wobec nadciągających zagrożeń i marnującego zasoby państwa na polityczne fajerwerki. *Widział więc niebezpieczeństwo dla Polski premier bułgarski, ale nie widzieli go ani premier Polski, ani naczelny wódz armii polskiej, pan Beck zaś według własnego oświadczenia był zawsze jeszcze pełen optymizmu.* Na zakończenie padły jeszcze poważniejsze insynuacje, wskazujące między wierszami na możliwą agenturalną inspirację niemiecką polskiej polityki zagranicznej: *Taki był wynik polityki ministra Becka, który tą swoją niesłychanie lekkomyślną robotą – sądy polskie muszą kiedyś orzec, czy nie należy tego nazwać inaczej – reklamował jako „mocarstwową politykę”.* W tym zaślepieniu niebywałym jest tyle niewytłumaczalnych i niezrozumiałych elementów, tyle wyraźnych objawów podejmowania haseł polityki niemieckiej, że najsurowsze śledztwo jest nieodzowne, aby wyjaśnić całą prawdę. Przez pięć lat obóz sanacyjny chwalił i pysznił się rezultatami tej polityki (...). Przez 13 i pół roku rządził Polską, zapominając, że do rządzenia powołani są tylko ludzie rozumni. Inteligencja jest to przecież zdolność widzenia rzeczy takimi, jakimi są w rzeczywistości. Oni zaś widzieli rzeczy i stosunki takimi, jakimi im kazały je widzieć ich pycha i miłość własna. Okazywali więc przymioty, które są przeciwieństwem inteligencji. Dostało się i Generalnemu Inspektorowi Sił Zbrojnych – według Michała Kwiatkowskiego niemal marionetce w rękach nazistowskiej agentury! Zrobiwszy Rydza-Śmigłego wbrew konstytucji drugą osobą w państwie, poddano go, jako naczelnego wodza armii, wpływom chytrych agentów niemieckich, którym widocznie zaufał podobnie jak p. Beck i dlatego obrony Polski należycie nie przygotował, linii obronnej nie zbudował i nie postarał się o niezbędną ilość broni pancernej, artylerii przeciwlotniczej i samolotów, które do ostatnich jeszcze czasów sprzedawano za granicą. Przemówienie wręcz przerażało skalą demagogii i

nie popartego jakakolwiek argumentacją pustosłowia³⁹.

Inny aspekt działalności przedwojennej dyplomacji polskiej zaatakował Józef Szymanowski. Potępił on wszelkie działania różnych politycznych i ekonomicznych czynników krajowych, dokonywane ponad głowami uchodźstwa. *Kiedy wspominałem w dyskusji nad przemówieniem szefa rządu o metodach sanacyjnych, to te właśnie praktyki miałem na myśli. Smutny ten okres w dziejach naszej emigracji pragniemy uważać za ostatecznie zamknięty*⁴⁰.

Do potępieńczego chóru wypowiedzi dołączył Stanisław Józwiak. Oceniając politykę zagraniczną II Rzeczypospolitej zarzucał jej architektom brak jakiejkolwiek myśli przewodniej. Polityka polska gubiła się w różnych koncepcjach, które wszystkie upadły w dniu wybuchu wojny. Przyczynę niepowodzeń mówca bez wahania dostrzegł w nieznajomości historii przez kierownictwo Ministerstwa Spraw Zagranicznych, z czego wynikał brak umiejętności prawidłowego wnioskowania o celach i zamiarach Niemiec – zawsze wrogich, według Józwiaka – wobec Polski i Słowian⁴¹.

Następnego dnia – 3 kwietnia – wznowiono dyskusję nad *exposé* ministra Zaleskiego podczas zamkniętego posiedzenia Rady Narodowej. Ks. Jan Brandys ucieszył się faktem utajnienia obrad, gdyż umożliwiało to pełne i całkowicie szczere wypowiedzi, bez obawy o przecieki na zewnątrz. Dyskutant odczuwał wyraźny niedosyt po wysłuchaniu poprzednich wypowiedzi. *Pan Minister się tylko odciął od (...) zgubnej polityki, która była prowadzona w Polsce przeciw narodowi i przeciw ideałom narodowym. (...) Wszyscy inni mówcy, którzy tu piękne odczyty wygłosili, tak samo nic właściwie nowego (...) nie powiedzieli. Tyle tylko, że wykazali tę straszną politykę Becka, która nas do zguby doprowadziła i jeszcze raz wykazali te straszne kłamstwa Hitlera. My na zachodzie wiedzieliśmy o tym z góry, (...) a gdyśmy zwracali na to uwagę, to nam grożono. Nam grożono zawsze Berezą, przed tym jeszcze Brześciem, potem i*

39. *Ibidem*, k. 37-51, 56-57.

40. *Ibidem*, k. 73-74.

41. *Ibidem*, k. 91-93.

więzieniem (...). Ks. Brandys poszedł jeszcze dalej w krytykowaniu ślepoty politycznej przedwojennego ministra spraw zagranicznych. Na podstawie zasłyszanych podczas ucieczki na południe plotek stwierdził autorytatywnie, jakoby minister Beck jeszcze na trzy dni przed agresją niemiecką nie dopuszczał do siebie myśli o wojnie; mało tego – do ostatniej chwili miał zatajać posiadane informacje przed prezydentem Mościckim. *Te wszystkie rzeczy świadczą o tym, że ci panowie w ostatniej chwili się nie nawrócili i w szczerość Hitlera wierzyli.* Aspekty międzynarodowe dały jedynie pretekst do gwałtownej tyrady Brandysa w kwestiach personalnych. Zachęcony tajemnicą obrad mówca zaproponował proste a radykalne rozwiązanie, zmierzające do gruntownego wyłączenia sanacyjności z życia politycznego. Sugerował, *żebyśmy teraz zmienili to, co jest beckowskie w tej polityce zewnętrznej. Ja wiem, że ministerstwo zmieniło drogę tej polityki, ale trzeba też zrobić cesarskie cięcie i zmienić personel, który dotychczas jest ten sam, co dawniej (oklaski), trzeba go absolutnie zmienić i nowym zastąpić. Bo pan minister i jego koledzy mogą sobie ręce wyłamać, a nie pójdzie nic naprzód, jeżeli nie nastąpi ta zmiana. W ambasadach i konsulatach ci sami, co przedtem zasiadywali – paraliżują teraz to, co rząd każe. (...) Gdzie to jest możliwe, to trzeba bez litości tych panów usunąć.* Jako przykład fatalnych stosunków personalnych i sabotowania decyzji nowych władz ks. Brandys podał ambasadę RP w Bukareszcie, szczególnie zaś napiętnował ambasadora Rogera Raczynskiego, który wszystko rozbija, przeszkadza, zamiast poprzeć. *I proszę Panów – ten pan musi być odwołany. A jeżeli nie można go odwołać – to komisarza mu wsadzić. To jest takie nieprzyjemne słowo „komisarz”, ale to jest jedyne wyjście.* Równie fatalne stosunki personalne panować miały – według dyskutanta – w placówkach polskich na terenie Włoch. Mało tego, ks. Brandys znalazł prostą receptę na zachęcenie Polaków za Oceanem do zasilania szeregów Polskich Sił Zbrojnych. *Jak długo tam [czyli w Kanadzie] są nasze konsulaty, tak długo nic z tego nie będzie. Jak długo nie będzie tam zmiany, tak długo nie będzie tam naszych żołnierzy. Dlatego ja bym zwrócił na to uwagę, żeby*

momentalnie, bo tam nie ma żadnych przeszkód – powołać wszystkich konsulów, niech służą w wojsku, a tamtejszych Polaków mianować konsułami. Nawet przyczyn nikłego entuzjazmu władz francuskich dla kwestii rozbudowy polskich jednostek wojskowych ks. Brandys dopatrywał się w pozostawieniu dawnych sanatorów na placówkach! Mnie się zdaje, że Francja może być trochę na nas obrażona, bo te stosunki w Paryżu nie są ładne i niektórzy Polacy przeciwdziałają rządowi. Możliwe, że to są ci panowie, którzy wyprawiają wielkie biesiady i mówią, że pewnie z nami zrobią koniec. Może by Pan Minister był łaskaw mieć na to baczące oko⁴².

16 kwietnia 1940 r. dyskusję kontynuowano podczas ponownie tajnych obrad. Generalny atak na politykę personalną MSZ przypuścił Michał Kwiatkowski. Cytował oczywiście bez podawania źródła – wypowiedzi uzyskane od urzędnika francuskiego resortu spraw zagranicznych, dotyczące negatywnego stosunku wobec ambasadora RP w Paryżu Juliusza Łukasiewicza. *Ambasador nasz, siedząc tu jako reprezentant Polski (...) publikował broszurki, które budziły zaufanie do Hitlera, a nieufność do Francji. (...) To są rzeczy nie do uwierzenia. Niech pisze jakieś dzieła naukowe (...), ale niechże nie publikuje broszurek politycznych na chwałę p. Becka tu, we Francji i to w czasie tak krytycznym. Jego mężowie zaufania, ludzie którzy z nim współdziałali, są jeszcze w obecnych urzędach. Jest konsulem generalnym człowiek, który kazał pisać takie same artykuły w gazetach. Dalej nastąpiło rozszerzenie skali personalnej napaści na całość kadr resortu. Myśmy mieli dużo w MSZ osób pochodzących z dawnych kresów wschodnich, którzy mieli uprzedzenie do Rosji. Oni tutaj, na tym terenie, popisywali się swoim zaufaniem do Niemiec, bo uważali że antyrosyjska polityka Hitlera idzie po linii ich własnych zainteresowań. To wszystko działało tu na tym terenie ogromnie dla nas ujemnie, ponieważ te osoby, zajęte (...) sprawami dotyczącymi ich własnych, osobistych*

42. Protokół posiedzenia RN RP, Angers 3 kwietnia 1940, IPMS, A. 5. 1/9A, k. 7-13.

interesów, nie miały zrozumienia dla zagadnień ważniejszych. Padły bardzo stanowcze oskarżenia wobec niektórych środowisk uchodźstwa za krytyczny stosunek wobec sojuszników Polski oraz podmywanie pozycji rządu gen. Sikorskiego. Michał Kwiatkowski zarzucał nawet propagandę defetystyczną. W „Nowym Świecie” – artykuł wstępny. (...) To są wiadomości szmuglowane: oni tam krytykują nasz rząd, Sikorskiego, piszą, że my jesteśmy tylko prowizoryczni itd. To wszystko w tym sensie oświetlają. Wywiad z Beckiem w tym piśmie i zachowanie jego dawnych współpracowników i zwolenników w obecnym MSZ robi bardzo złe wrażenie. (...) Kilka tygodni temu usłyszałem od Francuzów pytanie: dlaczego obecny rząd zatrzymuje zwolenników dawnego reżymu? Repertuar oskarżeń wysuwanych wobec dawnych elit politycznych został jednak poważnie rozszerzony przez mówcę. Sugerował on w plotkarskiej tonacji – powołując się na francuskiego dziennikarza – kontakty prominentów sanacyjnych z nazistami. Co Panu Ministrowi wiadomo o tym, (...) że Niemcy starali się przez p. Miedzińskiego, żeby nakłonić Becka do przyjęcia rządu w generał-gubernatorstwie, tłumacząc, że jego kariera jest pogrzebana i to jest dla niego jedyna szansa. P. Miedziński podobno nawet pojechał na te rozmowy⁴³.

Tematyka polityki zagranicznej i odpowiedzialność ministra Becka za wszelkie niedociągnięcia pochłaniała uwagę Rady także i w toku późniejszych sesji. Podczas dyskusji nad zagadnieniem stosunków polsko-litewskich na posiedzeniu Rady Narodowej 16 grudnia 1940 r. Kwiatkowski przypuścił brutalny atak na Józefa Becka. *Było wielkim błędem polityki p. min. Becka, że doświadczeń przeszłości w sprawie litewskiej nie uwzględniał. Ba, nawet w filoniemieckiej polityce p. Becka nie było żadnej logiki. (...) Bowiem, jeżeli p. Beck szedł na ugodę z Niemcami, to musiał się z pewnymi skutkami liczyć. (...) Korzyści, jakie ze stanowiska biernego Polski w sprawie Austrii i Czechosłowacji wyniknęły dla Niemiec były tak olbrzymiej wagi, że Niemcy nie byłyby bez*

43. Protokół posiedzenia RN RP, Angers 16 kwietnia 1940, IPMS, A. 5. 1/11, k. 5-7.

zgody polityki polskiej dokonały swoich zaborów. Gdyby p. Beck za zabór Austrii przez Niemcy był zażądał oddania Litwy Polsce, albo przyznania jej tam sfery wyłącznych wpływów, (...) to w tej polityce p. Becka (...) byłaby pewna logika [sic!]. Ale żeby darmo pozwolić Hitlerowi zabierać wszystko (...) i nie żądać w zamian żadnego ekwiwalentu, poza tym ochłapem jakim był Śląsk Cieszyński (...) – to Panowie przyznają, że takie stanowisko było niemądre (...)⁴⁴. Były minister odpowiadał więc już nie tylko za filoniemiecką polityką zagraniczną, ale za Anshluß Austrii i rozbięcie oraz wchłonięcie Czechosłowacji przez III Rzeszę. Mało tego – do błędów i przewin mówca zaliczył również nieskorzystanie z okazji i niewchłonięcie Litwy!

Wznowienie dyskusji nad przeszłością i zagadnienie personalistów wojskowych

Antysanacyjne tyrady członków Rady Narodowej w okresie francuskim dziejów władz polskich na uchodźstwie wyczerpały się właściwie wokół dwóch zasadniczych wątków – odpowiedzialności sanatorów za spowodowanie klęski wrześniowej i – wiążącej się z tym nierozzerwalnie – kwestii osądzenia „winnych”, czemu miało służyć utworzenie szeregu organów rejestracyjnych, badawczych i sądowych oraz bilansu polityki zagranicznej II Rzeczypospolitej, nasyconego przede wszystkim dywagacjami nad odpowiedzialnością personalną za dyplomatyczne sprowokowanie tragicznego położenia Polski we wrześniu 1939 r. Na rozwijanie dalszych tematów rozrachunkowych najprawdopodobniej zabrakło czasu. 10 maja 1940 r. nastąpiła niemiecka ofensywa na froncie zachodnim i już po kilku tygodniach walk – 22 czerwca – Francja podpisała akt kapitulacji. Wydawać się mogło, że tak szybki upadek najpoważniejszego alianta Polski, z którym gen. Sikorski wiązał ogromną wiarę i niespełnione nadzieje, powinien wstrząsnąć kierownictwem politycznym i dopro-

44. Protokół posiedzenia RN RP, Londyn 16 grudnia 1940, IPMS, A. 5. 1/27, k. 8-9.

wadzić do częściowego chociaż przewartościowania jednostronnych sądów na kwestię przyczyn przegranej kampanii wrześniowej. Tak się jednak nie stało – jeszcze na dobre nie zakończyła się ewakuacja resztek armii polskiej, utraconej na francuskiej ziemi, gdy polski premier znalazł czas na rozważania o tym, co zrobić z politycznie niepożądanymi oficerami. Na forum Rady Narodowej, obradującej w Londynie, wróciły zaś wszystkie upiory francuskiego okresu. Pojawiały się zarówno incydentalnie, jak i podczas większych dyskusji. Dyżurnymi tematami stały się zagadnienia wojskowe, szczególnie personalia. Wskazywano – zarówno ogólnikowo, jak i podając konkretne nazwiska – oficerów związanych przed wojną z sanacją, których należało – zdaniem dyskutantów – bezwzględnie usunąć z wojska polskiego. Oskarżano ich o sabotowanie polityki władz i knowania sanacyjne, o niewłaściwą politykę personalną, polegającą na wspieraniu ludzi związanych z przedwojennymi elitami i obsadzaniu nimi kluczowych stanowisk w aparacie państwowym. Oskarżano równocześnie powołaną w chwili upadku Francji Komisję prof. Winiarskiego o nikłe rezultaty prac i żądano procesów sądowych. Podobnie niepokojono się nazbyt skromnymi – w stosunku do oczekiwań członków Rady – wynikami działań Wojskowego Trybunału Orzekającego.

Pierwszą okazję do zdecydowanych pośpiewek dało posiedzenie Rady Narodowej 18 lipca 1940 r. Władysław Banańczyk (Stronnictwo Ludowe) zaatakował gwałtownie odpowiedzialnych za kryzys lipcowy wokół próby odwołania premiera Sikorskiego z funkcji szefa rządu. *Przesilenie (...) było przygotowywane na długo przedtem, a zamiar tego przesilenia został skonkretyzowany w ostatnich dniach ewakuacji z Francji. W tym czasie wyraźnie mówiono, że tylko garstka zwolenników b. reżimu dostanie się do Anglii, gdzie powoła się nowy rząd ze swoich adherentów. (...) Stąd też ten pęd do ucieczki i wynikłe skutki niespełnienia powierzonych sobie zadań i obowiązków. Na tym tle opierają się nieczne napaści „różnych ambasadorów”, rozsiewanie plotek i dezorganizacja w obozach żołnierskich. W związku z tym potępiam wszelką akcję destrukcyjną, prowadzoną przez czynniki sanacyjne w wojsku i wśród ludności*

cywilnej na terenie Anglii. Żądam wyciągnięcia najsurowszych konsekwencji wobec tych szkodników sprawy polskiej [sic!] (...), ażeby w obecnie organizowanym aparacie rządowym z aparatu tego wyeliminować wszystko to, co z tym systemem było związane, a obecnie nielojalnie odnosiło się lub nie daje gwarancji lojalnego odnoszenia się do działalności rządu. Dotyczyć to winno również placówek zagranicznych. (...) Należy z wojska wyeliminować jak najwcześniej ten element oficerski, który tam sieje destrukcję, oraz tych, którzy są niepotrzebni⁴⁵. Wystąpienie Władysława Banaczyka stanowiło zaledwie przedsmak nadchodzących dyskusji.

Sierpień nie przyniósł stępienia ostrza antysanacyjnych tyrad. Przeciwnie – Rada Narodowa z niezwykłą wręcz konsekwencją wracała do wątku rzekomo rozkładowej roboty prowadzonej w szeregach wojska przez sanatorów z szeregów armii. Wszelkie trudności i niepowodzenia w ewakuacji armii polskiej z Francji, zawinione w dużej mierze przez gen. Sikorskiego i podległe mu agendy, starano się wytłumaczyć działaniem wrogich sił, wywodzących się spośród członków byłego reżymu. Kwestia ta stała się przedmiotem obrad komisji wojskowej Rady. Podczas posiedzenia komisji 16 sierpnia 1940 r. *exposé* dotyczące stanu sił zbrojnych wygłosił premier. Wywołało to natychmiast ożywioną dyskusję. Stanisław Józwiak zgłosił wniosek, w którym znalazło się sformułowanie o konieczności *najsurowszego ukarania nieodpowiedzialnych czynników, usiłujących szerzyć oszczerstwa i kalumnie, mające obniżyć wysoki autorytet i szacunek narodu dla armii i jej głównodowodzącego*. Przestrzegł również przed szkodliwą działalnością niektórych oficerów, namawiających resztę kadry, aby wsparła akcję zmierzającą do zmiany na stanowisku naczelnego wodza. Niespodziewanie do dyskusji włączył się Tytus Filipowicz, pragnąc zgłosić własny wniosek, zmierzający do rozdzielenia funkcji premiera od ministra spraw wojskowych. Wywiązała się przy okazji znamienna dla ówczesnego sposobu myślenia części kół

45. Protokół posiedzenia RN RP, Londyn 18 lipca 1940, IPMS, A. 5. 1/19, k. 24.

rzządzających dyskusja: P. Premier: Ostrzegali mnie moi przyjaciele przed Pańską szkodliwą działalnością, nie wierzyłem. Dziś Pan swoim wnioskiem odkrył swoje zamiary i cele. P. Filipowicz: Mam prawo stawiania wniosków i zapytań. P. Premier: Oczywiście. Dzisiaj Panu nie dam odpowiedzi. P. Filipowicz: Pan prezes Lieberman zechce – jako senior demokracji polskiej – zająć w tej sprawie stanowisko. P. Lieberman: Dawno Pańską demokrację i Pana do gruntu przejrzałem. P. Żeligowski: Czy Panowie zgadzają się, abym p. Filipowiczowi udzielił głosu. Zarządzam głosowanie. P. Jaworski: Wniosek p. Filipowicza nie stoi w związku z exposé p. Premiera. P. Nowakowski: Jestem za tym, aby p. Filipowicz dzisiaj nie mówił o swoim wniosku, lecz postawił go przy innej okazji, kiedy będzie o tym mowa. P. Żeligowski: Kto jest za tym, aby wniosek p. Filipowicza obecnie nie był dyskutowany. Wobec tego, że większość jest przeciwna, wniosek upadł. P. Premier: Za jakieś 2 tygodnie dam p. Filipowiczowi możliwość wypowiedzenia się na ten temat⁴⁶.

Po krótkiej przerwie w obradach zabrał głos gen. Modelski, przedstawiając długi i szczegółowy raport dotyczący sytuacji politycznej w siłach zbrojnych. Zawarł w nim jeden przerażający obraz spisków sanacyjnych, zorganizowanej pracy dywersyjnej członków przedwojennych elit, prowadzonej z pełną premedytacją w celu szkodenia sprawie polskiej. Sprawozdanie gen. Modelskiego porażało nie tylko swoją treścią, ale i formą – szczególnie zaś słownictwem, nasyconym pełnymi nienawiści i ostrości sformułowaniami. Wyłaniająca się ze słów wiceministra spraw wojskowych wizja zbliżała się klimatem do atmosfery stalinowskich procesów pokazowych w latach wielkiego terroru lat trzydziestych w Związku Sowieckim, zwracając uwagę mentorsko-inkwizytorską tonacją. Punktem wyjścia stało się oczywiście napiętnowanie winnych klęski wrześniowej. Zdawało się, (...) że ostatnia nasza tragedia (...) raczej wstrząśnie i ujednolici wysiłek całej emigracji, aniżeli stanie się odskocznią dla akcji

46. Protokół posiedzenia Komisji Wojskowej RN RP, Londyn 16 sierpnia 1940, IPMS, A. 5. 8/2.

politycznej i dywersyjnej tych, którzy wyrzuceni klęską wrześniową poza nawias odpowiedzialności za dalsze losy narodu i armii, podjęli w najtragiczniejszym momencie naszej historii (...) zbrodniczą akcję rozbicia (...) całego realnie uratowanego dorobku (...). Zdawało się, że ci, którzy są sprawcami naszej tragedii wrześniowej, a w skutkach tego i całej dzisiejszej gehenny żołnierza polskiego na emigracji zrozumieją, że naród ich odpowiedzialność i los dawno przesądził – zdawało się, że w pokutniczych szatach czekać będą powrotu do kraju, ażeby usłyszeć nieodwołalny wyrok. Zdawało się, że nie do nowego przewodnictwa i rządów powtórnych nad narodem będą dążyć, lecz przeciwnie, bijąc się w piersi starać się będą o każdą uczciwą pracę i służbę, byle choć w części zrehabilitować siebie i naprawić tą drogą osławione, a przez naród tak znienawidzone trzynastoletnie rządy sanacyjne w kraju. Wręcz przeciwnie – ci sami, pchani tą samą żądzą władzy, tą samą pychą, zaślepieniem, (...) związani kliką i zbrodnią [sic!] podjęli zaraz od pierwszych dni tragicznej emigracji polskiej dalszą zakonspirowaną robotę, którą ogarnąć się starali wszystkie placówki tak na emigracji jak i w kraju. Do roboty przystąpili z całą perfidią, stosując doświadczone już w kraju metody rozbijania naszej pracy na emigracji ułatwionego. Obawiając się wyjść z otwartą przyłbicą, przesłoniли się rzekomą lojalnością wobec nowego rządu, (...) ażeby w odpowiednim momencie, wykorzystawszy jego wielkoduszność, zniweczyć jego dorobek historyczny i uzbroić się w togi „nowych zbawców”. (...) Ta robota, (...) prowadzona zarówno w kraju jak i na całej emigracji, nie wyłączając terenu polonii amerykańskiej – była nam znana. (...) Memoriały panów Łukasiewiczów, ani też listy panów Dąbów-Biernackich, (...) mając takich autorów, same siebie i swoją robotą oddają pod sąd potępienia. (...) Nie mogą i nie powtórzą się fakty wciągania wojska w czynne życie polityczne, nie może się powtórzyć wciąganie wysokich czynników państwowych (...) w takie rozgrywki jak ostatnio. (...) Wytwarzanie dywersyjnej atmosfery, przeszkadzającej pracy wielkiej i akcja, która by była siłą rzeczy pomocą piątej kolumnie [sic!] i stać się

końcem Polski – nie może pozostać bezkarna. Wytępiamy też z korzeniami tajną organizację sanacyjnej klik i jej wszystkie szlaki, zatruwające i tak tragiczne życie narodu polskiego, który – tak jest! – w generale Władysławie Sikorskim i w nas widzi jedynie świecącą jasno gwiazdę swojej przyszłości.

Kontynuując przemówienie gen. Modelski prześledził kulisy i rozwój działań spiskowych ze strony sanacji. *Jeszcze we Francji (...) zgłaszali się do mnie liczni oficerowie z niepokojem patrzący na akcję dywersyjną i defetystyczną swoich starszych kolegów. Szukali oni dróg do oczyszczenia atmosfery z elementów sanacyjnych zarówno oficerów służby stałej jak i rezerwy, wywodzących się z dawnych dygnitarzy cywilnych. Oskarżali tych panów o prowadzenie roboty destrukcyjnej, o używanie do niej także kobiet polskich, oczywiście sanacyjnego autoramentu [sic!], o próby niszczenia moralnego stanu żołnierza. (...) Tak więc sami oficerowie widzieli konieczność oczyszczenia atmosfery moralnej i przeprowadzenia filtru dla tegoż korpusu. (...) Z datą 8 lipca został rozesłany (...) list-memoriał (...) J. Łukasiewicza do prezydenta RP w Londynie. Autor, przybrawszy się w togę fałszywego patosu, rzuca inwektywy na osobę premiera i naczelnego wodza. (...) Intencja (...) jest jasna: **na czas wykonany posiew zdąży wydać zatrute owoce, zanim żeniec i gospodarz zdąży ściąć lub wypleć kąkol zła** [sic!!!]. Nad enuncjacją p. Łukasiewicza, jako indywidualnym aktem ohydnej zdrady [sic!] (...) można by przejść do porządku dziennego bez dyskusji po zwykłym podaniu do wiadomości zastosowania radykalnych zarządzeń dla zlikwidowania przestępstwa – gdyby wystąpienie jego nie było prostym wynikiem szerzej zakrojonej akcji, wyrosłej na tle konspiracyjnej garści, zresztą ludzi autoramentu sanacyjnego. Memoriał p. Łukasiewicza w całej swej bezecnej ohydzie jest pierwszym oficjalnie uzewnętrznionym wykwarem tej „pracy”, charakteryzującym metody i ludzi raz jeszcze, ale tym razem nieodwołalnie po raz ostatni. (...) Doświadczenie w wewnętrznych rozgrywkach politycznych, pozorna lojalność i układność wobec nowego „regime'u”, solidarność i bezkompromiso-*

wość w szukaniu dróg i stosowaniu środków, rozległe stosunki zagranicą i zagrabione w Polsce środki materialne – (...) pozwoliły na natychmiastowe „odrodzenie” wpływów największego wroga Zmartwychwstałej po wojnie światowej Polski: **sanacji** [wytluszczenie w oryginale]. Od kiedy pierwsi sztandarowi ludzie sanacji, po wykorzystaniu stosunków osobistych i złożeniu solennych zapewnień lojalności, siedli na fotelach urzędowych – rozpoczęła się natychmiast krecia robota. (...) W dysproporcji do pozostałych ugrupowań politycznych sanacja dysponuje dwoma najbardziej zasadniczymi w rozgrywkach czynnikami: **pieniężmi i ludźmi** [wytluszczenie w oryginale]. Pieniądze pochodzą 1. albo wprost z grabieży mienia państwowego w Polsce, albo 2. z rewindykacyjnych na rzecz należności państwowych lub półpaństwowych instytucji sum, podejmowanych obecnie na terenach zagranicznych, 3. z obecnej kasy rządowej, eksploatowanej w miarę możliwości przez tych przedstawicieli sanacji, którzy już mogą i w obecnych warunkach dysponować funduszami bez skrupułów. Ludzie – to niestety największa bolączka. (...) I tacy ludzie mają odwagę dawać nauki i wskazania o potrzebach podstaw moralnych! (...) Chcą dawać nauki moralne ci, którzy za grzechy śmiertelne pychy, sobkostwa, gwałtu i zbrodni na żywym ciele narodu przez 13 lat popełniane, w pokutniczej włosiennicy winni przystępować do tej ręki czystej, która dotąd ich tylko karmiła i przestrzegała.

Dalej padła cała seria inwektyw pod adresem przeciwników politycznych rządu gen. Sikorskiego, okraszonych dalszymi wywodami na temat ich przewin i zbrodni z okresu przedwojennego. Usunięta od wpływów bezpośrednich klika sanacyjna nie pogodziła się nigdy z myślą o konieczności zaniechania starań o powrót do władzy. (...) Kompromitacja i nieuctwo, zdrada interesów narodowych, kradzieże, gwałty, oszczerstwa i zbrodnie polityczne i kryminalne są tym budulcem, z którego ma powstać gmach nowej władzy opancerzonej „elity”. (...) Robota została rozpoczęta według wszelkich zasad wypróbowanej taktyki n.p. kryminalnej. Według wiceministra kampania wrześniowa obnażyła pokrywane dotąd całunem politycznego krętactwa i odgro-

dzzone drutami kolczastymi obozów koncentracyjnych od czystej duszy narodu prawdziwe kształty i wartość sanacyjnych rządów. (...) Zobaczył ich naród w całej ohydzie bezdennej [sic!] w dniach 1-17 września 1939 r. Panowie prezydent, ministrowie, marszałkowie, generałowie, wojewodowie i starostowie wyrzucili na bruk i polskie bezdroża swój „honor”, a samochodami wywieźli za granicę złoto, dolary, futra, meble, żony pierwsze, drugie lub trzecie, kochanki, psy i kanarki [sic!]. W tej poetyckiej stylistyce gen. Modelski dokonał następnie rozpoznania przed podjęciem akcji. Przeanalizował więc silne i słabe gniazda oporu. Posługując się licznymi przerysowaniami i całkowicie nieparlamentarnym językiem dokonał swoistej „analizy” listu ambasadora Juliusza Łukasiewicza i gen. Stefana Dąb-Biernackiego. Zakończył pełnymi patosu zapewnieniami o tym, że naród polski obdarza zaufaniem i miłością z niespotykaną dotąd jedynomyślnością osobę generała Sikorskiego. Jednak zażąda z całą pewnością sądu na tych, którzy po wszystkich doświadczeniach i klęskach, po latach krwi i mękach ducha trzydziestu milionów Polaków, znając metody i ludzi spod znaku „legendy” tolerowali ich w nowych władzach i armii na obczyźnie. A sąd ten będzie sądem historii ku chwale lub zgubie polskiego plemienia. Pod wrażeniem słów wiceministra, poseł Adamczyk zgłosił natychmiast wniosek zmierzający do usunięcia z szeregów wojska wszystkich jednostek, usiłujących rozbić jedność narodową i podważyć autorytet rządu, jako sprawy niecierpiącej zwłoki. Ponadto Michał Kwiatkowski dołączył własny wniosek, żądając przedłożenia Radzie do wglądu ustępów wydanej kilka miesięcy przed wojną broszury ambasadora Łukasiewicza, w których autor bronił polityki ministra Becka, atakował Francję a wyrażał swą ufność do polityki Adolfa Hitlera i paktów z Niemcami i na nich radził się opierać⁴⁷.

Posiedzenie komisji 21 sierpnia 1940 r. doprowadziło nawet do uchwalenia formalnego wniosku, w którym Rada Narodowa przyjmuje z zadowoleniem zapowiedź rządu

47. *Ibidem*.

pociągnięcia do odpowiedzialności tych dowódców, którzy w czasie ewakuacji z Francji nie wypełnili należycie otrzymanych rozkazów i nie zaopiekowali się dostatecznie swymi oddziałami, jak też i zapowiedź ukarania oficerów winnych wprowadzenia fermentu do armii i siania w niej niepokojów, skierowanych przeciw obowiązującej w wojsku dyscyplinie. Rada Narodowa wyraża przekonanie, że skoro już stanęliśmy wobec nieodzownej konieczności pewnego zredukowania liczby oficerów, jednostki te, niepomne zdrowia moralnego armii i zachowania jej spójności, winny być uwzględnione w pierwszym rzędzie, jako nadające się do wyeliminowania z wojska, jeżeli tylko śledztwo, uważnie przeprowadzone, wykazało ich winę⁴⁸.

30 sierpnia 1940 r. ponownie zaktywizował się dr Jan Jaworski, nawiązując do wniosków uchwalonych przez komisję wojskową. Szczególnie zaś zainteresował go motyw znalezienia winowajców „siania fermentu” w siłach zbrojnych. Padły tutaj różne zarzuty. Nie były one dla nas niespodzianką, gdyż podobną robotę prowadzono już w Rumunii i na Węgrzech. Tłumaczono tam młodym ludziom, że nie powinni jechać do Francji, (...) potem utrudniano im wyjazd. Doszło nawet do tego, że mi drzwi pokazano, kiedy interweniowałem w sprawie 30 młodych lotników ze szkoły w Dęblinie. We Francji nieśmiało podnoszono głowę, za to tutaj walkę rozpoczęto na nowo. W tej chwili jest rzeczą władz wojskowych atmosferę w wojsku oczyścić. Tam gdzie coś ropieje, trzeba ciąć. Zwracam się do władz, aby przedsięwzięto te cięcia. I dalej nastąpiła już bezpośrednia napaść personalna na konkretnych oficerów. Niepokoi mnie fakt, że podobno mjr Galinat ma dostać przydział w wojsku. (...) Mjr Galinat prowadził obozy wychowawcze w Gdyni. (...) W obozach tych dobierano ludzi dla sadystycznych wyczynów. Jeśli się ktoś nie chciał zgodzić na wyznaczone mu zadanie, stosowano kary według wzoru hitlerowskiego. (...) Dzisiaj – gdyby p. Galinat miał dostać przydział w wojsku i być wychowawcą żołnierzy, to nie

48. Protokół posiedzenia Komisji Wojskowej RN RP, Londyn 21 sierpnia 1940, IPMS, A. 5. 8/3.

tylko jest to niepożądane, ale powinien on ponieść odpowiedzialność za to, co w Polsce zrobił. Wobec tego zwracam się do władz wojskowych, aby p. Galinat nie tylko nie był wychowawcą żołnierzy, ale nie powinien nawet nosić munduru. (...) Drugie – płk Ryszanek. Kiedy się dowiedziałem, że on nosi zaszczytny mundur żołnierza polskiego i porównałem jego działalność w Brześciu, który uważam za największą zbrodnię, to nie mogę się oprzeć poczuciu, że nie tylko mnie boli, ale bolałoby również chłopca i robotnika w Polsce, gdyby się dowiedzieli, że płk Ryszanek jest dowódcą jakiegoś oddziału. (...) Tego rodzaju ludzie munduru polskiego w ogóle nosić nie powinni i żadnego wpływu na wychowanie żołnierzy mieć nie mogą. Jediną drogą do zmycia plam i zrehabilitowania się tych ludzi jest legia oficerska⁴⁹.

Tematy personalne wracały odtąd jak bumerang na posiedzenia Rady Narodowej, wracały przy łada okazji i całkiem bez okazji. Każdy praktycznie temat – wzorem Katońa Starszego i Kartaginy – mógł posłużyć jako pretekst do napastliwych uwag pod adresem oficerów podejrzewanych o sanacyjne pochodzenie lub udział w sanacyjnej „konspiracji”. Również zagadnienia budżetowe okazały się dogodną sposobnością do oskarżeń przedwojennych władz o zaniedbania i błędy. Podczas posiedzenia 5 listopada 1940 r. referując budżet Prezydium Rady Ministrów, Adam Ciołkosz zaznaczył, że Komisja prof. Winiarskiego *żadnych konkretnych osiągnięć (...) wykazać jeszcze nie może*⁵⁰. Prawdziwą tyradę wygłosił jednak dopiero Jan Jaworski. Korzystając z powierzonych mu funkcji referenta komisji budżetowej, postanowił przeprowadzić cały wykład na temat *wojskowych budżetów w Polsce pomajowej*. Oskarżył kierownictwo polityczne i wojskowe o marnotrawienie ogromnych środków *na podróże, diety, dodatki*, posuwając się nawet do konstatacji, jakoby w przypadku bardziej gospodarnego wydatkowania tych sum *inaczej by wyglądała nasza mobilizacja i inny niewątpliwie*

49. Protokół posiedzenia RN RP, Londyn 30 sierpnia 1940, IPMS, A. 5. 1/21A, k. 16-17.

50. Protokół posiedzenia RN RP, Londyn 5 listopada 1940, IPMS, A. 5. 1/25, k. 10.

byłby przebieg walk, a może jeszcze dzisiaj siedzielibyśmy gdzieś na skrawku polskiej ziemi [sic!]. (...) Niestety na szeroką skalę było, że na czele armii oraz na dowództwie wielu korpusów i samodzielnych formacji wojskowych stanęli w olbrzymiej ilości ludzie przypadkowi, zawdzięczający swoją karierę najczęściej przynależności partyjnej. (...) Najgorsze było wprowadzenie polityki do armii. (...) Brak słów potępienia dla nie notowanego w dziejach historii [sic!] Polski zjawiska, aby wódz i wielu dowódców opuścili żołnierza, naród, kraj. (...) Budżet ten [t.j. Polski przedwrześniowej] był jedynie budżetem konsumpcyjnym. Sumy wydatkowane na lotnictwo, broń pancerną, były tak małe, że nic dziwnego, iż po trzynastu latach samowolnego i bezkontrolnego rządzenia, trzydziestopięciomilionowy naród posiadał niewielką ilość starego typu samolotów, bardzo mało artylerii przeciwlotniczej i przeciwpancernej oraz niewielką ilość broni zmotoryzowanej⁵¹. I wszystkie te słowa padły jako wstęp do dyskusji nad budżetem wojska, wstęp który znacznie przerósł objętościowo meritum rozważań!

7 listopada 1940 r. nadal dyskutowano kwestie budżetowe i ponownie przedstawiciel Stronnictwa Ludowego – tym razem Władysław Banaczyk – odbiegł znacznie od tematu i powrócił do rozrachunku z okresem rządów sanacji oraz słownej rozprawy z wichrzycielami w siłach zbrojnych. Ci, którzy w Polsce kryli się za apolitycznością armii, używali jej równocześnie dla swych celów partyjnych. Ludzie ci nie tylko się niczego nie nauczyli, lecz w dalszym ciągu rozwijają swą dawną reżimowo-partyjną politykę, wprowadzając do armii rozkład i zaognienia. (...) Są to ci sami ludzie, którzy we Francji porzuciwszy oddziały żołnierzy czynili wszystko by najwcześniej wraz ze swoimi rodzinami znaleźć się na statkach płynących do Anglii. To nie są żołnierze, to nie są oficerowie, jakkolwiek w mundury ubrani, to są politycy najgorszego gatunku, to są politykujący pułkownikowie [sic!] z Polski, członkowie BBWR-ów i Ozonów, wyznawcy bata wygodnego życia łamania kości i

51. *Ibidem*, k. 14-16.

rządzenia bez kontroli Polską, jak własnym podwórkiem. Ludzie ci nie myślą wcale o walce dla Polski, największą ich troską jest zapewnienie sobie i swym najbliższym najlepszego bytu, zagarnięcie władzy w swe ręce i przygotowanie się do powrotu do kraju, by rządzić tam tymi samymi metodami bezprawia, którymi Polskę do upadku doprowadzili. (...) Żądamy i żądać będziemy ostrej kary na tych wszystkich, którzy tę robotę rozkładową, partyjno-sanacyjną prowadzą w wojsku, przede wszystkim wyrzucenia ich z armii, by jej duszy różnymi spiskami, sabotażami i akcją rozkładową nadal zatruwać nie mogli⁵².

Tematyka wojskowa zaabsorbowała również Arkadiusza Bożka na posiedzeniu Rady 8 listopada. Powołując się na liczne napływające do niego listy od żołnierzy wskazywał on na skargi dotyczące złego traktowania ich przez oficerów. Jako źródło niedobrych stosunków personalnych mówca wskazał grzechy, które pozostały z tego, co było w kraju. *To jest klika i mafia, która uważała, że stoi poza krajem i która uważała, że ma wszelkie prawa nieliczenia się z niczym, bo gdy miała mundury, to wszyscy inni obywatele, to byli dla nich ludzie czwartej klasy, a oni byli elitą. (...) I muszę panom powiedzieć, że właśnie w armii panuje ten duch dawny, nie chcę powiedzieć sanatorski, bo znam i porządných oficerów, ale ci którzy nie wykazali spełnienia swoich obowiązków i pierwsi wiali i nie przygotowali kraju naszego do obrony i ta cała mafia [sic!] nie może mieć innego miejsca, tylko na latarni [sic!!!] a innych ludzi postawi się na ich stanowiska. Ci w naszej armii siedzą jak ślimaki w maśle i trzeba o tym mówić do Naczelnego Wodza, by nie zważał na podszepty⁵³.*

Wtórował mu w sprawach cywilnych Alojzy Adamczyk z PPS. Zajął się on głównie obsadą przedsiębiorstw z udziałem skarbu państwa, w których nadal zasiadali teoretycznie bezpartyjni, a *de facto* sanacyjni dygnitarze. Przedstawiciel socjalistów nie cofnął się nawet przed personalnym donosem.

52. Protokół posiedzenia RN RP, Londyn 7 listopada 1940, IPMS, A. 5. 1/25/3, k. 5-6.

53. Protokół posiedzenia RN RP, Londyn 8 listopada 1940, IPMS, A. 5. 1/25/4, k. 11-12.

W Ministerstwie Skarbu na budżecie figuruje niejaki p. Rożko. To jest pan, który był dyrektorem kamieniołomu na Wołyniu i to jest ten sam pan, który p. wojewodzie Grażyńskiemu postawił pomnik właśnie w tych kamieniołomach. (...) I ten pan jest właśnie w okresie zwalczania tej sanacji, wszedł jakoś w ten aparat rządowy i działa od wewnątrz. (...) Panowie wybaczyć, że ja tego zrozumieć nie mogę. Nie rozumiem z punktu widzenia politycznego i oszczędnościowego⁵⁴.

Wobec tak formułowanych zarzutów i atmosfery osobistych pomówień, jako jedyny głos umiaru i rozsądku zabrzmiało przemówienie Tytusa Filipowicza. Sięgnął on do genezy kryzysu lipcowego i ustosunkował się do przemówień swoich kolegów z Rady, którzy w spiskowej tonacji naświetlali panującą wówczas sytuację. *Panowie wszyscy pamiętają pewien referat wygłoszony w lipcu o przyczynach kryzysu. (...) Gdzieś poza granicami Francji, prawdopodobnie w Rumunii, zaczął się organizować spisek, który objął część wojska i miał się uzewnętrznić w Szkocji. Jeżeli chodzi o sfery cywilne, to już się uzewnętrznił w liście ambasadora Łukasiewicza. (...) Była to akcja rzekomo sanacyjna, sięgająca coraz dalej. (...) Nominacja p. Zaleskiego była częścią intrygi, związanej z tym spiskiem. (...) Uważam, że tego rodzaju pogląd był bardzo nieszczęśliwy i niezgodny z rzeczywistością. (...) Oficerów, niszczących świadomie wojsko (...) – rzuca się do jednego kotła z gen. Dąb-Biernackim, z ambasadorem Łukasiewiczem, z ministrem Zaleskim, z czynnikiem, który podpisał jego nominację, miesza się to wszystko razem, by wywołać u słuchacza dreszcze – o jaką to antypolską robotę, o jaką polityczną zbrodnię otarli się wszyscy, którzy pragnęli zmiany na stanowisku premiera. (...) To rodzaj sabatu czarownic: zdradliwe jędze warzą kocioł pełen okropności, wszystkich dokoła odurzył czad wyziewów, padalce zaczynają dyrygować a w takt ich syków tańczą dobrzy ludzie. Jediną postacią trzeźwą w tym towarzystwie jest sam autor referatu, który wskazuje winnych a sam okrywa się togą*

54. *Ibidem*, k. 8-9.

*obrońcy Polski przed cza dem spisku i orientacji niemiec-
kiej. (...) Czy tego rodzaju metoda przedstawiania wypad-
ków odpowiada prawdzie? (...) To była metoda chwytów
polemicznych, dobra może na masówkach, podczas
wyborów w Ciemnogrodzie. (...) Błędy rządu polskiego,
popelnione w tamtym czasie, były powodem, że nastroszeni
byli na votum nieufności względem gen. Sikorskiego
zarówno sanatorzy, jak i ci, którzy przedtem byli gorącymi
zwolennikami rządu generała Sikorskiego. (...) Nie należy
mieszać różnych czynników – traktować na jednej płasz-
czyźnie tych, których się oskarża o zdradę stanu i tych,
którzy krytykują metody naszego rządu. Nie oznaczało to
wycofania się przez Filipowicza z krytyki ekipy rządzącej
Polską przed wojną, lecz jedynie dążenie do rozróżnienia
dawnych prominentów od ludzi związanych z ekipą sana-
cyjną, ale zachowujących pełną lojalność wobec gen. Sikor-
skiego. Zaliczać wszystkich ludzi, którzy brali udział w
krytyce pewnych posunięć rządowych, do sanacji – to jest
iść trochę za daleko. Zaliczać dziś p. Zaleskiego do sanacji
wojującej – to jest albo nie orientowanie się, albo po
prostu zła wola. (...) Wiecie panowie najlepiej, ile latem
1940 r. rząd gen. Sikorskiego popełnił błędów. (...) W tych
warunkach pierwszym obowiązkiem przyjaciela rządu jest
te błędy widzieć, o tych błędach mówić i błędy te usuwać.
To nie robota przeciwrządowa – to robota obywatelska i
sprawie polskiej potrzebna tak, jak potrzebne jest dobre
wojsko i zdrowa ocena sytuacji. Za jedno z poważnych
źródeł niedobrej sytuacji w życiu politycznym i w wojsku
mówca uznał połączenie w rękach jednego człowieka funkcji
szefa rządu i naczelnego wodza. Stąd apel Filipowicza, aby
gen. Sikorski skupił się nad pracą w siłach zbrojnych lub
całkowicie poświęcił się obowiązkowi premiera. Trzeba, aby
władza polityczna została już dziś oddzielona od władzy
wojskowej⁵⁵.*

Prawdziwe larum podniosła dopiero reprezentantka – jak
sama podkreśliła – *Narodowej Organizacji Kobiet, nie*

55. *Ibidem*, k. 1-3; także fragment Protokołu z XXV Posiedzenia Rady
Narodowej z dnia 8 listopada 1940 r. w Londynie, Instytut Józefa Piłsud-
skiego w Londynie (IJPL), kol. 108 (T. Filipowicz)/9, s. 3-8.

Stronnictwa Narodowego, Zofia Zaleska, przypuszczając 11 listopada skoncentrowany, połączony atak na sanację, socjalizm, ateizm, demoralizację, pornografię i Żydów. Wykorzystując debatę nad budżetem Ministerstwa Informacji i Dokumentacji zaniepokoiła się możliwością wydania pism Józefa Piłsudskiego, które oburzały całe moje poczucie narodowe, całą miłość do narodu, który w tych „Pismach” jest poniżany i postępowany, któremu tam odmawia się zalet charakteru i obraża. Z tych też względów mówczyni nie potrafiła się zdobyć na przeczytanie dzieł Marszałka, co nie przeszkodziło jej w potępieniu ich treści. Dokonała też surowej oceny ludzi z obozu rządzącego, którzy nie znali narodu, nie wierzyli weń, zużywali czas na szpiegowanie opozycji, zamiast na śledzenie tego, co szykują Niemcy. Zużywali czas na potępieńcze swary we własnym obozie i na poniżanie narodu, zabijanie w nim odwagi cywilnej i inicjatywy twórczej pracy. (...) Nie rozumiem dlaczego we Francji można było gen. Rayskiemu odmówić prawa wstąpienia na prostego żołnierza do nie tylko polskiej armii, ale nawet Legii Cudzoziemskiej. Francuzom wolno było odmówić mu prawa obrony swego honoru Polaka, a tu nagle za kryminał uważa się, że ktoś go nazwał największym szkodnikiem. Zofia Zaleska uznała negatywną rolę władz przedwrześniowych, oskarżając je o talent dezorganizacyjny, który skuwał w kajdany energię społeczeństwa i prowadził do wychowywania tchórzów. Zaatakowała następnie rozwoły, pornograficzną literaturę i numerowane żony, jako konsekwencję niereligijnego wychowania, prowadzącego do demoralizacji. Nawet kobiety – zdaniem członkini Rady – uległy niemoralnej prasie (patrz rubryka stręczycielska w IKC) i literaturze, głoszącej swobodę obyczajów. Dopiero Akcja Katolicka zaczęła przeorywać dusze. Dalej padły najcięższego kalibru zarzuty natury moralnej pod adresem obozu sanacyjnego. A kto wychowywał ateistów? Socjalizm. I socjalizm wychowywał piłsudczyków, którzy zmieniali te ponumerowane żony jak umalowane lalki. (...) Nie rozumiem więc, za co prześladowuje się ks. Bełcha, kiedy pozwalało się p. Mackiewiczowi zamieścić art. „Granice Europy” Matuszewskiego, zrzucającego winę z rządzących

na rządzonych, kiedy nie zwraca się uwagi na artykuł p. Kuncewiczowej, obrażający „Ślubowników Jasnogórskich”, ani nie wyciąga konsekwencji w stosunku do p. Słonimskiego, który opluł polskich ministrów. Działaczka narodowa nie odmówiła sobie oczywiście wycieczek antysemickich. Dlaczegoż to „Wiadomości Literackie”, zwane tu „polskimi” p. Grycendlera et Co. mają takie prawa, jakich się odmawia „Jestem Polakiem”. Czy dlatego, że one w Polsce (...) sęczyły jad rozkładu moralnego? (...) Dlaczego pozwala się drukować „Pisma Piłsudskiego”, a nie pozwala się na druk tego, co młodzież myśli o wartościach ducha narodu i drogach ich wydo-bycia⁵⁶.

Burzliwe dyskusje nad wnioskami komisji wojskowej

Na powrót do zagadnień personalnych, zawsze bardzo chętnie podejmowanych na forum Rady Narodowej, nie trzeba było długo czekać. Sposobność do tego stworzyła sprawa gen. dyw. Stefana Dąb-Biernackiego, najpierw osadzonego na terenie Francji w obozie Cerizay, następnie po ewakuowaniu do Wielkiej Brytanii w Rothesay, wreszcie osądzonego i skazanego wyrokiem Sądu Polowego Nr 3 na dwa i pół roku więzienia. Podczas obrad komisji wojskowej 8 stycznia 1941 r. gen. Modelski zapoznał jej członków z wydanym przez Naczelnego Wodza Rozkazem oficerskim Nr 20, prezentującym oficjalną wersję przyczyn skazania byłego dowódcy Armii „Prusy”. Rozkaz – według gen. Modelskiego – miał wywrzeć ostrzegawczy efekt, zasiał strach, zmuszając wszystkich przeciwników władz do zahamowania działalności opozycyjnej. Zdaniem generała odniósł jednak wyłącznie krótkotrwały efekt. Aktualnie miała zaś plenić się wszechogarniająca spiskowa praca sanacyjna, sięgająca wszystkich kontynentów a nawet okupowanego kraju. Wróg czaił się wszędzie, czyhając na potknięcia władz wojskowych i politycznych, fałszywie

56. Protokół posiedzenia RN RP, Londyn 11 listopada 1940, IPMS, A. 5. 1/25/6, k. 30-32.

przedstawiając ich intencje, sabotując ich wysiłki oraz zmierzając do wybielenia systemu pomajowego i jego przywrócenia w wyzwolonej Polsce. *Niestety chwilowy strach ustąpił wkrótce miejsca i powzięta została robota tego samego gatunku. Zamiast lojalnie współdziałać nad zorganizowaniem pracy, ci spośród kliki, których minister spraw wojskowych i Naczelnny Wódz zatrzymał na takich czy innych stanowiskach, dając im możliwość rehabilitacji, czy też odrodzenia, że idą z nową Polską po jej inne jutro – nie umieją, czy też nie chcą dostosować się do nowych form życia i jego konieczności, ale poprzez wszystkie komórki starają się wpływać tak wewnątrz, jak i na zewnątrz – ażeby osłabiać pozycję obecnego Rządu, a w szczególności Naczelnego Wodza. (...) Wysuwając swoje tezy propagandowe, oczywiście usprawiedliwiają ich błędy i zbrodnie [sic!] natury politycznej czy też wojskowej i składają odpowiedzialność za ten stan rzeczy, w jakim się Polska znalazła, na Francję i Wielką Brytanię, np. artykuły przenoszone do kalendarza PCK, broszura Lipińskiego, ostatni artykuł Smogorzewskiego w biuletynie Związku Światowego Polaków Zagranicą (...). Do tej kategorii zaliczam kolportaż listu otwartego p. posła Mackiewicza w obozach. (...) Wiemy o pracach tych panów, o ich tajnych zebraniach i rozjazdach. Wiemy o robocie dywersyjnej, poddającej krytyce zarządzenia i rozkazy władz naczelných, nawet próbach ich sabotowania, wiemy jak przy każdej okazji starają się niemal każdemu zarządzeniu podrzucić fałszywą interpretację, byle tylko armię utrzymać w stanie podenerwowania czy też niezadowolenia. Fakt, że grają w próżni i że wszelkie poczynania dywersyjne, plotki i intrygi, której są mistrzami, w olbrzymiej większości nie znajdują nie tylko oddźwięku, a wręcz przeciwnie – tak jak w kraju – wywołują nastawienie wrogie i coraz dalsze odseparowanie się od nich zdrowych elementów w armii – nie doprowadza tej zorganizowanej kliki do opamiętania. A znamy jej wszystkie chody i drogi [sic!]. Minister spraw wojskowych i Naczelnny Wódz (...) w momencie (...) dla dywersantów najmniej przez nich spodziewanym podejmie ostateczne kroki w celu zlikwidowania*

*zła, które już dobrem być nie potrafi. Widocznie nie wystarcza przykład Dęba-Biernackiego*⁵⁷.

Komisja Wojskowa, zainspirowana spiskowymi wizjami gen. Modelskiego, nie zasypywała gruszek w popiele, lecz energicznie przystąpiła do debat nad niebezpieczeństwem konspiracji sanacyjnej w wojsku. Wkrótce też na plenum Rady Narodowej wpłynął blok wniosków komisji w sprawach wojskowych, wśród których szczególnie dwa budziły zainteresowanie stanowczością sformułowań i zaleceń dla władz. *III. Rada Narodowa zwraca się do Rządu, by odpowiednimi zarządzeniami zapobiegł w wojsku wszelkiej robocie politycznej zwolenników dawnego reżimu, prowadzonej przez planowe budzenie niezadowolenia do obecnego Rządu i obmywania z win i błędów kierowników obozu sanacyjnego. IV. Rada Narodowa wyraża przeświadczenie, że korpus oficerski musi być oczyszczony z osobników, mających na swym mundurze ciemne plamy z kampanii wrześniowej w Polsce, z zachowania się w Rumunii czy na Węgrzech i we Francji, a nawet w Anglii. Żołnierze idący do boju o Polskę nie mogą być prowadzeni przez oficerów, którzy zawiedli ich zaufanie.* Pracę nad wnioskami komisja wojskowa podjęła na posiedzeniu 10 stycznia 1941 r. Pomysłodawcą wniosku trzeciego był Michał Kwiatkowski. Podczas debaty nad treścią wniosku poseł Filipowicz sugerował rozszerzenie wniosku o zakaz prowadzenia agitacji politycznej przez różne stronnictwa, a nie wyłącznie członków ekipy sanacyjnej. Propozycję odrzucono, wskazując że inicjatorowi pierwotnej wersji chodziło wyłącznie o zapobieżenie *obronie dawnego reżimu*. Wniosek przegłosowano w brzmieniu zgłoszonym przez posła Kwiatkowskiego. Czwarty wniosek wyszedł spod pióra Zofii Zaleskiej z uzupełnieniami proponowanymi przez Tytusa Filipowicza. Jan Jaworski z miejsca oświadczył, że *wniosek jest bardzo słuszny i nie potrzebuje najmniejszego uzasadnienia*, ponieważ w siłach zbrojnych *panuje ogromne rozgoryczenie z powodu dopuszczenia do służby czynnej szeregu oficerów, którzy zarówno w*

57. Protokół posiedzenia Komisji Wojskowej RN RP, Londyn 8 stycznia 1941, IPMS, A. 5. 8/10.

Polsce, jak i w Rumunii, na Węgrzech i we Francji hańbili nasz honor, nasze tradycje, oraz przyczynili się do szybkiej przegranej. (...) Nie wyciągnięto konsekwencji w stosunku do całego szeregu oficerów, którzy nie powinni nosić munduru. Dalej poseł Jaworski posunął się do szerzenia skandalicznych zarzutów. Oskarżył oficerów przebywających w obozach internowanych na Węgrzech o gwałty na nieletnich, urządzenie dancinów i pijackich burd, sprowadzanie na wielką skalę prostytutek i prowadzenie karczem. Wniosek został ostatecznie przegłosowany, lecz przy okazji dyskusji wytnięta sprawa zarzutów przeciwko gen. Władysławowi Langnerowi. Posłanka Zaleska i poseł Jaworski oskarżyli przewodniczącego WTO o sanacyjność i obarczyli go winą za sabotowanie prac Trybunału. Pan Generał Langner odnosi się do rzeczy w ten sposób, że to pójdzie swoim torem, że to się musi samo rozejść. Do kolejnego wniosku nr V, teoretycznie dotyczącego konieczności rozbudowy lotnictwa w ramach Polskich Sił Zbrojnych jako jednego z decydujących czynników we współczesnej wojnie, również zdołano włączyć fragment potępiający przedwojenne kierownictwo wojskowe! Armia polska, mimo że ożywia ją bohaterski duch, została szybko pokonana z powodu braku lotnictwa (...). Za ten brak lotnictwa zarówno fachowe czynniki wojskowe, jak i opinia polska czynią odpowiedzialnymi w pierwszym rzędzie marsz. Śmigłego-Rydza oraz szefa lotnictwa⁵⁸.

Dyskusję nad wnioskami rozpoczęto na posiedzeniu plenarnym 14 marca 1941 r. Rola referenta przypadła dr Janowi Jaworskiemu. Prezentując trzeci wniosek, nazwał go *ponurym szkicem, obrazującym niezdrową robotę, w najwyższym stopniu destruktywną, prowadzoną w wojsku przez zgrane osoby systemu pomajowego*. Referent zasygnalizował różnicowaną jakość kadr wojskowych, które przedostały się do Anglii, wskazując na szereg oficerów wyższych stopni *będących w Polsce na odpowiedzialnych stanowiskach, z*

58. Protokół posiedzenia Komisji Wojskowej RN RP, Londyn 10 stycznia 1941, IPMS, A. 5. 8/11; Wnioski w sprawach wojskowych, załącznik do: Protokół posiedzenia RN RP, Londyn 7 lutego 1941, IPMS, A. 5. 1/29, k. 20.

których się nie wywiązali. (...) Cały szereg tych właśnie wyższych oficerów nie może i nie powinien uzyskać stanowisk w hierarchii wojskowej, do jakich ustawicznie mają pretensje. (...) Panowie ci marzą o powrocie do stosunków sprzed września, chcą z powrotem wrócić do rządów i rozkazywać, dlatego paraliżują wysiłek Naczelnego Wodza. Poza tym panowie ci, zawistni o to, że p. gen. Sikorski w najtrudniejszych warunkach, bo na obczyźnie, zdołał stworzyć siłę zbrojną i zdołał pozyskać jak najlepszą opinię i zaufanie tak na terenie Francji, jak i Anglii oraz wzbudzić powszechny szacunek zarówno u żołnierzy dążących z różnych krajów pod jego komendę, jak i społeczeństwa w kraju i poza krajem – starają się paraliżować jego wysiłek organizacyjny i gdzie mogą sięgają zamęt niezadowolonia. Dla swoich niskich, osobistych celów wykorzystują najmniejsze niedomagania, których nie da się nigdzie ustrzec przy najlepszej i najsprawniejszej organizacji, tworzonej w czasie pokoju. (...) Każdą najmniejszą sprawę wyolbrzymiają i w ten sposób podsycają więcej przedenerwowanych, szukając w tej mętnej wodzie usprawiedliwienia dla siebie i sądzą, że przez to uda im się przygotować grunt i utorować drogę do władzy. Jan Jaworski zwrócił uwagę na negatywne znaczenie upadku Francji dla poziomu morale żołnierzy i korpusu oficerskiego, jako że z kontynentalną sojuszniczką wiązano tak ogromne nadzieje. Nagromadziło się wiele materiału palnego, który zostaje podchwytywany przez jednostki niezadowolone z obecnego stanu rzeczy i dążące do tego, aby niedostateczna i zła organizacja armii była usprawiedliwieniem dezorganizacji polskiej armii w czasie walk wrześniowych. (...) W celu całkowitego oczyszczenia tej atmosfery i przywrócenia w armii atmosfery zaufania i poszanowania [sic!] jednostki prowadzące wichrzyćielską robotę powinny być jak najszybciej ze zdrowego grona naszej armii wyeliminowane [sic!]. (...) Nie znajdzie się nic, co by usprawiedliwiało tak szybką naszą przegraną i nie znajdzie się nikt w Polsce, kto chciałby usprawiedliwić sprawców organizacji naszej armii przedwrześniowej. Zarówno żołnierz jak i społeczeństwo cywilne ma o tym swój wyrobiony sąd. Ten sąd

ugruntowany zostanie w przyszłości, gdy społeczeństwu udostępnione zostaną rzeczowe dokumenty, stwierdzające winę wielu z tych panów, którzy Polską rządzą, a którzy nadal tutaj robotę rozkładową prowadzą. Referując czwarty wniosek sprawozdawca wskazał na niezbędność wydalenia z sił zbrojnych oficerów, które na szczytnym mundurze oficerskim noszą plamy. Plamy te powstały zarówno w Polsce jak i w Rumunii, na Węgrzech, a powstają również i na terenie Anglii. (...) Osobnicy ci, dokonywując przewinień w obcym nam środowisku, hańbili nie tylko mundur, ale tym samym dobre imię Polski i narodu polskiego. (...) Wierzę, że ci panowie oficerowie, którym postawione zarzuty zostaną udowodnione, opuszczą szeregi armii i zdejmą mundur żołnierski⁵⁹.

Prezentacja wniosków doprowadziła do wystąpienia gen. bryg. Tadeusza Klimeckiego, który ustosunkował się do postawionych wniosków. Szef Sztabu Naczelnego Wodza zapewniał o dążeniu gen. Sikorskiego do wyeliminowania wszelkiej politycznej agitacji z Polskich Sił Zbrojnych i jego stanowczości w tej kwestii. *Jeżeli chodzi o agitację dawnego reżimu – ta rzecz jest szczególnie silnie tępiona. Czy ona istnieje? Bezsprzecznie tak. Mniej na terenie Anglii, bardzo silnie na terenie krajów, szczególnie bałkańskich. Stwierdzono niezbicie istnienie organizacji, całkowicie dobrze zorganizowanej i sprawnie działającej na terenie bałkańskim, która prawdopodobnie jest kierowana przez b. wiceministra komunikacji i majora niegdyś służby czynnej, p. Piaseckiego. Otóż ta organizacja pod nazwą „Wolność” stara się wniknąć również w szeregi wojskowe. Najłatwiejszą drogę ma do naszych formacji na Środkowym Wschodzie. (...) Jeżeli chodzi o teren Anglii i wpływy polityki dawnej na terenie wojska – przypuszczalnie one istnieją. Istniały na pewno w dobie p. generała Dęba-Biernackiego, które zostały przytłumione wyrokiem sądu, skazującego tego generała na degradację i więzienie. Od tego czasu ludzie ci skupiają się częściowo na wyspie [Bute],*

59. Protokół posiedzenia RN RP, Londyn 14 marca 1941, IPMS, A. 5. 1/32, k. 3-5.

nie znaczy to, że ta organizacja skryta nie istnieje. W każdym razie ci wszyscy ludzie są obserwowani, jeżeli stwierdzony zostanie jakikolwiek przejaw polityki czynnej w tym kierunku, na pewno Naczelny Wódz wkroczy z całą energią dla jego złamania.

Następnie gen. Klimecki ustosunkował się do wniosku czwartego. *Kwestia użycia oficerów, którzy posiadają jakieś kondemnaty na sobie z okresu wojny, względnie okresu ewakuacji: (...) zagadnienie muszą podzielić na dwa okresy. Pierwsze to jest okres paryski, który miał za zadanie oczyszczenie korpusu oficerskiego z tych ludzi, którzy w kampanii 1939 r. niegodnie się zachowali, względnie ponosili jakąkolwiek winę, popełnioną w okresie przed wojną na stanowiskach, na których byli odpowiedzialni za przygotowanie zagadnienia obrony państwa. Ta praca skupiała się w specjalnie stworzonym biurze, które miało jeszcze cele natury historycznej: zabezpieczenia pewnych aktów, t.j. w Biurze Rejestracyjnym⁶⁰. W Anglii został stworzony specjalny Trybunał Orzekający⁶¹, który ma za zadanie zbieranie wszystkich doniesień i zażaleń, (...) rozpatrywanie tych spraw, po osądzeniu przekazywanie ich albo do sądów polowych, jeżeli to są sprawy natury kryminalnej, albo do sądów honorowych, jeżeli kolidują z honorem oficerskim. Ten Trybunał dotychczas rozpatrzył sto siedemdziesiąt kilka spraw. (...) Jeżeli chodzi o sprawy dawne – to w biurze I Generała do Zleceń Naczelnego Wodza znajduje się w dalszym ciągu zmniejszone w swoim składzie Biuro Rejestracji, które – likwidując się z czasem – ma wykończyć sprawy, które wpłynęły we Francji, względnie które by wpłynęły w tej chwili w związku z kampanią wrześniową⁶².*

60. Warto zwrócić uwagę na nieskrywanie przez gen. Klimeckiego zasadniczego motywu powołania do życia Biura Rejestracyjnego, czyli czystki personalnej w korpusie oficerskim, choć oficjalnie starano się wyeksponować raczej cele historyczno-dokumentacyjne.

61. Wojskowy Trybunał Orzekający powstał jeszcze we Francji, na mocy dekretu prezydenta RP z 30 listopada 1939 r., zaś jego pierwszy skład powołano 24 stycznia 1940 r.

62. Protokół posiedzenia RN RP, Londyn 14 marca 1941, IPMS, A. 5. 1/32, k. 9-11.

Wystąpienie gen. Klimeckiego doprowadziło do wywiązania się ożywionej dyskusji. Członkowie Rady Narodowej stawiali mnóstwo pytań, indagowali szefa Sztabu szereg zagadnień organizacyjnych oraz personalnych. Interesowano się zakresem działalności (W. Banaczyk), obsadą personalną i procedurami działania (W. Folkierski) Wojskowego Trybunału Orzekającego. Gen. Klimecki nie był w stanie przedstawić pełnej obsady personalnej, natomiast stwierdził, że aktualnie WTO skupił się na rozpatrywaniu spraw z okresu francuskiego i ewakuacji, pozostawiając badanie odpowiedzialności za kampanię wrześniową na później. Stanisław Józwiak zaniepokoił się powodami wysłania przez władze polskie gen. Ludomiła Rayskiego na Bliski Wschód w stopniu majora. *Generał Rayski nie został przyjęty do Wojska Polskiego we Francji ani w Anglii. We Francji otrzymał zezwolenie wstąpienia ochotniczego do Armii Francuskiej. Wstąpił w randze porucznika czy kapitana (...), następnie przyjechał do Anglii. Kiedy się zgłosił z powrotem, oświadczyłem mu, że ponieważ został zwolniony i skorzystał z tego zwolnienia – nie ma prawa wstąpienia do Wojska Polskiego. Co w tej chwili robi – nie mam pojęcia; w każdym razie nie jest żołnierzem polskim i jeżeli jest gdzieś używany, to może przez Anglików. To nie jest wykluczone. W Armii Polskiej generał Rayski nie figuruje. (...) Nie jest powołany do czynnej służby. Może jest używany do przeprowadzania pilotów w służbie angielskiej, jest zupełnie prywatnym pilotem, który się wynajął Anglikom i wozi samoloty. U nas w ogóle nie ma go w ewidencji.* Losy postaci gen. Rayskiego nie wyczerpały śledczych zapędów posłów. Następne pytania, poprzedzone zwyczajową mową oskarżycielską, dotyczyły byłego ministra sprawiedliwości i rozsypały prawdziwy worek donosów. Prym wiódł znany już z aktywności na polu tropienia wszelkich przejawów działalności sanacyjnej Jan Jaworski. *Jest byłym ministrem Grabowski, Pan Generał wie, jak wielkie obciążenie jest na Panu Grabowskim za demoralizację społeczeństwa i bezprawie, które aprobował. Druga rzecz: użycie w wojsku p. pułkownika Skindera z II Oddziału. Cały szereg raportów doszedł do rąk Pana Generała. Poza tym użycie p. płk. Malhomme.*

Następnie dochodzą mnie wiadomości, że został ukarany por. Kempieński za obrazę Rydza-Śmigłego... P. Kwiatkowski: Czy jego można obrazić? [sic!] P. Jaworski: P. por. Łubieński, który był prawą ręką byłego ministra Becka, został przydzielony również do jakiegoś oddziału. Słyszałem, że bardzo umiejętną robotę prowadzi na rzecz byłego systemu. I dalej – W sprawie prac Oddziału II było zapytanie co do pewnych ludzi podejrzanych. Do tej pory ci osobnicy nie zostali ukarani. Odpowiadając gen. Klimecki poinformował Radę o prośbie Witolda Grabowskiego dotyczącej zgody na wstąpienie do Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich w roli szeregowca. To zezwolenie otrzymał. Ostatnio mamy wiadomość, że gen. Kopański ukarał go 28-dniowym aresztem. P. Szwarbart: Dostałem list, w którym mi donoszą, że p. Grabowski upił się, po pijanemu robił burdy, wreszcie żołnierze musieli go wyprowadzić. (...) Co do spraw personalnych, poruszanych przez pana posła Jaworskiego: Skinder, Niezbrzycki, Mayer – trudno mi dać odpowiedź, dlaczego oni są w służbie. Skinder jest w tej chwili w Brygadzie Palestyńskiej, na jakiej funkcji – nie wiem. (...) Chcę zwrócić uwagę na jedno: Oddział II Sztabu nie pracuje wyłącznie oficerami pełnej wartości, bardzo często do służby (...) trzeba brać t.zw. „łapsów”, t.zn. że na pewne czynności niekoniecznie dobry jest człowiek, który jest porządnym oficerem. Często trzeba sięgać w tym wypadku do ludzi najgorszych i wszystkie oddziały świata właśnie w ten sposób pracują. Dla człowieka, pokroju nawet bandyckiego, wydobyć pewnych rzeczy, jest dostępne. Proszę to traktować pod tym kątem widzenia. P. Szwarbart: Czy można zatem wierzyć informacjom takich osób? Gen. Klimecki: Tacy ludzie są sprawdzani 2 i 3-krotnie, takiego człowieka się bada długi czas i prowadzi się do tej wiadomości często 2 i 3 korytami. Co do płk. Mayera i Niezbrzyckiego, poza zupełnie ogólnymi zastrzeżeniami, że nie powinni być użyci w służbie – nie wpłynęło dotychczas nic konkretnego. (...) Kwestia porucznika Łubieńskiego – już raz odpowiadałem na interpelację na żądanie p. gen. Modelskiego. Władysław Banaczyk interesował się aktualnym stanem prac Biura Rejestracyjnego i skalą jego działalności, zaś Tytus Filipowicz jego

składem personalnym. Gen. Klimecki odesłał jednak pytających do gen. Modelskiego, jako lepiej zorientowanego w pracy podległych mu komórek.

Obrady wznowiono po południu i wówczas brutalną napaść personalną przypuścił ponownie poseł Banaczyk. Oskarżył gen. Stanisława Burhardta-Bukackiego, gen. Rudolfa Dreszera, płk. Andrzeja Liebicha, płk. Stanisława Sosabowskiego i płk. Oktawiana Jastrzębskiego o udział w sanacyjnych spiskach. Zarzucił im, że zawiedli podczas kampanii francuskiej 1940 r., zaś brak surowych sankcji prowadzi do osłabienia morale wojska. Zagrożenie rozkładową robotą mówca dostrzegał także w Anglii. Oburzał się na mianowanie gen. Juliusza Kleeberga, którego obciążał zarzutami o zaniedbania podczas ewakuacji z Francji, dowódcą WP we Francji, zaś płk. Józefa Jaklicza jego zastępcą. Ponownie padły wściekłe oskarżenia pod adresem płk. Andrzeja Liebicha (protest przeciwko mianowaniu go zastępcą szefa Oddziału II), płk. Stefana Mayera (protest wobec mianowania go komendantem szkoły wywiadu), kpt. Jerzego Niezbrzyckiego (protest wobec mianowania go wykładowcą tejże szkoły). Do tego doszły plotkarskie i gwałtowne napaści personalne na płk. Tadeusza Skindera (protest przeciwko mianowaniu go szefem propagandy Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich na Libię i zarzut niskiej efektywności pracy w okresie międzywojennym oraz braku morale), gen. Felicjana Składkowskiego (protest przeciwko nominacji na szefa sanitarnego obozu w Palestynie), Witolda Grabowskiego (zarzut deprawowania sądownictwa), gen. Józefa Kordian-Zamorskiego (oskarżenie o maltretowanie młodzieży i chłopów przed wojną)⁶³.

Odpowiedzi na potok donosów i zarzutów udzielił gen. Klimecki podczas kolejnego posiedzenia Rady Narodowej 19 marca 1941 r. Aby rozwiać choć część wrogich nastrojów wokół kwestii personalno-organizacyjnych szef Sztabu nakreślił pokrótce organizację naczelnych władz wojskowych. Znaczną uwagę poświęcił Oddziałowi II, który wzbudził pełne pasji oskarżenia mówców. Mijając się z prawdą zapewnił, że w gestii Oddziału II nie leży prowadzenie żadnych

63. *Ibidem*, k. 14-19, 23-25.

prac o charakterze kontrwywiadu politycznego na terenie Wielkiej Brytanii, jednak pozostawił sobie możliwość wybrnięcia z ewentualnej trudnej sytuacji stwierdzeniem, że Oddział II zainteresowany jest kwestią *obrony wojska przed faktami zgubnymi dla ścisłości i zwierzłości naszych oddziałów*. Prosił jednocześnie o zawiadomienie w razie gdyby członkowie Rady Narodowej dysponowali informacjami w tym zakresie. Dalej gen. Klimecki ustosunkował się do licznych zastrzeżeń wysuniętych wobec korpusu oficerskiego Polskich Sił Zbrojnych. Swoją oceną przedstawił w formie dłuższego wywodu. Zgodził się z wieloma zarzutami wobec szeregu osób, unikał jednak generalizowania, starał się przedstawić obiektywne uwarunkowania sygnalizowanych zjawisk, wreszcie sprzeciwiał się stosowaniu drogi na skróty w dążeniu do rozliczeń za okres pomajowy. *Jeżeli chodzi o wrażenia Panów co do naszego korpusu oficerskiego, a szczególnie góry korpusu oficerskiego z doby przed wojną wrześnieową i samej tej wojny – muszę Panom w wielu wypadkach przyznać całkowitą rację. (...) Nie ma wątpliwości, że sfery polityczne kraju z doby po 1926 r. i że sfery wojskowe, szczególnie wyższe wojskowe (...), to był jeden pień. (...) Sfery te były tak zmieszane, że był kontredans nawet między kierownictwem politycznym a wojskowym przez wymianę ludzi dla swoich potrzeb politycznych z szeregów armii. (...) Istniała (...) polityka personalna, która tego rodzaju stan umożliwia i zapewniała jego ciągłość przez to, że z całkowitą premedytacją odciągano pewnych ludzi, specjalnie wygodnych politycznie coraz wyżej i nimi pewne stanowiska obsadzano. (...) Rozpowszechnienie tej zasady wprowadziło na stanowiska kierujące panów Dębów-Biernackich, Rydzów itd., którzy zawiedli całkowicie w czasie wojny. (...) Charakterystyczną rzeczą w strukturze personalnej armii było to, że góra śmierdziała [sic!] (...), środek znacznie mniej i doły były zdrowe. (...) Istniał protekcjonalizm (...) daleki i przekraczający nawet miary (...) wyższych kadr wojskowych. (...) Obok tych ludzi, których tak ostro skrytykowałem, istniała moc ludzi na tych samych szczeblach – najwyższej klasy. (...) Rzuć tutaj nazwisko gen. Kutrzeby, (...) dziesiątki ludzi na wyższych stanowiskach,*

którzy całkowicie odpowiadali i w czasie pokojowym na swoich stanowiskach i zdali swój egzamin w czasie wojny. (...) Proszę Panów, nie wolno powiedzieć tak sobie, ogólnie, bez konkretnych faktów: armia tylko jest winna klęski wrześniowej. Oficerowie wiali, im starsi, tym szybciej. (...) Ta wojna wywołała zjawisko, (...) że procentowo ginęło więcej oficerów w górach, aniżeli w dolach. (...) Mam tu cały szereg nazwisk oficerów sztabowych, którzy padli. Więc tak generalizować nie można. (...) Nie macie Panowie racji generalizując, ale były wypadki niestety takie, że tylko wyżsi dowódcy zawiedli na skutek braku fachowości – o tych każdy ma prawo powiedzieć, że zwiali i zażądać wyciągnięcia konsekwencji. Jako przykład oficerów, którzy opuścili oddziały gen. Klimecki wskazał gen. Stanisława Skwarczyńskiego i płk. Edwarda Dojan-Surówkę. Pan Poseł Banaczyk zupełnie słusznie (...) omawiając osobę p. byłego ministra Grabowskiego powiedział, że ponosi on olbrzymią odpowiedzialność przed narodem za to, że skorumpował sądownictwo polskie, że zaginęło pojęcie sprawiedliwości (...). Czy mamy popaść w ten sam błąd dzisiaj, że mamy potępić ludzi, którym drogą prawną, drogą sądową, nie jesteśmy w stanie udowodnić ich winy? Gen. Klimecki – wspominając swoją służbę w składzie WTO we Francji zwrócił uwagę, że nawet w sytuacji przeświadczenia o słuszności oskarżeń i skierowaniu całej sprawy do Biura Rejestracyjnego należało często zawieszać śledztwo wobec braku wystarczającego materiału dowodowego. Zapewniał przy tym o konieczności dalszego gromadzenia dowodów, w celu ich późniejszego wykorzystania dla osądzenia podejrzanych i o woli Naczelnego Wodza wspierania działalności idącej w tym kierunku. Ja tutaj, jako szef Sztabu, przeżywałem rozprawę gen. Dęba-Biernackiego, gdzie mieliśmy niezbite dowody winy, nie został on skazany za okres przed 1939 r., lecz (...) za swoje postępowanie we Francji i Anglii. Z powodu gen. Dęba-Biernackiego mieliśmy 11 interpelacji angielskich i bardzo dużo wysiłków kosztowało ulokowanie go w areszcie śledczym. (...) Pan Generał Sikorski wychodzi z założenia całkowitej odpowiedzialności ludzi, którzy w okresie kampanii wrześniowej winę ponieśli, przeprowa-

dzenia tego jednak w ten sposób, żeby się w przyszłości nie stało pod zarzutem reakcji bez dostatecznego wyczerpania materiału dowodowego. Ludzie ci, którzy na pewno i bez żadnej wątpliwości ponoszą winę, a nie ma w tej chwili możliwości udowodnienia – są i tak odizolowani od wojska [podkreślenie – A.G., M.K.]⁶⁴.

Po omówieniu spraw związanych z zarzutami pod adresem kadr oficerskich Armii Polskiej we Francji, szef Sztabu zakończył ogólne wywody i przeszedł do charakteryzowania konkretnych przypadków podniesionych przez członków Rady Narodowej. Gen. Burhardt-Bukacki nie mógł nie sprawdzić się w kampanii wrześniowej, ponieważ nie brał w niej udziału, odegrał za to pozytywną rolę podczas ewakuacji żołnierzy polskich z Bretanii do Wielkiej Brytanii. Natychmiast jednak odezwał się Stanisław Józwiak: *Zakazał brać żony oficerskie, zabierając najpierw własną, tak że później żony oficerskie pluły mu w twarz*. Na tę uwagę gen. Klimecki odpowiedział, że właśnie z powodu tych zarzutów gen. Sikorski nie powierzył gen. Burhardt-Bukackiemu stanowiska dowódczego. Odnosnie płk. Jastrzębskiego gen. Klimecki wskazał na paradoks, ponieważ przed wojną wskutek domniemań czy rzeczywistych poglądów narodowych oficer ten został usunięty w cień jako przeciwnik sanacji, natomiast obecnie *ten sam człowiek spotyka się (...) z przeciwnym zarzutem, to jest (...) sympatii dla sanacji*. Gen. Dreszer natomiast został usunięty z funkcji dowódcy *i odesłany na wyspę Bute wskutek stałej krytyki Naczelnego Wodza, oraz że mało się zajmował podległą mu jednostką*. Szef Sztabu bronił gen. Kleeberga i tłumaczył sposób oraz uwarunkowania akcji ewakuowania Polaków z kontynentu. I tu jednak doszło do zgryźliwej wymiany zdań z posłem Józwiakiem. Gen. Klimecki: *Następnie – czy ewakuacja z Francji idzie, czy nie...* P. Józwiak: *Owszem, idzie – przyjechała żona p. Łubieńskiego, samolotem przyjechała*. Odpowiadając na zarzuty wobec płk. Sosabowskiego gen. Klimecki wskazał na nienaganną postawę tego oficera podczas kampanii wrześnio-

64. Protokół posiedzenia RN RP, Londyn 19 marca 1941, IPMS, A. 5. 1/32A, k. 12-16.

wej, zaś w sprawie płk. Mayera oświadczył, że wobec często stawianych wątpliwości sprawdzeniem zajęło się Biuro Rejestracyjne i nie wniosło zastrzeżeń. *Płk Kościatkowski i mjr Grażyński są w wojsku, jednak użyci nie są, znajdują się na wyspie Bute i nie będą w przyszłości użyci. (...) Osądzenie ich przeszłości politycznej nie należy do wojska i oni muszą odpowiadać przed innym sądem, nie wiem, czy w tej chwili jest w ogóle możliwość rozpatrzenia tej sprawy.* Płk Andrzej Marecki również został wzięty w obronę przez szefa Sztabu, natomiast płk. Józefa Jaklicza i płk. Tadeusza Zieleniewskiego gen. Klimecki ostro napiętnował. *Sprawa ich jest w Wojskowym Trybunale Orzekającym (...) i będzie poddana pod sąd wojenny.* Gen. Klimecki wyjaśnił też swoją pomyłką z poprzedniego posiedzenia Rady – prostując, że gen. Rayski znajduje się w Wojsku Polskim i *jest jako pilot używany w grupie oficerów polskich w Południowej Afryce.* Szczegółowe odpowiedzi nie zadowolily posła Banaczyka. *Moje pytania szły w tym kierunku, kto jest inicjatorem i na czym opiera Sztab swoje zaufanie, (...) powołując na odpowiedzialne stanowiska ludzi, którzy przygotowywali zamach 1926 r., którzy są wybitnie odpowiedzialni za rządzenie w Polsce i za klęskę wrześniową i wymienilem nazwiska: Składkowskiego, Zamorskiego, Skindera, Ścieżyńskiego, Sobieckiego, Niezbrzyckiego. Na to nie otrzymałem odpowiedzi. Natomiast otrzymałem odpowiedź co do nazwisk, których nie podawałem w dyskusji.* Gen. Klimecki: *Składkowski nie odpowiada, bo on nie jest, z tego co wiem, w czynnej służbie. Wysłałem zaraz depeşe, czy jest faktem co do Skindera i co do Grabowskiego, także i dotychczas tych odpowiedzi nie mam*⁶⁵.

Omawiając przypadek płk. Mareckiego gen. Klimecki zdobył się na ogólne refleksje nad planem operacyjnym „Zachód”. Stwierdził wprost, że *plan kampanii wrześniowej w ogóle nie istniał [sic!]. (...) Ostatni plan, całkowicie zbudowany, był planem z czasów, kiedy szefem Sztabu Generalnego był gen. Sikorski [sic!]. Również plan mobilizacyjny, który przetrwał lata – to był ten plan, co stwier-*

65. *Ibidem*, k. 17-21, 34.

dzam z całkowitą odpowiedzialnością. (...) Plan nie był dokumentalnie w ogóle przeprowadzony przed wojną na szczeblach nawet armii. (...) W lipcu i sierpniu dopiero dostawały zadania jednostki. Mieszając po raz kolejny prawdę i jaskrawe kłamstwa gen. Klimecki dopuścił się poważnego nadużycia. Powrócił raz jeszcze do kwestii organizacji sanacyjnej działającej na Bałkanach. Kierowana przez Juliana Piaseckiego miała stanowić – według generała – poważne zagrożenie i nie mogła zostać zlekceważona. Jej wpływy promieniowały szczególnie z obszaru Rumunii i Węgier do Afryki Północnej, sięgając rozmieszczonego tamże ośrodka zapasowego. Nie stwierdzono natomiast spiskowej działalności sanatorów w samych formacjach wojskowych na tym terenie. Naczelnny Wódz z jednej strony wyczuwa całkowicie pozytywne intencje Panów, (...) z drugiej strony chciałby, ażeby te rzeczy weszły na tory realne, rzeczowe (...). Często Panowie mogą ulegać jakimś błędnym informacjom. (...) Jeżeli Panowie uznają to za możliwe, jeżeli Panowie znają jakieś fakty konkretne z możliwością udowodnienia jakichś wykroczeń czy przeszłych czy teraźniejszych, (...) jakiegoś spisku, który jest czynny, będę (...) niezmiernie wdzięczny Panom, jeżeli ktoś z Panów (...) nam te sprawy przedstawi. Wobec dociekliwych pytań i donosów Władysława Banaczyka gen. Klimecki uspokoił mówcę o woli karania przez Naczelnego Wodza wszelkich przejawów czynnej agitacji politycznej ze strony obozu pomajowego w wojsku. Jeżeli akcja polityczna przejdzie jako czyn, to ten człowiek stanie przed sądem wojennym, jako popełniający rzeczy, które są zabronione kodeksem karnym i ta sprawa będzie potraktowana tak, jak Dęba-Biernackiego. Tylko za symptomy człowieka nie można karać nawet za jakieś przekonania, gdyby je nawet podkreślał⁶⁶. Mimo umiarkowanej tonacji wystąpienia gen. Klimeckiego, ponownie szef Sztabu rozmijał się z faktami, udając że zapomina o istnieniu obozów izolacyjnych Rothesay i Tighnabruaich na wyspie Bute. Słowa przedstawiciela władz wojskowych i tak jednak wyraźnie odbiegały w wielu aspektach od nacechowanych agresją i pełnych nie-

66. *Ibidem*, k. 20-23, 33.

sprawdzonych donosów wystąpień członków Rady Narodowej, domagających się niezmiennie szybkich rozliczeń, nawet z pominięciem wszelkich gwarancji prawnych.

Powrót do dyskusji nad odpowiedzialnością za wrzesień 1939 r. i spiskami sanacyjnymi

Długotrwałe i zacięte niejednokrotnie dyskusje nad zagadnieniami personalnymi nie wyczerpały zainteresowań członków Rady Narodowej. Mimo obecności gen. Klimeckiego i szczegółowych wyjaśnień złożonych przez szefa Sztabu na pytania dotyczące kwestii personaliów wojskowych i zagrożenia spiskami sanacyjnymi, posłowie nadal powracali do tego zagadnienia. Niekiedy zupełnie niespodziewanie, przy omawianiu zagadnień całkowicie nie związanych z tą problematyką, ale również prowokując szersze dyskusje. Nadal ogromne zainteresowanie wzbudzał los członków kierownictwa przedwrześniowego, a w szczególności dążenie do ukarania osób uznanych przez Radę za winne katastrofy państwa w wojnie obronnej 1939 r. I choć działała już Komisja prof. Winiarskiego, choć kwestie odpowiedzialności za wrzesień niejednokrotnie już stanowiły przedmiot dyskusji i polemik, to temat jak magnes przyciągał dyskutantów. Pierwszym symptomem nadciągającej ponownie burzy stało się wystąpienie znanego z nieposkromionej wojowniczości na polu tropienia sanacji Stanisława Jóźwiaka. Przy okazji omawiania stosunków personalnych w armii oraz relacji między kadrą oficerską a żołnierzami mówca nawiązał do postaci gen. Janusza Głuchowskiego. Przypominał wysokie funkcje państwowe sprawowane przed wojną przez generała i oskarżył, w *Polsce przy Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych* egzystował *Komitet Dozbrojenia Armii* [Komitet do Spraw Uzbrojenia i Sprzętu – KSUS], przewodniczącym tego Komitetu był gen. Sosnkowski, brali w nim udział p.p. Norwid-Neugebauer, Głuchowski i p. Kasprzycki. (...) Kiedy wskutek błędnej polityki kliki rządzącej Polską nastąpił rozbiór Czechosłowacji i Czechosłowacja chciała sprzedać Polsce na kredyt cały swój zapas mob., oferta ta została

posłana do tego Komitetu który ją rozpatrzył i powiedział, że starego żelaza nie kupuje i dlatego ta tragedia we wrześniu, gdzie nie mieliśmy niczego, nie mieliśmy nawet mobilizacyjnego zapasu karabinów ręcznych. (...) I dziś, gdy się czyta, że p. gen. Głuchowski ma być przyjęty z honorami, to musi napęłniać goryczą. (...) I można tu powiedzieć: małych złodziei się wiesza, a dużym daje się order i zaszczyty [sic!]⁶⁷.

Niewinnie wręcz zabrzmiały incydentalne słowa działacza narodowego w świetle tego, co podczas posiedzenia 26 marca 1941 r. miał wypowiedzieć Władysław Banaczyk. Polityk Stronnictwa Ludowego zdecydowanie wysunął się na czoło grupy posłów zwalczających obóz sanacyjny. Dyskusja podczas obrad plenarnych dotyczyła teoretycznie zagadnień budżetowych. Jednak nie stanowiło to żadnej przeszkody dla pragnących się ustosunkować do swoich politycznych obsesji członków Rady Narodowej. Temat bieżącego posiedzenia, choćby nie wiadomo jak daleki od spraw personalnych czy politycznych, absolutnie nie powodował zahamowania czujności spragnionych rozliczeń posłów, którzy chętnie wdawali się w rozwlekłe i emocjonalne przemówienia zupełnie nie związane z meritem diskutowanych problemów. Nie inaczej postąpił reprezentant ludowców, przedstawiając Radzie długi, barwny i pełen złośliwości wywód, na dodatek zaś prowokując podczas posiedzenia karczemną awanturę. Aprobując zasadniczo treść i konstrukcję budżetu wojskowego mówca wyraźnie zaznaczył, że *armia (...) będzie użyta do walki z wrogami Polski, (...) a w żadnym wypadku nie może być użyta, jako narzędzie brania umęczonego kraju za gębę, jak to niektórym pogrobowcom sanacyjnej soldateski się uśmiecha, ba – jak nawet w ten sposób ośmielają się twierdzić*. Poparcie dla wydatków łożonych na rozwój siły zbrojnej i na okupowany kraj nie oznaczało jednak braku krytycyzmu w konkretnych materiach. Poseł wysunął więc szereg szczegółowych zastrzeżeń, oczywiście w *głębokiej trosce o dobro armii*. Zwracał uwagę, że podczas ostatnich

67. Protokół posiedzenia RN RP, Londyn 24 marca 1941, IPMS, A. 5. 1/34, k. 17-18.

posiedzeń z udziałem przedstawicieli wojska nie zdołano rozwiązać wszelkich wątpliwości. *Półśłówkami, pominięciem nie da się zmylić naszej czujności i do sprawy tej, to jest odpowiedzi szefa Sztabu, zastrzegam sobie prawo powrotu w odpowiednim czasie.* Okazało się jednak, że na odpowiedni czas zebrani nie musieli długo czekać, ponieważ już w następnych zdaniach poseł sięgnął po arsenał niewybrednych oskarżeń. Nawiązując do okresu przedwojennego podkreślił, że za tajemnicą wojskową kryła się polityka w armii, niekompetencja dowództwa naczelnego, sztabów i inspektoratów, brak jakiegokolwiek planu i kompletne nieprzygotowanie armii do obrony kraju i walki z wrogiem. (...) Ci sami ludzie, którzy w Polsce kryli się za tajemnicą wojskową i apolitycznością armii używali jej równocześnie dla swoich celów partyjnych. Zabezpieczywszy sobie tyłowe stanowiska pierwsi zdołali znaleźć się wraz z wszystkimi przynależnościami rodzinnymi za granicą. Ludzie ci, po tak strasznych doświadczeniach, na jakie narazili swą polityką kraj i całość Rzeczypospolitej, niczego się nie nauczyli, lecz w dalszym ciągu (...) rozwijają tymi samymi metodami swą dawną reżimową politykę, wprowadzając do życia polskiego i armii rozkład i zaognienia. Ludzie ci, wyznawcy bata, łamania kości narodowi, rządzenia bez kontroli Polską jak własnym podwórkiem – członkowie BBWR-ów i Ozonów, nierzadko pod przykrywką munduru oficerskiego, najgorszego gatunku metod politykierzy, to nie politycy, to politykierska klika bezideologiczna, odpowiedzialna w całej pełni za prawdziwie totalne rządzenie krajem, fatalne nieprzygotowanie armii do walki, których największą troską było i jest zabezpieczenie sobie i swym najbliższym najwygodniejszego bytu. Obecnie niecnymi knowaniami i intrygami (...) przygotowują się do powrotu do kraju, objęcia władzy, by rządzić tymi samymi metodami bezprawia, którymi doprowadzili kraj do upadku. Dziś zastaniają się błędami Francji, błędami innych. Własnych win i błędów nikt nie zasłoni. Nikt nie zasłoni nam oczu, że ta sama klika obecnie nie działa, nie rozkłada, dostosowując się tylko nieraz zewnątrz, a nie merytorycznie do sytuacji. Po zapewnieniu o braku jakiegokolwiek politycznej

akcji w szeregach armii ze strony ludowców padło stanowcze żądanie oczyszczenia armii z tych wszystkich elementów reżymu sanacyjnego, które odpowiadają za bezprawie rządzenia i nieprzygotowania armii w kraju do walki z wrogami. (...) Żądamy przykładowej kary dla tych wszystkich, którzy robotę rozkładowo-partyjno-sanacyjną w wojsku prowadzą – przede wszystkim wyrzucenia ich z armii, by jej morale nie obniżali, nie zatruwali duszy różnymi spiskami, sabotażami i akcją rozkładową [sic!]. Z przykrością musimy stwierdzić, że obecna polityka personalna w wojsku nie jest zdrowa, żądamy i żądać będziemy zmiany. (...) Tego wymaga zdrowie polityczne obecnie i przyszłej Polski, tego wymaga morale i dobre imię armii, tego przede wszystkim domaga się kraj, który (...) w raportach podaje, że z oburzeniem o sprawkach tu tych panów się dowiaduje, **przygotowując dla nich, pomimo wyniszczenia drzewostanu przez wrogów, dostateczną ilość suchych gałęzi** [sic!!!]⁶⁸. Trudno po wysłuchaniu takich słów dziwić się aplauzowi dla złożonego w imieniu gen. Sikorskiego zapewnienia gen. Modelskiego o dążeniu Naczelnego Wodza do wytępienia wszelkich sanacyjnych spisków z sił zbrojnych. I jeżeli nawet wypowiedź poła Banaczyka uznać można za niesmaczny i pusty retoryczny chwyt, to jednak klimat całej wypowiedzi nie mógł budzić wątpliwości co do intencji mówcy.

Władysław Banaczyk nie poprzestał zresztą na piętnowaniu zagadnień wojskowych. Poruszając problematykę stosunków międzynarodowych przedstawiciel Stronnictwa Ludowego nakreślił własną jej wizję, ale poświęcił na to zaledwie kilka minut, po czym przeszedł do łajania ministra Becka i hurtowego potępienia polityki przedwojennego MSZ. Minister Beck – przedstawiony jako niemalże uosobienie wszelkiego zła – miał pójść *na podstępna i zakłamaną przyjaźń z odwiecznym wrogiem Polski – Niemcami. Ba, niedwuznacznie zaczął kopiować od niego wzory totalistycznego systemu rządzenia*. Nie skończyło się wyłącznie na

68. Protokół posiedzenia RN RP, Londyn 26 marca 1941, IPMS, A. 5. 1/34B, k. 4-6.

potępianiu przeszłości. Ostro zażądano, by MSZ wyraźnie odciął się od polityki Becka i od tego wszystkiego, czym klika sanacyjna dobre imię Polski obciążyła. Nie tylko polityki, jak się rychło okazało, lecz i personaliów, gdyż do publicznej tajemnicy należało, że wszystek wytarty, zgrany i wybrakowany materiał ludzki [sic!] rozgrzeszano w beckowskim MSZ-cie, angażując go na najbardziej odpowiedzialne stanowisko. Należało więc dokonać generalnej czystki, ponieważ wszelkie trudności Polski na arenie międzynarodowej przypisać należy w dużej mierze tolerowaniu przez obecne kierownictwo MSZ-u bagażu personalnego Becka. Trudno od tych ludzi wymagać, by oni (...) prowadzić mogli inną politykę, niż taką w jaką się zaangażowali, do jakiej przywykli. (...) Bez zmiany bagażu personalnej polityki Becka, bez eliminacji z tego aparatu ludzi, przyzwyczajonych do wygodnego reprezentacyjnego życia dyplomatycznego, ludzi niedorostłych do zadań, które na ich barki kładzie chwila obecna, działających często wbrew zamierzeniom Rządu, względnie paraliżujących jego linię polityczną (...) – większych wyników się nie osiągnie. Mówca absolutnie nie zgadzał się z koniecznością powstrzymania czystek w obawie przed reperkusjami na forum międzynarodowym, ostrzegał przed ściąganiem ludzi z likwidowanych placówek do centrali ministerstwa. Podobne problemy poseł Banaczyk dostrzegał w Ministerstwie Informacji i Dokumentacji. Oprócz larum na nieskuteczność pracy resortu, okraszonego antysemitkami wtrętami, wskazał na fakt, że jeden ze spikerów – *super sanator* [sic!] – zatrudniony w BBC z ramienia tego ministerstwa należeć miał do kategorii dezenterów. Następnie przyszła kolej rozważenia gospodarki skarbowo-budżetowej. I w tej dziedzinie panować miał stan nie do zaakceptowania przez ludowców, bowiem gospodarka w wielu z (...) przedsiębiorstwach jest prowadzona przez dawnych zaufanych pomajowego reżimu, nieraz w sposób więcej niż skandaliczny⁶⁹.

Prawdziwe gromy padły na politykę propagandową, a szczególnie pod adresem prasy polskiej w Wielkiej Brytanii.

69. *Ibidem*, k. 6-13.

Werbalnie akceptując zasadę wolności prasy i braku cenzury mówca przestrzegł, że *wolność słowa (...) nie może wyradzać się w swawolę i harce. (...) Przeto i wolność prasy, i to tu szczególnie, na wygnaniu, w czasach wojny, musi być ograniczona. (...) Nie możemy (...) tolerować nawyków zaczerpniętych z wzorów sanacyjnej soldateski, dopuszczających, aby różni panowie, nosząc mundury Polskiej Siły Zbrojnej, prowadzili nieodpowiedzialną i wielce szkodliwą robotę wydawniczą i prasową, której i V kolumna by się nie powstydziła. (...) Nie możemy i nie będziemy także tolerować, że w piśmie rzekomo literackim (...) uprawia się nieodpowiedzialną robotę fałszowania historii Narodu Polskiego i gloryfikowania dla celów politycznych stworzonych ongiś sztucznie legend, którym ostatnie wypadki tak straszliwy zadały kłam i za którymi nigdy nie stał naród – który dziś z pogardą i oburzeniem uświadamia sobie fakt, iż legendom tym śmiertelny wróg Polski wystawia warty honorowe. Dla kogo i w imię jakich celów ta prowokacyjna i nieodpowiedzialna robota jest prowadzona? Zaskakujące były dalsze wnioski mówcy, który nawoływał swych politycznych przeciwników politycznych, aby w imię jedności zaprzestali wszelkiej działalności, bowiem spotkają się ze stanowczą odprawą. Nie zmuszajcie nas do reakcji, nie zmuszajcie nas do odpowiedzi, bo my nie chcemy dzisiaj tych sporów. I słowa te wypowiadał człowiek, którego całe nieomal przemówienie przesycił wręcz polityczny jad, jednostronne i wysoce krzywdzące oceny historii, pasja ścigania, karania i rozliczania? Pytam się także, co zamierza uczynić Rząd, ażeby nie dopuścić do podobnej swawoli ludzi – zdawałoby się do cna wypranych z poczucia odpowiedzialności, a przede wszystkim by nie dopuścić do prowokacji i rozkładania Armii Polskiej tego rodzaju robotą⁷⁰.*

Najlepszą jednakże ilustracją poziomu sporów, do jakich dochodziło na forum Rady Narodowej może służyć kłótnia, jaka podczas przemówienia posła Banaczyka wywiązała się pomiędzy nim a posłem Ciołkoszem. Odsądzając od czci i wiary

70. *Ibidem*, k. 14-15.

politykę zagraniczną Marsz. Piłsudskiego i ministra Becka mówca stwierdził, że naród nie ponosi za nią żadnej odpowiedzialności, jedynie w tym aspekcie, że przemocą nie usunął uzurpatorów przewrotu majowego. *Lecz wówczas dla jednych pracował czas, a wielu z innych należało do polskiej partii Składkowskiego.* P. Ciołkosz: *Może by Pan jasno określił, co to znaczy! Co to znaczy! My to znamy ze „Zwrotu”!* P. Lieberman: *Przerywam posiedzenie.* P. Ciołkosz: *(wali pięścią w stół i krzyczy) Co to znaczy! My to znamy ze „Zwrotu”! My wiemy, co to znaczy! Dość mam tego wszystkiego! Mam to wszystko gdzieś! (wstaje, idąc ku drzwiom).* P. Banaczyk: *Dla ludzi mądrych doświadczenie jest nauką.* P. Ciołkosz: *(w drodze do drzwi) Pan do tych ludzi mądrych nie należy! (wychodzi, trzaskając drzwiami).* P. Banaczyk: *Trudno od Pana uczyć się rozumu.* P. Filipowicz: *Czy Pan Przewodniczący nie uważa za stosowne zwrócenie uwagi?* P. Lieberman: *Proszę mi uwag nie zwracać i nie dyskutować, co mam robić. Udzielam Panu nagany, że Pan ubliża powadze Przewodniczącego.* P. Filipowicz: *Przyjmuję to do wiadomości*⁷¹. Sprawa nie zakończyła się na wymianie nieparlamentarnych określeń, lecz znalazła dalszy ciąg podczas dalszej części posiedzenia. Przewodniczący Lieberman zmusił posła Banaczyka do wyraźnego określenia swego stanowiska – co rozumiał wspominając o *polskiej partii Składkowskiego*. Przyciśnięty do muru reprezentant Stronnictwa Ludowego zaprzeczył, jakoby miał na myśli Polską Partię Socjalistyczną, co zakończyło nieprzyjemny incydent⁷².

Szperanie w personaliach na tyle przyciągało uwagę członków Rady Narodowej, że do tego zagadnienia powrócił Stanisław Józwiak już 1 kwietnia 1941 r. Oburzył się na określenie swojego wystąpienia w sprawie personaliów MSZ jako nierzeczowej krytyki i sięgnął po konkretne przykłady. Zarzucił ambasadorowi Janowi Ciechanowskiemu, że dzięki protekcji spowodował uniknięcie służby wojskowej przez Jana Weinsteina i Mieczysława Sędzielowskiego. Złożył ponadto

71. *Ibidem*, k. 7-8.

72. *Ibidem*, k. 18.

donos na Tadeusza Kunickiego, zarzucając mu wygłoszenie w 1937 roku wykładu dla urzędników MSZ, w którym zachwalał pozytywne skutki odprężenia z Niemcami po 1934 r. i bagatelizował niebezpieczeństwo ze strony zachodniego sąsiada II Rzeczypospolitej. *Ja twierdzę, że ta klika jest i sięga pomatu po władzę. Wszelkie znaki dowodzą, że nie jest tak, jak Pan Premier, z samych głosów krytyki wynika, że ktoś opanował rząd w Polsce. Jakaś szara eminencja, która z tyłu sięga po władzę. Pewnego dnia obudzimy się i będzie nas czekała bardzo niemiła niespodzianka. Skoro już poruszono problematykę personaliów, mówca nie potrafił powstrzymać się od kolejnych rozważań dotyczących sił zbrojnych. Wyjaśnienia Pana szefa Sztabu (...) ani mnie nie przekonały, ani nie wzbudziły zaufania do szefa Sztabu. (...) Oświadczam tu publicznie – ja osobiście tego zaufania do Pana szefa Sztabu nie mam, gdyż wszystko to, co się dzieje w wojsku dowodzi, że w wojsku jest źle, coraz gorzej (...). Dlatego patrzę z coraz większym niepokojem na ściąganie coraz nowych generałów, pułkowników, na lansowanie ich, bo w dołach to wywołuje bunt przeciwko tym, którzy tych ludzi mianowali i muszą tu powtórzyć słowa, że małych złodziei się wiesza, a dużym daje się order i awanse. Jest to stan nieznośny i nie do utrzymania*⁷³.

Dopiero Tytus Filipowicz zabrał głos w sposób bardziej zniuansowany i umiarkowany. Odnosząc się do bardzo ostrej krytyki działalności Oddziału II Sztabu Głównego i Sztabu Naczelnego Wodza ze strony posłów Banaczyka i Józwiaka wskazał, że rosnące wpływy oficerów przedwojennej dwójki należy rozpatrywać nie tylko z czysto wojskowego, lecz i z bardziej ogólnego punktu widzenia. *To nie są rzeczy przypadkowe, jakieś szaleństwo chwili, ale to są rzeczy, które z góry dostają błogosławieństwo, to się robi po to, żeby tych ludzi później w tym kierunku wyzyskać i ten mechanizm, który służył Śmigłemu, w przyszłości odnowiony, służyć będzie komu innemu. To budzi obawy, kiedy się o tych rzeczach słyszy*⁷⁴.

73. Protokół posiedzenia RN RP, Londyn 1 kwietnia 1941, IPMS, A. 5. 1/34E, k. 7-9.

74. *Ibidem*, k. 13.

Zygmunt Nowakowski stwierdził z kolei, odpierając zarzuty przedmówców, że redagowane przez niego pismo nie lansuje legendy Piłsudskiego, lecz i nie neguje jej istnienia. *Cokolwiek byśmy powiedzieli – owa legenda żyje, może dlatego, że nie ma drugiej w tej chwili i żołnierz żywi tę legendę. (...) Kiedy niedawno któryś z przedsiębiorców prywatnych (...) wydał fotografię, przedstawiającą wiadomą postać, w przeciągu trzech dni rozkupiono cały nakład w ilości 7.000 egzemplarzy. Ja uważam, że legenda nie jest niebezpieczna, niebezpieczne są natomiast katylinarne jednostki b. Reżimu, które pod osłoną tej legendy wchodzi do armii i zalewają ją. Przeciwko tym jednostkom powinno się zastosować jak najbardziej surowe dekrety, tymczasem (...) szeroko otwiera się drogę dla tych jednostek, którym przewodzi osławiony minister sprawiedliwości p. Grabowski. Poseł z optymizmem przyjął również wypowiedzi ministra Strońskiego o przewartościowaniu oceny kampanii wrześniowej. Trudno się nam dziwić, że Gamelin nie tylko nie przeczytał, ale nawet nie otworzył raportu o wojnie w Polsce, skoro my zrobiliśmy wszystko, żeby ją przedstawić jako jeden wielki srom piławiecki. Świat patrzy inaczej na kampanię wrześniową od załamania się Francji. Dobrze, że i my na to zaczynamy patrzeć inaczej. W czasie, gdy my wyszukiwaliśmy tam wyłącznie tchórzostwa, w tym samym czasie ambasador Biddle (...) objeżdżał całe Stany Zjednoczone, wygłaszając odczyty poświęcone... bohaterstwu żołnierza polskiego. Kampania wrześniowa, gdyby była w rękach Czechów, byłaby atutem, podczas gdy myśmy się wysilali w tym kierunku, żeby całą kampanię opluć. (...) W prywatnej rozmowie jeden z kolegów z Rady groził mi szubienicą, która mnie czeka w kraju za wydrukowanie artykułu o bitwie nad Bzurą (...), który ma „wybielać” Rydza. Gdyby miał wybielać tego łotra i tchórza [sic!] nigdy w życiu nie umieściłbym tego artykułu. (...) Co innego Rydz, a co innego żołnierz polski! (...) Słyszałem o specjalnym wydawnictwie – i to rządowym, które się ma ukazać. Ma ono wykazać błędy polityki polskiej w ciągu ostatnich lat kilkunastu... I komu to jest potrzebne? Były błędy i zbrodnie, (...) ale wyciągać je teraz właśnie na*

*widok publiczny?*⁷⁵. Umiarkowana i pełna poważnych refleksji tonacja, w której przemawiał poseł Nowakowski, pochylając się nad historią i naukami z niej płynącymi, należała jednak do rzadkości na forum Rady.

Wątek rozrachunkowy podczas kwietniowego posiedzenia został wyczerpany przez sprawozdanie gen. Modelskiego z prac Biura Rejestracyjnego i Wojskowego Trybunału Orzekającego w okresie pobytu władz polskich na ziemi francuskiej⁷⁶.

Nawet dyskusja nad zagadnieniami kolonialnymi dała Radzie Narodowej sposobność odniesienia się do przeszłości. Podczas bardzo obszernego referatu poświęconego tym kwestiom Michał Kwiatkowski niezwykle rozwlekł i nawiązał do okresu międzywojennego i przypominał lansowane przez obóz sanacyjny koncepcje kolonialne. Oskarżył władze ówczesne polskie o wspieranie nazistów na arenie międzynarodowej w antyzachodniej polityce Hitlera, poprzez wysuwanie w najbardziej nieodpowiedniej chwili żądań kolonialnych! *Ozon poszedł na tę robotę, choć ze strony niemieckiej chodziło o dywersję na terenie międzynarodowym, aby odwrócić uwagę od przygotowań niemieckich.* Szczególnie stanowcze gromy spadły na głowy Juliana Piaseckiego. Ponownie padły zarzuty o uspianie czujności narodu w 1939 r. oraz fałszywe przedstawianie stanu przygotowań wojskowych państwa. Dalej mówca wysunął całą litanię zaniechań i błędów odnośnie fatalnego stanu polskiej gospodarki – za wszystko obciążając politykę ekonomiczną ówczesnych władz. Ciepłe słowa skierował wyłącznie pod adresem byłego wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego⁷⁷. Nie mógł się z tym zgodzić Stanisław Józwiak i natychmiast ruszył do kontrakcji. *P. Kwiatkowski co innego głosił, a co innego robił. Ten pan, który narzucał miliony ciężarów na obywateli państwa polskiego, doprowadzał do jawnych nadużyć i jego urzędnicy w centrali podatków państwowych nie płacili. (...) Był to system bolszewicki, który musiał Polskę zrujnować. Cała polityka p. Kwiatkowskiego (...) była fiaskiem i zakończyła się kata-*

75. *Ibidem*, k. 21-23.

76. *Ibidem*, k. 39-42.

77. Protokół posiedzenia RN RP, Londyn 14 maja 1941, IPMS, A. 5. 1/35, k. 57-66.

strofą (...). Jego patologiczna nienawiść do ludzi, którzy mu kiedyś nie dali środków, n.p. jest mi w pamięci osoba ś.p. Wojciecha Korfantego. (...) Kiedyś Korfanty nie chciał mu dać pieniędzy na ... kiedy Kwiatkowski był tam dyrektorem i stąd na całe życie pozostała mu ta nienawiść [sic!]. (...) Uważam, że jeżeli byli szkodnicy na polu wojskowym, to na polu gospodarczym największy gwóźdź do trumny polskiej wbił właśnie p. Kwiatkowski [sic!] i on jest jednym z głównych winowajców naszego niedozbrojenia i nędzy społecznej⁷⁸. Mówca znalazł proste odpowiedzi na trudne pytania, odkrył również – w swoim mniemaniu – mechanizm psychologiczny, który powodował decyzjami ministra i wieloletniego wicepremiera, jednego z najwybitniejszych polskich działaczy gospodarczych dwudziestolecia międzywojennego.

Zagadnienie walki z wpływami sanacyjnymi w pierwszym okresie działalności Rady Narodowej Rzeczypospolitej Polskiej

Ekipa gen. Sikorskiego wielokrotnie zapewniała o wyrzeczeniu się jakichkolwiek planów politycznej „wendetty” wobec przedstawicieli reżimu sanacyjnego. Rzeczywiste przewrzenia miały być osądzone po wojnie w wyzwolonym kraju. Mimo tych zapewnień, „sikorszczycy” wykazali się niestęchaną aktywnością w sprawach rozliczeń personalnych z przedstawicielami *ancien regime*’u. Rada Narodowa w koncepcjach politycznych obozu rządzącego miała mieć charakter ciała doradczego i opiniującego. Niestety, wątki rozrachunkowe zdominowały sporą część obrad, Rada Narodowa była często areną ataków przeciw prawdziwym i domniemanym spiskom sanacyjnym. Nawet tematy wydawałoby się zupełnie neutralne, takie jak zagadnienia budżetowe, wywoływały antysanacyjne filipiki. Kwestie naprawdę istotne dla sprawy polskiej, były niekiedy spychane na plan dalszy przez doraźne rozgrywki o charakterze personalnym. Czytając protokoły z posiedzeń Rady Narodowej można odnieść wrażenie, że w roku 1940 i 41 kwestiami najistotniejszymi dla Polski było

78. *Ibidem*, k. 70-71.

zwalczanie wpływów sanacyjnych i legendy Marszałka Piłsudskiego. Przyczyny wszelkich niepowodzeń rządu widziano nie w błędach czy splocie niesprzyjających okoliczności, lecz we wszechogarniającym spisku sanacyjnym. Szczególnie kuriozalne brzmiały stwierdzenia o niedopatrzeniach i nieudolności podejrzanych o sanacyjne sympatie oficerów, w czasie ewakuacji wojsk polskich z Francji. W sytuacji, gdy spora część opinii publicznej obarczała odpowiedzialnością za nieudolną i zdecydowaną spóźnioną ewakuację gen. Sikorskiego, był to zabieg dość karkołomny i dwuznaczny moralnie.

Ataki przeciw sanatorom łączyły przedstawicieli wszystkich reprezentowanych w Radzie stronnictw politycznych, nawet ugrupowania, które toczyły ze sobą ostre walki polityczne, takie jak PPS i SN, zapominając o dzielących je różnicach, gdy przechodziło do wspólnej ofensywy przeciw rzekomym wpływom sanacyjnym w wojsku lub MSZ. Czasami spory i konflikty przeszłości wracały, wywołując ostre starcia pokazujące, że demonstrowany na zewnątrz monolit „porozumienia czterech stronnictw” i „zgody narodowej” skrywa olbrzymie emocje i wzajemne animozje jeszcze z okresu kształtowania się Frontu Morges. Tego dowodzi zupełnie „nieparlamentarna” wymiana zdań między Władysławem Banaczykiem a Adamem Ciołkoszem, zapoczątkowana niefortunna wzmianką pierwszego z nich o „polskiej partii Składkowskiego”. Można odnieść wrażenie, że niekiedy jedynym czynnikiem konsolidującym Stronnictwa Jedności Narodowej był strach przed powrotem do władzy ludzi związanych z przedwojennym obozem rządzącym.

Wydaje się, że nowa ekipa pragnęła budować swój wizerunek, podkreślając różnice dzielące ją od elit przedwojennych. Legendzie Marszałka Piłsudskiego, wciąż żywej, zwłaszcza w armii, próbowano przeciwstawić nową, tworzoną niekiedy niezbyt udolnie i nieco „na siłę” legendę generała Sikorskiego, jako ofiary reżimu sanacyjnego i twórcy armii na wychodźstwie. Czarne barwy, którymi obficie szafowano w opisie rządów przedwrześniowych miały kontrastować z osiągnięciami rządu gen. Sikorskiego, a niekompetencja i podatność na korupcję sanatorów miały podkreślać bezinteresowność i szlachetność polityków nowego obozu rządzącego.

Andrzej GRZYWACZ, Marcin KWIECIEN

Jerzy Witold SOLECKI

SEN O SPADOCHRONACH

Jako 18-letni kapral „Mały”, żołnierz 7. pułku piechoty Armii Krajowej „Garłuch”, znalazłem się w momencie wybuchu powstania w miejscu, gdzie – według założeń, w których realizację wierzyliśmy! – nastąpić miał desant Brygady Spadochronowej, jako trzonu sił powstańczych w stolicy wyzwalanego kraju.

Plany wsparcia powstania przez Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie, w tym przede wszystkim wojska lotniczo-desantowe, obecne były w zamierzeniach władz na emigracji niemal od samego początku ich działalności we Francji, przy czym warunkiem wstępnym było przybliżenie się wojsk alianckich z zachodu do ziem polskich.

W Komendzie Głównej ZWZ-AK został powołany Wydział Lotnictwa, który oprócz realizacji bieżących zadań łączności lotniczej, gromadzenia pozostałej w kraju kadry fachowców lotnictwa i rozpoznania stanu przedwojennych oraz tworzonych przez Niemców lotnisk, otrzymał zadanie prowadzenia przygotowań związanych z ewentualnym desantem i współdziałania z przyszłymi wojskami desantowo-lotniczymi. W Warszawie powstał 7. pułk piechoty „Garłuch”, który, po pewnych modyfikacjach założeń, otrzymał ostatecznie na czas powstania zadanie opanowania lotniska na Okęciu i współdziałania z wojskami desantowymi. Powstała także

tw. Baza Lotnicza „Łużyce”, złożona głównie z personelu lotniczego i naziemnego, przeznaczona do uruchomienia i obsługiwania, przejętego od wroga, lotniska Okęcie. Wydaje się, że 7. pp „Garłuch” i Baza Lotnicza „Łużyce” nigdy nie otrzymały zmiany zadań...

W lutym 1942 roku 7. pp „Garłuch” ponosi poważne straty: w wyniku przypadkowego aresztowania ginie dziewięciu oficerów pułku wraz z jego dowódcą kpt. K. Langiem („Grzyb”). Aresztowanie nastąpiło w czasie ćwiczeń sztabowych, prowadzonych na mapie właśnie Okęcia i okolic, a więc jego przedmiotem musiało być zadanie opanowania lotniska... Później następuje stopniowa odbudowa organizacyjna pułku pod dowództwem mjr. Stanisława Babiara („Wysocki”).

„Nie łudzić kraju!”

Z czasem zamiar powstania generalnego zastąpiony został koncepcją „Burzy” – serii lokalnych akcji zbrojnych, podejmowanych w momencie wkraczania na polskie ziemie Armii Czerwonej i połączonych z ujawnianiem się władz cywilnych i dowódców wojskowych w charakterze gospodarzy terenu. Rezygnacja z planu powstania musiała oznaczać również przekreślenie zamierzeń dokonania w kraju desantu jednostek polskich na wielką skalę, nie mówiąc już o tym, że podział teatru wojennego na strefy wykluczał możliwość takiej ingerencji ze strony aliantów zachodnich w strefie sowieckiej. Jednakże świadomość tych okoliczności wśród dowódców różnego szczebla w kraju nie była powszechna. Interesujące dla omawianej problematyki jest sporządzone po wojnie, pod auspicjami b. Dowódcy Sił Powietrznych (Inspektora Lotnictwa) – gen. M. Iżyckiego, opracowanie na temat prac Inspektoratu i przebiegu działań polskiego lotnictwa na Zachodzie (maszynopis w zbiorach Biblioteki Narodowej w Warszawie). W rozdziale „Zamierzony Udział Lotnictwa na Wypadek Powstania w Kraju” czytamy:

... We wrześniu 1943 r. Dowódca Armii Krajowej przysłał swe nowe żądanie odnośnie przewidywanego

użycia lotnictwa na wypadek powstania w kraju, zaznaczając, że „na wysiłek lotnictwa na rzecz powstania winno składać się całe wojsko na emigracji, jest bowiem możliwe, że będzie to jedyny możliwy czynny udział tego wojska w pierwszym, dla nas niezmiennie ważnym, okresie powstania. Pod względem operacyjnym zamierzenia kraju były zakrojone bardzo szeroko i w wielu wypadkach przekraczały możliwości lotnictwa...

Po dokładnym rozważeniu żądań Dowódcy Armii Krajowej Inspektor Lotnictwa w dniu 20 października 1943 r. przedstawił Naczelnemu Wodzowi projekt swej odpowiedzi, w której stwierdził, że w razie uzyskania odpowiednich warunków, lotnictwo nasze może być gotowe do wsparcia kraju najwcześniej z początkiem 1945 r.

Osiągnięcie bowiem tej gotowości wsparcia zależało od uzyskania z wojska potrzebnych rezerw ludzkich, które należało następnie przeszkolić; od przebrożenia naszych dywizjonów na odpowiedni sprzęt i zapewnienia przez Sprzymierzonych niezbędnego przewozu powietrznego. Ponadto Inspektor Sił Powietrznych stwierdził, że jakiegokolwiek działania naszego lotnictwa na rzecz powstania w kraju wymagają zgody ze strony Sprzymierzonych i że do obecnej chwili nawet przybliżony termin takich działań nie został ustalony. Ze względu na operacyjne możliwości lotnictwo będzie w stanie przyjąć z pomocą krajowi dopiero wówczas, gdy armie Sprzymierzonych wysuną się na wschód od Renu. Naczelny Wódz na projekcie odpowiedzi do kraju poczynił odręczne poprawki, skreślając przesunięcie rezerw ludzkich z wojska do lotnictwa oraz skreślając zdanie, stwierdzające, iż dotąd nie ma decyzji Sprzymierzonych co do terminu rozpoczęcia działań w Polsce.

W lotniczym komunikacie sytuacyjnym z lutego 1944 r., sporządzonym dla poinformowania dowództwa w kraju, Inspektor ponownie stwierdzał, że lotnictwo nie otrzymało potrzebnych mu uzupełnień stanów. Naczelny Wódz odręcznie tę część komunikatu skreślił.

W okresie od lutego do maja 1944 r. Inspektor Lotnictwa czterokrotnie przedstawił Naczelnemu Wodzowi konieczność uzgodnienia ze Sprzymierzonymi planów

wsparcia powstania przez lotnictwo, uzyskania ich zgody i zapewnienia niezbędnego poparcia. Odpowiedzi Naczelnego Wodza na te przedstawienia nie było. Inspektor Lotnictwa oraz jego sztab w początkach 1944 r. był zaniepokojony zbyt optymistyczną oceną dowództwa w kraju co do możliwości lotnictwa.

W związku z tym, w kwietniu 1944 r. wysłano do kraju starszego oficera lotnictwa celem szczegółowego naświetlenia położenia i możliwości naszego lotnictwa. W szczególności instrukcja, sporządzona przez Inspektora, stwierdzała, że siła bojowa naszego lotnictwa jest niewystarczająca do wykonania żądanych zadań wsparcia, a w skutek braku uzupełnień personalnych lotnictwo polskie nie będzie zdolne do samodzielnych działań na rzecz powstania. Nie posiadamy zgody brytyjskiej na wysłanie naszych dywizjonów do kraju...

Oddanie Brygady

W okresie od jesieni '43 do wiosny '44 toczyła się ożywiona wymiana depesz między Londynem a Warszawą, w której ewentualność powstania stanowiła temat główny. W marcu '44 rozpoczynają się formalne pertraktacje między Brytyjczykami, a polskim rządem i Naczelnym Wodzem na temat użycia Brygady Spadochronowej na froncie zachodnim. W trakcie paromiesięcznych rozmów i wymiany korespondencji strona polska wielokrotnie wysuwała – odrzucany przez Brytyjczyków – zamiar „użycia brygady w Kraju”. W „Słowie wstępnym” do książki St. Sosabowskiego „Najkrótszą drogą” gen. K. Sosnkowski pisze:

Gdy spór o przeznaczenie brygady wkroczył w stadium ostrzejsze, minister obrony narodowej i szef sztabu wodza naczelnego wypowiedzieli się kategorycznie za uwzględnieniem żądań brytyjskich. Generałowi Taborowi poleciłem przedstawić sytuację dowódcy Armii Krajowej i zażądać jego opinii. Opinia ta wypadła za czasowym oddaniem brygady do operacji inwazyjnych.

Odpowiedź gen. „Bora”, udzielona w depeszy z 29 marca, brzmiała:

Podziałamy pogląd Pana Generała na użycie Brygady Spadochronowej w inwazji w związku z propozycją przyjaciół. Z punktu widzenia potrzeb Kraju i zgodnie z naszym pragnieniem przybycia tej Brygady do nas w momencie rozstrzygającym, o ile takowy nastąpi, jest ważne, by decyzja o użyciu Brygady w inwazji nie odsunęła na bok sprawy możliwości przerzucenia jej do Kraju. Lawina 522.

Nota bene, do tego kluczowego dokumentu, prezentującego „pogląd” gen. Sosnkowskiego, nie możemy sięgnąć, ponieważ... nie ma go w archiwach Sztabu Naczelnego Wodza! Pod odpowiedzią gen. „Bora”, zamieszczoną w wydawnictwie „Armia Krajowa w dokumentach” znajdujemy odnośnik, w którym o depeszy, jaką gen. Tabor wysłał zgodnie z poleceniem Naczelnego Wodza do Warszawy, czytamy: „Depeszy N.W. 254 w archiwach nie znaleziono. Zapis w dz. pod. O.VI z roku 1944 pod liczbą 2309 brzmi: ‘Sprawa użycia Brygady Spadochronowej w działaniach inwazyjnych – uwagi’. Nadano do Lawiny 20 marca.” Treści tych uwag możemy się tylko domyślać na podstawie cytowanej odpowiedzi gen. „Bora”. A więc pod koniec marca Dowódca AK pozostaje w przekonaniu, że przerzucenie Brygady do Kraju nie jest wykluczone. Odpowiedź gen. „Bora” opatrzona jest przez wspomniane wyżej wydawnictwo z kolei następującym przypisem: „Ta dep. nie zyla [niewątpliwie powinno być ‘była’] notowana w dzien. pod O.VI. Jej tekst z IHMS (A.XII. 23/72/II)”. A więc z dwóch podstawowych dla naszych rozważań depesz – jedna się zachowała, a druga nie była odnotowana w dzienniku podawczym...

6 czerwca podpisane zostało porozumienie nie, jak pisze gen. Sosnkowski o „czasowym oddaniu brygady spadochronowej do operacji inwazyjnych”, lecz o ostatecznym przekazaniu jej pod dowództwo brytyjskie. Śladu, który wskazywałby na zawiadomienie Dowódcy AK o tej ostatecznej decyzji, nie znalazłem w dostępnych mi dokumentach i źródłach.

Równocześnie za i przeciw...

Nie sposób nie wspomnieć, że orientując się, iż Rosjanie podchodzą pod Warszawę i kierownictwo krajowe staje wobec konieczności podjęcia dramatycznych decyzji, wbrew opinii szefa swego Sztabu i ministra obrony narodowej, Naczelnny Wódz wyjeżdża 11 lipca na front włoski. Część historyków przypuszcza, że wyjechał tam po to, aby – znajdując się wśród swych żołnierzy – móc wypowiedzieć posłuszeństwo rządowi, gdyby premier Mikołajczyk poszedł w Moskwie na ustępstwa terytorialne. Natomiast wydaje się nie ulegać wątpliwości, iż wyjechał również po to, aby uniknąć zajęcia jednoznacznego i kategorycznego stanowiska wobec dylematu – jak ma w tej sytuacji postąpić Kraj? Jak pisze Józef Garliński w dziele „Polska w drugiej wojnie światowej” ostatnia przed wyjazdem depesza Naczelnego Wodza wysłana do Kraju „...była klasycznym przykładem jego sposobu myślenia, zawierała bowiem elementy za i przeciw postaniu”. Z kolei z Włoch wysyła gen. Sosnkowski do Warszawy serię depesz na tematy związane z powstaniem, które bądź do Dowódcy AK w ogóle nie docierają, bądź docierają już po jego wybuchu... Historycy oceniają, że depesze te pisane były głównie dla historii.

Również do historii skierowane są powojenne dywagacje gen. Sosnkowskiego na temat ewentualności użycia Brygady Spadochronowej w Powstaniu Warszawskim:

...żałować należy – pisze gen. Sosnkowski w cytowanym już wstępie – iż generał Sosabowski w swojej tak wyczerpującej książce pominął rozpatrzenie, czy pod względem technicznym i taktycznym operacja wsparcia powstania przez jego brygadę była w ogóle do przeprowadzenia w okolicznościach, jakie powstały już w pierwszych dniach boju w Warszawie. Niezmiernie ciekawa byłaby tutaj wspólna ocena dowódcy Armii Krajowej i generała Sosabowskiego. Jeden z nich zna dokładnie ówczesne warunki lokalne i terenowe, drugi jest rzeczoznawcą w zakresie możliwości i zasad użycia wojsk spadochronowych.

Po cóż rozważać „warunki lokalne i terenowe”, skoro sam Autor tych słów podpisał porozumienie o przekazaniu brygady armii brytyjskiej i doskonale od początku wiedział, że nie poleci ona do Warszawy?! Zapytać by raczej należało, czy uczynił wszystko, aby poinformować dowódcę AK o tym fakcie i czy wydał związane z tym jednoznaczne i jasne rozkazy?

W każdym razie – gen. „Bór” latem 1944 roku ma prawo sądzić, że brygada została oddana Anglikom „czasowo” i że jej przybycie do kraju nie jest wykluczone. Wydaje się, że nikt go z tego przekonania – aż do dnia 29 lipca, a więc już po podjęciu zasadniczej decyzji o wywołaniu powstania – nie wyprowadził! To zapewne było przyczyną faktu, że informując Londyn depeszą z 25 lipca o powziętej w kraju decyzji o nieuchronności powstania, gen. „Bór” podkreśli „olbrzymie znaczenie polityczne i taktyczne przybycia brygady spadochronowej do walki”. Przyszły następca „Bora” na stanowisku dowódcy Armii Krajowej – gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek” wprowadzie zameldował się do jego dyspozycji już 3 czerwca, podkreślmy jednak, że było to na trzy dni przed podjęciem w Londynie ostatecznej decyzji w sprawie Brygady, a przecież opuścił on Wielką Brytanię przed lotem do Polski z Włoch znacznie wcześniej! Jak brzmiała jego relacja na ten temat – nie wiemy, wiemy jednak, że był zdecydowanym zwolennikiem powstania jako niezbędnej manifestacji polityczno-wojskowej.

Spóźniony raport

Pełną jasność (jeśli rzeczywiście dotychczas jej nie miał) otrzyma dowódca AK właśnie 29 lipca w wyniku złożonej mu relacji przez doskonale poinformowanego kuriera, który, po rocznym pobycie w Londynie, poświęconym studiowaniu sytuacji politycznej i wojskowej w skali globalnej oraz perspektyw jej rozwoju, wrócił właśnie na spadochronie do okupowanego kraju i został wezwany dla złożenia wyczerpującego meldunku na posiedzeniu kierowniczego trzonu sztabu Komendy AK w mieszkaniu przy ul. Śliskiej 6. Ten dramatyczny moment kpt. „Jan Nowak” tak opisuje w cytowanej już

książce „Kurier z Warszawy”:

Już po kilku wstępnych zdaniach „Bór” przerywa pytaniem – Czy przywozi pan jakieś instrukcje albo rozkazy od Naczelnego Wodza?

Przystępuję do streszczania trzech wariantów przedstawionych przez Sosnkowskiego w altance w Algierze. „Bór” przerywa znowu lekceważącym machnięciem ręki.

– Panie, my to wszystko znamy już z depeesz. Kiedy rozmawiał pan ostatni raz z Generałem?

– Dwa tygodnie temu trzynastego lipca w Algierze.

– Jak to, przecież przed chwilą mówił pan, że leciał pan z Sosnkowskim do Włoch.

– Tak, ale czternastego lipca Generał kazał mi zameldować się na bazie w Brindisi, a sam poleciał dalej do II Korpusu. Od tego czasu nie miałem z Naczelnym Wodzem żadnego kontaktu.

„Bór” wymienia szybkie znaczące spojrzenie z „Grzegorzem” i każe mówić dalej (...) Moje sprawozdanie coraz częściej zaczynają przerywać ludzie przychodzący z miasta z informacjami o sytuacji wojskowej (...) Za każdym razem rozpoczyna się wymiana zdań, która pozwala mi się zorientować, że cały mój raport jest akademickim wykładem. Obecni zastanawiają się wyłącznie nad tym, czy już zaczynać, czy jeszcze czekać. Staje się jasne, że kości zostały rzucone, decyzja powzięta i wypadki przybrały bieg nieodwracalny. To samo wynikało z zadawanych mi pytań. „Bór” interesował się głównie tym, czy Warszawa może liczyć na masowe zrzuty broni i przysłanie Brygady Spadochronowej.

Na oba te pytania odpowiedziałem z całą stanowczością negatywnie. Podkreśliłem, że znam obie sprawy z pierwszej ręki. Generał Kopański poinformował mnie dokładnie o przebiegu rozmów z Anglikami, które zakończyły się oddaniem im brygady. Warunki wysunięte przez Sosnkowskiego zostały przez Montgomery'ego odrzucone. Brygada ma być użyta w najbliższym czasie w operacjach na froncie zachodnim i jest rzeczą nie do pomyślenia, aby w tej fazie Anglicy zgodzili się ją teraz oddać. Co do

zrzutów przedstawiłem brak załóg i maszyn operacyjnych w Brindisi, powołując się na to, co na wyjeździe mówił mi mjr Jazwiński. W chwili mego odlotu, na bazie było zaledwie sześć polskich załóg i dziewięć maszyn.

– No dobrze – przerwał mi ktoś z obecnych – ale mamy przecież własne dywizjony bombowe, które mogą być użyte w walce o Warszawę.

Wyjaśniłem, że nasze dywizjony stanowią organiczną część RAF-u, są zależne od jego służb lądowych i dostaw angielskich. Mikołajczyk mówił mi przed wyjazdem, że ma zamiar zwrócić się do samego Churchilla z żądaniem przesunięcia naszych maszyn i załóg do dywizjonu polskiego w Brindisi, ale Anglicy przywiązują większą wagę do bombardowania Niemiec. (...)

Tymczasem „Bór” decyduje, że musi przerwać mój raport, chociaż wie, że jest ważny i że nie wszystko zdążyłem powiedzieć.

„Chociaż wie, że jest ważny”... W depeszy, zawierającej meldunek sytuacyjny, wysłanej za podpisem gen. „Bora” 2 sierpnia o godz. 10.30, czytamy: „Zrzuty do Warszawy z amunicją i uzbrojeniem przeciwpancernym dajcie na Cmentarz Żydowski i plac Napoleona. Brygadę spadochronową dajcie w rejon Woli”. Po raz ostatni żądanie to znajdzie się w depeszy „Bora” z ósmego sierpnia: „Przysłanie Brygady Spadochronowej może przesądzić losy Warszawy. Są możliwości lądowania w Puszczy Kampinoskiej, która jest w naszych rękach. Uderzenie przez Wolę na Warszawę miałoby kolosalne znaczenie moralne i taktyczne. Żądamy tego wysiłku...” Czy i te depesze wysyłane były raczej dla historii, niż z nadzieją, że zaważą na losach Warszawy?

Brygada w siódmym tygodniu Powstania Warszawskiego została użyta w Holandii. Jej dowódca, gen. Stanisław Sosabowski, którego syn, młody oficer AK, zginął w tymże Powstaniu, do końca wojny był zdania, że była ona stworzona dla desantu w Kraju i gotowa do wykonania tego zadania.

Naczelny Wódz – komandosem?

Nieoczekiwany przyczynek do opisanych wydarzeń przyniosły po półwieczu paryskie *Zeszyty Historyczne*, zamieszczając w numerze 109 z roku 1994 następujący tekst Jerzego Giedroycia:

W sierpniu 1944 roku urzędowałem w Rzymie jako kierownik Wydziału Prasy i Wydawnictw II Korpusu. Sytuację polską uważałem za beznadziejną, a wybuch Powstania Warszawskiego za katastrofę. W tym czasie gen. Sosnkowski był we Włoszech. Dzięki życzliwości kpt. Ludwika Łubieńskiego – było to w sierpniu, dokładnej daty nie pamiętam – gen. Sosnkowski zgodził się przyjąć mnie w hotelu, w którym mieszkał.

Przedstawiłem Generałowi moją ocenę sytuacji – uważałem, że wchodzimy w noc i że za wszelką cenę trzeba zachować pewne imponderabilia, które byłyby drogowskazem na ciężki okres. Do takich imponderabiliów zaliczyłem legendę Naczelnego Wodza i wojska.

Krótko mówiąc, zaproponowałem Generałowi, żeby z małą grupą polskich żołnierzy skakał z samolotu do Warszawy. Dla Legendy trzeba było, by obok trupów żołnierzy AK znalazły się także Poland'y żołnierzy polskich walczących na Zachodzie;

Zdaję sobie sprawę, że to, co piszę, brzmi dzisiaj ogromnie melodramatycznie, ale dotąd jestem przekonany, że moja myśl wówczas była zimnie realistyczna. Zrozumiałe, że zgłosiłem się sam jako uczestnik lotu.

Byłem przyjęty przez Generała około godziny czternastej. Dyskusje, analizy, trwały do bardzo późnego popołudnia. W końcu Generał mój pomysł zaakceptował. Miałem się zameldować u niego następnego dnia. – Nie zostałem przyjęty...

Odprawa na Twardej

Wybiegliśmy nieco do przodu. Z dalekiego świata wielkiej polityki i naczelnich dowództw pragnąłbym – włączając

osobiste wspomnienie – wrócić do okupowanej Warszawy, do losów mojego pułku. Rzecz miała miejsce późną jesienią roku 1943, po ukończeniu przeze mnie szkoły podoficerskiej. Cały „rocznik” elewów tej szkoły (w sumie kilkunastu chłopców...) powołany został obok innych żołnierzy do osłony odprawy oficerów 7. pułku piechoty „Garłuch”, która odbywała się w pożydowskiej fabryczce pudełek kartonowych na Twardej, gdzie Treuhaender’em był mój dowódca plutonu – podchorąży Jan Adler („Róg”). Nauczone doświadczeniem tragedii we Włochach, dowództwo tym razem podjęło właściwe środki ostrożności. Uczestnicy odprawy mieli wyznaczoną drogę ucieczki przez mało dostępne zaplecza fabryczki, zaś pomieszczenie, w którym odbywała się odprawa, zostało otoczone dwoma lub trzema łańcuchami dobrze uzbrojonej obstawy: na zewnątrz, na parterze i – ostatnim – wokół kantoru o ściankach z tektury i dwóch wyjściach, gdzie zgromadzili się oficerowie. Każdy łańcuch otrzymał zadanie zatrzymania ewentualnego ataku przez czas możliwie najdłuższy – bez prawa odwrotu z zajmowanej linii – co miało zapewnić czas na ewakuację uczestników odprawy. Los przydzielił mi miejsce w łańcuchu ostatnim – ze stenem w rękach stałem przy kartonowej ścianie kantoru, przygotowany na to, że może to być moje ostatnie miejsce na ziemi. Wydaje mi się do dziś, że prowadził odprawę „skoczek z Londynu”, tak bowiem mówiło się wtedy o „Cichociemnych”.

Sens odprawy i omawianych (bardzo ogólnie) zadań był następujący. W dniu wybuchu powstania polskie i alianckie lotnictwo dokonuje nalotu na pozycje niemieckie na Okęciu. Równocześnie z ostatnimi bombami skaczą polscy spadochroniarze, każdy z nich ma dwa komplety uzbrojenia osobistego – dla siebie i dla jednego żołnierza z podziemia. Zrzucona zostaje także lekka artyleria, ckm-y... Żołnierze 7. pułku piechoty zgrupowani wokół lotniska, a dozbrowieni przez spadochroniarzy, uderzają wraz z nimi na sterroryzowanych dopiero co zakończonym nalotem Niemców, wspólnie opanowują lotnisko, na którym bezpośrednio potem lądują samoloty z dalszymi oddziałami Brygady Spadochronowej i sprzętem bojowym, nie wyłączając lekkich czołgów. Przybyłe oddziały stanowią trzon sił powstańczych i wokół nich skoncentrują

się zadania jednostek Armii Krajowej, rozlokowanych w różnych punktach miasta. Zadanie 7. pułku piechoty „Garłuch” konkretyzuje się więc w sposób następujący: po krótkiej, prowadzonej w warunkach przewagi strony polskiej, zarówno pod względem liczby wojska, jak i siły ognia, walce o opanowanie lotniska, jego żołnierze jakby wtapiają się w jednostki brygady, stają się ich wzmocnieniem i przewodnikami na drodze przez Rakowiec, Szczęśliwice, Pałuch, Zbarż – w kierunku Ochoty i Mokotowa. Stąd szczególne wymagania pod naszym adresem: muszą to być chłopcy dobrze wyszkoleni, odważni, rozgarnięci, doskonale znający zarówno samo otoczenie lotniska (co szczególnie ważne w pierwszej fazie walki), jak i teren pomiędzy Okęciami, a miastem. Wspomniano nawet o tym, że powinni być możliwie dobrze ubrani, schludni i posiadający przyzwoite obuwie, żeby jak najlepiej prezentować się, kiedy zwycięskie oddziały brygady i pułku wkraczać będą do Śródmieścia...

Dzięki tekturowym ścianom kantoru, wracałem po szczęśliwym zakończeniu odprawy w stanie bliskim euforii. Pozostałe do wybuchu miesiące upłynęły mi na intensywnym szkoleniu i poznawaniu terenu, na którym przyjdzie nam walczyć u boku żołnierzy brygady.

Próżne nadzieje

Cichociemny – mjr Jan Jokieli w epilogu do swej wspomnieniowej książki „Wróciłem ‘najkrótszą drogą’” pisze o końcowych latach okupacji:

Zadania, które otrzymałem, były trudne, ale jasno sprecyzowane. Należała do nich między innymi stała obserwacja lotniska Okęcie i sieci lotnisk wykorzystywanych przez jednostki Luftwaffe na terenie Polski i na zapleczu frontu wschodniego. Zbierałem dane dotyczące ruchu sił niemieckiego lotnictwa łącznie z identyfikacją poszczególnych dywizjonów i pułków. (...) Mjr Jokieli opowiada też o jednej z łapanek: W ramie roweru miałem wtedy ukryty szczegółowy plan lotniska Okęcie. Dokładnie przed

godziną w lokalu konspiracyjnym na Saskiej Kępie razem ze swoim kreślarką, studentem architektury, nanieśliśmy ostatnie zmiany w rozmieszczeniu stanowisk ogniowych artylerii przeciwlotniczej, reflektorów, zapór, płotów kolczastych i innych instalacji, które Niemcy umieścili na Okęciu. Przed wystąpieniem do Londynu plan miał być sfotografowany na mikrofilmie.... W dalszej części Epilogu czytamy: *W ostatnich dniach lipca czuło się atmosferę nalaadowaną piorunami. Trafiłem wtedy do grupy specjalistów, przewidzianych do szybkiego uruchomienia lotniska Okęcie w razie jego ewentualnego opanowania. Szefem tej grupy był mój serdeczny przyjaciel, Jan Olesiński, inżynier elektryk, absolwent Politechniki Warszawskiej. (Była to – jak sądzę – jedna z grup wchodzących w skład „Bazy Łużyce”). Spotkałem go w 1979 roku w dalekiej Brazylii (...) wróciliśmy pamięcią do naszego zadania w powstaniu. Wróciliśmy oczywiście mądrzejsi o to wszystko, co stało się na Okęciu po hazardowym ataku naszych chłopców. Zamiar opanowania lotniska, nafaszerowanego armatami przeciwlotniczymi i bronią maszynową, okazał się szaleństwem. Niemcy nie dali się zaskoczyć, za dobrze wiedzieli, jakie znaczenie ma dla nich Okęcie. Stąd właśnie startowały Stukasy na bombardowanie powstańczych barykad, a niejednemu z naszych zdawało się, że po zdobyciu lotniska zaczną na nim lądować alianckie samoloty z dostawami materiałowymi czy nawet strzelcami spadochronowymi z brygady generała Sosabowskiego. Próżne nadzieje i tym głębszy zawód.*

Może wśród towarzyszy broni mjr. Jokiela znajdował się ów oficer, który prowadził odprawę na Twardej? Jeśli tak, to czy przedstawiał sytuację według tego, „co mu się zdawało”, czy zgodnie z jakimś obowiązującym planem działań powstańczych?

Na Okęciu

Zachowały się notatki dowódcy 7. pułku piechoty „Garłuch” – mjr. Stanisława Babiarza („Wysockiego”), niezwykle

zresztą skąpe, a sporządzone najprawdopodobniej po wojnie. Czytamy w nich m.in.:

Mówi się o lotnictwie sprzymierzonych, jako pomocy do wzięcia Okęcia, ale to tylko pocieszanie, bo nie ma wspólnego omówienia zadania i środków łączności z lotnictwem. Warszawę weźmiemy sami (Powstańcy), jako stolicę, witając wkraczające oddziały rosyjskie i polskie, każdy dowódca ujawnia się ze swymi ludźmi.

1 sierpnia, dowódca 7. pułku piechoty uczestniczył w porannej odprawie u komendanta Okręgu Warszawskiego AK płk. A. Chruściela „Montera” na ul. Uniwersyteckiej, gdzie odebrał rozkaz zdobycia lotniska. Przed południem przeprowadził odprawę z dowódcami pododdziałów swojego pułku, poczem znalazł się w swym wyznaczonym z góry miejscu postoju na ul. Słowiczej 8 na Okęciu. Dowódca II batalionu 7. pp – mjr Aleksander Mazur („Zawisza”) zajął podstawę wyjściową w domu ogrodnika Józefa Ferencza przy tzw. „Czarnej Drodze”, w sąsiednich domach na Słowiczej, Czarnej Drodze, Szosie Krakowskiej i Włochowskiej skoncentrowany został jego batalion, którego liczebność na Okęciu kronikarz Powstania Warszawskiego St. Podlewski ocenia w książce „Wolność krzyżami się znaczy” na 400 ludzi. Kilka posesji od m.p. d-cy pułku, w domku Cytlinga na ul. Słowiczej zajęła podstawę wyjściową część 1. kompanii II batalionu pod dowództwem por. Stanisława Oleńskiego („Andrzeja”), w szeregach której i ja się znajdowałem. Batalion II miał za zadanie opanować bloki mieszkalne zajęte przez niemieckich lotników. Gdzieś niedaleko był ppor. Stefan Sosnowski „Rawa” z III batalionu, pododdziały te stanowiły osłonę kwatery dowódcy pułku. Po prawej stronie Szosy Krakowskiej zajęły podstawy wyjściowe kompanie II Batalionu: 2. (ppor. Jana Ponewczyńskiego „Jura”) i 4. (ppor. Kazimierza Rybickiego „Szreniawy”). Zadanie tych kompanii polegało na zdobyciu 18 dział przeciwlotniczych w pobliżu lotniska. Wieczorem nadszedł z 3. kompanią III batalionu por. inż. Szymon Bowbelski „Janicki”. Część żołnierzy tej kompanii zebrała się w domu przy Al. Krakowskiej 173/175. W rejonie wsi Zbarz

i Zagościniec (od strony Mokotowa) skoncentrowała się w siłę ok. 180 ludzi tzw. „Bateria Kuby” pod dowództwem ppor. Romualda Jakubowskiego.

Nie dotarł na podstawy wyjściowe prawie nikt z batalionu I, którego żołnierze rekrutowali się głównie z Włoch, odciętych od Okęcia linią stanowisk świeżo przybyłej niemieckiej brygady pancernej. W sumie d-ca 7. pułku piechoty dysponował na Okęciu około 800 bardzo słabo uzbrojonymi ludźmi. (Wielu żołnierzy tego pułku brało natomiast udział w powstaniu w innych częściach Warszawy, w szeregach innych jednostek.)

Stanisław Podlewski pisze w cytowanej już książce:

Około godziny 6 po południu mjr Wysocki wysłał pchor. „Sowę” (Jerzy Lutek) z meldunkiem do komendanta Okręgu Warszawskiego na Jasną 17, aby wobec braku broni odwołał uderzenie oddziałów pułku „Garłuch” na lotnisko Okęcie.

Myślę, że dowódca 7. pp. „Garłuch” nie tylko wysłał meldunek, ale już wówczas, albo wkrótce potem, odwołał swoje wcześniejsze rozkazy ataku na poszczególne obiekty wokół lotniska i nakazał pozostanie na podstawach wyjściowych. Meldunek, o którym pisze St. Podlewski, wysłany był zapewne z prośbą o akceptację tej decyzji i dalsze rozkazy.

Zagłada nie tylko „Baterii Kuby”

Jedynym pododdziałem 7. pułku piechoty, który wykonał rozkaz ataku, sformułowany przez mjr. „Wysockiego” na przedpołudniowej odprawie jako „wzięcie stanowisk nieprzyjaciela”, była „Bateria Anna”, zwana też „Baterią Kuby” od pseudonimu swojego dowódcy. Słowo „bateria” biorę w cudzysłów dlatego, że oddział ten miał z artylerią tyle tylko wspólnego, iż jego dowódca ppor. „Kuba” Romuald Jakubowski oraz d-ca jednego z plutonów – ppor. „Słoń” Zbigniew Jakubowski – byli elewami podchorążówki artylerii, a przy tym synami dowódcy 4. Pułku Artylerii Ciężkiej w

Poznaniu płk. dypl. Wiktora Jakubowskiego; zapewne było w oddziale prowadzone teoretyczne szkolenie artyleryjskie, zaś po oczekiwanym zwycięstwie miał on odtwarzać artylerię 7. pułku. W powstaniu był to pieszy oddział, taki sam, jak inne, w sile niepełnej kompanii, tyle tylko, że w jego szeregach walczyło znacznie więcej młodszych oficerów i podchorążych, niż przewidywały to etaty i chyba nieco lepiej wyposażony był w broń osobistą. Istnieją też informacje o wykonywaniu przez „baterię” (czy też przez jej dowódcę) zadań dla służb wywiadu Armii Krajowej. Osiągnięty wysoki stopień mobilizacji dobrze świadczy o panującej w „baterii” dyscyplinie, zaś poderwanie oddziału, uzbrojonego w pistolety i granaty oraz w 6 pistoletów maszynowych i 4 karabiny, do ataku na broniony przez gniazda ckm-ów wał ziemny, osłaniający lotnisko – o brawurze i samodzielności jego dowódcy. W czasie tego ataku, a także w wyniku dobijania i masakrowania rannych przez Niemców po walce, a nawet jeszcze 2 sierpnia – zginęło według różnych źródeł od 100 do 120 żołnierzy „baterii”. Uderzenie ruszyło o 17.00; w czasie jego trwania do zalegającej w polu pod ogniem niemieckich ckm-ów tyraliery doczołgał się ppor. „Adrian”, wołając: „Z rozkazu majora Wysockiego przerwać natychmiast natarcie i wycofać oddział na podstawę wyjściową!” Przyniesiony przez ppor. „Adriana” rozkaz, dotarł do „baterii” już po śmierci jej dowódcy, kiedy komendę przejął po nim brat – ppor. „Słoń”. I on zginie w czasie odwrotu. St. Podlewski przedstawia też taką oto scenę:

Niektórym powstańcom udaje się doczołgać do kartofliska, ukrywając się w głębokich bruzdach i leżąc tam do zmierzchu. Kpr. „Łysy” (Tadeusz Twardo) dostrzega jakieś postacie, słyszy słowa polskie, lecz się nie podnosi ani nie odzywa, poznaje po chwili ppor. „Piasta”, dowódcę plutonu. Ma rękę na temblaku. Wraz z nimi są dwie sanitariuszki. Podchodzi do nich i pyta:

- Jaka jest sytuacja?*
- Zupełnie dobra.*
- Jak to dobra. Nic nie rozumiem.*
- Desant wojsk alianckich opanował lotnisko na Okęciu, wojska radzieckie forsują mosty na Wiśle. Niemcy*

wieję z Warszawy aż się kurzy. Chodźcie z nami.

– Czyście poszaleli? Toż Niemcy z lotniska wysiekli cały nasz oddział... Nie idę z wami.

Ppor. „Piaś” i sanitariuszki oddalają się i w ciągu kilkunastu minut zostają zabici.

Być może ppor. „Piaś” brał również udział w odprawie na Twardej lub znał z drugiej ręki jej przebieg. Podobnie jak ja i wielu innych, uwierzył w nakreśloną tam wizję. Może potraktował ją zbyt dosłownie...

Słowo prawdy

W tym samym czasie, w innej części miasta, kapitan Zdzisław Jeziorański „Jan Nowak”, który przed kilkoma dniami składał raport Komendantowi Głównemu AK, przygotowuje na ulicy Jasnej pierwszą kwaterę Biura Informacji i Propagandy Głównej AK. Wspomni po latach w swej książce „Kurier z Warszawy”:

Konspiracja już się skończyła. Ktoś głośno powiada, że jestem skoczkiem dopiero co przybyłym z Londynu. Wśród zebranych, zwłaszcza wśród naszej zbrojnej eskorty, wywołuje to sensację. Patrzą na mnie, jak na nadprzyrodzone zjawisko. Zasypany zostaje pytaniami, kiedy skończy się wojna, kiedy przyjdą Anglicy czy Amerykanie. Czy będzie desant w Warszawie? Kłamię jak z nut. W tym momencie i nastroju za skarby świata nie zdobyłbym się na słowo prawdy.

A przecież kpt. „Jan Nowak” znał „słowo prawdy”, ba – znał całą prawdę. Był jednym z dwóch ludzi w Warszawie (obok gen. Okulickiego-„Niedźwiadka”), którzy na ten temat wiedzieli niemal wszystko. W Londynie poznał wojskowe i polityczne przesłanki stanowiska aliantów. A to święte kłamstwo pana oficera, pragnącego w tej wspianiałej ale i strasznej godzinie dodać otuchy młodziutkim żołnierzom – zbyt dokładnie wpisuje się w poetykę tamtych dni na Okęciu, abym

mógł go tutaj nie przywołać. Wróćmy jednak raz jeszcze do pułku.

1 sierpnia giną zaskoczeni przez wroga dowódca II batalionu mjr Aleksander Mazur „Zawisza” i st. sierżant Józef Ferenc „Badylarz”. Dalsze straty ponosi pułk 2 sierpnia. Powstańcy zgromadzeni w domu nr 173/175 przy Alei Krakowskiej (dowodził nimi mój bliski kolega, podchorąży Mieczysław Wesołowski „Kot”, chłopiec odważny i pełen fantazji, do powstania na Okęcie zajeżdżał zarekwirowanym wagonem tramwajowym z napisem „Sonderwagen”) zostają o świcie otoczeni przez Niemców, dom zostaje ostrzelany i spalony; od kul i w pożarze ginie po walce większość żołnierzy i sanitariuszek, nielicznym udaje się przeżyć – mimo pożaru – w piwnicy. Wśród poległych jest też podchorąży „Kot”. Zginęli także ppor. Szymon Bowbelski („Janicki”) i ppor. Jan Ponewczyński („Jur”); w czasie przedzierania się do Puszczy Kampinoskiej ginie por. Michał Rościszewski („Grot”), adiutant dowódcy pułku. Niektórym innym, w tym ppor. Stefanowi Sosnowskiemu („Rawie”) z grupą żołnierzy udaje się przedostać do Kampinosu, gdzie będą walczyć w szeregach tamtejszego zgrupowania Armii Krajowej. Tego samego dnia w pobliżu wsi Szczęśliwce Niemcy rozstrzelują 22 powstańców, zaś na fortach szczęśliwickich – sześciu chłopców (w tym jednego rannego) i dziewczyny. W utarczkach najczęściej zaskakiwani przez Niemców giną też inni, pojedynczy żołnierze „Garłucha”.

„Lawa” nie dotarł

O losy mojego pułku raz jeszcze zahaczają wspomnienia Cichociemnego, tym razem kpt. Tadeusza Gaworskiego („Lawy”) zamieszczone pt. „Z dziennika” w zbiorze „Drogi Cichociemnych”. Jego oddział walczył – od Puszczy Kampinoskiej, aż po Radomskie – do 8 października. W tym partyzanckim okresie żołnierze nosili na naramiennikach mundurów biało-czerwone szachownice, dzięki czemu – choć w tak symboliczny sposób – godło wojsk lotniczych zaistniało w AK-owskiej tradycji. Oto fragment „Dziennika”.

31 lipca 1944

Od kilku dni jesteśmy w stałym pogotowiu. Na wypadek wybuchu walki mamy zdobyć gmach dawnego Dowództwa Lotnictwa przy ulicy Puławskiej. Oddział mój liczy 65 ludzi, wyszkolonych bardzo dobrze; skoncentrowany jest w rejonie Politechniki. Stan uzbrojenia: 9 stenów, 5 kb, 46 pistoletów, 180 granatów, 3000 sztuk amunicji. W stosunku do innych oddziałów jest to uzbrojenie wspaniałe...

1 sierpnia

Z rozkazu „Dyrektora” 1) dostajemy nowe zadanie. Mamy wesprzeć natarcie „Bazy” na Okęcie; oddział ten jest podobno uzbrojony beznadziejnie. „Łoś” 2) zaznaja mi z planem akcji; po południu mamy jechać w teren.

Godzina 14.00 – dowiaduję się, że dziś o godzinie 17.00 mamy uderzać na Niemców. Melduję, że do nowego zadania jestem kompletnie nie przygotowany, proszę o pozwolenie na wykonanie poprzedniego. „Dyrektor” nie zgadza się... docieramy do pierwszych zabudowań Okęcia. Nawiązuję łączność z dowódcą 1 kompanii 7 pp. który informuje mnie, że „Baza” z powodu braku broni została rozpuszczona; natarcie na lotnisko nie udało się. 7 pp wycofuje się do Lasów Sękocińskich, gdzie ma otrzymać zaopatrzenie, broń i amunicję. Decyduję się iść z nimi.

2 sierpnia

Ranek zastaje nas w Szczęśliwcach, gdzie zostajemy ostrzelani ogniem broni maszynowej i granatnika. Na szczęście, bez ofiar. Strasznie zmęczeni i głodni, odpoczywamy przez 2 godziny w kopkach słomy, o 300 m od stanowiska niemieckiego reflektora. Stąd pojedynczo przekradamy się do zabudowań wsi Opacz Nowy, gdzie odpoczywamy do zmroku. Dołącza do nas sierżant „Kruk” z 6 ludźmi, przynosząc 3 steny. (...)

5 sierpnia

Wczoraj dołączył do nas por. „Nowina” z 24 ludźmi z 7 puł. Wieczorem wyruszyliśmy w lasy chojnowskie. (...).

W domku Cytlinga

Jak wspomniałem, 1 sierpnia po południu i ja znalazłem się na Okęciu, w „domku Cytlinga” na ulicy Słowiczej. Niech mi wolno będzie przytoczyć fragment notatek, spisanych bezpośrednio po wydarzeniach.

Nad wieczorem przyszły pierwsze wiadomości z Warszawy. Podobno akcja udana. Nareszcie nadszedł wóz z bronią. Ja ze Staszkiem objęliśmy służbę jako czujka. Dostaliśmy po dwa granaty (sidolki). Opowiadali nam o nich cuda. W każdym razie było co wziąć w rękę. Poza tym świadomość, że jest nas 20 chłopów, każdy z granatami, że mamy „Stena” dodawała otuchy i pewności siebie.

Zapadła noc. Z Warszawy słychać było bezustanny huk.

Od rana Niemcy z rzadka ostrzeliwują domek Cytlinga. Dlaczego nie ruszamy, na co czekamy? Dzień spędzamy częściowo w schronie, częściowo na strychu. W ciszę popołudnia wdzierają się trzaski rozpylacza. Wydaje się, że wali pod samym oknem. „Kola”, który pełnił służbę przy oknie, melduje, że Niemcy są na rogu, tuż koło nas. Kilku zwija kable, reszta rozłazi się po ogrodach. Wpada „Rawicz”: „wszyscy na strych!” Część lokuje się pod ścianami, „Witold” ze Stenem przy oknie. Ostrzeliwują domek obok kwatery „Rawy”. Stojący przy samochodzie żołnierz patrzy w naszą stronę, zdaje się, że w samo okienko. „Witold” odbezpiecza Stena. Niemiec zdejmuje karabin, opiera się o samochód i siada na stopniu. Patrzy w inną stronę. Jeszcze 20 minut napięcia, kręcą się, strzelają. Kilku pochyla się, karabiny na „gotuj broń” i idą w stronę naszej bramy. Cisza jest taka, że dzwoni mi w uszach. Przerywa ją warkot samochodu. Gwizdkiem ściągają tamtych. Odjeżdżają. Do pokoju wchodzi „Róg”. Spoglądam na niego – robi mi się zimno.

– Dziś do wieczora dom Cytlinga musi być opróżniony. Ludzie okęccy zabiorą po kilku warszawskich. Oddać wszystką broń.

Jest już i „Andrzej”. Cichym, drżącym głosem mówi:

– Kwatera nasza jest wysłiedzona. Łączność zerwana,

zabili mi dwóch gońców. W nocy prawdopodobnie spalał Cytlinga. Rozkazy od „Zawiszy” nie dochodzą. Na razie nie wychodzić, droga jest pod ostrzałem.

Pod oknem buchnął strzał. Wybiega Andrzej, za nim „Róg”. Chwytam go za rękę.

– Panie komendancie, a jeżeli akcja w Warszawie udana?

– To dowódca pułku będzie wisiał. Masz pan zmartwienie!?

Wiem, że tak nie myśli.

– Ale co robić? Co pan będzie robił?

W milczeniu podaje mi rękę.

Postanawiamy z Tadkiem przedrzeć się do Warszawy i szukać kontaktu z walczącymi oddziałami. Schodzę na dół, zgodnie z rozkazem, choć ze ściśniętym sercem oddaję broń: rzucam do kosza sidolki i FN-kę. Odpinam opaskę z rękawą.

Gdzieś w stronę Raszyna nad Szosą Krakowską unoszą się kłęby dymu. (Po wojnie dowiem się, że to płonęła kwatery żołnierzy podchorążego „Kota”.) Cichaczem przemykamy pod płotami, jeszcze kilka minut i – skok przez szosę. Mamy zamiar iść w kierunku Włoch. Deszcz zaczyna coraz bardziej, w oddali majaczy stojący samochód, padają strzały z tamtego kierunku, zbiegamy między domki. Na Szosie Szczęśliwickiej ostrzeliwują nas gdzieś od stacji EKD. Na nasypie dostrzegamy wartownika, zwróconego w naszą stronę. Miał nas jak na dłoni, a mimo to przeszliśmy przed nim ponad 800 metrów. Może wartownikowi nie chciało się wysuwać rąk spod przeciwdeszczowej peleryny, może spał na stojąco... Do domu na Opaczewskiej wszedłem jak nieprzytomny, jedynym moim pragnieniem było zapaść się pod ziemię...



Po paru dniach wpadłem w ręce kolaborujących z Niemcami oprawców z brygady RONA, przeszedłem „Zieleniak”, wyskoczyłem z pociągu wiozącego transport do obozu w Pruszkowie, powojowałem do połowy stycznia w oddziale AK w Miechowskim, ale to już zupełnie inna historia.

Jerzy Witold SOLECKI

DOKUMENTY

Grzegorz MAZUR

ROZMOWY POLSKO-UKRAIŃSKIE W RUMUNII W 1940 r.

Stosunki polsko-ukraińskie w czasie II wojny światowej należą do najbardziej dramatycznych epizodów w dziejach obu narodów. Miały wtedy miejsce bardzo krwawe konflikty, których następstwa w ich świadomości społecznej często ujawniają się do chwili obecnej. Z uznaniem należy podkreślić fakt pojawiania się coraz to nowych publikacji, ukazujących przebieg wydarzeń w spokojny i wyważony sposób.¹ Oprócz walk dochodziło też do rozmów i kontaktów na różnym szczeblu między obu stronami. Największe zasługi w ich zbadaniu do tej pory położył R. Torzecki, szczegółowo opisując genezę, przebieg i skutki zarówno konfliktów, jak i kontaktów na terenie Polski, politykę władz Rzeczypospolitej, kierowniczych kręgów ukraińskich, wreszcie politykę okupantów sowieckiego i niemieckiego.² Szereg spraw wymaga jednak przypomnienia i bardziej szczegółowego przedstawienia, aby posiadany obraz tych wydarzeń stał się bardziej pełny. Ważne jest ukazanie rozmów między

1. Spośród tych, które ostatnio się ukazały, należy odnotować przede wszystkim: A. L. Sowa, „Stosunki polsko-ukraińskie 1939-1947. Zarys problematyki”, Kraków 1998; G. Motyka, „Tak było w Bieszczadach. Walki polsko-ukraińskie 1943-1948”, W-wa 1999 oraz pięć tomów wydawnictwa w językach polskim i ukraińskim: „Polska – Ukraina: trudne pytania”, W-wa 1998-1999.

2. R. Torzecki, „Polacy i Ukraińcy. Sprawa ukraińska w czasie II wojny światowej na terenie II Rzeczypospolitej”, W-wa 1993.

politykami polskimi i ukraińskimi nie tylko w Polsce, lecz i w innych krajach oraz zaprezentowanie ich stanowisk i celów, do których oni dążyli.

Szczególne znaczenie – spośród rozmów odbywających się poza Polską – miały odbywające się w Rumunii, gdzie istniała silna mniejszość ukraińska. Ze strony polskiej brała w nich udział ambasada w Bukareszcie i konsulat w Czerniowcach. W opinii R. Torzeckiego, rozmówcami Polaków byli miejscowi „znani nacjonaści (...)

zasadnicze rozmowy miały miejsce w okresie listopad 1939 – luty 1940 r. Wszelkie tego typu rozmowy rozpoczynały się jak zwykle od prywatnych rozmów sondażowych”.³ Stąd też istotne znaczenie posiada prezentowany niżej dokument, jako ważki przyczynek do dziejów tych kontaktów. Uwagę czytelnika przykuwa w nim duża zbieżność oceny sytuacji ze strony Polaków i Ukraińców. Świadczy on o tym, że w Rumunii i jedni, i drudzy dostrzegali zagrożenie dla obu narodów, płynące ze strony III Rzeszy i ZSSR. Podkreślić też należy fakt, że był on adresowany do premiera W. Sikorskiego oraz grupy jego najbliższych współpracowników, co dobitnie świadczy o wadze, jaką przywiązywali oni do kwestii ukraińskiej. Istniały też oczywiście rozbieżności, które były nieuniknione i ostatecznie przyczyniły się do tego, że przeważały tendencje do rozwiązania drogą zbrojną istniejących spornych problemów. Niemniej jednak, prezentowany poniżej dokument należy opublikować, stanowi bowiem dowód podejmowania przez obie strony prób dojścia do porozumienia w pierwszym okresie II wojny światowej, zaś wiele zawartych w nim stwierdzeń – ośmielę się zauważyć – zachowało swoją aktualność do dnia dzisiejszego.

Poniższy dokument przechowywany jest w Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. W. Sikorskiego w Londynie (sygnatura: PRM 15A). Przeprowadzenie w nim kwerendy było możliwe dzięki stypendiom Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej, Fundacji Bankowej im. Leopolda Kronenberga i Fundacji Armii Krajowej, za co składam władzom tych instytucji serdeczne podziękowania.

Grzegorz MAZUR

3. R. Torzecki, s. 98.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych
Sekretariat Ministra
Do Sekretariatu
Pana Prezesa Rady Ministrów
w Angers
Sekretariat
Prezesa Rady Ministrów
wpłynęło d.... No 313/VII
załatw. d. ...

Angers,
dn. 13 stycznia 1940
Tajne

Z polecenia Pana Ministra przesyłam poniżej treść depe-
szy z Poselstwa RP w Bukareszcie z prośbą o przedłożenie jej
Panu Prezesowi Rady Ministrów.

„Bukareszt, dn. 12 I 1940.

Zorganizowana przez Ambasadę konferencja z Ukraiń-
cami odbyła się w dniu 10 i 11 stycznia. Z Ukraińców byli
senator Załoziecki⁴ i Serbeniuk⁵ z Bukowiny, poseł Gawryluk
z Besarabii,⁶ senator Michalski z Bukaresztu oraz Trepke,
Horodot⁷ i pułkownik Porhiwskij⁸ reprezentowali Petlurow-
ców.⁹ W czasie dyskusji politycznej ujawniła się silnie ten-
dencja Ukraińców nawiązania ścisłej z nami współpracy w

4. Wołodymyr Załoziecki-Sas (28 II 1884 – 13 II 1965), działacz ukraiński na Bukowinie, w latach 1918-1919 we władzach Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej (ZURL), od 1920 r. ponownie na Bukowinie, współtwórca i przewodniczący w latach 1927-1938 Ukraińskiej Partii Narodowej (UNP) na Bukowinie, rumuński senator 1928-1932 i 1934-1938 oraz członek parlamentu rumuńskiego 1932-1934. W 1940 r. przewodniczący Ukraińskiej Narodowej Hromady w Rumunii, w 1944 r. wyemigrował do Austrii, gdzie zmarł.

5. Chodzi najprawdopodobniej o Jurija Serbyniuka (ur. 1887), sekretarza generalnego UNP w latach 1927-1938, członka rumuńskiego parlamentu 1932-1933 (zob.: Kubijowych V. red., *Encyclopedia of Ukraine*, t.1-5), choć R. Torzecki, s.98, podaje nazwisko S. Serbeniuk.

6. R. Torzecki, s.98, podaje nazwisko: Hawryluk.

7. W dalszej części dokumentu figuruje jako Herodot. Nie udało się ustalić prawidłowego brzmienia nazwiska oraz innych szczegółów biograficznych.

8. W dalszej części dokumentu figuruje jako Porohowski. Nie udało się ustalić prawidłowego brzmienia nazwiska oraz innych szczegółów biograficznych.

9. Zwoleńnicy Semena Petlury (10 V 1879 – 25 V 1926), wybitnego ukraińskiego działacza niepodległościowego.

Rumunii jak również na terenie międzynarodowym oraz nie wysuwania momentów drażliwych. Powszechność nie tylko antysowieckich, ale i antyniemieckich akcentów. Został wyłoniony 6-cio osobowy mieszany komitet współpracy. Komitet ten w dniu dzisiejszym rozpoczął działalność od ustalenia zasady wspólnej akcji prasowej, propagandowej. Został zaakceptowany cały szereg wspólnych zasadniczych tez politycznych. Tak konferencja, jak i komitet noszą charakter nieoficjalny i poufny. Szczegóły prześlę raportem. Dla nawiązania kontaktu z Prokopowiczem¹⁰ i Szulginem¹¹ w dniu dzisiejszym wyjeżdża do Paryża pułkownik Porhiwskij. Wyjazd Załozieckiego lub Serbeniuka jest również przewidywany.

Tomaszewski
Sekretarz Ministra

Ambasada
Rzeczypospolitej Polskiej
w Bukareszcie
Parc Filipescu
Alea Alexandru 23.
Nr 851/4/2.
Sekretariat
Prezesa Rady Ministrów
wpłynęło d.... No 525/XVIII
załatw. d. ...

Bukareszt,
dn. 13 stycznia 1940 r.
Tajne

Do Pana Prezesa Rady Ministrów
w Angers

Jak już donosiłem w poprzednich raportach, w wyniku zbliżenia niemiecko-sowieckiego, wkroczenia wojsk sowieckich do Polski, a następnie coraz ściślej zaznaczającej się współpracy niemiecko-sowieckiej, widoczna była zasadnicza

10. Władysław Prokopowycz (10 VI 1881 – 7 VI 1942), wybitny polityk ukraiński, w owym czasie prezydent Ukraińskiej Republiki Ludowej na emigracji.

11. Ołeksander Szulgin (30 VII 1889 – 4 III 1960), minister spraw zagranicznych rządu Ukraińskiej Republiki Ludowej na emigracji.

ewolucja nastrojów w tutejszych kołach ukraińskich. Obserwowałem ją tym uważniej, że teren tutejszy posiada dla stanowiska emigracji ukraińskiej poważne znaczenie. Ukraińcy w Rumunii, jakkolwiek liczba ich nie dochodzi do miliona, są obecnie jedyną już mniejszością ukraińską, mającą możliwości względnie swobodnego rozwoju i prowadzenia własnej polityki.

Gdy pierwsze kontakty z przedstawicielami ukraińskimi wykazały głęboką deceptję wobec wiązanych jeszcze z polityką niemiecką pewnych nadziei – postanowiłem wykorzystać tę ewolucję, ujmując inicjatywę zetknięcia się z możliwie szerokim gronem przedstawicieli społeczeństwa ukraińskiego dla poruszenia z nimi zarówno spraw praktycznego współdziałania na terenie Rumunii, jak i wspólnego omówienia zagadnień ogólnych interesujących politykę polską i ukraińską.

Inicjatywa tej konferencji spotkała się z jak najsympatyczniejszym oddźwiękiem zarówno ze strony przedstawicieli mniejszości ukraińskiej jak i tutejszego ośrodka petlurowskiego. Jak to wynikało z dyskusji samo zaproszenie zbiorowe przedstawicieli ukraińskich przez Ambasadę uznane zostało przez Ukraińców za gest pojednawczy.

W konferencjach, które odbyły się w dniach 10 i 11 stycznia w Bukareszcie wzięli udział wszyscy zaproszeni. Uczestniczyli więc senator Załoziecki i redaktor Serbeniuk z Bukowiny, senator Gawryluk z Besarabii, adwokat senator Michalski z Bukaresztu oraz przedstawiciele b. misji rządu petlurowskiego: dyrektor Trepke, redaktor Herodot oraz płk Porohowski.

Przedstawiceli mniejszości ukraińskich należy uważać za istotnych reprezentantów ludności na tutejszym terenie. Senator Załoziecki i redaktor „Nowej Rady” wychodzącej na terenie Czerniowiec, najenergiczniejszy z działaczy ukraińskich na Bukowinie – Serbeniuk są przywódcami ukraińskiej organizacji narodowej, która jest ukraińskim odpowiednikiem UNDA (Ukraińskiej Narodowej Demokracji).¹² Ta politycz-

12. UNDO (Ukrajinske Nacionalno-Demokratyczne Obiednannia – Ukraińskie Zjednoczenie Narodowo-Demokratyczne), powstała w 1925 r., była najbardziej wpływową partią ukraińską w II Rzeczypospolitej.

na grupa bukowinińska obejmuje całość aktywnych czynników ukraińskich Bukowiny i powiatu chocimskiego. Konkurencja wpływów bolszewickich na tym terenie od roku 1933 po wielkich represjach bolszewickich na Wielkiej Ukrainie¹³ wydatnie osłabła. Także wpływy skrajnie nacjonalistycznego ugrupowania OUN¹⁴ dość silne do niedawna na tym terenie – załamały się po kryzysie doznanym przez tę grupę na skutek niemieckiego desinteresment zagadnieniem karpato-ruskim i nie podtrzymania przez politykę niemiecką rządów Wołoszyna.¹⁵ Obecne współdziałanie sowiecko-niemieckie jest dalszym ciosem dla wpływów ekstermistów nacjonalistycznych.

Senator Załoziecki dawny poseł do Parlamentu wiedeńskiego i senator kilku kadencji w senacie rumuńskim jest największym autorytetem wśród Ukraińców bukowinińskich, redaktor zaś Serbeniuk najruchliwszym propagandystą Ukraińców bukowinińskich.

Poseł Gawryluk, przywódca Ukraińców mieszkających w Besarabii, b. poseł do konstytuanty rosyjskiej jest ogólnie w Besarabii uznanym autorytetem.

Trzej dalsi uczestnicy konferencji reprezentowali emigrację ukraińską. P. Trepke b. *attaché* wojskowy ukraiński rządów Petlury – obecnie szef misji ukraińskiej, redaktor Herodot – kierownik agencji ukraińskiej na Bałkanach, wreszcie płk Porohowski – organizator Związku Byłych Wojskowych.

Konferencji nadany został nieobowiązujący, raczej towarzyski charakter. Wszyscy uczestnicy zaproszeni zostali na śniadanie, poczem w sąsiednim pokoju zaczęła się rozmowa, którą zagałęm krótko, witając przedstawicieli społeczeństwa ukraińskiego i wyrażając radość, iż jest mi danem wymienić z nimi myśli na temat wspólnych trosk i interesów.

Całość poruszonych zagadnień ujęta została w trzech częściach. W dwóch pierwszych, które poszły na wstęp dyskusji poruszone zostały zagadnienia konkretne, tj. zagadnienia

13. Chodzi o Ukraińską Socjalistyczną Republikę Sowiecką (USRS).

14. Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów, powstała w 1929 r.

15. Augustyn Wołoszyn (17 III 1874 – 19 VII 1945), ukraiński polityk w Czechosłowacji, ogłosił samodzielne państwo pod nazwą Karpacka Ukraina 15 III 1939, które tego samego dnia przestało istnieć okupowane przez armię węgierską.

mniejszości polskiej i ukraińskiej w Rumunii oraz – zagadnienia współpracy prasowej, przede wszystkim w granicach Rumunii, a w miarę możliwości i na innych terenach emigracyjnych.

Dopiero po wyczerpaniu spraw konkretnych rozwinęła się dyskusja na tematy ogólnopolityczne dla zapoznania się z nastrojami przedstawicieli ukraińskich, a jednocześnie poinformowania ich o naszym punkcie widzenia i naszych możliwościach współdziałania z akcją ukraińską. Zaraz przy pierwszej wymianie zdań Ukraińcy, wychodząc z założenia, że samo zaproszenie było już pojednawczym gestem pod ich adresem odsunęli formułę „wzajemnej nieagresji” i położyli nacisk na aktualność współpracy merytorycznej pod hasłem obrony niepodległości i państwowości z każdej strony.

Wszystkie trzy momenty: mniejszościowy, prasowy i ogólnopolityczny znalazły oświetlenia zarówno przedstawicieli strony polskiej, jak i ukraińskiej.

Ze strony polskiej poza mną wzięli udział w obradach p. minister Poniński¹⁶, kierownik Biura Prasowego p. Łączkowski, pp. Giedroyc¹⁷ i Wolski.¹⁸ Brali dalej udział w obradach p. konsul w Czerniowcach Bujnowski, przedstawiciel mniejszości polskiej na Bukowinie – senator Czerkawski, poseł Ciołkosz¹⁹ oraz b. redaktor „Biuletynu polsko-ukraińskiego” p. Włodzimierz Bączkowski.²⁰

O zagadnieniach mniejszościowych mówili, jako reprezentanci Bukowiny senator Załoziecki i senator Czerkawski, o zagadnieniu współpracy prasowej – p. dyrektor Łączkowski

16. Alfred Poniński (1896-1968), dyplomata, radca poselstwa w Bukareszcie 1935-1940.

17. Jerzy Giedroyc był w owym czasie pracownikiem Ambasady RP w Bukareszcie.

18. Władysław Wolski (1904-1977), urzędnik MSZ. Przed wojną pracownik Poselstwa Polskiego w Bukareszcie, później wydział prasowy MSZ, w tym okresie pracownik w Ambasadzie RP.

19. Adam Ciołkosz (1901-1978), wybitny działacz PPS, w czasie II wojny światowej sekretarz generalny Centralnego Komitetu Wykonawczego PPS na emigracji.

20. Jedną z czołowych postaci przedwojennego ruchu „prometejskiego”, publicysta, w latach 1930-1939 redaktor „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego i kwartalnika „Wschód”.

i red. Herodot, o problemach ogólnopolitycznych pp. Wolski i Trepke.

Referaty i dyskusja, jakkolwiek w znacznej mierze uprzednio przygotowane nosiły zewnętrznie charakter zaimprovizowanych wypowiedzi. Nastrój w jakim odbywała się konferencja i zasadnicza treść wszystkich przemówień wskazywała na tendencje przekreślenia sporów i obciążeń przeszłości, uznania, iż sytuacja obecna wymaga solidarnego współdziałania w głównych przynajmniej liniach. W szczególności ze strony ukraińskiej wykazano zrozumienie, iż dyplomacja polska i polska propaganda mogłyby oddać ogromne usługi sprawie ukraińskiej oraz ustosunkowaniu do tego problemu Zachodu. Na ogół dyskusja nie wykazała rozdzźwięków, poza pewnymi akcentami w przemówieniach przedstawicieli mniejszości, gdzie rozmaite spory lokalne z przeszłości ciążyły nieco nad zagadnieniami ogólnopolitycznymi.

Niemniej przemówienia senatorów Załozieckiego i Czerkawskiego wykazały wyraźną chęć porozumienia i stwierdziły, że na terenie Bukowiny żaden głębszy rozdzźwięk i żadna sprzeczność interesów między obu mniejszościami nie istnieje.

O wiele więcej momentów konkretnych wniosły do dyskusji przemówienia dyr. Łączkowskiego i red. Herodota. Dyr. Łączkowski wskazawszy, iż zarówno Polacy, jak i Ukraińcy stanowią narody żywo rozbudzonych nacjonalizmów i że ich położenie ogólne skłaniać je winno do współdziałania, nie zaś do walki wzajemnej – podkreślił szereg momentów praktycznego współdziałania propagandy polskiej i ukraińskiej. Prasa polska i ukraińska wychodząca na terenie Rumunii powinna możliwie obszernie poruszać wzajemnie zagadnienia polskie i ukraińskie. Aparat polskiej agencji prasowej mógłby się również znakomicie przyczynić do propagandy w sprawach ukraińskich. Dyr. Łączkowski sugerował wreszcie stworzenie stałego komitetu współpracy polsko-ukraińskiej z siedzibą w Bukareszcie i przy współpracy Czerniowiec. Komitet ten zajmowałby się realizacją wszystkich powyższych zadań i mógłby przystąpić do opracowania wspólnych tez propagandowo-politycznych, w tych dziedzinach w których wspólność interesów polskich i ukraińskich jest niewątpliwa. Poruszył wreszcie możliwość stworzenia w najbliższym czasie biuletynu pol-

sko-ukraińskiego, który mógłby się ukazywać jako organ komitetu współpracy.

W zakończeniu dyr. Łączkowski zreferował projekt tez propagandowych, które stałyby się podstawą wspólnej akcji polsko-ukraińskiej (tezy te zostaną przesłane razem z projektem całości tez propagandowych w najbliższym czasie).

Dyskusja polityczna odbyła się następnego dnia zagajona przez pp. Wolskiego i Trepkego. P. Wolski zaczął od stwierdzenia, że system powojenny zrealizowawszy hasło wolności ludów w środkowej Europie, a pozostawiwszy wschód w sferze interesów życiowych Rosji nie stworzył dla Europy jednolitego systemu politycznego. Istnienie na wschodzie jednolitego organizmu rosyjskiego umożliwiło agresję niemiecką, po ponownym nawiązaniu niemiecko-rosyjskiej współpracy. Niebezpieczeństwa tej współpracy w przyszłości można będzie uniknąć tylko przez rozbitcie jednolitości tych organizmów, w szczególności rosyjskiego – przede wszystkim przez stworzenie niepodległej Ukrainy. Rosja wbrew pozorom siły, jak wykazuje wojna finlandzka,²¹ straciwszy swój rewolucyjny dynamizm słabnie. Istnienie niepodległej Ukrainy jest nie do pomyślenia bez silnej Polski, bez niepodległej zaś Ukrainy Polska zagrożona będzie zawsze możliwością porozumienia niemiecko-sowieckiego.

Wywody p. Trepkego szły w analogicznym kierunku. Wykazywał on na przykładach historycznych efektywność współdziałania ukraińsko-polskiego i niebezpieczeństwa dla obu narodów płynące z wzajemnej walki i wrogości.

P. Trepke pomijając sprawę granic polsko-ukraińskich zaznaczył, iż czynnikiem cementującym Polskę i Ukrainę będą nie tylko ich wspólne interesa, ale także szczere porozumienie, które by zabezpieczyło interesy etniczne całej polskiej ludności, żyjącej na terytorium ukraińskim i całej ukraińskiej, która znajdzie się na terytorium Rzeczypospolitej.

Podkreśliwszy istnienie nadal legalnego rządu ukraińskiego²² i pewne postępy w zrozumieniu zagadnienia ukraińskie-

21. Tzw. wojna zimowa, będąca agresją ZSSR na Finlandię od 30 XI 1939 r. do 12 III 1940 r.

22. Chodzi o emigracyjny rząd ukraiński, nie posiadający jednak uznania na arenie międzynarodowej.

go przez Zachód, zwłaszcza prasę francuską, p. Trepke podkreśla wielkie możliwości polskiej dyplomacji dla propagandy i rozwiązania sprawy ukraińskiej, poczem dziękował za życzliwy stosunek Ambasady do spraw ukraińskich.

P. dyr. Łączkowski podkreślał w przemówieniu silne więzy interesów wspólnych i relatywnie małą wagę zagadnień spornych dzielących oba kraje. Polska nie jest krajem nieograniczonego parcia na wschód, ale i Ukraina nie może myśleć w swojej sytuacji o nadmiernej ekspansji na zachód.

Pod tym względem polska myśl polityczna w okresie ostatnich lat dwudziestu określiła zasięg polskiej ekspansji na wschodzie. Nikt z Polaków nie sięga po Kijów czy Kamieniec. Myśl ukraińska musi z kolei podobnie zakreślić granice ekspansji na zachód.

Posel Gawryluk podkreśliwszy, iż w przeciwieństwie do przedstawicieli b. misji petlurowskiej, reprezentanci ukraińskiej mniejszości nie są czynnikiem całkiem niezależnym, stwierdza, iż ludność ukraińska w Rumunii jest całym sercem nie tylko z ludnością Wielkiej Ukrainy, ale także i z ludnością polską, cierpiącą strasznie w walce o niepodległość.

Senator Załoziecki nawiązując do przemówienia posła Gawryluka zaznacza, iż neutralność kraju, którego Ukraińcy są obywatelami, nie przeszkadza im być w myśli zjednoczonymi z całym narodem ukraińskim. Polacy i Ukraińcy opierając się o siebie, muszą się wspólnie bronić. Polacy przed naciskiem Niemców, Ukraińcy – przed moskiewskim. Współdziałanie obu tych narodów – powinno być prawdziwym paktem antykominternowskim. Trzeba ustalić zasadę tego współdziałania, a przede wszystkim dbać, żeby znalazło ono jak najszybszy wyraz w prasie.

Posel Ciołkosz w wygłoszonym przemówieniu zaznacza, że jako niepojędzeni o niechęć do Ukraińców chce im zwrócić uwagę, iż nie tylko akcja dyplomacji polskiej, lecz i ich własny wysiłek powinien się przyczynić do rozszerzania znajomości zagadnienia ukraińskiego na zachodzie. Ukraińcy, którzy zbyt jednostronnie pracowali nad propagandą zagadnienia ukraińskiego w Niemczech, powinni zwrócić uwagę przede wszystkim na zachód Europy.

Praca obustronna powinna polegać na tym, aby przygo-

tować moment zakończenia wojny, aby nie powtórzył się rok 1918, który kosztował tyle przelanej krwi polskiej i ukraińskiej. Będzie to tym łatwiejsze, iż życiowe ośrodki gospodarki i kultury ukraińskiej leżą na wschodzie. To nie Lwów, nie Przemyśl, lecz Kijów i Zagłębie Donieckie stanowią istotne centra Ukrainy.

Naród ukraiński i ta jego część, która znajduje się w Małopolsce Wschodniej żyje obecnie pod uciskiem, zagrożone w swym życiu kulturalnym i religijnym, a w istocie – mimo swobody używania języka także we wszystkich swych najistotniejszych prawach narodowych.

W zakończeniu przemawiał senator Czerkawski. Obok stwierdzenia, iż między mniejszością polską a ukraińską na terenie Rumunii nie istnieją żadne konflikty, senator Czerkawski przeprowadził dość długą polemikę z niektórymi mówcami, wyrażając obawy, czy naród ukraiński jest tak samo zjednoczony w swoich dążeniach, jak całkowicie zjednoczony jest naród polski.

Wobec pewnych akcentów, które znalazły się w przemówieniu senatora Czerkawskiego, w zakończeniu dyskusji zabrałem głos, stwierdzając, iż Ukraińcy będą musieli na swojej drodze do wolności przezwyciężyć bardzo wiele trudności. Jedną z nich jest niesłuchanie mała znajomość spraw wschodnioeuropejskich w świecie i fetysz zjednoczonej Rosji. Komplikuje to chęć zorganizowania Europy powojennej na podstawie jakichś większych bloków ekonomicznych. W tej dziedzinie musi nastąpić kooperacja propagandy ukraińskiej ze współpracą polskiej dyplomacji i polskiej propagandy. Jest to dla Ukraińców tym ważniejsze, iż świat nie będąc dostatecznie poinformowanym o Ukrainie wie za to wiele o krwawych konfliktach polsko-ukraińskich. Poparcie polskie w tych warunkach może być więc poparciem nie podejrzanym.

Po zakończeniu dyskusji red. Serbeniuk zaproponował wyłonienie Komitetu porozumienia polsko-ukraińskiego, złożonego z 6 osób. Ze strony polskiej wybrani zostali: dyr. Łączkowski, p. Wolski i p. Bączkowski, ze strony zaś ukraińskiej red. Serbeniuk, poseł Gawryluk i red. Herodot. Kom-

sja, która na przewodniczącego wybrała dyr. Łączkowskiego i red. Serbeniuka przystąpiła już do pracy.

Jakkolwiek dyskusja umyślnie utrzymana była na razie w ogólnikach, za wyjątkiem projektów współdziałania prasowego, odniosłem jak najpozytywniejsze wrażenie, zarówno z samej dyskusji, jak i z rozmów z uczestnikami konferencji. Liczne podziękowania ze strony ukraińskiej w zakończeniu zebrania, specjalne podkreślone podziękowanie Załozieckiego, który robiąc aluzję do sprawy nominacji senatorów ukraińskich podkreślił, iż „kiedy od strony Ambasady Polskiej powiał inny wiatr wywarło to wpływ dodatni na pozycję mniejszości ukraińskiej wobec rządu rumuńskiego”, wskazując iż Ukraińcy, a przynajmniej te czynniki, które brały udział w konferencji doceniają wartość współpracy polskiej. Korzystając z tego nastroju w rozmowach kładłem nacisk na konieczność możliwie szerokiej konsolidacji tych ukraińskich elementów, które znalazły się na emigracji poza terenami, znajdującymi się w granicach lub pod okupacją Niemiec i ZSRR.

Chodziłoby tu więc o porozumienie dla wyłonienia jakiejś wspólnej reprezentacji lub komisji porozumiewawczej, przy współudziale nie tylko odłamów petlurowskich, ale i niedobitków UNDA, a przede wszystkim tej części nacjonalistów ukraińskich, która pod wpływem porozumienia sowiecko-niemieckiego ma tendencje do wyzwalania się spod swojego germanofilskiego kierownictwa. Mogłyby to być ewent[ualnie] do tego porozumienia przyciągnięte także odłamki zwolenników Skoropadskiego,²³ rozporządzające znacznymi wpływami na terenie Kanady i Stanów Zjednoczonych.

Pod tym kątem widzenia przeprowadzona została rozmowa z wyjeżdżającym dziś do Paryża płk. Porohowskim. W najbliższych dniach wyjedzie do Paryża przedstawiciel Ukraińców bukowińskich – prawdopodobnie p. Serbeniuk.

23. Zwolennicy hetmana Pawła Skoropadskiego (15 V 1873 – 26 IV 1945), byłego generała carskiej armii, walczącego o niepodległą Ukrainę w latach 1917-1918.

Będę go również w tym kierunku jak najsilniej inspirował.

Próba współpracy przedsięwzięta na terenie Rumunii musiałaby być rozszerzona i na inne tereny. Projekty i sugestie w tej dziedzinie pozwolę sobie przesłać w najbliższym czasie.

*Ambasador R.P.
R. Raczyński²⁴*

Odpisy otrzymują:

P. Minister Spraw Zagranicznych²⁵

P. Minister St. Kot²⁶

P. Minister St. Stroński²⁷

P. Generał K. Sosnkowski²⁸

Ambasada RP w Paryżu²⁹

Ambasada RP w Londynie³⁰

24. Podpis odręczny. Roger Raczyński (8 XII 1889 – 10 XI 1945) był wtedy ambasadorem RP w Bukareszcie.

25. Funkcję tę pełnił wtedy August Zaleski (30 IX 1883 – 7 IV 1972).

26. Stanisław Kot (22 X 1885 – 26 XII 1975) był wtedy ministrem bez teki.

27. Stanisław Stroński (18 VIII 1882 – 20 X 1955) był wicepremierem oraz ministrem informacji i dokumentacji.

28. Gen. Kazimierz Sosnkowski (19 XI 1885 – 11 X 1969) w owym czasie pełnił kilka funkcji: był następcą prezydenta W. Raczkiewicza, ministrem bez teki, przewodniczącym Komitetu Rady Ministrów do spraw Kraju, przewodniczącym Komitetu Politycznego Rady Ministrów oraz komendantem głównym ZWZ.

29. Ambasadorem RP w Paryżu był wtedy Juliusz Łukasiewicz (6 V 1892 – 6 IV 1951).

30. Ambasadorem RP w Londynie był wtedy Edward Raczyński (19 XII 1891 – 30 VII 1993).

Doman ROGOYSKI

LIST DOMANA ROGOYSKIEGO DO
WŁADYSŁAWA POBOGA-MALINOWSKIEGO
Z 31 MARCA 1945 R.

Relacja o losach ministra Józefa Becka w Rumunii
(1939-1944)

Londyn, 31 marca 1945

Kochany Panie Władysławie!

Otrzymałem Pański długi list kilka dni temu, i korzystam z okazji świąt, by na niego możliwie dokładnie odpowiedzieć, naglony terminem, jaki mi Pan wskazał. Muszę przyznać, że trudno mi przychodzi pisać długie listy, raczej należę do znanej w Polsce kategorii ludzi tzw. „niepiśmionych” – żałuję też, że okoliczności nie składają się tak, bym mógł Panu rzeczy opowiedzieć zamiast napisać.

Cieszę się bardzo, że mam wieści od Pana i że życie Pańskie i Pańskiej rodziny zaczyna się normalizować – w miarę naturalnie jak to jest możliwe dla Polaków w obecnych czasach. Dzieli nas od początku wojny bardzo dużo każdego od tego zwykłego życia „burżujskiego”, a nie wiemy, co jest przed nami. Z tym większą radością przyjmuję Pańskie miłe informacje o Jego pracy i aktywności, pomimo chorób i zmartwień. Chętnie też w skromnej mierze przyczynię się do tego, by, jak Pan sobie życzył w Swym liście, dostarczyć do tej pracy informacji, na czym zresztą w danym wypadku pewnie zależy nam obu w zupełnie równej mierze.

Zaczynam:

Kwiaty, o których Pan wspomina, nadeszły i owszem, i więcej domysliłiśmy się jak na pewno wiedzieli, od kogo. Teraz wiemy. Pani Dziuba z córką są i wzgl[ędnie] były do

niedawna w Rzymie, najłatwiej do nich pisać przez Ambasadę naszą przy Watykanie. Tam też – przez kuriera – należałoby się dowiadywać o prace Szefa. W każdym razie są zabezpieczone, tylko ja sam nie znam szczegółów. W Rzymie nie byłem po Pańskim wyjeździe stamtąd w 1940 r. i nie wiem jak sprawa papierów się ma – niemniej nie mam obaw co do tego, że są w dobrym ręku, poza tym nie był to jedyny egzemplarz. Sewer [Sokołowski] i Tomir [Drymmer] są pod Kairem, w wojsku. Obu widziałem, gdy przejeżdżałem przez Kair w drodze do Londynu. Są w dobrej formie. Pisałem stąd do żony Sewera, w ogóle pisałem do Kairu, ale nikt mi dotychczas na moje listy nie odpowiedział. Myślę jednak, że mógłby Pan śmiało do Sewera napisać, stare a małe nieporozumienie z jego żoną nie mogą mieć zbyt wielkiego znaczenia. Nie znam w tej chwili jego wojskowego adresu, można jednak chyba zawsze pisać na nasze Poselstwo w Kairze, dla niego, albo przez Komendę Placu, albo przez Wydział Wojskowy Delegata Rządu (ta ostatnia instytucja jednak zdaje się nie ma być utrzymana, gdyż nie ma dziś ona sensu, a jej kierownik p. [Henryk] Strassburger u nikogo entuzjazmu nie wzbudził).

Sewer brał udział w przygotowaniach do ucieczki Szefa, wpadł tak jak my wszyscy i na żądanie policji rumuńskiej wyjechał następnie, gdy nas zwolniono z aresztu, do Turcji, gdzie była jego żona. Jego dalszych kolei nie znam dokładnie, w każdym razie siedział jako uchodźca cywilny w Palestynie, w warunkach przykrych, a z powrotem do wojska, tak jak Tomir, dostał się dopiero gdy N[aczelnym] W[odzem] został gen. Sosnkowski. Jest, czy też był w III Korpusie szefem „dobrobytu żołnierza”. Co dzieje się z tym Korpusem, który miał być, czy też został rozwiązany, nie wiem w tej chwili, brak mi wiadomości. Myślę, że dobrze Pan zrobi, nawiązując z Tomirem i Sewerem kontakt, oni są dość odcięci od źródeł wiadomości, tak jak zresztą wszyscy na Środkowym Wschodzie i powinni być Panu wdzięczni za każdą informację czy o charakterze osobistym czy publicznym. Tomir zupełnie się nie zmienił, jest tylko siwy, i dalej bardzo czynny. Nie wchodzę jednak w to, jaki jest zakres jego prac, niewątpliwie jednak także ma sens organizowanie czynnika ludzkiego o okreś-

lonych przekonaniach. Z innych ludzi, gdyby Pan chciał z nim i nawiązywać kontakt na Bliskim Wschodzie, wymienię Konsula Generalnego w Jerozolimie Al[eksandra] Wdziękońskiego, który się spisuje bardzo porządnie. Hulanickiego, który jest nadal cenzorem angielskim w Palestynie (listy do niego przez Wdziękońskiego). J[ana] Wł[adysława] Zaleskiego w Palestynie (zaciął się bardzo i należy do grupy najostrożniejszych oponentów metod i reżimu Sikorskiego – w rzeczy samej jest zupełnie nieprzejednany i daje temu wyraz w jaskrawy sposób), mjr. St. Sadkowskiego w Kairze (Biuro Wojskowe Delegata Rządu), por. Podolskiego, b. wicemarszałka Sejmu, który jest w II Korpusie, po deportacji rosyjskiej, [Tadeusza] Schaetzla, nadal „ściśle tajnego”, będącego w Stambule (listy przez Konsulat Generalny), starego [Juliusza] Ulrycha z rodziną, który jest na Cyprze (adresu jeszcze nie znam), a którego jeszcze w Rumunii namawiałem na pisanie pamiętników, a ma o czym pisać i pióro ma dobre, J[anusza] Jędrzejewicza, który z żoną jest w Palestynie. Z ludzi piszących tj. o takich, o których ja wiem, że piszą lub mogliby pisać, powtórzę Ulrycha, Schaetzla, i oczywiście ambasadora [Michała] Sokolnickiego posiadającego niezwykle bogatą bibliotekę historyczną i polityczną ciągle uzupełnianą. Nie wszyscy o nim mówią życzliwie, ponieważ mają mu za złe jego ułkon w kierunku Sikorskiego, coś tam było, ale poza tym gnębiono go solidnie i miał wiele przykrości „urzędowych” będąc, przynajmniej w swoim mniemaniu, ciągle na „wylocie”. Teraz pewnie wszystkie te strachy nie są istotne, obecny rząd inaczej do podobnych spraw podchodzi, nie opierając swojej działalności i swych decyzji na kartotece prof. Kota.

O 5 latach w Rumunii.

Nie mogę się silić na podawanie dokładnych dat, nie wszystko mam najzupełniej dokładnie w pamięci, a mój wyjazd spod bolszewików z Rumunii nie pozwolił mi na ryzyko zabierania ze sobą czegokolwiek na piśmie. Niemniej to co pamiętam, jest dużo, a „koloryzować” nigdy nie lubiłem, więc może pan być pewny, że nie będzie w niczym przesady, a to co podane, odpowiadające rzeczywistości.

Pierwszy okres zna Pan sam. Po przekroczeniu granicy w

nocy z 17 na 18 września [1939] B[eck] i Prezydent Mościcki znaleźli się w Czerniowcach. Tam później i z własnej inicjatywy doszłusował Śmigły. Był później internowany na prowincji, uciekł (już po nieudanej ucieczce B[eck]a), ale naprawdę nie wiem, jak i dokąd. Jeżeli wierzyć pogłoskom poważniejszym, na Węgry skąd rzekomo przedostał się z powrotem do Polski, gdzie później zmarł, zachorowawszy ciężko. Bardzo porządnie w okresie rumuńskim spisał się jego adjutant mjr Krzeczkowski męczony po ucieczce Śm[igłego] przez policję rumuńską i który mógł jednak wyrwać się z Rumunii i uciec z kolei do Turcji. Według wiadomości jakie mam, jest w wojsku, gdzieś we Włoszech.

A więc byliśmy w Czerniowcach, gdy pierwsze znaki internowania się pojawiły. Po przewiezieniu wszystkich członków rządu do Slanic-Moldova, okazało się, że internowanie jest rzeczywistością. Zapewne pamięta Pan, że ambasador rumuński Grigorcea z polecenia swego króla huncwota Karola II, zaproponował Beckowi jeszcze w Polsce, w Kutach, „gościnę” dla Prezydenta i rządu, B[eck] to odrzucił, żądając tylko swobodnego przejazdu przez Rumunię, na podstawie odnośnych Konwencji Haskich. Rumuni to przyjęli – potem poszukali pretekstu (wysłanie orędzia Prezydenta do Narodu przez Konsulat RP w Czerniowcach, n. b. kopii orędzia, wysłanego zagranicę wpierw z Kut) tj. poszukali „dowodu” że rząd polski prowadzi akcję polityczną na terytorium „neutralnego” państwa, i hyc, internować. Zdaniem moim gra ta była z góry ukartowana i to bynajmniej nie tylko na skutek presji niemieckiej. Gdy późnym latem 1940 r. Karol II wylany został z Rumunii przez Żelazną Gwardię i został następnie internowany przez Franco w Hiszpanii, Polacy wykradli go stamtąd, to zupełnie pewne. Czy w nagrodę za trzymanie Becka, czy w sensie wyczynu sportowego, jak twierdzi płk [Jan] Kowalewski, tego nie umiem ocenić.

W Slanicu nastąpiła dymisja rządu Składkowskiego 30 września.

Kilka dni później wywiezienie większości członków b. rządu do Baile Erculane, Becka i [Antoniego] Romana z rodzinami i świtami do Brasov. To wszystko jest Panu znane. Przed Bożym Narodzeniem 1939 r. wyjechał za zgodą rządu

rumuńskiego, a więc oficjalnie, Prez[ydent] Mościcki do Szwajcarii. Beck zawsze mówił, że nie opuści Rumunii bez Prezydenta, wzgl[ędnie] przed nim. Projekty – poważne – wyjazdu z Rumunii nielegalne (z rumuńskiego punktu widzenia) zaczynają się więc od tej daty. B[eck] widział czy też kontaktował się przez inne osoby kilkakrotnie z [Grigore] Gafencu, który go stale zwodził, że należy trochę poczekać, tj. że chwila zwolnienia B[eck]a z internowania nastąpi. Raz powiedział mu, że jest w trudnej sytuacji, ponieważ utrzymania internowania żądają zarówno Niemcy, jak Francuzi i Polacy. Gafencu jest człowiekiem słabym, Rumunem, ale przynajmniej za jego urzędowania nie szykanowano B[eck]a w niski sposób żandarmski, a w każdym razie każde bezpośrednie zwrócenie się do Gafencu wstrzymywało szykany. Wiosną 1940 r. pod pretekstem udawania się do dentysty (pretekst słuszny o tyle, że naprawdę dentysta był potrzebny) B[eck] z pasierbicą i ze mną przybył do Bukaresztu, gdzie widział się od razu z Gafencu, któremu oświadczył, że więcej do Brasov nie wróci. G[afencu] przyjął to biernie. Pozostaliśmy tedy w Bukareszcie, mieszkając w hotelu Excelsior. Rumuńskie MSZ wkrótce potem zaczęło naciskać na nas, by przenieść się na prowincję, proponując m. in. dalekie Cutrea de Arges. Rozmawiano wtedy jeszcze z nami, gdzie chcemy być internowani, a B[eck] mógł chodzić po ulicy, do restauracji, księgarni itd. tylko w dyskretnym towarzystwie komisarza policji! W końcu stanęło na tym, że spróbujemy znaleźć coś w pobliżu Bukaresztu, nad jeziorem Snagov, przynajmniej na lato. Snagov jest o jakieś 40 km na północ od Bukaresztu, w kierunku na Ploesti. Gdy Rumunia pierwszy raz oddała Sowiетom Besarabię, nie pamiętam dobrze daty, zdaje mi się, że w czerwcu 1940 r. Gafencu przestał być ministrem. Wystarczyło to, by nazajutrz zjawił się w hotelu komisarz policji z poleceniem „od rządu”, że B[eck] ma udać się spieszenie nad jezioro Snagov, do małej willi w Dobroesti. B[eck] ustąpił – i wpadł. Gdy później pani B[eckowa] była u ministra spraw wewnętrznych, ten twierdził, że rozkazu przewiezienia B[eck]a nad jezioro Snagov nie wydawał. Kto wie ile w tym prawdy, ale pewne, gdyby B[eck] był się oparł i nie wyjechał, byłiby go gwałtem

nie brali, a w każdym razie może by interwencja w rządzie rumuńskim była co najmniej coś wyjaśniła. W Snagovie zaczął się okres prawdziwego internowania, ukraszony licznymi szykanami żandarmów którzy go pilnowali. Willa była b. mała, pełna pluskiew, nie wolno mu było jej opuścić, a w małym ogródku nie miał prawa podejść do brzegu jeziora (ogródek do niego dochodził), gdyż żandarm zagradzał mu drogę. Nie mógł także kontynuować wizyt u dentysty, pomimo, że zęby miał „w robocie”, rozkręcone. Nie mógł pójść ani do fryzjera, ani do lekarza, był naprawdę internowany. Pani B[eck] interweniowała często u władz, uzyskując czasem drobne ulgi, które trwały krótki czas, po czym szykany żandarmów brały górę. Parę tygodni np. wolno mu było nawet wiosłować trochę po jeziorze, lub robić spacer po wsi! Wyjazdy do Bukaresztu, do lekarzy, dentysty, fryzjera, nie były jednak dozwolone pod żadnym pretekstem.

Muszę tu wtrącić, że jeszcze w Slanicu zjawił się raz (gdy przypadkiem pani B[eckowa] była w Bukareszcie) prefekt prowincji, jakiś pułkownik, i oświadczył, że ma polecenie wywiezienia B[ECKA] z jednym tylko sekretarzem ze Slanica, w niewiadomym kierunku. B[eck] zaoponował, strasząc, że nie da się wziąć, i że będzie strzelał, jeżeli by chcieli brać go przemocą. Ówczesny delegat przy członkach b. rządu p. Dumitrescu, dawny radca ambasady w Warszawie, porozumiał się telefonicznie z Gafencu, który skreślił cały ten zamiar i do wywiezienia nie doszło.

Historia ta powtórzyła się w Snagov. Oficer żandarmerii na służbie zgłosił się z podobnym poleceniem. Interwencje u rządu pani B[eckowej] i ten projekt wywiezienia „w niewiadomym kierunku” obaliły. W każdym razie były 2 takie próby, których inspiracji i przeznaczenia nie znam.

Myśleliśmy zawsze aktywnie o ucieczce. Gdy później przygotowana przez nas nie udała się, wrogowie B[ECKA] ogłosili, że w ogóle była to fikcja, że B[eck] wcale nie miał zamiaru uciekać, ponieważ współpracuje z Niemcami. Tylko kanalia mogła to oszczerstwo wymyślić.

Nie mogę tu pisać o planach ucieczek, ani o tej, której realizacja nie wyszła. Faktem jest, że technika była przygotowana dobrze i rozsądnie, robił to z polecenia polskich władz

(ambasadora Rogera Raczyńskiego i mjr. Zimnała, zast[ępcy] *attaché* wojskowego w Bukareszcie) wymieniony wyżej mjr Sadkowski. Zdradził niewątpliwie przekupiony podporucznik żandarmerii rum[uńskiej], chyba dobrze pamiętam, że dziennikarz w życiu cywilnym Atanasiu, którego chęć zysku przemożła strach przed Żelazną Gwardią. Feler całej imprezy tkwił moim zdaniem, i nie tylko moim, w tym, że termin parę razy odraczano, co dawało ludziom czas na refleksję, a naszym rodzimym wrogom sposobność do dowiadywania się, i informowania Rumunów o zamiarze ucieczki. Tajemnica ta wyjaśni się pewnego dnia, do tego czasu warto zbierać materiały i szczegóły. Odwlekanie terminu miało miejsce głównie dlatego, że nie mogliśmy uzyskać polskiego paszportu na inne nazwisko dla B[eck]a – pomimo, że paszporty takie robił mjr Zimnał, który jednocześnie z polecenia polskich władz miał nadzór nad całym projektem. Do dziś dnia nie rozumiem, jak się to stać mogło, że do ostatka ani B[eck] ani nikt z nas z jego otoczenia paszportu takiego do rąk nie otrzymał, ani dla niego, ani dla siebie. Moja rozmowa 4 stycznia [19]45 pod tym względem z obecnie już ppłk. Zimnałem, *attaché* wojsk. w Ankarze, gdy tam byłem po wyjeździe z Rumunii, rozmowa najzupełniej nie z mojej inicjatywy nie dała mi absolutnie niczego, pogłębiając tylko moje przekonanie, że było to robione celowo, przy czym muszę przyjąć informacje ppłk. Zimnała, że jeżeli o niego chodzi, paszport taki przygotował – nie powiedział mi co prawda, komu go oddał dla doręczenia, p. B[eck] rozumie, czekamy na polskie papiery – i nie możemy się doczekać. Dlaczego? Tysiące innych Polaków otrzymywało je bez trudu – a w stosunku do B[eck]a przecież rząd dał polecenia, by wywieźć z Rumunii. Ile więc w tym rządu, a ile nierządu? I dlaczego Anglicy mogli mu dać paszport swój na inne nazwisko, i to bez niepotrzebnej zwłoki, a Polacy nie mogli tygodniami? Tu gdzieś, wydaje mi się, kryje się świństwo, tym większe, że wbrew umowie w ostatniej chwili B[eck] znalazł się z paszportem brytyjskim na szosie, parę minut przed aresztowaniem, a bez papierów polskich, i to wbrew umowie z Brytyjczykami! Ich paszport nie miał być przy osobie B[eck]a jak dopiero w Bułgarii. Hycle, które uniemożliwiły

ucieczkę, mogły co prawda o tym wszystkim nie wiedzieć, za ten szczegół nie mogę ich winić.

Po nieudanej ucieczce aresztowano B[lecka], mnie, Sewera i inne osoby. Sami organizatorzy ucieczki mogli, zresztą na szczęście, wszyscy opuścić Rumunię. Trzymano nas krótko, bo tylko 10 dni, po czym sprawę utopiono. Generalnym dyrektorem Sigurancy był wtedy żelazno-gwardzista książę Alexandru Ghika (nie należy jego nazwiska używać dziś, kto wie co się z nim dzieje pod okupacją bolszewicką), który fanatyk i germanofil, był niemniej człowiekiem honoru, a sam w życiu – siedział. Potraktował też B[lecka] przyzwoicie zaraz po jego złapaniu i dowiezieniu do dyrekcji policji, oświadczając: „żałuję, że się Panu nie udało”. Pani B[leckowa], która pozostała w Rumunii, przez 3 dni nie wiedziała, co się z mężem dzieje, nikt jej tego nie powiedział. Ukrywała się u przygodnych ludzi – a sama nie miała papierów na wyjazd. Jej córka była w tym czasie w Turcji. Po trzech dniach poszła z własnej inicjatywy do księcia Ghiki i uzyskała widzenie się z mężem. Ghika też później dużo robił, by dalsze internowanie zrobić tak, aby pozostawić panu B[leckowi] możliwie dużo swobody. Ale ze strony czynników polskich tj. Ambasady i Konsulatu nikt nigdy, o ile wiem, nie dowiadywał się o nasz los. Nie było żadnej interwencji „w obronie obywatela polskiego”, nikt palcem nie ruszył. W listopadzie 1940 r. władze nasze opuściły Rumunię i zostaliśmy „sami” odczuwając to w pewnym sensie raczej jako ulgę.

Po wypuszczeniu z aresztu osadzono B[lecka] w willi niejakiego Moruzowa, kierownika tajnej służby wywiadowczej króla, który przed objęciem przez nas willi został uwięziony przez Żelazną Gwardię (był jednym z jej zaciętych wrogów) a później wraz z innym i bestialsko przez nią zamordowany w więzieniu Jilava.

Jak długo Ghika był na czele policji – i żandarmerii pośrednio, jako podsekretarz stanu w Min[isterstwie] Spr[aw] Wewn[ętrznych] Rum[unii], mimo licznych prób władz policyjnych, B[leck] miał jako taką swobodę w tym sensie, że od czasu do czasu mógł opuszczać willę, czy to by pójść do fryzjera lub lekarza, czy to do księgarni. Nie znaczy to, by szykany nie miały miejsca, ale Ghika, tak jak przedtem

Gafencu, przeciwdziałał im. Pan wie, to Rumunia, a w tym kraju rozkaz z góry bywa różnie, albo nie bywa wcale wykonywany na dole. Wchodzi tu w rachubę kwestia łapówek, bez których rozkaz z góry przeważnie pozostaje martwy, albo też urzędnicy są przekupieni przez tych, którym zależy na niewykonywaniu rozkazów – w naszym przypadku nie dziwiłbym się, gdyby niektórzy urzędnicy policji i żandarmerii rumuńskiej byli na płatnej służbie nam wrogich czynników obcych, mając polecenie dbać o to, by się próba ucieczki nie powtórzyła, i by B[lecka] bardzo pilnowano m. in. dając regularnie prowokacyjne informacje o nowych planach ucieczki, których n.b. naprawdę w tym okresie nie było i być nie mogło. Nie powtarza się lekkomyślnie – próby nieudanej, nie mając pewności przynajmniej względnej. A myśmy przecież nie mieli, ani papierów na inne nazwiska, ani nie mogliśmy z rękawa wytrzasnąć wszystkie inne elementy, by ucieczkę na serio przygotować.

Tak rozpoczął się pobyt drugi w Bukareszcie, w willi Moruzowa, od początku listopada 1940 r. W tym miesiącu jeszcze doszłusowali do nas pp. Romanowie z Brasov gdzie do tego czasu pozostali, mając rozkosz mieszkania w tym samym hotelu, w którym stanął dowódca wojsk niemieckich w Rumunii. Mogli przyjechać do Bukaresztu i zamieszkać w willi Moruzowa, i tam pozostać tylko i wyłącznie dzięki interwencji pani B[leckowej], która to m[iędzy] i[nnymi] zrobiła, by jej mąż miał towarzystwo, i by spłacić dług wdzięczności wobec p. [Antoniego] Romana, oświadczającego zawsze, że gotów jest dzielić zawsze losy B[lecka].

Nie mogę Panu opisywać szczegółowo wszystkich przykrości tych lat, które potem nastąpiły. Są rzeczy w swoim chamstwie niewiarygodne, jeżeli chodzi o postępowanie władz żandarmskich, głupie poza to w swojej sztywnej durności i tępotcie. Gdy Ghika, Horia Sima, gen. Petrovicescu i inni zbuntowali się przeciwko Ionowi Antonescu, i z kolei poszli do więzienia, zaczęły się prawdziwe szyskany. Było to w styczniu 1941 r. W lutym opuściło Bukareszt poselstwo brytyjskie, poseł amerykański był nam nieprzychylny (już nie żyje, nazywał się Gunther) – pozostaliśmy naprawdę sami. Od rewolucji przeciwko Antonescu – B[leck] więcej willi nie

opuścił do jesieni 1942 r. Nie jak Roman, który po paru miesiącach odzyskał względnie dużą swobodę, i właściwie chadzał w towarzystwie cywilnego agenta policji, dokąd chciał, byle w dzień. Pozwolili mu na to co prawda po jego b. ciężkiej chorobie, po której lekarze nakazali ruch. Ale ruch był i B[eckowi] potrzebny, i powietrze, tylko że interwencje nasze, głównie pani B[eck] nigdy do niczego nie doprowadziły. W tych dwóch latach nadal nie mógł kończyć kuracji u dentysty, nie mógł udać się do lekarza itd. I w domu coraz to nowe szykany. Raz można przyjmować gości, potem nagle odwiedzających nie wpuszcza się przez bramę. Pewnego dnia zarządzono rewizję osobistą. Innego pcha się oficer żandarmerii do sypialni B[ECKA] by z polecenia swoich przełożonych sprawdzić czy B[eck] nie uciekł. Innym razem chciano ulokować oficera żandarmerii wewnątrz mieszkania, przeznaczonego dla pp. B[ECKA] i Romanów, mimo że nie było – pomijając inne względy – na to miejsca. Ja sam i Schaetzel mieszkaliśmy na mieście z uwagi na brak tego miejsca. Pomysły były coraz to nowe, czujność strażników nigdy nie słabła – wymowny dowód, że ktoś stale pamiętał, by ją budzić prowokacyjnymi pogłoskami (o czym pani B[eck] a i mnie policja czasem mówiła, chcąc usprawiedliwić nową szykanę, kolejne obostrzenie). Niech to Panu wystarczy w tej dziedzinie. Głupota policji szła tak daleko (pomieszanie czujności, służbistości i głupoty to najstraszniejsza rzecz, na którą nie ma sposobu poza fizycznym oporem), że pewnego razu podali nam listę osób (gości), którym nie wolno odwiedzać pana B[ECKA]: było tam nazwisko osoby nieistniejącej, dalej osoby nam zupełnie nieznaney, znanej, i córki pani B[ECKOWEJ], o której „mądra” policja widać zapomniała, że nosi nazwisko Burhardt, ale że mieszka w willi Moruzowa razem z matką i p. B[ECKOWĄ] (panna Buba *n.b.* wróciła z Turcji do Bukaresztu w styczniu 1941 r., nie chcąc korzystać z nowej możliwości wyjazdu wraz z poselstwem brytyjskim, a chcąc dzielić losy matki i „wujka”).

W lecie 1942 r. przyszła uporczywa chrypka. Lekarka rumuńska, b. dobra specjalistka i osoba b. porządna, poleciła zbadać płuca. Uczyniono to, także rentgenem, i sprawdzono gruźlicę. Oba płuca. Wkrótce potem zjawiała się na żądanie

pani B[eckowej], skierowane do rządu rumuńskiego, komisja lekarzy specjalistów, którzy także skonstatowali gruźlicę i zalecili zmianę klimatu, na łagodny, cieplejszy od rumuńskiego. Ich raport rząd rum[uński] otrzymał. Mamy kopię. Muszę tu stwierdzić, ponieważ Rumuni będą na pewno w przyszłości próbowali temu zaprzeczyć (chcąc dowieść, że B[eck] przyjechał już do Rumunii chory), że prof. Danielopolu i dr Chirculescu jeszcze w Brasovie stwierdzili, w 1939 r., że b. gruźlicy nie ma. Nabył ją więc w czasie 2-letniego zamknięcia w domu. Rumuni będą się starali także dowieść, że przecież mógł chodzić do ogrodu i że dali mu warunki materialne wystarczające, by się dobrze odżywiać. Pozorna to prawda, ponieważ lekarze właśnie mówili nam, że warunki psychiczne w jakich się znajduje, a więc sam fakt nielegalnego internowania, przejmowanie się sprawami publicznymi bez możliwości własnej akcji, i szykany żandarmerii właśnie w tym rodzaju choroby muszą fatalnie wpływać na chorego, i czynią kurację dość iluzoryczną. Dlatego też pani B[eckowa] czyniła wszystko możliwe, by męża przenieść do innego kraju, z lepszym klimatem i bez ciągłej grozy wywiezienia przez Niemców do obozu koncentracyjnego. Takimi krajami były dla nas przede wszystkim Szwajcaria, a także Włochy, gdzie przynajmniej szykan policyjno-żandarmskich bylibyśmy uniknęli. Rząd rum[uński] sugestię przyjął (cóżby to była dla nich za wygoda pozbyć się kłopotu i odpowiedzialności) – ale oczywiście nie dało się niczego przeprowadzić, ponieważ wszystko zależało od zgody Niemców, do których rząd rum. musiał się zwrócić, a Niemcy – oczywiście – odmówili.

Przebywanie w ogrodzie. Ogród był mały i można było tylko chodzić w kółko naokoło basenu betonowego, przeważnie pustego – bez wody. Ciekaw jednak jestem, kto by się zgodził chodzić tak w kółko przez 2 lata godzinami dla ruchu naokoło basenu, z publicznością patrzącą się na szczególnie widok, przez parkan, bo przecież sylwetka i nos B[eck] były tak powszechnie znane, że wszyscy by wiedzieli, kto tam chodzi, szczególnie, że w ogródku były 2 posterunki żandarmskie z bagnetem na karabinie, zawsze ogromnie nerwowe, gdy pan B[eck] zjawiał się w ogrodzie, i gotowe chodzić za nim – by nie uciekł. W dodatku po pewnym czasie zjawiał

się oficer wtedy lub podoficer w ogródku i [się] przyglądał widowisku. To nie było na nerwy p. Józefa, gdy jeszcze nie wiedział, że jest chory, a gdy już stwierdzono chorobę, ważniejsze było werandowanie, które też zaraz zastosowano, jak i wszelkie zastrzyki, lekarstwa itd. itd.

Sanatorium rumuńskie. Dla niego nie wchodziło w rachubę. Jakżesz wynieść się daleko na prowincję, daleko od władz centralnych, do których by wtedy nie można było dotrzeć, i narazić się nie tylko na wzmożone szykany żandarmskie (mogło dojść do tego, że mu postawią posterunek w pokoju, by tylko nie uciekł), a co dopiero mówić o możliwości łatwiejszego wywiezienia do Niemiec. Mieliśmy zbyt smutne doświadczenia ze Snagova, by się lekkomyślnie decydować na prowincję w ogóle. Na szczęście lekarze nie przywiązali do gór i sanatorium szczególnej wagi, obawiając się nawet zbyt jaskrawej zmiany na ostrzejszy klimat, i uznający że jednak chory będzie się, w jego specjalnych warunkach, czuł lepiej psychicznie w Bukareszcie, ze swoją rodziną, grupą znajomych i odwiedzających go, jak oderwany od ludzi i wiadomości gdzieś w górach.

Poza intensywnym leczeniem, pani B[eckowa] przypuściła raz jeszcze szturm do władz, by panu B[eckowi] umożliwić wychodzenie z domu, na spacery piesze i samochodem, dla zdrowia, ale i dla rozrywki. Wszystko, na co się na razie zgodzono, to były wizyty do dentysty, by nawiązać do kuracji, przerwanej 2 lata temu!!! Wtedy zaczęło nam się wyjaśniać, kto był źródłem szykan. Niewątpliwie generał Constantin Vasiliu, generalny inspektor żandarmerii, zausznik marsz. Iona Antonescu, szef całego bezpieczeństwa w Rumunii, a więc także szef policji (Sigurancy zarówno jak i Prefektury w Bukareszcie) człowiek o wielkiej władzy, i jak mówiono, jeden z największych łapowników reżimu. Czy w stosunku do B[eck]a działał tylko przez tępotę rutyny żandarmskiej, czy pod wpływem czynników obcych, tego na razie nie wiem. Faktem jest, że wszystko od niego zależało, i gdyby chciał, pan B[eck] byłby mógł korzystać od dawna ze względnej swobody. Ale nie chciał. I zorganizował wyjazdy do dentysty w następujący sposób:

2 samochody policyjne, zamknięte. W pierwszym p. B[eck],

sekretarz, adjutant gen. Vasiliu, porucznik Duta i oficer żandarmerii, szef straży u B[ecka]. W drugim pełno agentów cywilnych policji. Jazda w szybkim tempie przez miasto do dentysty. Tam dom pełen agentów. U dentysty pan B[eck] wchodził do gabinetu dentysty wraz z adjutantem Duta, w poczekalni pozostawiali oficer żandarmerii na służbie, komisarz policji i ja. Nigdy p. B[eck] nie był sam w gabinecie dentysty! Komedia niesłychana. Przykra i drażniąca dla B[ecka]. Dopiero późną jesienią 1942 r. zgodzono się także na wyjazdy samochodem na spacer (samochodem policyjnym w asyście komisarza policji i mojej), i po interwencjach pani B[eckowej] u wicepremiera Mihai Antonescu, ulżono reżim u dentysty likwidując opisaną wyżej szopkę, wymysł iście koszarowy.

Choroby nie dało się zatrzymać. Nie pomogły zastrzyki, stosowane nieomal codziennie przez następne dwa lata. Nie pomogło werandowanie. Nie pomogło wszystko, czego tylko próbowano. Lekarze byli dobrzy. Na razie nie trzeba operować ich nazwiskami. Było między nimi 2 Żydów, jeden specjalista od gruźlicy, drugi internista. P. B[eck] chorował na gruźlicę płuc. Nie na inną. Gardło wkrótce poprawiło się zupełnie i, już do końca głos miał czysty. Chrypka była tylko refleksem idącym z płuc, nie gruźlicą gardła. Także kiszki nie zostały zaatakowane przez gruźlicę. Ale nie było sposobu. Warunki psychiczne, w tym w dużej mierze złe wiadomości o Polsce, odstępowanie nas przez Anglosasów, naciski sowieckie, miały bardzo zły wpływ na chorego. Moralnie trzymał się zawsze wspaniale, będąc przykładem dla innych, wewnętrznie jednak gryzł się niesłychanie, szczególnie, gdy sam był bezsilny. Sławna mowa pana z cygarem w lutym 1944 r. o tym, że W. Brytania nigdy nie gwarantowała wschodnich granic Polski wywołała po prostu kryzys, po którym stan zdrowia zaczął się pogarszać widocznie. W czasie choroby było kilka krwotoków. A przecież mamy wszyscy przeświadczenie, że w innych warunkach, w innym kraju, dałoby się uratować życie pana B[ecka]. Jego śmierć nie była naszym zdaniem nieuchronną. On sam chciał żyć, chciał znowu być wolnym, czekał na koniec wojny, który by mu dał tę wolność i możliwość nowej, prawdziwej kuracji. Nie doczekał. Umarł nie osiągnąwszy 50 lat życia.

4 kwietnia 1944 r. było pierwsze wielkie bombardowanie Bukaresztu przez Amerykanów, którzy wspólnie z Anglikami (w nocy) odtąd już regularnie nawiedzali Bukareszt. W tym okresie B[eck] był już tak słaby, że z trudem szedł 100 kroków. Rząd rumuński na wypadek bombardowania niczego w naszej willi nie przygotował. Sutereny miały wszystkie okna zakratowane, okna nie były zabezpieczone murem czy workami z piaskiem, w tychże suterenach znajdowały się zbiorniki z ropą dla centralnego ogrzewania. Interwencje pani B[eckowej] wiele miesięcy przed 4 kwietnia nie dały wyniku. Dopiero w okresie bombardowania wyjęto kraty z 2 okien i tyle. Oficerowie żandarmerii na służbie niejednokrotnie podczas bombardowania uciekali do schronów w sąsiedztwie, bezpieczniejszych jak nasze sutereny, zostawiając nas samych, opuszczając swoich żołnierzy i służbę. Pani B[eckowa] żądała (w ogóle przeważnie żądała, a nie prosiła) przeniesienia męża w okolice Bukaresztu, bezpieczniejsze. Rząd zgodził się, ale przez 5 tygodni nie umiał znaleźć choćby dwóch pokoi dla niego i dla niej gdzieś w okolicy, my wszyscy mogliśmy, w lecie, bez trudu mieszkać w chałupach wieśniaczych. Rząd niczego nie znalazł. Szukaliśmy naturalnie i my. Nie znaleźliśmy także. Gdzie była większa ferma, lepszy dom czy willa, wszędzie budynki były – zarekwirowane. Albo naprawdę przez władze i wojsko, albo pozornie, by właściciel nie musiał odstępować domu obcym. I nie można było [tego] systemu w żaden sposób przełamać. Wicepremier nie dał rady, nawet wymieniony wyżej generał Vasiliu, który w tym okresie już nie szedł na przekór nam, choć nie znaczy to, by pomagał. Nie było wolnych pokoi. Pozwolono nam, własnym samochodem B[eck] (jego dawny służbowy naturalnie. Rumuni tylko nie wiedzieli, że to nie prywatna własność) wyjeżdżać przed bombardowaniem za miasto. A ponieważ radio uprzedzało o możliwości bombardowania godzinę przed samym faktem, można było zdążyć. Zrobiliśmy to parę razy ale jednak było to męczące dla p. B[eck] i trudno było rozstrzygnąć, co lepsze. Czy schodzenie, czasem 2 razy na dobę (i w nocy) do suteren, czy wyjazdy. Miewał *n.b.* często 39 st. gorączki, gdy udawał się do suteren.

W końcu uknuto plan. P. Buba znalazła mały domek

murowany około 35 km na południe od Bukaresztu, pusty, bez mebli. Właściciel gotów był go odstąpić. Nie był przez nikogo zarekwirowany. Okazja nielada. Postanowiono więc upozorować przy najbliższej okazji spacer samochodem, zawieźć tam p. B[eck], a w drugim samochodzie pół godziny później przywieźć łóżko, lekarstwa, pielęgniarkę, i towarzyszącemu oficerowi żandarmerii i agentowi policji oświadczyć, że zostajemy, ponieważ p. B[eck] jest za słaby, by wracać, że grozi to jego życiu.

Gdy 7 maja spadł deszcz bomb zapalających na Bukareszt, nie dalej od 300 metrów naokoło naszej willi, plan został wprowadzony w życie.

I udał się. Oficer żandarmerii wściekał się, ale zostaliśmy. A władze rum[uńskie] straciły już aktywne zainteresowanie p. B[eckiem]. Przestały wierzyć w możliwość ucieczki człowieka morzonego śmiertelną chorobą. Władze wyższe zaś zaczęły obawiać się moralnej odpowiedzialności – za – nie jest to określenie przesadne – zamordowanie Becka przez własne niechlujstwo, czy złą wolę, czy z innych przyczyn.

Domek niestety okazał się wilgotny. Wiosna była dość dżdżysta. Przeniesiono więc za zgodą miejscowego nauczyciela p. B[eck] do pobliskiej pustej szkoły wiejskiej, budowanej z gliny, b. prymitywnej, ale przestronnej i suchej. Szkoła lepsza była od domku, ale prymityw niesłychany, 2 wielkie izby i kuchnia, żadnych urządzeń higienicznych, nawet studni w obejściu nie było. W jednej izbie p. B[eck] i pielęgnująca go żona, w drugiej pp. Kasprzyccy, którzy przedtem mieszkając w Bukareszcie sprowadzili się, a muszę powiedzieć, że okazali pani B[eckowej] i panu B[eckowi] wiele serca i prawdziwej życzliwości, a reszta tj. Buba, ja, szofer, pielęgniarka, rodzina gen. Kasprzyckiego (syn i siostra żony) po chałupach chłopskich. Gen. Kasprzycki miał syna, który nabawiwszy się gruźlicy w więzieniu rum[uńskim], został z niej wyleczony w sanatorium rum[uńskim], do którego się dostał dzięki interwencji pani B[eckowej] u wicepremiera Antonescu. To zbliżyło.

5 czerwca 1944 r. o godz. 7 wieczorem Pułkownik Beck zmarł. Żona, gen. Kasprzycki, ja i pielęgniarka byliśmy obecni.

Pogrzeb odbył się ze złożeniem ciała na cmentarzu wojskowym rumuńskim Bellu w Bukareszcie. Wojskowy był na skutek żądania pani B[eckowej]. Wojsko rumuńskie zresztą zachowało się przyzwoicie i uczyniło wszystko, co mogło, by pogrzeb odbył się godnie, i by nam pomóc.

Nagrobek stanowi płyta kamienna z nazwiskiem, datą urodzenia i śmierci i z odznaką pierwszej brygady (krzyż).

Tyle na dzisiaj. Opowiedziałem naturalnie dość nieporządnie. Jest to tylko garść informacji. Na razie nie mogę, ze względów zasadniczych, pisać inaczej, ani więcej. Rezerwuję to sobie w formie nadającej się do publikacji. Dlatego proszę Pana traktować niniejszy list jako prywatny, dla Pana tylko przeznaczony, jeżeli pragnie Pan użyć pewne szczegóły tj. fakty użyć dla siebie, nie mam zastrzeżeń, także o ile byłyby użyte w pańskiej obecnej pracy, proszę tylko nie podawać pod żadnym warunkiem źródła tj. mnie. Mógłbym wyjaśnić tylko w ustnej rozmowie. Szczegóły raczej podawałbym jeśli wolno coś Panu sugerować, oszczędnie – by nie banalizować całej opowieści, która w stosownej chwili będzie jeszcze bombą publicystyczną ale z pewnością nie da się to zrobić, ani na Pańskim terenie, ani na moim. Są inne. Nie jest też jeszcze na to czas – przekonuję się o tym tutaj i proszę mi wierzyć, że informuję się poważnie.

Oczywiście, prostować, informować, objaśniać należy. Będę też rad, jeżeli tych kilka stronicy przyda się Panu na coś.

W sprawie broszury, o której Pan w swoim liście wspominał, staram się o nią ale zdaje się, że będzie trudniej jak myślałem. Musicie przecież mieć jej egzemplarze w Ambasadzie, nie dałoby się jej stamtąd uzyskać?

Sam tytuł broszury właściwie nigdy nie wzbudzał entuzjazmu.

Proszę Pani ręce ucałować, a dla siebie przyjąć serdeczny uścisk ręki,

oddany *Doman* *ROGOYSKI*

WSPOMNIENIA

Marian K. DZIEWANOWSKI

JAK SZKOŁONO OFICERÓW KAWALERII W POLSCE PRZEDWOJENNEJ

Jeszcze w toku kampanii roku 1920, zorganizowana została w Grudziądzu Centralna Szkoła Jazdy. Ulokowano ją w zespole kawaleryjskim poniemieckich koszar, przy ulicy Chełmińskiej. W roku 1928 Szkoła została znacznie rozbudowana i przemianowana na Centrum Wyszkożenia Kawalerii, w skrócie C.W.K. Rdzeniem jej była Szkoła Podchorążych Kawalerii (w skrócie znana jako O.S.K.), szkoląca kandydatów na oficerów zawodowych, dla czterdziestu pułków jazdy¹.

1. Kawaleria była pozostałością przestarzałej doktryny wojennej. Jednak trzeba stwierdzić, że dotyczyło to nie tylko Polski. W roku 1937 Niemcy dysponowały jedną brygadą kawalerii oraz dwunastoma pułkami kawalerii dywizyjnej. W roku 1939 Francja, licząc razem z wojskami kolonialnymi, dysponowała pięcioma dywizjami kawalerii oraz czterema samodzielnymi brygadami. W tym samym roku, w Wielkiej Brytanii istniały trzy brygady kawalerii terytorialnej i jedna brygada kawalerii stałej. W roku 1943, a więc już po doświadczeniach zmechanizowanego *Blitzkriegu* w Polsce, Włochy miały w swojej armii trzynaście pułków kawalerii, a na przełomie 1941/42 roku, wojska regularne i gwardia narodowa USA dysponowały dwudziestoma siedmioma dywizjami piechoty i siedmioma dywizjami kawalerii. Rosja Sowiecka miała w roku 1941 trzynaście dywizji kawalerii, które stopniowo tylko były przezbrajane na dywizje pancerne. We wrześniu 1939 roku, Niemcy mieli ciągle jedną trzypułkową dywizję kawalerii, stacjonującą w Prusach Wschodnich; trzy czwarte niemieckiej artylerii miało zaprzęg konny, niemal do końca wojny.

Drugim członem C.W.K. była Szkoła Jazdy Konnej, w której przygotowywano instruktorów tej sztuki. Specjalną sekcję w tej szkole stanowili doborowi jeźdźcy, zwani „Grupą Olimpijską”, do której kierowano samych asów, którzy mieli reprezentować Polskę na rozmaitego rodzaju międzynarodowych konkursach hippicznych.

Obok tych szkół istniał dziesięciomiesięczny kurs, zwany Szkołą Podchorążych Rezerwy Kawalerii (w skrócie S.P.R.K.). Moją ochotniczą służbę wojskową odbyłem w latach 1932-1933, właśnie w tej szkole. Do dziś wspominam ją z wielkim sentymentem, doświadczenia tego roku pozostawiły głęboki ślad w mojej świadomości, a przyjaźnie wówczas zawiązane przetrwały do dziś dnia. Stąd ta garść wspomnień.

Po przyjeździe z Warszawy do Grudziądza rankiem 12 sierpnia 1932, zostałem skierowany do koszar, na ulicy Chełmińskiej i tam przydzielony do drugiego plutonu drugiego szwadronu dywizjonu szkolnego, dowodzonego przez rotmistrza Władysława Nowackiego, z 14-go pułku ułanów; dowódcą mojego plutonu był porucznik Witold Szeliski z 20-go pułku, a jego zastępcą wachmistrz Stanisław Ziobro². Po rejestracji, skierowano nas do trzypiętrowego gmachu naszych koszar, gdzie poszczególne plutony i sekcje otrzymały odpowiednie sale, a poszczególni „ułani z cenzusem”, przydzielone im łóżka i szafki na mundury, bieliznę, oporządzenie wojskowe oraz przybory toaletowe. Potem nastąpiło pobieranie mundurów oraz bielizny. Pierwsze mundury letnie były drelichowe, bardzo zużyte przez poprzedni rocznik, sprane tak,

2. W roku 1932 wyszedł rozkaz reorganizacji S.W.K., który odnośnie Szkoły Podchorążych Rezerwy Kawalerii, wprowadził oficjalnie nazwę „Szkoła”, zamiast „Dywizjon Szkolny” oraz powiększył jej stan do trzech szwadronów – dwóch liniowych i trzeciego mieszanego, złożonego z dwóch plutonów C.K.M. i jednego – na zmianę co rok – łączności, względnie pionierów. Ten nowy plan został jednak wprowadzony w życie dopiero w 1935 r. – dla rocznika 1935-1936.

Trzy szwadrony szkolne istniały do 1937 r. Poczynając natomiast od rocznika 1937/1938, stan Szkoły Podchorążych Rezerwy powiększył się jeszcze o jeden szwadron, który przygotowywał kandydatów do Szkoły Podchorążych Kawalerii (O.S.K.). W nomenklaturze szwadronowej Szkoły otrzymał Nr 3; zastąpił dotychczasowy kurs unitarny w Szkole Podchorążych Piechoty.

że khaki stały się szarawo-zielone. Poza tym dostaliśmy mundury sukienne, płaszcze, furazerki oraz rogatywki.

Po napchaniu sienników słomą, leżącą kupami obok plutonowych stajni, przyszło przydzielanie broni. Broń nasza składała się z szabli, karabinka kawalerskiego, bagnetu, łopatk saperskiej; co drugi otrzymywał lance. Szable były ciężkie, masywne. Na główce miały wyryte markę fabryki i rok produkcji, rok tysiąc osiemset pięćdziesiąty któryś. Były to szable z epoki Drugiego Cesarstwa. Nie jest wykluczone, że walczyli nimi kirasjerzy francuscy, w wojnie francusko-pruskiej, pod Sedanem czy Gravelotte. Po pierwszej wojnie światowej sprzedali je nam Francuzi, mający nadmiar sprzętu z demobilu. Podstawą naszego uzbrojenia był karabinek typu Mauser (w skrócie KBK). Obok tego dostaliśmy bagnet, łopatkę oraz maskę gazową, w blaszanej, okrągłej puszcze.

Ostatnią wstępną fazą wprowadzenia nas w rutynę szkoły, było przedstawienie nas koniom, których grzbietów mieliśmy dosiadać w okresie najbliższych miesięcy. Akt ten miał w sobie coś z dworskiej ceremonii. Wprowadzeni w dwuszerę do obszernej stajni, stanęliśmy frontem do zadów końskich. W przydzielaniu ułanowi z cenzusem konia, wachmistrz Ziobro kierował się dwoma kryteriami: pierwsze to kryterium wzrostu obu partnerów, drugie, bardzo istotne, to już znane lub spodziewane umiejętności jeździeckie danego kandydata. Dalsza korektura miała nastąpić już po zajęciach ćwiczebnych ujeżdżalni, woltyżerce, służbie polowej, władowaniu białą bronią. Przed ostatecznym powierzeniem naszej opiece koni, wydano nam wełniane derki końskie, siodła oraz ogłowia. Wszystko to razem nazywało się rzędem końskim. Potem rozpoczęła się lekcja siodłania koni – nie byle sztuka. Na grzbiet koński kładło się „z włosom” (nigdy pod włos, bo to „odparzało” konia) derkę; na derkę kładło się czaprak skórzany. Potem szło siodło, którego przednie ławki musiały być położone o dłoń za łopatkę konia. Pod lewą tybinką przytraczało się szablę. Z przodu do siodła przychodził starannie zrolowany płaszcz, a z tyłu tak samo zrolowany koc. Liczba pasków, sprzączek i zapinek rzędu końskiego była przerażająca, zwłaszcza jeżeli się do tego doda, że wszystko to musiało być wyczyszczone i wypolerowane „na glanc”.

Pierwsze chwile wytchnienia między jedzeniem i ciągłymi zbiórkami poświęciliśmy wymianie wrażeń. Główną uwagę kierowaliśmy na sylwetki tych, od których zależeć będą długie miesiące naszej służby w Grudziądzu. Opinie naszych przełożonych dochodziły do nas dwiema drogami: od przyjaciół i kolegów, którzy „kończyli Grudziądz” w poprzednich rocznikach, bądź od „luzaków”, tj. prostych ułanów, pełniących pomocniczą służbę w stajniach. Z wielkim przejęciem obserwowaliśmy każdy gest, słuchaliśmy każdego słowa płynącego z ust naszego bezpośredniego zwierzchnika, wachmistrza Ziobro. Z posłuchu wiedzieliśmy, że jest bystry, wymagający, zjadliwie dowcipny. Te cechy sprawdzały się w spojrzeniu jego małych, zielonych, świdrujących oczu i wąskich, zaciętych wargach.

Dowódcą naszego plutonu był porucznik Witold Szelski. Postawny, milczący brunet, pilnie przyglądał się nam wzrokiem, z którego niewiele mogliśmy wyczytać. Na wieczornym apelu władczym wzrokiem obrzucił nas wachmistrz-szef 1 szwadronu, starszy wachmistrz Wyszomirski, z 6 Pułku Strzelców Konnych. Świetna ułańska sylwetka, na piersiach krzyż „Virtuti Militari”. Zameldował on stan szwadronu dowódcy, rotmistrzowi Nowackiemu, również kawalerowi Virtuti Militari; miał poważną, godną postawę, narzucającą szacunek. Już dnia 14 sierpnia rozpoczęły się normalne zajęcia. Ogromny nacisk na jazdę konną; uczono jej od podstaw, potem szło władanie białą bronią, tj. szablą i lancą, woltżerka, wychowanie fizyczne (gimnastyka szwedzka i na przyrządach) i wreszcie strzelnica. To wszystko obok codziennego czyszczenia i karmienia koni oraz doglądu broni. Po tygodniu zaczęły się też wykłady, obejmujące podstawy nauk taktycznych piechoty, artylerii, inżynierii i geografii wojskowej poszczególnych broni i służb; ponadto nauka o broni, łączności, opiece nad koniem. Wreszcie, wbijanie sobie w łeb regulaminów, z których chyba użytkowo najważniejszym był regulamin służby polowej oraz służby wartowniczej, jako, że po okresie rekruckim, mieliśmy pełnić wartę w siedzibie Centrum Wyszkozenia Kawalerii.

Ale, jak już wspominałem, najważniejsza była jazda konna na maneużu oraz w polu. Ujeżdżalnię prowadził prawie

zawsze dowódca plutonu, por. Szeliski. Małomówny, spokojny i grzeczny w osobistym kontakcie, natomiast na majdanie dawał upust nerwom i nie krępując się dosadnie określał nasz wygląd na koniu, sposób trzymania wodzów, łydki etc. Takie epitety jak „trzymacie się na koniu jak stara ciotka na krzywym płocie” należały do salonowych. Gdy od czasu do czasu ujeżdżalnię prowadził wachmistrz Ziobro, używane przez niego epitety były bardziej dosadne, nie nadające się do druku, nawet w obecnej dobie językowego rozpasania. Nie zamierzam ich tu cytować. Ograniczam się tylko do kilku mniej wulgarnych, tych, bez których atmosfera i koloryt Grudziądza nie byłby kompletny.

Z wolna zostaliśmy wessani w tryby grudziądzkiej rutyny. Ta obracała się dookoła konia, rynsztunku oraz marszrutę pieszej i konnej. Koń był zawsze na pierwszym miejscu. Oporządzenie konia, pojenie, karmienie i czyszczenie trzy razy dziennie, to były ceremonie celebrowane uroczyście. W czasie jedzenia i pojenia, musiała panować w stajni absolutna cisza. Cisza obowiązywała też w czasie czyszczenia koni; to polegało na szczotkowaniu całej sierści końskiej twardą szczotką, którą oczyszczało się przez pocieranie o metalowe zgrzebło. Gdy zgrzebło wypełniało się pyłem, należało je „wybijać” na kamienną podłogę stajni, tuż przed stoiskiem końskim. Ilość takich szarych prążków pyłu świadczyła o pilności i dokładności pracy „ułana z cenzusem”.

Po czyszczeniu koni z pyłu następowało wygładzanie sierści. Był to w gruncie rzeczy intensywny masaż końskiej skóry. Sierść musiała błyszczeć. Potem przychodziły takie szczegóły: czyszczenie i glansowanie woskiem kopyt końskich, mycie i czesanie ogona oraz dokładne wymycie podogonia i smarowanie go wazeliną. Gdy ta cała toaleta była skończona, przychodziła inspekcja. Zjawiał się dowódca plutonu w białych irchowych rękawiczkach. Każdy „ułan z cenzusem” stawał na baczność przed koniem. Gdy porucznik miał wątpliwości co do czystości konia, przejeżdżał ręką po jego szyi czy grzbiecie. Jeżeli rękawiczka była brudna, winowajca stawał do raportu karnego. Zwykła kara to meldowanie się w pełnym oporządzeniu, z siodłem na głowie, na klęczkach, u podoficera służbowego. Podoficer raczył wychodzić ze swego

pokoju, po odśpiewaniu błagalnej pieśni „U drzwi Twoich klęczę Panie”.

W ogóle przeglądy broni i rzędu końskiego były naszym największym utrapieniem, tuż po przeglądach koni. I tu też wachmistrz Ziobro był nieubłaganie pedantyczny, często sarkastyczny w swych uwagach. Raz zauważywszy, że ogłowie mojej klaczy, Narwi, jest źle dopięte i że jeden z rzemyków nie dość wyglansowany, burknął:

„Dziewanowski, to, to jest rząd? Nie! To jest nierząd. To nawet nie jest nierząd, to jest burdel. To nawet nie burdel, to pożar w burdelu!”

Mając do czynienia z przeszło setką inteligentów, czyli w języku wojskowym „cywilną bandą”, podoficerowie byli niezwykle uczuleni na każde słowo krytyki. Standardowym wyrazem pogardy, często kierowanym do ludzi z ukończonymi wyższymi studiami, było powiedzenie: „tu nie uniwersytet, tu trzeba myśleć”... Gdy jeden z moich kolegów, Antek Kamiński, próbował krytykować wywody wachmistrza Ziobro, o właściwościach ręcznego karabinu maszynowego typu Browning, ten przeszył go swymi małymi, zielonymi oczami i przez zaciśnięte zęby wycedził:

„Gdybyście Kamiński byli tacy wysocy, jakżeście głupi, to moglibyście księżyc klęczać w d... pocałować.”

Gdy ktoś inny próbował Ziobrę poprawić w czymś dotyczącym ciężkiego karabinu maszynowego, wachmistrz odburknął:

„Wy to możecie uczyć swoją babcię jak robić siusiu do butelki, ale nie mnie, jak strzelać z cekaemu...”

Jednym z głównych przedmiotów wykładanych nam była nauka o koniu. Była to cała wiedza. Zaczynało się od anatomii konia, poprzez jego higienę oraz patologie. Wbrew pozorom, koń jest zwierzęciem podatnym na różne choroby. Koń poza tym jest niezwykle delikatny oraz wybredny; pije tylko wodę czystą, je głównie owies i siano; oba pokarmy muszą być świeże; stąd ich ziołowy aromat przenika zwykle stajnię, a nawet najbliższe otoczenie. Dietę konia urozmaica marchew i rzepa, główne źródła witaminy C. Wszystko musi być odpowiednio zbalansowane, nad czym zawsze pilnie czuwał wachmistrz Ziobro oraz szwadronowy weterynarz.

Poza nieodpowiednią dietą, na konia czyhają rozmaite inne niebezpieczeństwa. Przede wszystkim koń musi być odpowiednio osiodłany. Koń „odparza się” gdy derka pod siodłem nie jest położona „z włosom” a „nabija się” czy „odbija się” gdy siodło jest położone swymi przednimi „ławkami” na łopatkach końskich. Po ruszeniu z miejsca, nie można od razu przechodzić od stępa do kłusa, nie daj Boże do galopu; nie można też konia skręcać w miejscu, bo się wówczas „splacza”. Nie powinno się zaciągać popręgów siodła zbyt ciasno, bo można konia „zapoprężyć”... Nie wolno też poić konia zimną wodą, gdy jest zgrzany, bo grozi mu „kolka” itd... itd. Tak zwane „końskie zdrowie” to legenda.

Poruszanie się wierzchowca czyli „chody”, to też ważny temat wykładów konioznawczych. Wydajność chodu konia zależy od jego budowy oraz *last but not least*, od treningu. Stęp, kłus i galop są naturalnymi chodami konia. Konie wierzchowe powinny stępem przebywać 6-7 kilometrów na godzinę. Kłus może być zwykły, gdy jeździec poddaje się wyrzutowemu rytmowi i unosi się w siodle czyli „anglazuje” lub „ćwiczebny”, gdy jeździec twardo siedzi w siodle. Galop też może być zwykły lub „ćwiczebny”, gdy jeździec „wyciera” siodło swym siedzeniem. Najszybszym chodem jest „cwał” lub „carrier”, stosowany tylko na rozkaz „do szarzy”³.

Konie, choć żadnego „cenzusu” nie miały, były grubo mądrzejsze od nas, „ułańów z cenzusem”. Znały wszystkie komendy, wszystkie zwroty i często wykonywały je automatycznie, zanim jeździec mógł się zorientować o co chodzi. Wyczuwały one zresztą doskonale charakter i umiejętności jeźdźcy. Niektóre z koni, te o bardziej złośliwym usposobieniu, często płały figle nieporadnym kandydatom na kawalerzystów. Z drugiej strony, były one czułe na odpowiednie traktowanie, jak np. poklepywanie po szyi czy głaskanie nozdrzy, a zwłaszcza na dokarmianie ich cukrem, chlebem lub marchwią.

Były też konie złośliwe; niektóre gryzły lub wierzgały. Zaznaczało się to czerwoną wstążeczką, wplecioną w grzywę

3. Nazwa pochodzi od francuskiego rozkazu „*en carriere*”, czyli „cwałem marsz”.

lub ogon. Najgroźniejszym w drugim plutonie był Majdan, wierzchowiec mocny i piękny, jednak jego dekoracja – czerwona wstążka grzywy i ogona – wzbudzała respekt, zarówno kopał jak i gryzł; przydzielony został Ludwikowi Popielowi, świetnemu jeźdźcy ze znanej rodziny hodowców koni, z Kieleckiego. Ludwik (po wojnie trener kanadyjskiej drużyny olimpijskiej), dał sobie radę ze swym wariatem i na ujeżdżalni, i w polu. Tylko nie-kawalerzysta mógłby powiedzieć, że wszystkie konie są jednakowe. Nieprawda! W charakterach końskich jest niemal taka sama gama różnic jak w usposobieniach ludzkich.

●

Sześciotygodniowy okres rekrucki dłużył się nam. Byliśmy traktowani jak zwykli żołnierze. Po paru tygodniach byliśmy zmęczeni fizycznie i psychicznie. Dyscyplinę wpajano w nas w sposób bezwzględny. Nie mieliśmy chwili spokojnej. Za najdrobniejsze przewinienia groziło sto przysiadów. Za niedostateczne wyczyszczenie konia lub rzędu końskiego, biegaliśmy w kółko z siodłami na grzbietach, z ołowiem w ręku. W dodatku, udręki takie miały miejsce w przerwie obiadowej.

Wytchnieniem pomiędzy przenudną rutyną musztry, ujeżdżalnią i „ćwiczeniami polowymi”, które *nb.* początkowo ograniczały się do tzw. „Sahary”, czyli dużego, piaszczystego obszaru, położonego tuż za naszymi koszarami, były „przepustki”. Otrzymywało się je na sobotę i niedzielę do miasta, lub na kilka dni dla odwiedzenia rodziny. Przed wyjściem na przepustkę, lub przed wyjazdem na urlop, trzeba było przejść przez surową inspekcję. Dokonywał jej szef szwadronu, wachmistrz Wyszomirski. Oglądał starannie mundur, szablę, buty i ostrogi. Wielką uwagę przywiązywał do wysokich butów, dumy każdego kawalerzysty.

Grudziądz jest miastem o dużej przeszłości, położonym na wyniosłym brzegu Wisły. Bogata historyczna przeszłość miasta odbija się w jego zabytkach, takich jak fara Św. Mikołaja, wzniesiona w XIII i XIV wieku, czy barokowych kościołach Św. Ducha oraz księży Jezuitów. Imponujący też

był zespół starych, murowanych spichrzów nad Wisłą. Ale niestety, w tych szczenięcych latach, nie nęciły nas zabytki historyczne. Głównym magnesem była tu restauracja „Królewski Dwór”. Tam chodziło się zjeść, popić i spotkać miejscowe dziewczęta różnego autoramentu. Restauracja była dobra, lecz dość kosztowna na kieszenie większości „ułanów z cenzusem”. Wbrew powszechnej opinii, tylko około połowę z nich stanowili chłopcy z zamożnych domów ziemiańskich czy arystokratycznych. Poza synami takich starych ziemiańskich rodów jak Mielżyńscy czy Popiele (a więc tego, co Niemcy nazywają *Hochadel*), było sporo utytułowanych „ułanów z cenzusem”. W samym pierwszym szwadronie było dwóch Radziwiłłów, Władysław i Antoni, Stefan Potocki oraz Edward Tyszkiewicz. Reszta, to byli synowie inteligencji (jak np. synowie profesora Longchamps de Berier ze Lwowa, Wacława Tokarza z Warszawy) lub wręcz dzieci inteligencji pracującej, kupców czy rzemieślników.

Koniec okresu rekruckiego zwiastował nowe życie. Po przysiędze dyscyplina stała się mniej uciążliwa. Może nie tyle ona, co zawziętość naszych podoficerów. Wymagali nadal twardo, ale nie czepiali się szczegółów, nie „dawali nam w kość”, jak się wówczas mówiło. Nasi wachmistrze nie nękali nas po nocach sprawdzaniem czystości sal i wzorowo złożonych „kostek” z bielizną i umundurowaniem. W okresie rekruckim wachmistrz Ziobro potrafił nas obudzić, ponieważ w świetle latarki zobaczył okruch słomy. Głupstwo obudzenie, chociaż już to samo było udręką dla nas, wiecznie niedospianych. Następował ryk wachmistrza i rozkaz zbiórki w pełnym umundurowaniu. Potem następował pogrzeb słomki, uroczyste niesienie na kocu i zakopanie w kącie placu alarmowego.

Pobudka, mycie się, ubieranie, gimnastyka poranna czy też czynności „koło swojej osoby”, stanowiły marginesy dnia oficjalnego. Dzień roboczy zaczynał się zbiórką, na której odśpiewywano pieśń: „Kiedy ranne wstają zorze”, kończył – na wieczornym apelu, na którym śpiewano „Wszystkie nasze dzienne sprawy”. Godziny przedpołudniowe wypełnione były ważnymi czynnościami, jak jazda konna na ujeżdżalni lub służba polowa. Ujeżdżalnia męczyła póki nie nauczyliśmy się

właściwie dosiadać konia. Nie żałowano nam kłusa bez strzemion, długotrwałych galopów ćwiczebnych oraz woltyżerki, czyli nieomal cyrkowych skoków z jednej strony konia na drugą, przodem i tyłem, ćwiczeń formujących z nas prawdziwych kawalerzystów.

Jednak istotą naszego wyszkolenia była służba w polu. Tu koń stawał się już nie tylko środkiem pokonywania przestrzeni, ale towarzyszem broni, od którego w wielkim stopniu miała zależeć nasza przyszła zdolność bojowa. Podczas ćwiczeń w służbie polowej uczyliśmy się różnych czynności w ramach plutonu kawalerii do dowodzenia, którym byliśmy szkoleni. Pełniliśmy funkcje szperaczy, braliśmy udział w patrolach kolejno nimi dowodząc. W ten sposób wyrabiano w nas podstawowe zdolności dowódcze. Pod koniec szkoły otrzymywaliśmy samodzielne zadania taktyczne. Typowym zadaniem było prowadzenie patrolu zwiadowczego, odpowiednie rozpoznanie terenu i nieprzyjaciela („npla” w wojskowym żargonie) oraz odpowiednie ustawienie „czujek”.

Takie ćwiczenia odbywały się najpierw na „Saharze”, a po okresie rekruckim w okolicznych lasach i wioskach. Po powrocie z ćwiczeń następowało czyszczenie, pojenie i karmienie koni. I znów podstawowa zasada: ułan może zająć się sobą, zjeść czy wypocząć dopiero wtedy, kiedy jego koń ma zaspokojone wszystkie swoje potrzeby, jest rozsiodłany, napojony, nakarmiony i oczyszczony. Po tych czynnościach następowała dwugodzinna przerwa obiadowa; po obiedzie następowało zwykle pisanie i czytanie listów, uczenie się do egzaminów, pogaduszki z kolegami. O godzinie 14-ej znów zbiórka, po czym takie zajęcia na powietrzu, jak władanie białą bronią czy musztra piesza czy konna oraz strzelnica. Ale, jak wspomniałem, były też wykłady teoretyczne. Na ogół wykłady były dla nas wytchnieniem po nużących ćwiczeniach fizycznych, zwłaszcza rutynie musztry i pedantycznych, bezmyślnych przeglądach koni, broni i oporządzenia. Mieliśmy na ogół wykładowców, specjalistów z poszczególnych dziedzin wiedzy wojskowej. Taktykę kawalerii wykladał nam nasz dowódca plutonu, por. Szeliski; taktyki artylerii – major artylerii konnej Kijok. Rotmistrz Ziemiński z 6. pułku Strzelców Konnych prowadził naukę o broni, rotmistrz Srokowski z

5. pułku Ułanów Zasławskich – łączności, kartografii uczył kpt. Benoit z Korpusu Kartografów, a saperki – kapitan Gracjan Dąbrowski z Korpusu Saperów. Podpułkownik lekarz weterynarii Wróblewski zapoznawał nas z podstawową wiedzą w dziedzinie opieki nad koniem, major lekarz Tobiasz – opieki nad żołnierzem, ratownictwem oraz zasadami higieny w polu. Historię wojen wykladał rotmistrz Adam Sołtan z 1. pułku ułanów krechowieckich. Nie było natomiast ani jednego wykładu o broni pancernej, nie mówiąc już o znaczeniu lotnictwa w wojnie nowoczesnej.

System egzaminowania był szybki i prosty. Wywołany z listy wychodził na salę i meldował regulaminowo swoje przyście na egzamin. Wskazywano mu górę leżących zwiniętych kartek, polecając wybranie jednej z nich i zajęcie miejsca na krześle. Dawano pięć minut na zastanowienie się nad odpowiedzią na pięć pytań wypisanych na kartce. Ocena zależała od sumy punktów przyznawanych przez członków komisji. Ostateczna lokata przy promocji była wypadkową sumy punktów za przedmioty teoretyczne oraz praktyczne, jak: musztra piesza i konna, rozkazodawstwo, służba polowa, jazda konna, wołyżerka, strzelanie i władanie bronią białą. Do stopni z poszczególnych przedmiotów stosowano różne współczynniki. Jakie, nie bardzo już dziś pamiętam. Wiem tylko, że służba polowa i rozkazodawstwo stały najwyżej. Po rozkazodawstwie poznawało się, jak twierdził wachmistrz Ziobro, czy jest się prawdziwym dowódcą czy nie. Lapidarnie ujmował to sam Ziobro: „Jaka menda, taka komenda”.

Od naszych postępów w naukach zależały awanse. W kawalerii, pierwszym wyróżnieniem było przyznanie ułanowi prawa noszenia ostróg. Do munduru wyjściowego noszenie ostróg było obowiązkowe, jednak w obrębie koszar nosili je tylko upoważnieni do tego. Pierwsze ostrogi przyznano już w połowie okresu rekruckiego, ale tylko kilku najwybitniejszym jeźdźcom na pluton, przede wszystkim dwóm asom takim, jak Maciek i Ludwik Popielowie. Następne przyznania odbywały się kapaniną, by wreszcie w listopadzie nastąpiło uhonorowanie całej reszty, pasowaniem nas na prawdziwego kawalerzystę. Awanse na starszych ułanów (jedna srebrna belka na naramienniku) rozpoczęły się przed Bożym Narodzeniem.

Pierwsi otrzymali najlepsi, jak Romek Podhorski, kuzyn komendanta CWK, Stefan Ruszczyński (zamordowany w Katyniu), Adaś Smolka (starszy plutonu), Ludwik Popiel, Ryś Gruzewski i Staś Święcicki. Przed urlopem wielkanocnym przyszły dalsze awanse na kaprali.

W połowie maja odbyliśmy tzw. „Podróż taktyczną” na poligon ćwiczebny w Biedrusku, koło Poznania. W Biedrusku szlifowano nasze wyszkolenie bojowe, uzupełniając je ciągłymi manewrami; wraz z jednostkami garnizonu poznańskiego, jak np. 15. pułk ułanów, ćwiczyliśmy wszystko, czego nas nauczono w szkole: szperacz, patrole, podjazdy, placówki, spotkania z pozorowanym nieprzyjacielem. Musieliśmy kolejno dowodzić na różnych szczeblach, głównie na szczeblu dowódców plutonu. Zdawaliśmy w polu egzaminy z taktyki, z orientacji w polu, z prowadzenia oddziału w nieznanym terenie i umiejętności rozlokowania go na kwaterach. Z Biedruska wracaliśmy z uczuciem ulgi, że można się będzie nareszcie wypać „na własnych śmieciach”.

Ostatnie dni szkoły polegały na porządkowaniu broni i oporządzenia, aby je zdać bez kar pieniężnych. Potem przyszły przydziały do pułków, na ogół wybieranych przez nas samych. Pod koniec czerwca 1933 roku nadszedł wreszcie dzień pożegnania ze Szkołą i dwóch końcowych defilad, obu – choć w szyku pieszym – bardzo uroczystych. Pierwsza – jeszcze w mundurach szkolnych, druga – już w mundurach własnych i w barwach pułków, do których otrzymaliśmy przydziały. Ja wybrałem 1. Pułk Ułanów Krechowieckich: otok rogatywki amarantowy, proporczyki na kołnierzu amarantowo-białe. Rozdzielono nas między rozmaite pułki kawalerii, a było ich aż 40! Za najbardziej prestiżowe uchodziły trzy pułki szwoleżerów. Stąd żurawiejka o nich głosiła butnie:

*Wiele w Polsce jest frajerów,
Lecz trzy pułki szwoleżerów,
Szwoleżery kręcą głową,
Chcą być Gwardią Narodową.*

Inna, nieoficjalna wersja głosiła:

*A szwoleżer kręci głową
Chce być Gwardią Zarodową.*

Obok szwoleżerów, było 27 pułków ułanów oraz 10 pułków strzelców konnych. Pułki te nie różniły się od siebie niczym poza barwą proporczyków i znaczków pułkowych: organizacja, uzbrojenie i wyszkolenie były jednakowe. Oczywiście każdy pułk został sformowany w innych warunkach i w innym czasie, stąd miał inną tradycję. Tak na przykład 1. Pułk Szwoleżerów był spadkobiercą legionowego oddziału rozpoznawczego, sformowanego przez Belinę Prażmowskiego, w pierwszych dniach pierwszej wojny światowej. Pułk ten cieszył się specjalnymi względami Marszałka Piłsudskiego. Dowodził nim przez pewien czas Bolesław Wieniawa Długoszowski. Na jego czele wkroczył Marszałek do Warszawy, 12 maja 1926 roku, by dokonać swego zamachu stanu, stąd oficerów Pułku nazwano „pretorianami Piłsudskiego” i śpiewano o nich:

*Ciesz się bracie szwoleżerze
Masz protekcję w Belwederze.*

Pomimo tych różnic, zawiści i złośliwości, kawaleria stanowiła najbardziej może zwarty i zżyty rodzaj broni. Oficerowie znali się między sobą, wielu z nich było ze sobą po imieniu.

Ukończenie dziesięciomiesięcznej S.P.R.K. oznaczało, że z „ułanów z cenzusem” stawaliśmy się „podchorążymi”, przydzielonymi na dwumiesięczną praktykę do poszczególnych pułków. Ja wybrałem Pierwszy Pułk Ułanów Krechowieckich, imienia swego pierwszego szefa, pułkownika Bolesława Mościckiego. Pułk ten stał koło Augustowa, niedaleko kanału, łączącego dorzecze Wisły i Niemna; okolica była malownicza, lesista, ułana rozlicznymi jeziorami, z jeziorem Wigry na czele. Wybrał ten garnizon w roku 1921 ówczesny dowódca, pułkownik Zygmunt Podhorski, popularnie zwany Zazą; lubił on polować na rysie, łosie i bobry, których w tym czasie było jeszcze sporo. Pułk objął stare koszary jakiegoś rosyjskiego pułku huzarów, opuszczone w roku 1915.

Gdy lipcowym rankiem 1933 roku przyjechałem do miejsca postoju pułku, na piaszczystym majdanie orkiestra, czyli „trębacze” w potocznym języku pułkowym, dosiadający białych koni (reszta pułku dosiadała koni gniadych), ćwiczyła popularną melodię:

*Ułani, ułani,
malowane dzieci...*

Następnego dnia, po zameldowaniu się w dowództwie pułku, u swego bezpośredniego przełożonego, rotmistrza Węclawowicza, dowódcy 2-go szwadronu, już o godzinie ósmej rano, po śniadaniu, rozpocząłem swe codzienne zajęcia służbowe, w moim plutonie. Pluton etatowy składał się z trzech sekcji liniowych, sekcji ręcznych karabinów maszynowych, luzaka dowódcy plutonu oraz gońca, łącznie 28 ludzi. Dowódcą był oficer, zwykle podporucznik lub młody porucznik, zastępcą podoficer lub podchorąży, odbywający praktykę po szkole w Grudziądzu. Najmniejszą jednostką w kawalerii była sekcja licząca 6 kawalerzystów: młodszy podoficer lub starszy szeregowiec jako dowódca oraz pięciu szeregowców, z których dwóch pełniło funkcję koniowodnych. Szwadron był oddziałem o pewnej samodzielności taktycznej; liczył zwykle od 120-130 żołnierzy, w skład jego wchodziły 4-5 plutony liniowe, poczet dowódcy oraz drużyna gospodarcza, kuchnia polowa i wozy taborowe.

Regulaminowo, w skład pułku wchodził poczet dowódcy pułku, cztery szwadrony liniowe, szwadron ciężkich karabinów maszynowych, pluton łączności, drużyna pioniersko-przeciwgazowa, pluton kolarzy, pluton działek przeciwpancernych oraz szwadron gospodarczy. Pułk liczył około 850 ludzi, a więc przedstawiał siłę ogniową zaledwie jednego batalionu piechoty.

Zbliżał się dzień 24 lipca, rocznica bitwy pod Krechowcami w 1917 roku. Dzień ten obchodzony był jako święto pułkowe, połączone ze zjazdem byłych oficerów pułku. Święto rozpoczynało się uroczystą mszą św., po czym następował wspólny obiad, w czasie którego oficerowie czynni i rezerwy jedli wspólnie z podoficerami i ułanami. Potem następował

bal w kasynie oficerskim. Kasyno pułkowe było wytworne, urządzone z dużym smakiem, pełne obrazów, sztychów i starej broni; w dużym stopniu przyczynił się do tego mój stryj, Władysław Dziewanowski, gdy swego czasu dowodził szwadronem pułku, w którym służył jeszcze w czasie wojny, w 1915-1920. Potem został wykładowcą historii w Wyższej Szkole Wojennej⁴.

Na doroczne święto pułkowe przyjeżdżali nie tylko byli oficerowie, ale nawet zwykli szeregowcy, zwłaszcza ci, którzy mieszkali niezbyt daleko od Augustowa. Cokolwiek można by powiedzieć o kawaleryjskim korpusie oficerskim i jego snobizmie, miał on nie tylko głęboko zakorzenione *esprit de corps*. Choć od szeregowców oraz podoficerów dzielił oficera kawalerii wielki towarzysko-społeczny dystans, to jednakże łączyło ich poczucie przynależności do tego właśnie elitarnego rodzaju broni i duma ze sławnego pułku.

Jeżeli chodzi o dumę pułkową, to pod tym względem trudno było pobić Krechowiaków. Pisał o tym jeden z jego oficerów rezerwy, poeta i pisarz, rotmistrz Antoni Bogusławski:

*Bracie, jeśliś ułan szczery,
Przyznasz, choćbyś żółtkł,
Że nad wszystkie pułki słynie
Krechowiecki pułk.*

Oczywiście nie wszyscy kawalerzyści godzili się z tą opinią. Na czele przeciwników znajdował się korpus oficerski Pierwszego Pułku Szwoleżerów imienia Marszałka Piłsudskiego. Pułk ten, który walczył przyczynił się do jego zwycięstwa w maju 1926 roku, uważał się nie tylko spadkobiercą tradycji ułanów Beliny oraz Pułku Lekkokonnych Gwardii, czyli najsławniejszego pułku polskiej kawalerii, ale i za elitę całego wojska polskiego⁵. Fakt, że wszyscy Krechowiacy obecni w

4. W czasie wojny był *attaché* wojskowym przy Komitecie Wolnej Francji, a potem przy rządzie francuskim w Paryżu; wydał szereg książek z historii uzbrojenia i umundurowania, był też założycielem czasopisma z tej dziedziny, *Broń i Barwa*.

5. Na pierwszy rzut oka, spór o to, kto był rzeczywiście spadkobiercą tradycji Szwoleżerów Gwardii Napoleońskiej, jest trudny do rozstrzygnięcia.

Warszawie tego pamiętnego maja stanęli po stronie Prezydenta Stanisława Wojciechowskiego, stworzył w Ministerstwie Spraw Wojskowych, dookoła Pierwszego Pułku Ułanów atmosferę niechęci, jeżeli wręcz nie podejrzliwości. Krechowiacy awansowali wolniej niż oficerowie innych pułków. Na przykład fakt, że Krechowiak, ówczesny pułkownik Władysław Anders, były szef sztabu wojsk broniących Prezydenta, choć cieszył się znakomitą opinią, został awansowany na generała z dużym opóźnieniem, świadczył dobitnie o niechęci tzw. „sfer rządzących” do tego Krechowieckiego pułku. Mówiło się po cichu w Warszawie, że pułk jest pod stałą obserwacją Drugiego Oddziału, czyli tzw. „Dwójki”.

Czy była to prawda, trudno dziś stwierdzić, bo do tajnych raportów „Dwójki” nigdy w swych badaniach nie dotarłem. Opierając się tylko na tym, o czym przysłowiowe wróble śpiewały na warszawskich dachach, w każdym razie, w roku 1936, kolejnym dowódcą pułku został mianowany przez Marszałka Piłsudskiego, jeden z jego zaufanych oficerów legionowych, były Beliniak, pułkownik dyplomowany, Leon Strzelecki. Ten, olbrzymi wzrostem, barczysty i jowialny oficer, szybko jednak uległ urokowi tradycji pułkowej. Po roku pobytu w Augustowie, przekonał się on o bezpodstawności wszelkich podejrzeń o „nielojalności” i stał się zapałonym Krechowiakiem. Gdy go spotkałem w lecie 1933 roku, był on już bardziej entuzjastycznym patriotą pułkowym niż większość starszych Krechowiaków.

I to właśnie pułkownikowi Strzeleckiemu zawdzięczał pułk jedną z ciekawszych wizyt. Minister spraw zagranicznych, Józef Beck, był starym legionowym kolegą Strzeleckiego. Entuzjasta sportu wodnego, Beck utrzymywał w oficerskim Yacht Klubie, na bliskim koszar jeziorze Wigry, swoją

cia. Za Pierwszym Pułkiem międzywojennym szwoleżerów, przemawia oczywiście sama zbieżność nazw. Ale jeżeli przejrzy się spis nazwisk oficerów Krechowiaków, to ich uderzająca wprost zbieżność z napoleońskim antenatem jest nie do zaprzeczenia. Zarówno w Szwoleżerach Gwardii, jak i w pułku Krechowieckich ułanów, służyli potomkowie takich rodów jak: Zamoyscy, Lubomirscy, Łubieńscy, Woronieccy, Krasieńscy, Bogusławscy, Dziewanowscy, aby wyliczyć tylko kilka przykładów. Patrz: indeks monumentalnej pracy Aleksandra Rembowskiego: „Źródła do historii Pułku Lekkokonných Gwardii Napoleona I”, Warszawa 1899.

prywatną zagłówkę. Korzystając z parotygodniowej wizyty wakacyjnej starego przyjaciela, pułkownik Strzelecki zaprosił go na obiad do kasyna pułkowego. Na uroczysty obiad zostali zaproszeni wszyscy oficerowie oraz podchorążowie. Wielka sala balowa została zamieniona na jadalnię. Stoły były ustawione w podkowę, a zaproszeni zajmowali miejsca według starszeństwa. Zgodnie z tradycją pułkową, pierwsze miejsce przy stole było zawsze nie zajęte, choć w pełni nakryte. Miejsce to było zarezerwowane dla pierwszego szefa pułku, pułkownika Bolesława Mościckiego, zamordowanego przez Bolszewików, gdy po rozwiązaniu Pierwszego Korpusu generała Dowbór-Muśnickiego, przedzierał się z Bobrujska do Warszawy.

Mój stryj Władysław, jako stary Krechowiak siedział blisko honorowego gościa, więc mógł obserwować jego zachowanie. Gdy Minister Beck wszedł z pułkownikiem Strzeleckim do jadalni, od razu chciał zasiąść na pierwszym, honorowym miejscu. Tu powstrzymał go gospodarz protestując:

– „Józek, to miejsce jest zawsze nie zajęte, bo zarezerwowane dla naszego pierwszego dowódcy”. Beck ukłonem przed pustym krzesłem i nakryciem potwierdził swoje uznanie dla pięknej, żołnierskiej tradycji.

Po deserze, Minister Beck wyjął swą papierośnicę, otworzył ją i podsunął Strzeleckiemu. Ten odparł: „Józek, u nas w pułku nie palimy przy stole jadalnym, chodźmy na kawę i papierosy obok do salonu...”.

W tym miejscu Beck skrzywił się nieco, ale przyjął i tę uwagę gospodarza. Wstał i przeszedł ze Strzeleckim do palarni, gdzie kelnerzy zaczęli wnet roznosić kawę i koniak. Wokoło dostojnej osoby zrobił się ścisk. Wielu oficerów chciało bliżej poznać sławnego gościa i obejrzeć go z bliska. Rozpoczęła się ożywiona rozmowa, posypały się najrozmaitszego rodzaju pytania, na które Beck starał się odpowiadać z charakterystyczną dla niego rezerwą. Na ogół zwracano się do niego *per* „Panie Ministrze”. Gdy jeden z młodszych oficerów począł go nazywać „pułkownikiem”, Strzelecki zwrócił mu uwagę, że należy używać zawsze najważniejszego tytułu, w tym wypadku używając tytułu ministra. Tu Beck przerwał naganę i oświadczył:

– „W roku 1919, ówczesny Naczelnik Państwa, Józef Piłsudski wypełniał pierwszy w odrodzonej Polsce, świeżo wydrukowany kwestionariusz podatkowy; były tam, między innymi, dwie rubryki: zawód główny i zawód poboczny: Marszałek napisał jako zawód główny: Wódz Naczelny, a jako zawód poboczny: Naczelnik Państwa. Może więc, pan, panie poruczniku, swobodnie tytułować mnie po prostu pułkownikiem”.

Pomiędzy ćwiczeniami, sakramentalną ujeżdżalnią oraz różnymi przeglądami, zapoznawałem się coraz bardziej z codziennym życiem pułku. Wiele dawały mi rozmowy z zawodowymi oficerami. Opowiadali mi oni wiele o twardym reżimie Szkoły Oficerskiej Kawalerii (O.S.K.) i panujących tam zwyczajach. Miałem o nich dotychczas tylko słabe pojęcie. Przez cały czas mego pobytu w Grudziądzu, zdołałem się zbliżyć tylko z jednym podchorążym z młodszego rocznika O.S.K. Był to Staś Wołoszowski, później wybitny jeździec i członek „Grupy Olimpijskiej”. Poza tym, nasze kontakty z O.S.K. były minimalne.

Dopiero w Augustowie, dzięki rozmowom z oficerami zawodowymi, zacząłem przenikać tajniki reguł i zwyczajów życia O.S.K. Od nich dowiedziałem się do jakiego stopnia była to społeczność rozwarstwiona; podchorążowie młodszego rocznika byli zdominowani przez kolegów z rocznika starszego. W obcowaniu ze starszymi, młodzi musieli zachować ściśle przepisane reguły. Nawet niektóre wymiany zdań między nowicjuszami a kolegami ze starszego rocznika, były z góry przepisane. Na przykład na pytanie podchorążego starszego rocznika: „Co było gdy jeszcze niczego nie było?” młokos miał odpowiadać: „Starszy rocznik, panie podchorąży”. Jeszcze większy dystans dzielił oficerów-instruktorów od ogółu podchorążych, bez względu na rocznik; obowiązywała tu na przykład znajomość „żurawiejek” tego pułku, w którym służył dany dowódca plutonu. Dowódcami plutonów byli z reguły porucznicy. W przedwojennym wojsku nie wolno było się żenić, bo pensja porucznika była zbyt mała na utrzymanie rodziny. Ale zwykle mieli oni przyjaciółki lub narzeczone, które musiały czekać cierpliwie na oficjalny ślub, możliwy dopiero po awansie na rotmistrza. Trwało to czasem bardzo długo. Na pytanie porucznika, dowódcy plutonu:

– „Panie podchorąży, gdzie jest moja narzeczona?” – przepisowa odpowiedź brzmiała:

– „W szpitalu wariatów, panie poruczniku”.

– „Dlaczego w szpitalu wariatów?”

– „Zwariowała z tęsknoty za panem porucznikiem”.

To nieformalne przeszkolenie nazywało się „cukiem”; za niestosowanie się do reguł „cuku” groziły rozmaite kary, zaczynając od licznych przysiadów, a kończąc na picciu odpowiedniej ilości wódki. Poza tego rodzaju ciekawostkami, stwierdziłem, że wyszkolenie oficerów zawodowych było w zasadzie podobne do naszego, ale o wiele bardziej systematyczne i intensywne; Poza tym, w O.S.K. zwracano większą uwagę na sprawność fizyczną. O.S.K. była znakomitą szkołą, z której w latach 1921-1939 wyszło 1060 młodych oficerów.

Jedną z ciekawszych stron pobytu w pułku, było zapoznanie się z jego barwną, bogatą historią. W czasie kampanii roku 1920, Krechowiacy zostali przydzieleni do grupy kawalerijskiej generała Juliusza Rómla, jednostki stworzonej specjalnie dla powstrzymania armii konnej Budionnego. Po zwycięskich bitwach pod Zamościem i Komarowem (prawdopodobnie ostatnich wielkich zmaganiach kawalerii) pułk Krechowiecki dostał rozkaz przedarcia się na głębokie tyły wycofujących się szybko oddziałów Budionnego i pochwycenie go, żywego lub martwego. Pułk rozkaz wykonał. Budionny został zaskoczony w nocy, gdy, wraz ze swą kochanką spał w chłopskiej chałupie. Watażka, jeszcze dość młody i zwinny kozak, wyskoczył przez okno, wsiadł na jednego ze stojących przed chałupą koni i umknął. Łupem pułku stała się jego kancelaria oraz część oficerów sztabowych, którzy zaspani, nie zdołali ująć. Wśród łupu było kilkanaście arabów pełnej krwi, zrabowanych zapewne z jednej ze stadnin podolskich. Budionny, rozmówany w pięknych koniach, lubił wozić ze sobą rasowe konie, których używał, po kolei, w czasie forsownych marszów. Parę tych pięknych zdobycznych wierzchowców dożyło do czasu, gdy odbywałem mój staż w Augustowie. Konie te były już bardzo stare, dlatego trzymano je na „łaskawym chlebie”, dobrze karmione, starannie dogłądane i raz dziennie przejeżdżane, dla utrzymania ich w jako takiej formie. Używano ich tylko do zaprzęgu w czasie ślubów oficerów pułku.

Cały sierpień przygotowywaliśmy się do manewrów jesiennych, zwykle odbywanych po żniwach, we wrześniu. O ile, na ogół, pobyt w pułku zaliczam do chwil przyjemnych, manewry były raczej przykre. Pogoda, która dopisywała w lipcu i sierpniu, popsuła się nagle już na początku września. Przez większość tego miesiąca padały ulewne deszcze. Manewry odbywały się w celu odparcia dywizji piechoty przez brygadę podlaską kawalerii, wraz z przydzieloną do niej artylerią, zagonu nieprzyjacielskiego, idącego od wschodu. Choć w tym czasie Armia Czerwona miała już tysiące czołgów, nie było mowy o broni pancernej. Całe manewry były w stylu działań kampanii roku 1920.

Pod koniec września 1933, zakończyłem mój pierwszy turnus w pułku. Następnie byłem tam jeszcze po sześć tygodni na manewrach, po czym w roku 1937 dostałem nominację na podporucznika rezerwy, z przeniesieniem do 3-go pułku szwoleżerów im. Jana Kozińskiego. Pułk stał w Suwałkach i był częścią tej samej brygady podlaskiej, co 1-szy pułk ułanów.

Na wiosnę 1937, zostałem wezwany do Suwałk na kurs dla świeżo mianowanych podporuczników; kurs ten prowadził major Djaczenko, były oficer armii atamana Petlury; jak wielu oficerów tej armii, służył on kontraktowo w naszym wojsku. Djaczenko był jednym z najlepszych instruktorów, jakich napotkałem w czasie całej mojej służby wojskowej. Poza gruntowną znajomością swego rzemiosła, był on prawdziwym gentelmanem: nie pamiętam ani jednego wypadku wulgarnego wymyślenia nas, czyli tak zwanego popularnie „opeeru”, choć często na to zasługiwaliśmy, bo większość z nas pozapominała wiele z tego, czego uczono nas w Grudziądzu.

Na następne ćwiczenia zostałem wezwany dopiero w marcu 1939. Tym razem dowiedziałem się, że do brygady przydzielona została bateria działek przeciwpancernych oraz kompania lekkich czołgów. Po raz pierwszy odbywaliśmy ćwiczenia, które brały pod uwagę możliwość walki z bronią pancerną. Zaczęły wśród oficerów krążyć słuchy, że polscy inżynierowie wynaleźli jakąś fenomenalną broń, której pociski mogą przebijać opancerzenie czołgów niemieckich. Broń tę

zobaczyłem dopiero pod koniec sierpnia, gdy zostałem zmobilizowany i w połowie miesiąca zjawilem się znowu w Suwałkach. Pamiętam z jakim napięciem otwieraliśmy długie, drewniane skrzynie, w których starannie zawinięte znajdowały się te właśnie rusznice przeciwpancerne. Każdy pluton otrzymał po jednej sztuce. Rozpoczęły się gorączkowe ćwiczenia na strzelnicy. W ten sposób, gdy dnia 1 września nastąpił niemiecki atak, obsługi rusznic były już jako tako wyszkolone. Sam nasz pułk zniszczył nimi kilkanaście czołgów nieprzyjacielskich. Kłopot był w tym, że rusznic tych było za mało...

Podsumowując moje przeżycia z okresu przedwrzesniowego, mogę stwierdzić, że nasza kawaleria była znakomicie wyszkolona, ale nie do wojny, która ją czekała. Byliśmy ożywieni tym duchem, jaki nam wpajał w Grudziądzu rotmistrz Nowacki, ciągle powtarzając: „Pamiętajcie, że jak którego z was diabli wezmą, to się dziura w niebie nie robi...”. Ale nawet tego rodzaju desperacka brawura nie mogła nadrobić tego, że we wrześniu 1939, w wojnie nowocześniejszej, byliśmy trochę jak „pijane dzieci we mgle”. Na co, na przykład, było „władanie bronią białą”, na które kładziono taki nacisk w Grudziądzu. Szable spoczywały głównie w pochwach, a donkiszotowskie lance kazano nam złożyć do magazynów, już w lecie 1939! Walczyliśmy, prawie wyłącznie spieszeni.

Oczywiście, umiejętność jazdy konnej, strzelania z rozmaitego rodzaju broni, orientacja w terenie przy pomocy mapy, a zwłaszcza ogólna sprawność fizyczna nabyta w służbie kawalerii, przydały się nam na długie lata. Poza tym wpojona w nas postawa, którą nazywano „trzymać fason” pozostała u wielu z nas do końca życia. Przeszło 50 lat po wyjściu z Grudziądza, brałem udział w konferencji naukowej, w dawnej siedzibie Rockefellerów w Bellagio, nad jeziorem Como. Jeszcze nie zdołano mnie przedstawić wytwornej damie włoskiej, która pełniła rolę gospodyni towarzyskich zebrań, którymi przeplatane były obrady naukowe, gdy ta zwróciła się do mnie i zapytała:

„Czy nie był pan kiedyś oficerem kawalerii...?”

Marian K. DZIEWANOWSKI

WOLNA TRYBUNA

Tomasz MIANOWICZ

KU POKRZEPIENIU UMYŚŁÓW

O historii można pisać rozmaicie, różnice zależą przede wszystkim od celu, jaki stawia sobie autor. Opis przeszłości jest przede wszystkim domeną historyków. Ale przedstawienie tych samych faktów a nawet ich wybór, mogą być odmienne, w zależności od metodologicznych i aksjologicznych założeń piszącego. Edycje materiałów źródłowych i historiografię trzeba odróżnić od dziennikarstwa i publicystyki, których tematem jest również historia. Dziennikarza obowiązuje wprawdzie zawodowa rzetelność (a przynajmniej powinno tak być) wolny jest jednak od wymogów warsztatu naukowego. Obraz historii, który funkcjonuje w obrębie pamięci zbiorowej, określany jest w dzisiejszej dobie w coraz większym stopniu nie przez naukowe opracowania, lecz poprzez mediatyzację faktów, czyli szeroko rozumianą publicystykę. To proces w pewnym sensie nieunikniony; wiadomo, że telewizja, wysokonakładowe czasopisma, i – w coraz większym stopniu – media elektroniczne, mają zasięg masowy, zaś do podręcznika historii sięga jedynie wąskie grono zainteresowanych czytelników.

Zmiany polityczne w Polsce, zniesienie urzędowej cenzury i dyktatu oficjalnej ideologii, rozszerzyły swobodę badań naukowych i otworzyły możliwość nie tylko wypełnienia białych plam w historii, lecz także rewizję jej obrazu. Jednak zwłaszcza w dziedzinie historii najnowszej, abstrahując w tej

chwili od bez wątpienia cennych publikacji naukowych, funkcjonuje nadal pewien uproszczony schemat. Utrwała go instrumentalizacja dyskusji o latach PRL, które stają się swoistym polem przetargów, podporządkowanych aktualnym sporom politycznym. Co ciekawe, a zarazem niepokojące, wynik tej dyskusji zależy nie tyle od dostępu do źródeł i ich krytycznej analizy, co raczej od rezultatów wspomnianej wyżej mediatyzacji, bowiem polemiki w warunkach obecnego systemu politycznego prowadzone są właśnie w środkach przekazu. Mój niepokój rodzi się stąd, że nawet w zakresie faktów, które rozegrały się na naszych oczach, medialny przekaz utrwała fałszywą wersję wydarzeń: co innego wynika z dokumentów archiwalnych – najważniejszego źródła analizy historycznej, co innego funkcjonuje w społecznym obrazie historii tak niedawnej, że w wymiarze psychologicznym jest ona nadal teraźniejszością. Badania opinii publicznej wykazały, że ponad 50% ankietowanych uważa, iż generał Jaruzelski wprowadzając stan wojenny uchronił Polskę przed sowiecką interwencją wojskową. Nawet intelektualiści, bynajmniej nie z obozu dawnej PZPR, wyrażają tę samą opinię: Jaruzelski „miał przyłożony pistolet do głowy”, „nie miał wyboru”, „był szantażowany przez Kulikowa”. Kulikow, a wiadomo to z licznych dokumentów, informował władze PRL, że wejście armii sowieckiej jest niemożliwe, choć polscy towarzysze zabiegali w grudniu 1981 o gwarancje pomocy (także wojskowej), na wypadek, gdyby rodzime siły nie poradziły sobie z „Solidarnością”.

Nie bez podstaw można zauważyć, że to przecież nie media upowszechniły wersję o ratowaniu Polski przed grożącą rzekomo inwazją Układu Warszawskiego. W istocie, nawet w grudniu 1981 roku w oficjalnej propagandzie nie było mowy o zagrożeniu interwencją zbrojną. Wersja ta pojawiła się na dobrą sprawę dopiero w związku z pracami komisji sejmowej, który badała odpowiedzialność „autorów” stanu wojennego. Muszą zatem istnieć dodatkowe czynniki, które przyczyniły się do wykreowania pozytywnego obrazu generała Jaruzelskiego.

Andrzej Paczkowski określił jako „filary”, na których opiera się polska pamięć narodowa, dwie postawy: potrzeba

„pokrzepienia serc” („byliśmy zawsze dzielni i dobrzy”) i schemat martyrologii („byliśmy zawsze ofiarą złych i zdradzieckich mocarstw”). Dochodzą do tego „obszary niepamięci” – fakty wyparte z psychologicznej reakcji na klęskę¹. Stan wojenny był bez wątpienia w odczuciu większości społeczeństwa klęską, jednak jej psychologiczna ocena zmienia się, jeżeli chcemy wierzyć, że klęska była wynikiem polityki potężnego wschodniego sąsiada.

Spółeczny obraz najnowszej historii politycznej opiera się na schemacie martyrologii, wytworzonym zresztą już w XIX wieku. Historyczny dyskurs służył natomiast „pokrzepieniu serc”, skutecznie utrudniając krytyczną analizę przeszłości. Takiej historii uczono w szkołach w latach PRL. Na dobrą sprawę paradygmat ten w swej psycho-socjologicznej funkcji nie uległ zmianie, a nawet rozszerzono jego stosowalność na lata Polski Ludowej, mnożąc rytuały rocznicowych akademii, stawiania pomników, wieszania orderów. Wszystko to sprawia wrażenie instrumentalizacji historii najnowszej.

Tego właśnie zjawiska dotyczy cierpka uwaga, którą Tadeusz Wyrwa kończy swoją ostatnią książkę:

Doznane klęski, zapomniane czyny i pragnienie ich upamiętnienia są chyba głównym powodem odbywającej się orgii wznoszenia pomników, wmurowywania tablic pamiątkowych, obchodów rocznic, defilad i paradowania ze sztandarami. Wszystko to robi wrażenie, że Polska staje się wielkim mauzoleum ku chwale niezbyt równomiernie rozłożonej, ze szkodą dla wielu ofiar, zwłaszcza już nieżyjących, których nazwiska i działalność coraz bardziej zacierane są w pamięci².

Nie będę tutaj streszczał książki, także dlatego, że każdy kto jest zainteresowany najnowszymi dziejami Polski, pracę Wyrwy powinien bezwzględnie przeczytać. Interesuje mnie

1. „Czy historycy dokonali ‘obrachunku’ z PRL?” w: „Ofiary czy współwinni. Nazizm i sowietyzm w świadomości historycznej”. Warszawa 1997, s. 16.

2. „Bezdroża dziejów Polski. Kraj i emigracja po 1 września 1939 r.” Norbertinum, Lublin 1998, s. 315.

ona przede wszystkim dlatego, że pozwala zrozumieć głębsze przyczyny utrwalenia „filarów”, o których pisał Paczkowski i – co więcej – ostrzega przed skutkami ich funkcjonowania także w odniesieniu do obecnej sytuacji. Otóż Polacy – w wymiarze zbiorowości – nie chcą zrozumieć własnej historii, co bez wątpienia jest w znacznym stopniu postawą pod- lub nieświadomą, wynikającą z wydarzeń ostatnich dwustu lat. Ale dochodzi do tego niechęć zrozumienia teraźniejszości, zastąpienie rzeczywistości jej schematycznym, czy wręcz wirtualnym obrazem. To jest w moim odczuciu wątek przewodni książki Wyrwy i wspólna przyczyna bezdroży, po których kroczy polska polityka od 60 lat.

Książka obejmuje okres od 1939 roku do drugiej połowy lat 90-tych – od odbudowy rządu na wygnaniu i początków Państwa Podziemnego – do prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego i sukcesu „obozu solidarnościowego” w wyborach do Sejmu. Szczególnie cenna, zwłaszcza że naprawdę mało znana, a w książce szczegółowo przedstawiona, jest historia działalności organizacji kombatanckich i ich schyłku. Autor, sam były żołnierz AK i działacz organizacji akowskich konstatuje, że wojenne pokolenie nie zdołało przekazać własnego systemu wartości młodszej generacji. Trudno nie zgodzić się z tym twierdzeniem, zdając sobie sprawę z etycznej dezorientacji młodego pokolenia i ogólnego upadku wartości w Polsce. Jeśli chodzi o emigracyjne pokolenie wojenne, to choć krytyka jest uzasadniona, łatwo zrozumieć psychologiczne mechanizmy, które działały od 1989 roku: wielu działaczy z wojennej emigracji wychodziło nagle z politycznego niebytu i mogło liczyć na uwagę krajowych mediów, partycypując w imprezach, których funkcja była nierzadko dwuznaczna, z uwagi na firmowanie ich przez przedstawicieli dawnych władz komunistycznych. Moralna i polityczna odpowiedzialność spoczywała jednak przede wszystkim na władzach RP na uchodźstwie.

Prezydent Ryszard Kaczorowski pozwolił się wciągnąć do gry politycznej, którą pod koniec 1989 roku podjął Lech Wałęsa w walce o władzę. Nie wiedząc przecież, jakie będą wyniki wyborów w 1990 roku, R. Kaczorowski zapowiedział, *nb.* bez konsultacji z Radą Narodową, że na zaproszenie

nowo wybranego prezydenta przybędzie do Warszawy, aby przekazać insygnia władzy prezydenckiej II Rzeczypospolitej. Emisariuszem Wałęsy, który razem z Kaczorowskim podpisał 12 października 1989 roku odpowiedni komunikat, był Zdzisław Najder, którego wyjątkowo barwna przeszłość polityczna była przecież już wówczas znana. Nieznana była natomiast treść memorandum, którą Najder, jeszcze jako dyrektor Rozgłośni Polskiej RWE, 3 lipca 1986 roku skierował do amerykańskiej dysekcji tego radia, tak oceniając członków rządu emigracyjnego:

To grupa pozerów i najlepsze, co mogę o nich powiedzieć to to, że niektórzy z nich mają dobre intencje³.

Smutnemu rozdziałowi zakończenia działalności władz RP na emigracji osobliwej pikanterii dodaje znany obecnie na podstawie ujawnionych dokumentów fakt, że do wiosny 1990 roku bez zasadniczych zmian funkcjonował dawny aparat MSW, jeszcze w grudniu 1989 roku aktualizując listy osób przewidzianych do internowania na wypadek wprowadzenia stanu wojennego⁴.

Wyrwa omawia szczegółowo wydarzenia 1989 roku, zwłaszcza wybór Wojciecha Jaruzelskiego na urząd prezydenta państwa. Autor porównuje postawę elit politycznych ze środowiska „Solidarności”, które uczestniczyły w rozmowach „Okrągłego Stołu”, a potem przyczyniły się do wyboru Jaruzelskiego, z sytuacją z roku 1945, kiedy Polska pozornie tylko wychodziła zwycięsko z wojny, co tłumaczono wówczas Jałtą i zdradą ze strony sojuszników. W odniesieniu do roku 1989 warto byłoby wspomnieć (autor tego nie robi) o roli prezydenta Busha; poparcie, jakiego udzielił Jaruzelskiemu

3. Cyt. za: D. Mierzanowska: „Wolna Europa i świat”. Kraków 1998, s. 243.

4. Por. A. Dudek: „Służba niebezpieczeństwa. Czy w 1989 roku zamierzano wprowadzić w Polsce stan wojenny?” *Wprost*, 5.12.1999. Na pytanie postawione w tytule artykułu starałem się udzielić odpowiedzi w pracy „1981-1989: Stan wojenny i ‘okrągły stół’ jako elementy taktyczne polityki władz PRL w latach 80-tych”. Tekst ma ukazać się w najbliższym numerze wrocławskich *Studiów i Materiałów do Dziejów Opozycji i Oporu Społecznego*.

przesądziło o obsadzie urzędu głowy państwa. Ów fakt, przysłonięty szumem propagandy amerykańskiej, redukującej złożony proces konwergencji systemów do sukcesu Zachodu w „zimnej wojnie”, należy do tematów nieobecnych praktycznie w pamięci zbiorowej. Co ciekawe, jego poruszenie w prasie, wywołuje alergiczne niemal reakcje, przynajmniej ze strony niektórych czytelników⁵.

Analiza najnowszych dziejów Polski, zawarta w książce Tadeusza Wyrwy, odbiega w znacznym stopniu od ich rozpowszechnionego a niepełnego obrazu. „Świadome przemilczanie faktów jest charakterystyczne dla najnowszych dziejów Polski” – pisze autor. Ta zmowa milczenia panuje głównie w środkach przekazu, „obsługujących” szeroki krąg odbiorców; w pracach naukowych tabu nie obowiązują w tym samym stopniu. Wyrwa nie chce niczego przemilczać, będąc świadom, że powtarzające się od 60 lat polityczne nieszczęścia są właśnie wynikiem zamykania oczu na rzeczywistość, naiwnej wiary w dobre intencje państw, z którymi Polska wiązała się aliansami, by potem, płacąc za niezrozumienie podstawowych zasad polityki (jest ona grą interesów, a nie rezultatem szlachetnych intencji), lamentować nad zdradą ze strony sojuszników. I w tym wypadku można, a nawet należy, pytać o głębsze przyczyny, które leżą w sferze psychologii, zarówno zbiorowej jak i indywidualnej. Bo przecież historia – jako rozwój wydarzeń, połączonych związkami przyczynowo-skutkowymi – jest wynikiem konkretnych ludzkich decyzji i działań, a nie wyroków Opatrzności czy skutkiem Praw Dziejowych.

Pozostając w porządku psychologii, łatwo dostrzec, że Wyrwy sposób widzenia dziejów najnowszych odpowiada jego postawie etycznej, czego świadectwem jest przedstawiona w książce w rozdziale „Prywatna wojna z rządem USA” odmowa wstąpienia w 1950 roku do armii amerykańskiej. Sprawa ta, swego czasu głośna dzięki publikacjom w polskiej prasie emigracyjnej i w prasie amerykańskiej, ale we współczesnej

5. Po ogłoszeniu przez *Rzeczpospolitą* (16-17.10.1999) mego artykułu „Rząd pod specjalnym nadzorem”, w którym wspomniałem o poparciu Busha dla Jaruzelskiego, do redakcji nadeszły listy protestacyjne. Ich autorzy domagali się m.in. uniemożliwienia mi dalszych publikacji.

Polsce zupełnie chyba nieznana, jest ilustracją przekonania autora, że w działaniach politycznych, nawet indywidualnych, należy kierować się zawsze troską o polską rację stanu a mówiąc patetycznie (co dziś niemodne) – interesem ojczyzny. Wyrwa, wówczas dwudziestoczteroletni porucznik, otrzymał od amerykańskich władz wojskowych wezwanie do poboru. Odmówił jednak służby w armii Stanów Zjednoczonych, ryzykując nawet proces sądowy. Po otrzymaniu „powiastki” Wyrwa oświadczył, że gotów jest w każdej chwili wstąpić do armii polskiej pod dowództwem legalnego rządu polskiego. Stanowisko to odpowiadało zresztą ówczesnej sytuacji prawnej, gdyż jedynym dysponentem żołnierza polskiego były władze RP. Nie to jest jednak najważniejsze. Odmowa służby w wojsku amerykańskim była aktem politycznego protestu przeciwko polityce aliantów zachodnich, którzy uznawali wszak władze warszawskie. W liście otwartym z 8 sierpnia 1950 roku Wyrwa pisał:

W imię czego (...) wzywają Stany Zjednoczone obywatele polskich do walk w Korei w szeregach Armii Amerykańskiej? Niech ogłoszą, jak to uczynił w czasie Pierwszej Wojny Światowej Wilson, że jednym z celów wojny jest powołanie do życia Niepodległej Polski.

Niech cofną uznanie prosowieckiemu rządowi w Warszawie, a przywrócą uznanie legalnemu Rządowi Polskiemu w Londynie i wtedy nie tylko ja jeden, ale bardzo wielu Polaków, a także obywatele narodów Europy Środkowej, zgłosi się dobrowolnie do walki przeciwko Rosji pod swoimi sztandarami i pod rozkazami swoich rodzimych legalnych rządów.

W polskim środowisku emigracyjnym reakcje na stanowisko Wyrwy były różne, ale przynajmniej podjęto dyskusję nad podstawowymi kryteriami postaw politycznych. Jerzy Giedroyc uważał wówczas, że „słusznie czy niesłusznie”, ale z uwagi na aktualną sytuację należało się angażować po stronie amerykańskiej. Był to okres, kiedy Stany Zjednoczone proklamowały doktrynę *liberation*. Dziś wiemy, że nie wyzwolono nikogo.

Były też inne „prywatne wojny” polskich emigrantów z rządami sojuszników. Ta wcześniejsza, o większym zasięgu niż prywatna wojna Wyrwy z władzami USA, dotyczyła likwidacji Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, podjętej przez rząd brytyjski w drugiej połowie 1945 roku. Jednym z najbardziej zenujących elementów tej operacji, w dodatku dotychczas niezbadanym przez historyków, były represje wobec „krnąbrnych” (*recalcitrants*) – tych żołnierzy polskich, którzy odmówili zapisania się do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia (PKPR), utworzonego w 1946 roku w myśl decyzji Foreign Office. Polacy wstępujący do PKPR stawiali się żołnierzami armii brytyjskiej i podlegali jej przepisom dyscyplinarnym. Próby oporu na nic się nie zdały, zwłaszcza że polskie kierownictwo polityczne uległo naciskom brytyjskim. Dramatycznie brzmiał głos generała Nikodema Sulika, skierowany do dowodzonej przez niego 5 Kresowej Dywizji Piechoty. Generał pisał, że „zwycięska w boju dywizja”...

idzie na tułaczkę po obcych ziemiach, a nasza Ojczyzna jęczy w niewoli agentów bolszewickich (...) Dlaczego więc, o Boże Mocny, tak się stało (...) Przecież wróg został pobity! Przecież kapitulował bezwarunkowo (...) Te pytania stawia światu Dywizja Kresowa w 5. rocznicę swego istnienia i w przeddzień swojego zgonu, skazana na zagładę decyzją sojusznika i towarzysza broni, któremu nigdy się nie sprzeniewierzyła, którego nigdy nie zawiodła.

„Krnąbrnych” aresztowano z zakuwaniem w kajdanki, stawiano przed sądami brytyjskimi, osadzano w więzieniach, wywożono – pod polską eskortą – do Niemiec. Ostatni oddział opornych przymusowo zdemobilizowano 14 lipca 1948 roku.

Jak zauważył w 1986 roku jeden z podoficerów II Korpusu J. Dąbek, nie wyjaśniono ani polskiej, ani zachodniej opinii publicznej, jakie były przyczyny, przebieg i konsekwencje likwidacji PSZ, których „kapitulacja i jej skutki ciążyć będą jeszcze w chwili, gdy los otworzy Polsce drogę do zwycięstwa”. Wyrwa dodaje, że rzeczywiście widać to w kraju

po 1989 roku. W istocie chodzi o jeden z utrwalonych schematów zachowań polskiej klasy politycznej, która nie jest w stanie stworzyć zasady partnerstwa w stosunkach z sojusznikami. W 1946 roku „zabrakło męża stanu kalibru Józefa Piłsudskiego” – pisał Jerzy Lerski. Władysław Anders cieszył się powszechnym autorytetem, ale – jak zauważył brytyjski ambasador przy Rządzie RP w Londynie O'Malley – generał był „dzieckiem w polityce”. Obecni polscy politycy różnią się tym od Andersa, że brak im autorytetu.

Mieszkający we Francji węgierski historyk Ferenc Fejtő pisał już przed laty, że skutkiem konferencji jałtańskiej było wyeliminowanie w Europie Środkowo-Wschodniej polityków niezależnych, bowiem po dokonaniu podziału sfer wpływów, każda siła polityczna była związana albo z Moskwą, albo z Zachodem. „Po obu stronach barykady nie będzie już polityków niezależnych, lecz jedynie agenci” – formułował dosadnie Fejtő⁶. Ale czy musi być tak także dziś? Wydaje się, że niekoniecznie, bowiem barykady już nie ma, proklamowano wszak koniec zimnej wojny, upadek komunizmu, powszechny tryumf modelu amerykańskiego. Nie chodzi przy tym o agenturalność, lecz o mentalność polityczną, która w Polsce nie uległa zmianie. I nie może być pociechą fakt, że poziom elit politycznych niemal wszędzie jest tak niski, jak chyba jeszcze nigdy dotychczas; obecny lokator Białego Domu (wraz z małżonką) zasługuje tu na specjalną wzmiankę, z uwagi na pozycję Stanów Zjednoczonych w świecie. Czy potrzebne było *nota bene* groteskowe wsparcie Clintona wojny przeciwko Jugosławii⁷, wojny bardzo problematycznej

6. „Histoire des démocraties populaires”, t. I. Paris 1969, s. 33. Por. też mój artykuł „Drogi i bezdroża postkomunizmu”, *Zeszyty Historyczne* 106, Paris 1993, s. 185-193.

7. W czasie wojny wprowadzono wyjątkowo surową cenzurę, a także – po raz pierwszy – „dezinformację wirtualną”, pokazując fikcyjne obrazy jako rzeczywistość. Jednak pomimo tych środków, można się było dowiedzieć, zwłaszcza z prasy państw neutralnych, o przemilczanych w oficjalnej propagandzie przyczynach wojny. Przez ponad rok przedstawiciele amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego prowadzili intensywny *lobbying*, wobec wszystkich bez wyjątku kongresmenów. Nie bez powodzenia: kongres USA przyznał na wojnę przeciwko Jugosławii 12 mld. dolarów, choć Clinton wnosił jedynie o 6 mld.

w sensie prawa międzynarodowego i jawnie sprzecznej z Art. 1 Paktu Północnoatlantyckiego⁸?

Brak rozeznania panuje nie tylko w zakresie systemu wartości, lecz także w dziedzinie zasadniczych wytycznych polskiej racji stanu. Reorientacja polityczna podjęta po roku 1990, której potrzeby nikt rozsądny nie kwestionuje, dokonywała się jednak głównie w myśl abstrakcyjnych haseł, a nie w oparciu o rzetelną analizę nowo powstałej geostrategicznej i gospodarczej sytuacji. W 1990 roku chyba nikt, oprócz zatwardziałyh marksistów-leninistów (tych jednak znaleźć można głównie na Zachodzie), nie negował hasła integracji ze strukturami zachodnimi, wprowadzenia zasad wolnego rynku i demokracji. Lata komunizmu zrobiły swoje i to w dwojakim sensie: wszystko, co postrzegano jako alternatywę wobec realnego socjalizmu, waloryzowano pozytywnie, już na zasadzie odruchu. Po wtóre, komunizm – a ściślej skutki Jałty (patrz wyżej – Fejtö) odoczyły od samodzielności politycznej. Proces wchodzenia do Unii Europejskiej realizowano od początku dyletancko, czego konsekwencji nie zdoła przysłonić propaganda sukcesu, obowiązująca w deklaracjach rządowych i w większości mediów. Trudno nie zgodzić się z K.T. Toeplitzem, który zauważa, że dla większości Polaków myśl o integracji z Europą była początkowo ideą całkowicie abstrakcyjną, wyrażającą raczej marzenia niż dojrzałą świadomość⁹. Po dziesięciu latach „wchodzenia” procent zwolenników UE spadł do poziomu poniżej 50%. Nie to jest jednak najważniejsze, zwłaszcza, że w systemie demokracji manipulatywnej, możliwości wpływu na opinię publiczną są ogromne i w tej dziedzinie z pewnością uda się – dzięki funduszom unijnym – odrobić straty. Ważniejsze są skutki „wchodzenia” dla gospodarki narodowej, handlu zagranicznego, polityki zatrudnienia, i wywołane tym konsekwencje w dziedzinie sytuacji politycznej i społecznej w kraju.

W 1999 roku odbyła się w Tutzingu pod Monachium

8. W sprawie aspektów prawnych tej wojny por. np.: R. Zuck: „Der Krieg gegen Jugoslawien. Zeitschrift für Rechtspolitik” (1999), nr 6, s. 225-7.

9. „Regres europejskości?” *Przegląd Tygodniowy*, 27.10.1999.

konferencja „Sąsiad Polska – zbliżenia”¹⁰. W symposium uczestniczyli między innymi szef Rządowego Centrum Studiów Strategicznych – Jerzy Kropiwnicki i wiceminister rolnictwa – Andrzej Plewa. Nie będę przytaczał podanych przez nich liczb, są zresztą pewnie nieaktualne, choć ich wymowa się nie zmieniła. Ważniejsze były opinie wypowiedziane przez przedstawicieli Polski na temat przyczyn negatywnych skutków procesu integracji (same skutki nie są tajemnicą, choć są przemilczane w mediach: wzrost ujemnego bilansu w wymianie handlowej z UE, wyparcie Polski z rynku rosyjskiego, destabilizacja rodzimego rynku w dziedzinie produkcji wołowiny, drobiu, zbóż, przetworów mlecznych, cukru): otóż obaj ministrowie oświadczyli, że Polska jest rozczarowana, bowiem Unia nie dotrzymała obietnic (głównie w dziedzinie ograniczenia subsydiów dla własnej produkcji rolnej), zaś Polska lojalnie spełniła wszystkie zobowiązania (zwłaszcza w dziedzinie otwarcia rynku dla produktów unijnych). Otóż trudno oprzeć się wrażeniu *déjà vecu*; w książce Tadeusza Wyrwy znaleźć można te same sformułowania o rozczarowaniu, niedotrzymaniu obietnic itp. Polscy politycy posługiwali się nimi w latach 40-tych, uskarżając się na brak lojalności sojuszników.

Oczywiście czasy są inne, problemy i zagrożenia odmienne, a jednak nastawienie to samo. Jest rzeczą zdumiewającą, że polskie elity polityczne, przystępując do procesu integracji z UE nie uwzględniły faktu, że Unia jest strukturą realizującą ekspansję gospodarczą i decyzje podejmowane przez komisarzy w Brukseli są wynikiem wpływu *lobbies*, których cele niekoniecznie zgodne są z interesem Polski. Gospodarka – zwłaszcza po konwergencji systemów – dominuje wszystkie inne dziedziny, propagandowe formuły, brane w Polsce za dobrą monetę, służą jedynie przysłonięciu rzeczywistych celów politycznych. Tymczasem u nas brak nawet odpowiedzi na pytanie, gdzie – w kontekście zaostrzającego się konfliktu interesów pomiędzy UE a Stanami Zjednoczonymi – Polska ma się znaleźć. Z jednej strony uzyskaliśmy coś w rodzaju

10. Nachbar Polen – Annäherungen. Akademie für Politische Bildung Tutzing, 14-16.5.1999.

statusu amerykańskiego protektoratu, z drugiej strony polskie elity polityczne antyszambrują w Brukseli i w Berlinie. Czy ktoś wie, co z tego ma dla nas wynikać?

Bez wątpienia mając na Zachodzie potężnego sąsiada, który zresztą jest „siłą przewodnią” UE, należy dbać o dobre z nim stosunki. Nie musi temu jednak towarzyszyć demonstrowanie kompleksu niższości i przemilczanie niewygodnych faktów, które świadczą o tym, że pomimo różnych teatralnych gestów traktowani jesteśmy niezbyt poważnie. Tadeusz Wyrwa wspomina gafę prezydenta RFN Herzoga, który przed planowaną na 1 sierpnia 1994 roku wizytą w Polsce oświadczył, że przyjeżdża na 50. rocznicę wybuchu Powstania w Getcie Warszawskim. Później Herzog sprostował, strona polska milczała zażenowana. 1 września 1999 roku w publikacjach prasowych w Niemczech (konkretnie dwie wysokonakładowe gazety – *Berliner Zeitung* i *Süddeutsche Zeitung*) znów „zastąpiono” Powstanie Warszawskie Powstaniem w Getcie. Nie zareagował żaden rzecznik prasowy polskich przedstawicielstw dyplomatycznych, żaden z Instytutów Kultury Polskiej. Mego listu do redakcji *Süddeutsche Zeitung* nie opublikowała. 11 listopada 1999 roku *Berliner Zeitung* podawała na pierwszej stronie jako początek II wojny światowej rok... 1941. I tym razem nie reagował nikt (ja też nie).

Integracji z Unią Europejską powinna towarzyszyć szeroka dyskusja, której rzeczowość może zapewnić tylko rzetelna informacja. Obywatele muszą wiedzieć, w jakim stopniu członkostwo w UE ograniczy suwerenność państwową, których decyzji nie można będzie podejmować samodzielnie. Wydaje się, że koniec suwerennych państw narodowych jest rzeczą nieuchronną, ale proces ten byłby mniej bolesny, gdyby poprzedziło go publiczne przedstawienie jego wad i zalet. Tymczasem niejako *post factum* opinia publiczna musi skonstatować, że już obecnie (a do członkostwa jeszcze daleko) autonomiczne decyzje w polityce gospodarczej, zagranicznej czy obronnej nie są możliwe. Reakcja UE na wynik wyborów w Austrii dowodzi, że Unia będzie kontrolować również sprawy składu rządów państw członkowskich¹¹.

11. Kulisy tej bezprecedensowej sprawy znane są z publikacji w poważ-

Warto to już teraz wziąć pod uwagę, aby uniknąć przykrych niespodzianek, które mogą doprowadzić do tego, że przy braku kultury polemicznej, Sejm stanie się widownią sporów prowadzonych na żenująco niskim poziomie, co zdarzało się już w ostatnich latach. Tymczasem rząd stosuje zasadę „świadomych przemilczeń”, nie informując o nieuniknionym zakresie przekazania kompetencji decyzyjnych strukturom ponadnarodowym. Wspomniany tu Kropiwnicki, którego wypowiedzi odbiegały nierzadko od oficjalnej linii informacyjnej rządu, obłożony został zakazem składania publicznych deklaracji.

Pozornie tylko odbiegam od treści pracy Wyrwy. Powtórzę raz jeszcze: najważniejsza wartość jego książki to nie tyle rekonstrukcja wydarzeń, co pokazanie, jak wiele nieszczęść zostało zawinionych przez polskie elity polityczne. Jeżeli historia ma być *magistra vitae* – to tylko wówczas, jeżeli nie będzie pomijać niewygodnych faktów. Nie potrzeba nam dziś pokrzepienia serc, tak jak nie potrzeba odnoszonej do ostatnich lat propagandy sukcesu („Polacy jako pierwsi obalili komunizm”, „mamy największy wzrost gospodarczy”). Potrzeba historii „ku pokrzepieniu polskich umysłów”. I sądzę, że tak właśnie rozumie trudne powołanie historyka autor omawianej książki.

Tomasz MIANOWICZ

nich organach prasowych. Już w tej chwili wiadomo, że głównym promotorem akcji przeciwko wynikom wyborów w Austrii był kanclerz RFN Schröder. Miało to zarówno przyczyny ideologiczne (Austriacka Partia Wolnościowa – FPÖ – jest partią pravicową), jak również – co ważniejsze – polityczne: FPÖ była przeciwna przyłączeniu Austrii do UE, w której dominacja Niemiec jest bezsporna. Sądząc z wypowiedzi polskich polityków i w tym wypadku mało kto wiedział, o co w rzeczywistości chodzi. Zwłaszcza politycy pravicowi, walczący z widmami komunizmu, powinni chyba zauważyć, że „przewodnie siły” UE, propagując ostracyzm wobec rządu Austrii równocześnie zapewniają, iż – pomimo wojny w Czeczenii – nie można dopuścić do izolacji Rosji, której rządem kieruje oficer KGB (Putin uczestniczył w akcjach szpiegowskich i „działaniach aktywnych” przeciwko RFN).

Czesław KARKOWSKI

„HOLENDER”

Biografia Ronalda Reagana pt. „Dutch. A Memoir of Ronald Reagan” (Random House, 1999) napisana przez laureata Nagrody Pulitzera, Edmunda Morrisa, wywołała zeszłej jesieni prawdziwą burzę w amerykańskich środkach masowego przekazu. Wzbudziła przede wszystkim oburzenie. Na autora posypały się gromy, tym potężniejsze, im bardziej zawiódł on oczekiwania wszystkich spodziewających się rewelacji po autorze, którego uprzednia „osobista” biografia Teodora Roosevelta („The Rise of Theodore Roosevelt”, 1980) zyskała mu uznanie i wyróżnienia. Właśnie ogromny sukces książki o 26. prezydencie USA stał się jednym z głównych powodów, że Morrisowi powierzono zadanie napisania biografii Reagana. Negocjacje w tej sprawie toczyły się przez pewien czas, wiadomo było, że na podjęcie ostatecznej decyzji co do osoby przyszłego autora i jego kompetencji ogromny wpływ miała żona prezydenta, Nancy Reagan. W każdym razie od 1985 r. Morris otrzymuje oficjalnie zadanie, jakiego nikt w historii Stanów Zjednoczonych jeszcze nie miał – napisania biografii urzędującego prezydenta USA. Wraz z tym uzyskał dostęp do niemal wszystkich tajników Białego Domu (choć Morris później skarżył się, że nie mógł brać udziału w wielu posiedzeniach sztabu Ronalda Reagana), mógł przeprowadzać raz w miesiącu półgodzinne rozmowy z bohaterem swej przyszłej książki. Do tego jeszcze podpisał godny pozazdroszczenia trzymilionowy kontrakt z

wielkim domem wydawniczym, Random House na publikację pracy, która ma dopiero powstać.

W 14 lat później ukazała się z dawna oczekiwana książka. Tytułowy „Dutch” (Holender) to przezwisko Ronalda Reagana od lat młodości jeszcze z wiejskich terenów stanu Illinois. Tygodnik *Newsweek* zasygnalizował jej ukazanie się publikując fragment biografii. Gruba, prawie 900-stronicowa publikacja z czarno-białym zdjęciem Reagana na obwolucie, sfotografowanego od tyłu, jakby odchodzącego, stała się natychmiast jednym z głównych tematów komentarzy i dyskusji w środkach masowego przekazu w Stanach Zjednoczonych. Rozpałała namiętności wśród historyków, autorów życiorysów innych sławnych ludzi, polityków i zwykłych Amerykanów.

Dwa były główne powody żywych emocji związanych z tą książką. Pierwsza, to niebanalna, a bardzo kontrowersyjna metoda opisu bohatera pracy Morrisa. Druga, to sposób przedstawienia 40. prezydenta Stanów Zjednoczonych, jego obraz, jaki wyłania się z całości opastego tomu. Bardzo wielu, nie tylko entuzjastów Reagana uznało zarysowany portret za niezyczliwy, wręcz obraźliwy dla w końcu jednego z największych prezydentów w dziejach USA. Tym bardziej skandaliczny i oszczerczy – zdaniem krytyków – że ciężko chory Reagan nie może się już bronić, nie może niczego powiedzieć na swoją rzecz. Tymczasem jego główny i oficjalny biograf, uważając przeciwnicy Morrisa, wyświadczył mu niedźwiedzią przysługę, zmarnował niepowtarzalną szansę przedstawienia sylwetki wielkiego przywódcy. Nawet Nancy Reagan zdystansowała się do tej publikacji, mówiąc w jednym z wywiadów na temat „Dutcha”, że biografia jej męża jeszcze czeka na napisanie.

Edmund Morris wprowadził do swej pracy trzy fikcyjne postaci – swoje jakby *alter ego*, ale postać znacznie starszą, która w biografii jest rówieśnikiem Reagana. Swego rzekomego syna, Gavina, którego losy z lat sześćdziesiątych odzwierciedlają burzliwą epokę przemian w dziejach USA. Gavin studiuje na Berkeley w Kalifornii, stanie, którego gubernatorem jest wtedy Ronald Reagan, jest świadkiem i uczestnikiem wielkiego młodzieżowego ruchu kontrkultury, walki o prawa człowieka w Ameryce i kontestacji przeciwko zastępnym strukturom społecznym oraz ustalonym elitom władzy,

z jej nieodłączną częścią – protestem przeciwko wojnie w Wietnamie. Wreszcie publicystę prasowego, Paula Rae, rzekomo znającego „Holendra” od czasów młodości. Dostarcza on najczęściej kąśliwych krytycznych uwag na temat Reagana, jego czasów gubernatorskich i później prezydenckich poczynañ.

Postaci te, towarzysząc życiu „Holendra”, umożliwiają Morrisowi spenetrowanie najmniej znanych części życiorysu Reagana, zwłaszcza jego czasów dzieciństwa i młodości, lat kiedy pracował jako spiker radiowy, na zawodach sportowych, aktor i następnie prezes Związku Aktorów Filmowych. Ów po części zbeletryzowany życiorys nie pozwala na odróżnienie prawdy od fikcji, rzeczywistości opowiedzianej mu przez samego prezydenta, a fantazji dodanej przez autora, celem ubarwienia swej powieści. Morris twierdzi, że wszystko, co włożył w książkę, bezpośrednio wywodzi się od Reagana i jego sposobu patrzenia na własne życie. Krytycy jednak pozostali nieubłagani: „Morrisowi w jego tak zwanej biografii (przepraszam, ‘wspomnieniach’) Ronalda Reagana udało się nie tylko obsmarować 40. prezydenta Stanów Zjednoczonych, lecz także i zawód pisarza” – napisał *Nation*. Nie lepiej potraktował książkę *U.S. News and World Report*, zwracając uwagę na to, co wkrótce stało się jednym z motywów przewodnich ataków na to dzieło: iż skoro nie sposób odróżnić w nim fikcji od prawdy (zwłaszcza, że Morris w wielu przypadkach posłużył się także zmyślonymi przypisami, tj. odsyłającymi do nieistniejących publikacji, autorów i zdarzeń, przeto czytelnik nie może w tej pracy ufać praktycznie niczemu. Nie wiadomo, gdzie kończy się fantazja literacka biografą, a zaczyna prawdziwe życie Reagana. „Książka głównie obraca się wokół neuroz samego Morrisa” – stwierdza tygodnik.

Recenzentka *New York Times*’a zdyskwalifikowała książkę, widząc w niej wersję historii według Foresta Gumpa, bohatera popularnej opowieści Winstona Grooma i filmu zrealizowanego na jej podstawie o prostaczku przypadkowo obecnym przy wszystkich najważniejszych wydarzeniach najnowszej historii USA. Zaś inny krytyk odprawia książkę Morrisa konstatując, że „nie jest to biografia, nie jest to histo-

ria. Jest to mętna, meandryczna, często fikcyjna strata niewiarogodnej okazji przedstawienia kroniki życia jednej z największych postaci amerykańskiego doświadczenia”.

Literacki charakter biografii nie tylko zaciera granicę między prawdą a fikcją. Gorzej – zdaniem krytyków – pozwala fantazjom Morrisa brać górę nad relacją o prezydenckich ideach i poglądach na temat ważnych wydarzeń historycznych. Na przykład, skarży się jeden z krytyków, autor długo pisze o latach, kiedy młody Ronald Reagan zatrudnił się jako ratownik (kiedy podobno uratował aż 77 topiących się osób), zupełnie zarazem ignorując historyczny wymiar prezydenckich kampanii Reagana. Rozwodzi się na temat nowej medycznej teorii w związku z leczeniem Reagana po próbie zamachu nań w 1981 r., natomiast kompletnie pomija słynne przemówienie prezydenta wygłoszone w zaledwie dwa miesiące później na Uniwersytecie Notre Dame, kiedy odrzucił obowiązującą do tychczas w polityce USA zasadę „powstrzymywania” Związku Sowieckiego, przewidując rychły zmierzch komunizmu. Bez sensu spekuluje na temat rozmyślań młodego Reagana nad ewentualnością przystąpienia do partii komunistycznej, gdy zarazem – co należy dodać od polskiego czytelnika tej biografii – prawie pomija reakcję prezydenta na powstanie „Solidarności” i wprowadzenie stanu wojennego w Polsce.

Jednocześnie metoda Morrisa znalazła wielu zwolenników, zgoda nawet entuzjastów tej nowatorskiej próby odtworzenia charakteru, przemyśleń i zachowań historycznych postaci.

Drugim powodem ogromnej kontrowersji, jaką spowodowała książka „Dutch. A Memoir of Ronald Reagan”, był sposób przedstawienia 40. prezydenta USA, wręcz czczonego przez entuzjastów, czego jednym z widomych dowodów było przeforsowanie decyzji o nazwaniu jego imieniem lotniska w Waszyngtonie – rzecz bez precedensu w przypadku żyjących polityków. Tymczasem Morris, który nie odmawia swemu bohaterowi wielkości, pisze zarazem o nim niekiedy wręcz urągliwie jako o „pustej głowie”, człowieku niezmiernie banalnym, by nie rzec – głupim, często odpowiadającym niespójnie na zadane pytania, nie rozumiejącym, co się doń mówi i czego chce. Jakby kompletnie i całkowicie zapatrzoną w siebie.

Nic dziwnego, że wizerunek ten wzburzył zwolenników 40. prezydenta USA. W ich przekonaniu Morris dostarczył tylko amunicji wszelkiego typu liberałom upatrującym w Reaganie synonim zła i tępoty amerykańskiego konserwatyzmu. Jak taki rzekomo wartogłów, przedstawiony przez biografa, który znał prezydenta doskonale – odpowiadają entuzjaści Reagana na triumfalną reakcję jego wrogów znajdujących w książce potwierdzenie swych przekonań – mógł dokonać rewolucji w kapitalistycznym świecie, pokonać „imperium zła” i zmienić bieg historii? Jak więc głupi muszą być demokraci – odcinają się złośliwie – skoro ta „pusta głowa” i kulturalny prymityw (według Morrisa) pokonała kandydata demokratów dwukrotnie w prezydenckich wyborach, a za drugim razem z miazdzącą przewagą nad rywalem, Walterem Mondalem?

Obraz Reagana zawarty w książce pt. „Dutch” musi po prostu być błędny, nie odpowiadać rzeczywistości – konkludują.

Tymczasem Morris podjął w biografii swej ogromny wysiłek dotarcia do autentycznego wizerunku Reagana, pokazania skomplikowanej osobowości „Holendra”. Jego sposób widzenia biografii jest nieco inny od tradycyjnego podejścia. Kładzie on nacisk przede wszystkim na próbę odtworzenia charakteru, dotarcia do mentalności opisywanej postaci, tajników jej wnętrza i poruszeń duszy. Dlatego mniej go interesują fakty, bardziej zaś psychologia. Stąd też „Dutch” nie odpowiada praktycznie na żadne z pytań dotyczących jego prezydentury. Czy Ronald Reagan wiedział o tajnych (w istocie nielegalnych) transakcjach handlu z Iranem, by za uzyskane pieniądze wspierać antykomunistyczną partyzantkę w Nikaragui? Książka nie udziela jednoznacznej odpowiedzi. Czy słynny program wojen gwiazdnych był jego bluffem, zamierzeniem niemożliwym do zrealizowania w praktyce, czy poważnym przedsięwzięciem? Nie wiadomo, choć Morris skłania się do wersji, iż była to fantazja prezydenta, którego zainspirowała przeczytana w młodości pierwsza powieść fantastyczna Edgara Rice Burroughsa (późniejszego twórcę opowieści o przygodach Tarzana) pt. „Księżniczka marsjańska”.

Fantazje Reagana to jeden z głównych tematów biografii Morrisa. Autor ukazuje go jako człowieka żyjącego w świecie własnych fikcji, wskutek czego jakby trochę nie z tej ziemi, zamkniętego, wycofanego w siebie. Drugi stały wątek dzieła to izolacja Reagana, jego samotność psychiczna, jakby skaza charakteru powodująca, że nie potrafi się emocjonalnie zaangażować w żadną sprawę, nawiązać prawdziwie szczerych i otwartych stosunków z ludźmi.

Na oba rodzaje zarzutów (dotyczących metody i sylwetki swego bohatera) Morris odpowiadał wcale przekonująco. Odpierał ataki opowiadając, iż po latach pracy nad biografią Reagana pogłębiała się tylko jego frustracja, bo człowiek ów wymykał się wszelkim kategoriom pojęciowym, nie dawał się uchwycić, opisać. Wreszcie autor wpadł na pomysł wprowadzenia fikcyjnych postaci do książki. Dlaczego? Mówił o tym w jednym z wywiadów radiowych. Właśnie dlatego, że Reagan był tak niewytłumaczalny. Nie sposób go pojąć bez publiczności, bez widza, bez kamery. Był zdecydowanym aktorem. Mężem stanu, ale z charakteru – przede wszystkim aktorem. Musiał być widziany, oglądany przez publiczność. Morris przypomina, że kiedy rozmawiał z nim osobiście w Białym Domu, Reagan był bezbarwny, mętny, w najlepszym wypadku banalny. Nieciekawy. Kiedy tylko wchodziła do tego pokoju trzecia osoba, robiła się już widownia, Reagan ożywał, przy czterech-pięciu – rozkwitał. Im większe audytorium, tym większą postacią się stawał. Aby więc stworzyć o nim książkę – twierdzi Morris – musiał mieć narratora, postaci, które go obserwują, które go widzą i reagują nań, bo tylko w takiej sytuacji Reagana można opisać. W przeciwnym wypadku jest on postacią absolutnie nie do pojęcia. Nie był tylko aktorem, jego życie było aktorstwem. Skoro chciał oddziaływać na ludzi, poruszać ich, przekonywać i mieć na nich wpływ, to zarazem był i politykiem, gdyż w tym punkcie oba zajęcia są zbieżne. Jakby nie miał prywatnego, osobistego życia, cały natomiast był „na zewnątrz”, poruszał się na scenie, w tym i na scenie politycznej.

Bardzo mało znajdujemy w biografii wzmianek o sprawach polskich. Choć Morris pisze, iż „dotychczas w jego prezydenturze najburzliwsze prądy wirowały wokół Polski”, to

jednak poświęca tym sprawom dosłownie parę tylko uwag. Reakcja prezydenta Reagana na wprowadzenie stanu wojennego opisana jest zwięźle. Autor biografii zamyka ów, w końcu burzliwy, okres dla Białego Domu stwierdzeniem, iż prezydent ograniczył się do wydania tajnego polecenia upoważniającego zachodnią kontrpropagandę w Polsce, wraz z sankcjami gospodarczymi oraz ukrytą działalnością, na podtrzymanie przy życiu ducha „Solidarności” póki reżim Jaruzelskiego sam nie doprowadzi się do bankructwa. Reagan wiedział jednak – zdaniem biografy – że Polska stanie się „próbą ogniową dla sowieckiej ideologii” oraz, że ostateczna batalia między dwoma blokami polityczno-gospodarczymi rozegra się w sferze ekonomii, a nie na płaszczyźnie militarnej. Według Morrisa, wtedy jednak, po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce, Prezydent USA podjął jakby ostateczną decyzję o konfrontacji ze Związkiem Sowieckim. Uwagi autora na ten temat są jednak zbyt zwięzłe i enigmatyczne, aby można było wyciągać z tych paru zdań w książce jakieś jednoznaczne wnioski.

Czesław KARKOWSKI

Tadeusz WYRWA

PRZEWROTNA DZIAŁALNOŚĆ GEN. TATARA

Ostatnio wyszła z druku kolejna książka Zbigniewa S. Siemaszki¹. Autor zadedykował ją „pamięci tych, którzy wprowadzeni w błąd, brali udział w ‘organizacji tatarowskiej’, sądząc, iż miała ona charakter niepodległościowy”. Ofiarą padła jednocześnie polska racja stanu, na skutek błędnego jej

1. Zbigniew S. Siemaszko, „Działalność generała Tatara (1943-1949)”, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1999, str. 335.

ukierunkowania w decydującym dla naszego Kraju okresie, do czego w dużym stopniu przyczyniła się nielojalna działalność gen. Tatar.

Kilka pierwszych stron, będących wprowadzeniem do książki, poświęca Siemaszko zasadniczym, możliwym do wyboru, koncepcjom, jakie zaistniały w stosunkach polsko-sowieckich podczas drugiej wojny światowej. Koncepcje, według autora, były cztery.

Pierwsza polegała na przekonaniu, iż pertraktacje z Sowietami nie mogą doprowadzić do pozytywnych skutków. Typowymi reprezentantami tej koncepcji byli: na emigracji – generałowie K. Sosnkowski i W. Anders, a w Kraju gen. Grot-Rowecki, który w depeszy do Londynu w czerwcu 1943 roku pisał: „...Rosjanie staną się dopiero wówczas naszymi sprzymierzeńcami, gdy poczują, że są za słabi, aby nam zrobić krzywdę”.

Drugą koncepcję reprezentował przede wszystkim Stanisław Mikołajczyk i była oparta na możliwości porozumienia z Sowietami przy poparciu Anglosasów. Zwolennicy tej koncepcji, w przeciwieństwie do Andersa i Sosnkowskiego, nie liczyli na zbrojny konflikt między Wschodem i Zachodem i szukali ugody z Sowietami, żeby „ratować co się da”. Siemaszko pisze, że pogląd ten podzielało m.in. środowisko akowskie. Nie wiem jakie środowisko ma na myśli autor, gdyż przytłaczająca większość akowców wierzyła raczej w zbrojną interwencję Zachodu. Nie podlega natomiast dyskusji to, że wśród zwolenników tej koncepcji szczególną rolę odegrał Tatar, z tym że był również nielojalny wobec Mikołajczyka wtedy, gdy widział zbliżającą się jego klęskę. Przebrana tej koncepcji, mimo poparcia (pozornego) Zachodu, wykazała, że szanse powodzenia ma tylko to, co zyska rzeczywistą aprobatę polityki sowieckiej.

Trzecia przeto koncepcja miała się sprowadzać do zewnętrznej uległości wobec Związku Sowieckiego z równoczesnym zachowaniem wewnętrznej niezależności. Jednym z rzeczników tej koncepcji, zdaniem Siemaszki, był Zygmunt Berling, który sądził (?...), iż przyjęcie żądań sowieckich umożliwi zachowanie pewnej niezależności wewnątrz kraju. Tego rodzaju rozwiązanie sytuacji, mogące być nazwane

„finlandyzacją”, nie znajdowało – bo nie mogło znaleźć – wielu zwolenników zarówno w kraju, jak i poza krajem. „A szkoda – ubolewa Siemaszko – że owa kombinacja była tak wśród Polaków niepopularna, gdyż stanowiła dla narodu wariant lepszy niż PRL, faktycznie wprowadzona w życie latem 1944 r. I chyba źle się stało, że ci wszyscy, którzy od 1944 r. popierali działalność Mikołajczyka, nie zerwali z Zachodem i nie przenieśli się na Wschód wkrótce po konferencji teherańskiej”.

Czwartą wreszcie była koncepcja Wandy Wasilewskiej, zakładająca faktyczne włączenie Polski do ZSSR, jako jednej z republik związkowych. Przez jakiś czas Stalin zezwalał na działanie Berlinga i Wasilewskiej, ale w końcu nie wybrał żadnej z tych dwóch koncepcji i stworzył PRL.

Siemaszko pisze, że Stalin „wolał, żeby sowietyzowanie narodu polskiego przeprowadzili sami Polacy, a nie Rosjanie”. Oceniając teraz sytuację z perspektywy półwiecza, można stwierdzić, że „cały szereg pojęć, sposobów rozumowania i metod postępowania importowanych z Sowietów został przez większość Polaków zaakceptowany, a ci którzy wprowadzali te sowieckie elementy do polskiego życia nie zostali napiętnowani przez społeczeństwo”. Do tego stanu rzeczy przyczyniły się zapewne zgubne skutki „Burzy”, Powstania Warszawskiego, a w okresie powojennym – działalność Mikołajczyka i Tatara. Istotną w tym rolę odegrało to, że nikt nie uprzedził narodu polskiego o grożącym mu niebezpieczeństwie sowietyzacji. Trudno jednak przyjąć bez zastrzeżeń twierdzenie autora, że społeczeństwo nie napiętnowało tych, którzy sowietyzowali polskie życie. W każdym systemie totalitarnym, a tym bardziej takim jak stalinizm, wszelkie objawy oporu wobec rządzących krajem, ich napiętnowania, były z całym okrucieństwem zwalczane. W PRL jednak były, niewystarczające i mało na ogół skuteczne, ale były, mimo wyniszczenia najżywotniejszych sił narodu, o czym wyżej jest mowa.

Wprowadzenie do książki kończy Siemaszko spostrzeżeniem, jakie Stanisław Swianiewicz zanotował, kiedy był w niewoli sowieckiej: „...jeżeli kiedykolwiek Rosja psychicznie podbije Polskę, uczyni to poprzez polskich intelektualistów,

a nie przez zdobywanie sympatii polskich mas ludowych”². Siemaszko pisze następnie od siebie, że gdy w 1989 r. upadł system ustalony przez Stalina, „przewidywania prof. Swianiewicza okazały się słuszne. Niewielu pozostało polskich intelektualistów, którzy zdołali zachować niezależność myślenia”.

Po kampanii wrześniowej, jak pisze Siemaszko, Tatar znalazł się w Warszawie w styczniu 1940 i na początku lutego skontaktował się z gen. Grottem-Roweckim, który zaproponował mu zorganizowanie Oddziału Operacyjnego w Komendzie Głównej Związku Walki Zbrojnej (ZWZ). Tatar zgodził się po uprzednim zapewnieniu go, że ZWZ nie ma nic wspólnego z sanacją³. Jednym z pierwszych zadań Tatar, jako szefa Oddziału Operacyjnego, było opracowanie planu powstania powszechnego. Dopóki Rowecki stał na czele ZWZ, potem AK, Tatar nie śmiał żądać przywilejów z racji zajmowanego stanowiska. Sytuacja zmieniła się, gdy zabrakło autorytetu Roweckiego, który został aresztowany 30 czerwca 1943 r. Po przeorganizowaniu wówczas sztabu, Tatar został trzecią osobą w hierarchii dowództwa AK, po Borze-Komorowskim i Pełczyńskim.

Opierając się na odczycie, jaki wygłosił Tatar w Lublinie dnia 17 listopada 1979 roku, Siemaszko cytuje jego wówczas wypowiedź: „W jesieni 1943 r. skierowałem do rąk własnych Bora pisemny memoriał, w którym podałem, że trzeba się liczyć z niezbyt odległym wkroczeniem na nasze ziemie nie wojsk anglosaskich, lecz Armii Czerwonej. Stąd trzeba zmienić ton naszej prasy, by przygotować nasze społeczeństwo na taki rozwój wypadków. Trzeba bowiem dążyć do ułożenia możliwie poprawnych stosunków z Sowietami, nawet za cenę zrzeczenia się Wilna i niektórych terenów zamieszkałych zwarcie przez ludność ukraińską”.

Wystąpienie Tatar, jego propozycja kompromisu, dogą-

2. Stanisław Swianiewicz, „W cieniu Katynia”, Instytut Literacki, Paryż 1976, s. 93.

3. Siemaszko podaje w innym miejscu, że Tatar pałał nienawiścią do piśsudczyków.

dania się z Sowietami, była w sprzeczności z podstawowym założeniem dowództwa AK, stojącego nieugięte na stanowisku suwerenności i nienaruszalności państwa. Jednocześnie coraz bardziej palącym problemem była jednak potrzeba ustalenia postawy, jaką należało przyjąć wobec wkraczających wkrótce na ziemię polskie wojsk sowieckich. Wymianę na ten temat depeesz między Roweckim a Sikorskim przerwało aresztowanie pierwszego i śmierć w Gibraltarze drugiego. Siemaszko przypuszcza, jak zresztą wielu innych, że generałowie ci nie doprowadziliby do ujawniania się oddziałów AK. W tym również duchu rząd RP wysłał do Kraju instrukcję z 27 października 1943. Dowództwo AK nie dostosowało się jednak do niej i gen. Bór-Komorowski wydał rozkaz do akcji „Burza”. Rozkaz częściowego ujawnienia oddziałów AK w ramach „Burzy”, gen. Sosnkowski mimo wszystko aprobował, zaznaczając w depeście z 12 lutego 1944, że „wola kraju stanowi czynnik, nad którym nie sposób przejść do porządku dziennego”. Ogólnie uważa się – i co też Siemaszko podkreśla – że od tego czasu już nie Londyn, lecz „Komenda Główna AK w Warszawie stała się najważniejszym polskim ośrodkiem decyzji”. Nie było to również korzystne dla sprawy polskiej, bo przecież Kraj nie miał rozeznania w polityce prowadzonej przez aliantów.

Paradoksem w tej sytuacji było i to, że z jednej strony dowództwo AK poszło dalej niż zalecał Londyn w ujawnianiu się i w nawiązywaniu kontaktu z Armią Czerwoną, a z drugiej strony postanowiło pozbyć się Tatara, który zalecał potrzebę zmiany orientacji i ułożenia dobrych stosunków z Sowietami. Bez większych zdaje się wahań, Bór-Komorowski i Pełczyński zdecydowali wysłanie Tatara do Londynu. Chodziło po prostu o odprawienie tam Tatara, z którym – z uwagi na głoszone przez niego poglądy – nie wiedziano w Warszawie co zrobić. W rozmowie z Siemaszką, płk dypl. Kazimierz Iranek-Osmecki potwierdził, że „zarówno Bór-Komorowski jak i Pełczyński nie chcieli brać na siebie odpowiedzialności za Tatara i woleli przekazać to komuś innemu, tzn. Sosnkowskiemu”.

Telegramem z 19 kwietnia 1944 Bór-Komorowski powiadomił rząd RP, że wysłał do Londynu Tatara, zastępcę

szefa sztabu, „celem zreferowania i omówienia całokształtu przygotowań bojowych”. Tatar został wyprawiony pierwszym lotniczym tzw. „Mostem” w nocy z 15/16 kwietnia. Do dzisiaj nie jest dokładnie ustalone kto i kiedy miał poinformować gen. Sosnkowskiego o kompromisowej wobec Sowietów postawie Tataru. Siemaszko podaje różne, jakie mógł ustalić na ten temat wersje. Zdaniem Iranika-Osmeckiego, Tatar miał przyrzec Pełczyńskiemu, że „w Londynie nie będzie ujawniał swoich poglądów”. Z kolei Pełczyński, za pośrednictwem Haliny Czarnockiej, jak pisze Siemaszko, twierdził, że przed odlotem Tatarowi polecono „aby zameldował Naczelnemu Wodzowi o różnicy zdań na temat stosunku do Rosji”. Tego jednak Tatar nie zrobił i jak podkreślał Witold Babiński: „Wódz Naczelny pozostawał w niewiedzy o właściwym ideowym obliczu jednego z najważniejszych współpracowników usadowionego w newralgicznym punkcie”. Słusznie zwraca uwagę Siemaszko, że kilka tygodni przed wyjazdem Tataru należało wysłać do Londynu wyższego rangą oficera, który wyjaśniłby o co w tym wszystkim chodziło. A jeżeli to nie było możliwe, trzeba było przekazać Sosnkowskiemu tekst memoriału, jaki jesienią 1943 r. Tatar skierował do Bora, o czym była wcześniej mowa. W sumie, „Tatar, którego chciano wyzbyć się z kraju znalazł się na Zachodzie jako przedstawiciel tych, którzy go się pozbywali”.

W Londynie przyjęto Tataru („Tabora”) entuzjastycznie i wkrótce stał się tam wpływową osobistością. Odznaczono go orderem *Virtuti Militari* IV klasy, a więc „został on potraktowany jako wojskowy o szczególnych zasługach dla AK”. Mianowany zastępcą szefa sztabu (Kopańskiego) do Spraw Kraju, kierował Oddziałem VI (Specjalnym)⁴, Krajowym Sztabem Naczelnego Wodza. Siemaszko przypuszcza, że Kopański nic nie wiedział o prorosyjskim memoriale – a chyba w ogóle o prosowieckim nastawieniu – Tataru i „polegał na nim całkowicie i bez zastrzeżeń”.

W pierwszych dniach czerwca 1944 Tatar wraz z Mikołajczykiem pojechał do Waszyngtonu, gdzie miał kilkanaście rozmów, z których najważniejsza miała miejsce 12 czerwca,

4. W 1943 roku Oddział VI został nazwany „Oddziałem Specjalnym”.

na plenarnym posiedzeniu Combined Chiefs of Staff (CCS), czyli Najwyższym Sztabie Zachodnich Aliantów. Szefem Polskiej Misji Wojskowej przy CCS był płk dypl. Leon Mitkiewicz, który opisał w swoich wspomnieniach przebieg tej rozmowy⁵, wykorzystany również przez Siemaszkę. Na postawione Tatarowi pytanie jak rozumie wykonanie powszechnego powstania w Polsce – „czy we współdziałaniu z Rosjanami?” – Tatar odpowiedział: „Polska Armia Krajowa będzie współdziałała w pobiciu Niemców z pierwszym z aliantów, który się zbliży odpowiednio do obszarów Polski”. Następnie zapytany jakie były wyniki współpracy wojsk sowieckich z oddziałami AK na Wołyniu? – Tatar oświadczył: „Współpraca nasza z Rosjanami na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej była pod względem wojskowym zadowalająca”, co miało się z prawdą, czego przykładem los 27. Wołyńskiej Dywizji. Siemaszko dał taki do tego komentarz: „Jak widać w Waszyngtonie Tatar nie taił swych prosowieckich poglądów i wypowiadał je całkiem śmiało, zdając chyba sobie sprawę z tego, że będą dobrze widziane w najwyższym dowództwie alianckim... Tatar przedstawił AK jako organizację współpracującą z armią sowiecką, czyli działającą zgodnie z amerykańskimi zamierzeniami”. Podczas pobytu Mikołajczyka i Tatara w Waszyngtonie, Roosevelt wyasygnował 10 milionów dolarów na potrzeby AK, ale „w zasadzie dotacja ta przeznaczona była na sfinansowanie celów politycznych Mikołajczyka – kompromisowego dogadania się z Kremlem...”, jak to później określił ppłk dypl. Marian Utnik⁶.

Warto jeszcze odnotować, że Mikołajczyk i Tatar wyjechali ze Stanów Zjednoczonych 15 czerwca 1944 i już następnego dnia Brytyjczycy odznaczyli Tatara Orderem Łaźni (*Companion of the Bath*, w skrócie C.B.)⁷. Siemaszko sądzi – i zapewne słusznie – że do nadania Tatarowi Orderu Łaźni mogły „przyczynić się jego prosowieckie wypowiedzi na posiedzeniu CCS w dniu 12 czerwca 1944 r.”. Tak więc,

5. Leon Mitkiewicz, „W Najwyższym Sztabie Zachodnich Aliantów 1943-1945”, Veritas, Londyn 1971, str. 169-180.

6. *Zeszyty Historyczne* nr 28, Paryż 1974, s. 65.

7. Z Polaków Order Łaźni otrzymali: gen. Anders po zdobyciu Monte Cassino, a w późniejszym okresie – gen. Kopański.

Amerykane poparli politykę prosowiecką dotacją 10 milionów dolarów, a Brytyjczycy Orderem Łaźni dla Tatar.

Mając wzmocnioną po powrocie z USA pozycję, Tatar zaczął obsadzać swoimi ludźmi ważniejsze stanowiska Oddziału Specjalnego, w Londynie i we Włoszech. Ze stanowiska komendanta głównej przerzutowej Basy Nr 11 w okolicach Latio, w południowych Włoszech, usunięto mjr. dypl. Jana Jaźwińskiego i na jego miejsce został mianowany ppłk Marian Michał Dorotycz-Malewicz ps. „Hańcza”, przybyły z kraju razem z Tatarem, któremu był całkowicie oddany. Personalne zmiany przeprowadził również Tatar w centrali londyńskiej. Dotychczasowego szefa Oddziału Specjalnego, ppłk. dypl. Michała Protasewicza przeniesiono do 2. Korpusu i stanowisko to objął mjr dypl. Marian Utnik (mianowany jednocześnie podpułkownikiem). Do Oddziału Specjalnego przydzielono również płk. dypl. Stanisława Nowickiego w charakterze oficera do zleceń Tatar, nie podlegającego Utnikowi. W tym samym czasie Tatar zacieśnił stosunki z Mikołajczykiem, stając się – pisze Siemaszko – jego „mężem zaufania w dziedzinie wojskowej i jednocześnie doradcą w sprawach krajowych”. Jeden jeszcze paradoks więcej, bo przecież w Kraju dowództwo AK uznało działalność Tatar, za szkodliwą.

Rozdział o Powstaniu Warszawskim Siemaszko poświęca głównie wymianie telegramów między Londynem, Warszawą i Włochami, gdzie przebywał wówczas Sosnkowski, co jak wiadomo było bardzo istotne w podejmowaniu „walki o Warszawę”. Siemaszko potwierdza m.in., że wysłany spod Ankony do Londynu i skierowany do Bora telegram Sosnkowskiego, który dotarł do Oddziału Specjalnego w Londynie 26 lipca, przed nadaniem go dwa dni później do Warszawy, został, na wniosek Tatar, „ocenzurowany”.

Ogromnie zagmatwany jest los funduszy, jakimi dysponowały na Zachodzie czynniki polskie. Jest to skutek trudnego dzisiaj do zrozumienia, a jeszcze mniej do usprawiedliwienia marnotrawstwa zasobów finansowych, którym Siemaszko poświęca sporo miejsca w następnych rozdziałach książki. Czytelnik będzie może trochę się tutaj gubił, co przede wszystkim przypisać należy poplątanym sprawom, niełatwym już teraz do wyjaśnienia.

Problematykę funduszy zaczyna Siemaszko od przypomnienia losu, jaki spotkał Fundusz Obrony Narodowej (FON), powołany w 1936 r. dekretem prez. Mościckiego. Ogólnonarodowa zbiórka na FON obejmowała nie tylko gotówkę, lecz wszelkiego rodzaju dary. Po wybuchu wojny wywieziono wartościowe przedmioty do Bukaresztu i tam oddzielono przedmioty srebrne od złotych. Te ostatnie przekazano rządowi Sikorskiego w Paryżu a stamtąd, latem 1940, wywieziono do Londynu. W pierwszym półroczu 1944 gen. Kukiel, sprawujący wówczas funkcję ministra obrony narodowej, przekazał Tatarowi opiekę na złotym FON. W 1947 r. Tatar przekazał te zasoby władzom PRL. Do dzisiaj nie udało się jednak dokładnie ustalić w jaki sposób złoty FON (350 kg złota) został przetransportowany do Warszawy i czy 142 kg, jak przypuszcza Siemaszko, były użyte na cele wywiadu sowieckiego na Zachodzie. Autor podkreśla, że zbiory złotego FON-u, oprócz wartości rynkowej, były „dowodem ofiarności narodu”, a później, niestety, „znaczna ich część posłużyła wzmocnieniu systemu sowieckiego w Polsce...”.

W październiku 1944 r. Tatar towarzyszył Mikołajczykowi w podróży do Moskwy, gdzie nie odegrał żadnej zdaje się roli. Mikołajczyk, po powrocie do Londynu i odrzuceniu jego prosowieckiej polityki, podał się do dymisji. Dnia 29 listopada zostaje powołany rząd Tomasza Arciszewskiego. Od tej daty, pisze Siemaszko, Tatar i wraz z nim niektórzy oficerowie Oddziału Specjalnego, odgrywali podwójną rolę. Z jednej bowiem strony formalnie robili wrażenie lojalnych w stosunku do szefa Sztabu NW i Prezydenta, a z drugiej „popierali akcję Mikołajczyka i PSL prowadzącą do porozumienia z komunistami... Czyli od tego momentu Tatar i jego współpracownicy rozpoczęli działanie konspiracyjne w stosunku do władz legalnych RP”⁸.

Pod koniec 1944 r., gdy stawało się coraz bardziej widoczne, że wojna nie potrwa już długo, Tatar wystąpił z inicjatywą zabezpieczenia majątku Oddziału Specjalnego.

8. Siemaszko powołuje się tutaj na wygłoszony odczyt Tatara w Lublinie, w 1979 r., oraz publikacje Utnika (załączone w bibliografii na końcu książki).

Inicjatywa ta uzyskała prawdopodobnie poparcie Kopańskiego i na czele utworzonego, na przełomie 1944/45, Komitetu Fundacji „Drawa” stanął Tatar, a członkami tego Komitetu byli: płk dypl. Stanisław Nowicki, ppłk dypl. Marian Utnik, płk dypl. Edward Maliszewski i ppłk Franciszek Prochaska. Wkrótce dwaj ostatni wyjechali: jeden do Polski, drugi na stałe do Paryża. Komitet zmniejszył się przeto do trzech członków, stąd używana nazwa: Komitet Trzech.

Na początku 1945 r., po ostatnich lotach do Polski w nocy z 28 na 29 grudnia 1944 r. przystąpiono do likwidacji Oddziału Specjalnego, jego Centrali w Londynie i Placówek oraz Baz rozrzuconych w różnych krajach, w tym największej Bazy nr 11 we Włoszech. Likwidacją Oddziału Specjalnego kierował Utnik. W wielu wypadkach chodziło po prostu o przeniesienie personelu i zasobów do nowych, na wpół tajnych organizacji „Drawa” i „Hel”. Organizacje te utworzyły, lub objęły po Oddziale Specjalnym cały szereg placówek na kontynencie europejskim, jak np. w Rzymie, Paryżu, i w Niemczech przy 1. Dywizji Pancерnej i Brygadzie Spadochronowej.

W wyniku korespondencji pomiędzy Tatarem i Mitkiewiczem powstała również placówka w Waszyngtonie, której nadano kryptonim „Star”⁹ i o której pisze w swojej relacji Mitkiewicz¹⁰. W podsumowaniu tej relacji, Siemaszko podkreśla, iż jasno z niej wynika, że tajna organizacja tworzona przez Tatara, Utnika i Nowickiego, jego głównych pomocników, oparta była na fałszerstwie. Z jednej bowiem strony, na zewnątrz, występowali jako niepodległościowcy, którzy działają zgodnie z założeniami legalnych władz na emigracji, a z drugiej natomiast strony, byli zdecydowanymi zwolennikami uległości, jaką reprezentował Mikołajczyk. „Ta dwulicowość umożliwiła Tatarowi i jego współpracownikom zwerbowanie

9. Z relacji Mitkiewicza wynika, że chodziło o organizację pod nazwą „Niepodległość i Wolność”, a kryptonim „Hel” odnosił się tylko do londyńskiej centrali, kierowanej przez Nowickiego. Dla uproszczenia, Siemaszko używa jednak nazwy „Hel” dla całej tworzonej sieci organizacji, która w całości podlegała Tatarowi, a Nowicki wykonywał jedynie jego polecenia

10. Zob. Leon Mitkiewicz, „Placówka ‘Star’” w: *Zeszyty Historyczne* nr 17, Paryż 1970, s. 173-193.

do tajnej organizacji szeregu oficerów, którzy nie wzięliby udziału w tej działalności, gdyby znali jej prawdziwe oblicze”.

Po zakończeniu wojny bardzo istotnym problemem były fundusze Oddziału Specjalnego i Fundacji „Drawy”, które Tatar chciał mieć nadal pod swoją kontrolą. Nie było to trudne, gdyż kierownikiem Komisji Likwidacyjnej Oddziału Specjalnego i członkiem Komitetu tej Fundacji, na którą były przenoszone duże ilości pieniędzy, był Utnik, całkowicie oddany Tatarowi. Najważniejszą pozycją, jaką dysponował Oddział Specjalny w 1945 r. była suma około 6 i pół miliona dolarów, jakie pozostały we Włoszech, z przekazanych tam wcześniej około 8 milionów 500 tys. dolarów, pochodzących z 10-milionowej dotacji Roosevelta dla AK. Suma ta znajdowała się w przerzutowej do Polski Bazy nr 11, a po jej zlikwidowaniu w Bazy w Rzymie, której dowódcą był ppłk „Hańcza”. Z relacji Utnika – na którą powołuje się również Siemaszko – wynika, że z Rzymu przetransportowano: 2 miliony 669 tys. dolarów do Niemiec (do miejsc postoju Dywizji Pancerniej i Brygady Spadochronowej), 2 miliony 250 tys. dolarów do Paryża i 396 tys. dol. do Brukseli. Według Utnika depozyty w Paryżu i Brukseli były „całkowicie w dyspozycji Komitetu Fundacji”, a więc – zwraca uwagę Siemaszko – „faktycznie zatajone przed legalnymi władzami, tzn. przed szefem Sztabu, Naczelnym Wodzem i Prezydentem”. Ponadto Tatar dysponował w Londynie, trudną do ustalenia po różnych wydatkach, sumą, sięgającą kilku milionów dolarów. Oprócz tego Komitet Fundacji „Drawy” posiadał nieruchomości w Anglii, Francji i Luksemburgu, oraz farmę niedaleko Paryża. Znaczna część tego majątku została przekazana władzom PRL.

Tragicznie, bo samobójczą śmiercią, w październiku 1945, zakończył życie ppłk „Hańcza”, odpowiedzialny za finanse Fundacji „Drawy” i Oddziału Specjalnego we Włoszech. Sprawie tej Siemaszko poświęca sporo miejsca. Według niego „Hańcza”, co najbliższe jest rzeczywistości, „padł ofiarą konfliktu pomiędzy Andersem i Tatarem”¹¹. Konflikt

11. Zob. również: Roman Buczek, „Był taki czas...”, Century Publishing Company, Toronto 1981, oraz omówienie tej książki przez Siemaszkę w: *Zeszyty Historyczne* nr 65, Paryż 1983, str. 223-232.

ten wywodził się z odmiennej orientacji tych dwóch generałów: Anders wierzył w potrzebę dalszej akcji niepodległościowej, a Tatar w ugodę z Sowietami. Pierwszy z nich chciał zatrzymać fundusze we Włoszech, drugi usiłował je zagarnąć, żeby później wykupić się w łaski komunistycznego reżimu. Znaczna część funduszy została jednak wywieziona, o czym jest mowa w poprzednim paragrafie. Do 2. Korpusu udało się jedynie przekazać około 1 miliona 236 tysięcy, którymi uprzednio dysponował „Hańcza”.

Na odprawie dla generałów 9 i 10 sierpnia, Tatar wypowiedział się za powrotem do Polski. Bór-Komorowski zażądał wtedy zestawienia finansowego Oddziału Specjalnego, który dotychczas nie był przez nikogo kontrolowany. Z zestawienia tego wynikało, że w dyspozycji Tatar znajdowało się około 5 milionów dolarów. W następstwie tego Tatar został przeniesiony do Szkocji. Po śmierci „Hańczy” księgi finansowe Bazy nr 11 wykazały brak około 2 milionów dolarów w porównaniu ze sprawozdaniem Tatar sprzed kilku miesięcy. Na żądanie Bora-Komorowskiego Tatar przyznał, że ukrył we Francji około 2,5 miliona dolarów, bez podania jednak ich miejsca przechowania. Tatar cieszył się wówczas całkowitym zaufaniem Kopańskiego, który w liście do Bora-Komorowskiego z 16 stycznia 1946 r. pisał krytycznie o postępowaniu Tatar, ale jednocześnie zapewniał, że „jest to człowiek o wyjątkowej uczciwości osobistej i głębokim patriotyzmie”. To zapewnienie przyczyniło się zapewne do tego, że dopiero w kwietniu 1946 r. Tatar został zwolniony z zajmowanego stanowiska. W tym samym czasie zwolniono również Utnika ze stanowiska kierownika Komisji Likwidacyjnej Oddziału Specjalnego. Zarówno Tatar jak i Utnik zatrzymali jednak dokumenty Oddziału Specjalnego, które przekazali później do Warszawy.

W 1946 roku Tatar i jego otoczenie popierało politykę Mikołajczyka i miało – jak pisze Siemaszko – powiązania z ośrodkiem emigracyjnym. Tego samego roku w grudniu przyjeżdżają na spotkanie do Paryża: Tatar, prawdopodobnie wraz z Utnikiem z Londynu i Jerzy Kirchmayer z Warszawy. Ten ostatni przekonał ich, że Mikołajczyk wyborów (z 19 stycznia 1947) nie wygra, należy go zostawić własnemu

losowi a „natomiast trzeba udzielić poparcia nacjonalistycznemu odłamowi PPR, któremu przewodzili Gomułka i Sychalski”. Sfałszowane przez komunistów wybory Mikołajczyk musiał oczywiście przegrać. W pierwszych miesiącach 1947 r. Tatar i jego współpracownicy zwiększają swoje zabiegi o względy władz PRL. W lutym Tatar nakazał rozwiązanie „Helu”. W czerwcu Komitet Fundacji „Drawa”, w osobach Tatar, Utnika i Nowickiego, przekazał władzom warszawskim złoty FON, co też było warunkiem wydania im paszportów konsularnych. Wkrótce cała trójka paszporty te otrzymała i w drugiej połowie lipca Tatar wyjechał do Warszawy celem omówienia przekazania zasobów Fundacji „Drawa”, co też niebawem miało stopniowo miejsce. Tatar, Utnik i Nowicki, samowolnie zadysponowali majątkiem, wynoszącym kilka milionów dolarów (dokładna jego wartość nigdy nie została ustalona), przekazując go władzom PRL.

Cała ta trójka mieszkała w Londynie do jesieni 1949 r. i nie żałowała sobie, jak wspomina Siemaszko, pieniędzy na własne wydatki, czego jednym z przykładów jest, że Tatar i Nowicki dysponowali dwoma samochodami każdy. Następnie autor pisze: „Emigracja londyńska stopniowo zaczęła zdawać sobie sprawę z roli, jaką odgrywali Tatar, Utnik i Nowicki, więc zrywała z nimi stosunki”. Trudno nie wyrazić zdziwienia, że dopiero wtedy – i nadto stopniowo – emigracja zaczęła się orientować o ich roli? Sytuacja łatwiejsza była do zrozumienia, nie tylko w Londynie, jesienią 1949, kiedy to cała trójka, po przyjeździe do Polski, została kolejno aresztowana: Tatar 2 listopada, Utnik 3 listopada i Nowicki 4 listopada. Podobno decyzję ich aresztowania powziął osobiście Bierut.

W ostatnim, przed epilogiem rozdziale, Siemaszko zwięźle przedstawia „procesy tatarowskie”. Procesy te rozpoczęły się w Warszawie latem 1951 i zakończyły w 1954 roku. Objęły 93 osoby¹². Rozpraw było wiele, ale jedna była „centralna”, tzn. ta, w której występowali Tatar, Utnik i

12. Wśród licznych aneksów, jakie znajdują się w książce, pożyteczne również są noty biograficzne sądzonych – tych, o których autor mógł uzyskać dane – kolejność ich aresztowań i rozpraw.

Nowicki. Brutalne metody śledztwa były te same, jakie stosowano w Sowietach. Spośród 93 sądzonych uniewinniono tylko jednego – Adama Uziembłę. Wykonano 20 wyroków śmierci. Tataro skazano na dożywocie, Utnika i Nowickiego na 15 lat więzienia. Zostali zwolnieni w 1956, podobnie jak i inni sądzeni w „procesach tatarowskich”, którym udało się przeżyć.

Płk Nowicki zmarł w 1959, czyli zaledwie trzy lata po zwolnieniu z więzienia. Płk Utnik ożenił się po raz drugi z siostrą Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Mieszkał w wygodnym mieszkaniu w willowej dzielnicy Warszawy na Bemowie (przedwojenna nazwa Boernerowo). Po śmierci żony w 1994 r. przeniósł się do Domu Społecznego dla Kombatanów. Gen. Tatar – pisze dalej Siemaszko – mieszkał również w ładnym mieszkaniu w Warszawie. Przez jakiś czas, będąc doradcą ministra obrony narodowej, zajmował uprzywilejowane stanowisko. Podobno Gomułka osobiście odznaczył go komandorią Orderu Polonia Restituta. Zmarł w grudniu 1980 i został pochowany na Powązkach, w kwaterze „Dąbrowszczaków”¹³.

Trudno powstrzymać się tutaj od gorzkiej uwagi: Tatar, główny współwinowajca losu, jaki spotkał wielu Polaków, przeżył w PRL 24 lata w uprzywilejowanej sytuacji (a takich było przecież więcej), podczas gdy tysiące więzionych rodaków, w tym i ofiar jego organizacji, po uwolnieniu w 1956 roku, bytowało w nędznych warunkach. Zresztą i dzisiaj jeszcze, dość liczni są kombatan ci, którzy dawniej byli prześladowani a teraz wegetują na marnych emeryturach.

W zakończeniu książki Siemaszko pisze, że Tatar „nie dochował wierności ani gen. Borowi-Komorowskiemu i gen. Pełczyńskiemu, ani gen. Sosnkowskiemu i gen. Kopańskiemu, ani Mikołajczykowi, ani też wielu oficerom, których zdołał zaangażować do swej organizacji”. Po takim zapewnieniu autora, który przebadał życie i działalność gen. Tataro, wszelkie próby zmierzające do wytłumaczenia tej działalności

13. Nazwa pochodzi od Brygady im. Jarosława Dąbrowskiego, formacji zbrojnej, która – złożona z członków i sympatyków partii komunistycznej – uczestniczyła w wojnie domowej w Hiszpanii.

w oparciu o jakieś ideowe przesłanki, wpływające jakoby z potrzeb szukania możliwie najlepszego wyjścia z trudnej wówczas sytuacji – nie mają, bo nie mogą mieć, żadnej racji bytu.

Trudno jednak podzielać zdanie autora, że „...władzom komunistycznym, zarówno sowieckim jak i polskim, ‘procesy tatarowskie’ oddały poważne usługi. Doprowadziły one do dyskryminacji przedwojennego Wojska Polskiego, Armii Krajowej, Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, jak również przedstawicielstw państw zachodnich w Polsce”. W rzeczywistości trudno bowiem mówić o dyskryminacji, gdyż etos Wojska Polskiego, jego bohaterskich czynów w Kraju i zagranicą, przetrwał w całym swym splendorze nie tylko okres stalinowski, lecz i późniejsze lata do 1989 roku. Gorzką ironią losu jest to, że raczej po tej dopiero dacie, wskutek różnych manipulacji i rywalizacji o zawładnięcie wojennej spuścizny, doszło do zubożenia pięknej legendy Wojska Polskiego, czego jednak nie można utożsamiać z dyskryminacją.

Książka Siemaszki, z załączonymi do niej dokumentami¹⁴, stanowi istotny i potrzebny na czasie przyczynek, przede wszystkim do lepszego zdania sobie sprawy z bezradności władz polskich na emigracji i do wyciągnięcia nauki z nieokreślonej samowoli, która doprowadziła do marnotrawstwa funduszy publicznych. Pogłębienie bowiem tej problematyki – a skutki braku odpowiedniej kontroli finansów publicznych są w Polsce ciągle widoczne – pobudzi może następnie do bliższego zainteresowania się np. funduszami „Solidarności”, z których również do dzisiaj brak jest rozliczeń, a chodzi przecież nie tylko o cyfry, lecz zwłaszcza cele, na jakie zużytkowano otrzymywane pieniądze. W końcu, książka ta uświadamia konieczność opracowania epilogu powojennych dziejów, dość licznych jeszcze żołnierzy AK,

14. Przy składaniu wkradło się trochę błędów, „literówek” i innych, jak np. na str. 12 zamiast marzec 1944 r. jest 1943 jako data ujawnienia się 16 przywódców. Prezydent Raczkiewicz (str. 71) zatwierdził gen. Okulickiego na stanowisku komendanta AK 21 a nie 18 grudnia 1944. Na str. 90, gdy mowa jest o WiN-ie winno być „Wolność i Niezawisłość”, a nie „Wolność i Niepodległość”.

dziejów świadomie zniekształczanych lub przemilczanych, które dopiero po ich odtworzeniu zamkną ostatni rozdział historii Armii Krajowej, czy też ściślej : Podziemnego Państwa z okresu drugiej wojny światowej. Działalność gen. Tatara – i różne jej powiązania – są jednym z przykładów jak wiele jeszcze spraw czeka na opracowanie i wyjaśnienie tego, co i jak rzeczywiście było.

Tadeusz WYRWA

Z.S. SIEMASZKO

POLACY I ŻYDZI W UJĘCIU SARNERA

Przodkowie Sarnera przybyli z Europy Wschodniej do Stanów Zjednoczonych około 100 lat temu. Z pewnością mieli oni polskie powiązania, podobnie jak większość Żydów wywodzących się z tamtych terenów. Ich potomek Harvey odbył służbę wojskową w amerykańskiej marynarce wojennej, ukończył studia prawnicze i jako adwokat został zamożnym człowiekiem. Stan zdrowotny zmusił go do przejścia na emeryturę jeszcze przed osiągnięciem pięćdziesięciu lat. Kiedy spotkałem go w Londynie kilkanaście lat temu, mówił że resztę swego życia i trochę pieniędzy ma zamiar poświęcić na propagowanie współpracy polsko-żydowskiej. Interesowało go wówczas o wiele bardziej podejście propagandowe niż historyczne. Chociaż frapowały go również niektóre zjawiska historyczne, jak na przykład poszukiwanie dowodów na to, że polski Drugi Oddział szkolił potajemnie, przed drugą wojną światową, w porozumieniu ze syjonistami, dywersantów przewidzianych do akcji w Palestynie. Wyrażałem wówczas przypuszczenie, że chociaż taki fakt mógł mieć miejsce, to jednak znalezienie dokumentów, które by to potwierdzały,

było bardzo mało prawdopodobne. Takich dokumentów nigdy chyba nie było, gdyż władze polskie musiały być ostrożne, żeby wiadomości o szkoleniu dywersantów żydowskich nie doszły do władz brytyjskich, które administrowały wówczas Palestyną.

Szereg lat później otrzymałem zawiadomienie, że Sarner opracował książkę dotyczącą gen. Andersa i 2. Korpusu¹. Prawdopodobnie zmienił zdanie pod wpływem Jana Romanowskiego, któremu zresztą tę książkę dedykuje i pisze, że bez jego pomocy praca nad jej wydaniem zajęłaby mu dalsze dwa lata. Wynika stąd, że Romanowski (który niedawno zmarł w Kanadzie) miał jakieś specjalne cechy charakteru skoro osiągnął to, czego mnie się nie udało, mianowicie namówił Sarnera na zainteresowanie się historią, a nie propagandą. Należy więc poświęcić nieco miejsca Romanowskiemu. Przed wojną był on porucznikiem rezerwy i studentem Wydziału Mechanicznego Politechniki Lwowskiej. Jesienią 1939 r. wyjechał do Francji i wkrótce został wysłany do Lwowa w celu organizowania tam podziemia, ale – tak samo jak Klimkowski, który spełniał podobną funkcję – trafił w ręce NKWD. Po śledztwie, które trwało 10 miesięcy, skazano Romanowskiego na śmierć i wyrok miał być wykonany 7 lipca 1941 r. Jednak na skutek „amnestii” zwolniono go 31 sierpnia i skierowano do Buzufuku. Został tam adiutantem szefa sztabu, najpierw płk. dypl. Okulickiego, a potem gen. Bohusza-Szyszki. Kiedy we wrześniu 1942 r. zmarł w Teheranie na tyfus por. Zygmunt Kostkiewicz, adiutant gen. Andersa, Romanowskiego mianowano na jego miejsce; pełnił tę funkcję do końca wojny.

Po wojnie ukończył studia mechaniczne na Polish University College w Londynie i wraz z żoną wyjechał do Kanady, gdzie zmarł zanim książka Sarnera ujrzała światło dzienne.

Chociaż Romanowski niewątpliwie wywarł wpływ na Sarnera, to jednak dzieje 2. Korpusu musiały go zafascynować. Niewątpliwie były to dzieje niezwykle. Najpierw

1. Harvey Sarner, „General Anders and the Soldiers of the Second Polish Corps”, Brunswick Press, Cathedral City, CA, USA, 1997.

skazanie na bezgraniczną poniewierkę w Sowietach, w czasie której ogromna większość późniejszych żołnierzy osobiście otarła się o zagrożenie śmiercią i przeżyła głód, mrozy, poniżenie w swoim człowieczeństwie. Potem nastąpił okres związany z dyscypliną wojskową, szkoleniem i kolejno z upałem pustyni irackiej. A potem była akcja wojenna, straty kolegów, osobiste zagrożenie, szpitale, kalectwa, a jednocześnie satysfakcja zwycięstwa, wino, słońce i urocze Włoszki. Wszystkie te wysiłki i wzloty zakończyły się przegraniem całej Sprawy, która przyświecała jako cel zasadniczy zarówno w czasie cierpień sowieckich, jak i przeżyć frontowych. Sarner odmalował te zmienne dzieje żołnierzy wiernie i wielostronnie. A nie miał łatwego zadania, bo chociaż pochodzi z rodziny żydowskiej o polskim zapleczu, to jednak nie zna żadnego innego języka poza angielskim, co niewątpliwie utrudniało mu zapoznanie się z tymi sprawami. Musiał więc korzystać z tłumaczy i pisze, iż w wypadku ważniejszych dokumentów, czy relacji, chcąc zachować obiektywność swoich dociekań, musiał je dawać dwóm tłumaczom, żeby upewnić się co do ich treści. Te trudności językowe sprawiły, że niekiedy występują w książce Sarnera błędy, ale nie dotyczą one spraw zasadniczych.

W przedmowie bardzo słusznie zwraca Sarner uwagę, na to, że niektórzy historycy mają podejście biurokratyczne i sądzą, że należy brać pod uwagę jedynie wiadomości potwierdzone na piśmie, natomiast relacje ustne należy ignorować. Sarner przeciwstawia się temu i udowadnia słuszność swego podejścia na paru przykładach. Jeden z nich warto przytoczyć.

Łatwo jest poddać się pokusie cytowania uznanych autorytetów i czerpać wiadomości ze źródeł drugiego rzędu raczej niż z podstawowych badań. Cytat z pisemnego dokumentu wzięty przez jednego historyka i bezkrytycznie powtórzony przez innego wkrótce nabiera autorytetu „ogólnie znanej prawdy”. Najlepszym przykładem na jaki natrafiłem to książka napisana przez żydowskiego kapelana Polskiej Armii, Leona Rozena, która jest przyjęta jako pewnik, o ile chodzi o warunki w jakich byli żołnierze-Żydzi, kiedy wojsko było w Sowietach. Dopóki nim się nie

zainteresowałem, nikt nie przeprowadził wywiadu z innym żydowskim kapłanem, który był w Armii Andersa od początku aż prawie do ostatniej chwili, w przeciwieństwie do Rozena, który był w wojsku stosunkowo przez krótki okres. Rabin Rosengarten przedstawił mi sprawy zupełnie inaczej, włączając również to, że Rozen był usunięty z Polskiego Wojska bez żadnych sprzeciwów ze strony innych kapłanów-Żydów. Ale Rozena naświetlenia zostały zapisane, a Rosengartena nie! (Str. ii, tłumaczenie Z.S.S.)

Opisując dzieje 2. Korpusu Sarner zwraca szczególną uwagę na sprawy żydowskie, co uzasadnia tym, iż były one wówczas jednym z głównych problemów polskiego rządu i Armii Andersa, jak również tym, że jest to naturalnym zainteresowaniem autora-Żyda.

Rzeczywiście problem żydowski wśród obywateli polskich, którzy znaleźli się w Sowietach, był szczególnie drażliwy, bardziej drażliwy niż przed wojną, po pierwsze dlatego, że procent Żydów był tam dwa razy taki, jak przed wojną w Polsce, czyli wynosił około 20%. Było to spowodowane tym, że w czerwcu 1940 r. władze sowieckie wywiozły w głąb swego kraju ogromną większość uciekinierów przed Niemcami we wrześniu 1939 r., wśród których Żydzi z zachodniej i centralnej Polski stanowili około 60%. Byli to przeważnie ludzie obrotni, bo należący do elity żydowskiej. Poza tym witanie Armii Czerwonej przez niektórych Żydów zamieszkałych we wschodniej części Polski – czego Sarner nie pomija w swej książce – wzbudziło poważną niechęć wśród miejscowych Polaków.

Po „amnestii” młodzi Żydzi zapełnili gremialnie szeregi oddziałów polskich w Rosji do tego stopnia, że nawet zorganizowano osobny batalion żydowski w Kołtubance koło Tockoje, ale później ten pomysł zarzucono. Z chwilą kiedy Sowiety z nadejściem zimy opanowały sytuację na froncie, zakazały w listopadzie 1941 r. dalszego przyjmowania do Polskiego Wojska Żydów, Ukraińców i Białorusinów. W wypadku dwóch ostatnich kategorii sprawa była trudna do przeprowadzenia, bo odróżnienie Ukraińców czy Białorusinów od Polaków ze wschodniej Polski było prawie niemożliwe, chyba

że zastosowało się zasadę, że katolik to Polak, a prawosławny czy unita to Białorus lub Ukrainiec, co władze sowieckie niekiedy stosowały. Natomiast Żydzi byli inni, inaczej wyglądali, inaczej mówili, a co najważniejsze byli obrzezani, a na komisjach wojskowych stawano się nago. Jednak niektórzy Żydzi zdołali dostać się do wojska nawet po tym zakazie. Tymczasem władze sowieckie rozpowszechniały dość skutecznie wśród Żydów pogłoskę, że to nie oni zakazują, a Polacy nie chcą Żydów przyjmować do wojska. Sprawa ta przyczyniła się do zaognienia stosunków polsko-żydowskich na terenie Sowietów. Później, po przybyciu do Palestyny, jak wiadomo poważna część żołnierzy-Żydów opuściła polskie szeregi. Według Sarnera jedynie 30% Żydów pozostało w wojsku (str. 136).

Sarner wyjaśnia, że na nieszczęścia Żydów złożyła się nie tylko niechęć pewnych Polaków, ale również zdecydowany sprzeciw władz sowieckich, które starały się zatrzymać Żydów u siebie, jak również niechęć władz brytyjskich do przyjazdu Żydów do Palestyny w ramach oddziałów polskich. Były również protesty władz Iranu i Iraku przeciwko obecności Żydów, a w szczególności dzieci żydowskich w transportach polskiej ludności cywilnej przejeżdżającej i zatrzymującej się w ich krajach.

Zasadnicze podejście Sarnera do spraw polsko-żydowskich oparte jest na jego dwóch niewątpliwie słusznych stwierdzeniach.

Polacy i Żydzi żyli razem w Polsce przez 900 lat. Każda z tych grup była zrozumiata przekonana o swojej wyższości na drugą grupą. Brak wyczucia wzajemnej wrażliwości był zdumiewający. Polacy nie zdawali sobie sprawy z tego jak emocjonalnie rażące było to, co mówili Żydom, a Żydzi byli obojętni wobec faktu, że trzy miliony nie-żydowskich Polaków, włączając 1500 księży katolickich, zamordowano podczas drugiej wojny światowej. (Str. vii, tłumaczenie Z.S.S.)

Niewątpliwie stosunek wielu Polaków miał cechy poczucia własnej wyższości i pogardy wobec Żydów i dlatego

polski antysemityzm był w pierwszym rzędzie obraźliwy. Natomiast o ile chodzi o zrozumiały stosunek Żydów do Polaków, zasugerowałem w rozmowie z Sarnerem, iż może to wypływać z przekonania iż posiadają oni „covenant z Jahve” czyli poczucie „narodu wybranego”. Jednak jego zdaniem nie miało to wielkiego znaczenia, gdyż obecnie większość Żydów w Stanach Zjednoczonych nie wiedziałaby co mam na myśli, gdybym użył w stosunku do nich określenia „naród wybrany”.

Z pewnością książka Sarnera zostanie przyjęta krytycznie w niektórych kręgach żydowskich, szczególnie w Ameryce i trzeba przyznać, iż wykazał on dużą dozę odwagi cywilnej poszukując obiektywnego spojrzenia na sprawy polsko-żydowskie i poddając krytyce nie tylko stronę polską, ale również i żydowską.

Sarner naświetla nie tylko sprawy polsko-żydowskie. Korzystał on z najnowszych źródeł w Nowym Jorku, w Londynie i częściowo w Moskwie i na podstawie ostatnio udostępnionych dokumentów brytyjskich rzuca nowe światło na ostateczną ewakuację wojska z Sowietów. Według niego w czasie rozmowy z Churchillem w Londynie 22 kwietnia 1942 r. gen. Anders mówił o konieczności wycofania całego wojska polskiego z Sowietów, na co Churchill wyrażał zgodę. Jednocześnie po zakończeniu pierwszej ewakuacji władze sowieckie zawiadomiły polskie dowództwo, że dalszej ewakuacji nie będzie. Ale wkrótce zmieniły zdanie i 30 czerwca 1942 r. Mołotow poinformował ambasadora brytyjskiego w Moskwie, że Polacy mają trzy dywizje wyszkolone i zdolne do walki. Sowiety gotowe były zgodzić się na przeniesienie tych dywizji pod dowództwo brytyjskie. W tydzień później Mołotow wręczył ambasadorowi brytyjskiemu kopię stwierdzenia Stalina skierowanego do władz polskich w Sowietach iż „nie ma on obiekcji przeciwko przeniesieniu oddziałów polskich z Sowietów na Środkowy Wschód i sądzi, że trzy dywizje powinny być przeniesione”. Brytyjczycy chętnie zaakceptowali propozycję sowiecką, chociaż zdawali sobie sprawę z tego, że rząd polski będzie temu przeciwny. I mimo że Stalin zawiadomił Andersa 8 lipca 1942 r. o ostatecznej ewakuacji, to jednak Churchill, widocznie żeby upew-

nić się, że decyzja ta zostanie wykonana, pisał 18 lipca 1942 r. do Stalina, iż w wypadku gdyby Wojsko Polskie nie zostało przeniesione na Środkowy Wschód, zaistniałaby konieczność wysłania tam brytyjskich oddziałów, które w przeciwnym wypadku mogłyby być użyte na Drugim Froncie tzn. w zachodniej Europie, a Churchill wiedział jak pilne było dla Stalina otwarcie Drugiego Frontu. (Str. 84-86).

Znalazłem też w tej książce dane, które sprawiły mi osobistą satysfakcję. Znałem w wojsku Stanisława Jarockiego, który twierdził, iż z łagru wysłano go do wojska gdzieś na Uralu. Były to jakieś niby polskie oddziały, w których oficerowie byli sowieccy i komenda rosyjska, a żołnierze częściowo sowieccy, a częściowo z pogranicza rosyjsko-polskiego. Nie podobało mu się to i prosił o przeniesienie do prawdziwego Wojska Polskiego. Kazano mu złożyć podanie. Jako ex-komunista wiedział jak trzeba tego rodzaju podanie napisać. W załączonym życiorysie stwierdził, że pochodził z rodziny ziemiańskiej, że miał kilka salonów fryzjerskich w najważniejszych miastach Polski (w rzeczywistości był fryzjerem), że jeden starszy brat był zawodowym oficerem, a drugi prezesem OZON-u. Wobec takiego zaplecza już kilka tygodni po złożeniu podania wysłano Jarockiego do Uzbekistanu, do prawdziwego Wojska Polskiego².

Wiedziałem, że Jarocki nie ma tendencji do koloryzowania, a mimo to dotąd nie natrafiłem na potwierdzenie jego historii. Dopiero z książki Sarnera dowiedziałem się, że już 2 listopada 1940 r. Beria sugerował utworzenie w ramach Czerwonej Armii polskiej dywizji, w skład której wchodziłoby pułkownicy, którzy mieli „odpowiednie” polityczne przekonania i byli „szczerzy”. Chodziło tu z pewnością o Berlinga i jego 12 towarzyszy, którzy w tym czasie byli w „willi szczęścia” w Małachowce pod Moskwą. Beria sugerował, że generałowie Januszajtis i Boruta-Spiechowicz powinni być również użyci, bo ich nazwiska przyciągnęłyby niektóre środowiska polskich żołnierzy (str. 11).

Jednak Biuro Polityczne ze Stalinem na czele zaaprobowало ten projekt dopiero 2 czerwca 1941 r. nie chcąc widocz-

2. Z.S. Siemaszko, „Wojsko od podszewki”, Londyn 1984, str. 111.

nie narażać się Niemcom. Postanowiono wówczas zamienić jedną z istniejących dywizji strzeleckich w Czerwonej Armii na „polską dywizję”. Dotychczasowi żołnierze mieli być zastąpieni Polakami lub mówiącymi po polsku rekrutami. Ta zamiana miała być zakończona 1 lipca 1941 r. Ale widocznie ta transformacja przeciągnęła się nieco, jak zaobserwował Jarocki. Cieszę się, że znalazłem potwierdzenie jego relacji.

Londyn, marzec 1999 r.

Z.S. SIEMASZKO

KSIĄŻKI NADESŁANE

- BALISZEWSKI (Dariusz), KUNERT (Andrzej Krzysztof). *Ilustrowany przewodnik po Polsce stalinowskiej 1944-1956*. Tom 1: 1944-1945. Str. 767. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1999.
- BIELAWSKI (Piotr), LAZAROWICZ (Romuald). *Dziwny rok 1989*. Kalendarium wydarzeń na świecie. Wstęp A. Wiszniewski. Str. 478. Agencja Wydawnicza „Morex”, Warszawa 1999.
- BILSKI (Ryszard). *Kocioł bałkański*. Str. 464. Politeja, Warszawa 2000.
- BOJTÁR (Endre). *Foreword to the Past. A Cultural History of the Baltic People*. Translated by S. Redey and M. Webb. Str. XIV, 419. Central European University Press, Budapest 1999.
- BURSKI (Jan Jacek). *Petlurowcy*. Centrum Państwowe Ukrain-
skiej Republiki Ludowej na wychodźstwie (1919-1924). Str. 600, (12). Wydawnictwo ARCANA, Kraków 2000.
- Encyklopedia Szczecina*. Tom I: A-O. Str. 712. Uniwersytet Szczeciński. Instytut Historii. Zakład Historii Pomorza Zachodniego, Szczecin 1999.
- GREK-PABISOWA (Iryda). *Staroobrzędowcy*. Szkice z historii, języka, obyczajów. Wybór prac z okazji 45-lecia pracy naukowej. Str. 346. Sławi-
styczny Ośrodek Wydawni-
czy. Instytut Sławistyki PAN, Warszawa 1999.
- GROCHMAŁSKI (Piotr). *Czeczenia*. Rys prawdziwy. Str. 378. Atla2, Wrocław 1999.
- HADACZEK (Bolesław). *Kresy w literaturze polskiej*. Studia i szkice. Str. 300. Wojewódzki Ośrodek Metodyczny, Gorzów Wielkopolski, 1999.
- HOLZER (Jerzy). *Kompleks Ra-*

- pallo – mit czy realna groźba?* Str. 64. Centrum Stosunków Międzynarodowych, Warszawa 1999.
- Kampania wyborcza i wybory do Sejmu Ustawodawczego 19 stycznia 1947.* Wybór, wstęp i opracowanie Janusz Wrona. Str. 274. Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1999.
- Karol Górski – człowiek i uczony.* Pod red. Zenona H. Nowaka. Str. 124. Wydawnictwo UMK, Toruń 1999.
- Katalog Biblioteki Narodowej w osiemdziesięciolecie serii 1919-1999.* Str. XVI, 152. Ossolineum, Wrocław 1999.
- Kościół polski wobec antysemityzmu.* Konferencja 20 stycznia 1999 r. Materiały. Opracował przewodniczący konferencji Bohdan W. Oppenheim. Str. 244. Wyd. WAM, Kraków 1999.
- KOZAKIEWICZ (Jerzy). Rosja w polityce niepodległej Ukrainy.* Str. 361. Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 1999.
- KRÓLIKOWSKI (Adam). Epopeja Celtów.* Str. 203. Wydawnictwo Wyższej Szkoły Pedagogicznej, Częstochowa 1999.
- KRZECZUNOWICZ (Andrzej). Polska droga do NATO 1989-1999.* Str. 258. Wydawnictwo Znak, Kraków 1999.
- KUCHARZEWSKI (Jan). Od białego caratu do czerwonego.* Tom 4. *Wyzwalanie ludów.* Pod redakcją naukową Franciszka Nowińskiego. Str. 480. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1999.
- Media w Polsce w XX wieku.* Prasa, radio, telewizja, reklama, public relations, badania rynku. Str. 286. Press, Poznań 1999.
- MIRONOWICZ (Eugeniusz). Białołęka.* Str. 298. Wydawnictwo TRIO, Warszawa 1999.
- MOTYKA (Grzegorz). Tak było w Bieszczadach.* Walki polsko-ukraińskie 1943-1948. Str. 551. Oficyna Wydawnicza Volumen, Warszawa 1999.
- Nowocześni a socrealizm.* Tom pierwszy. Str. 440; *Nieborów 1949.* Tom drugi. Str. 80. Katalog wystawy. Styczeń-luty 2000. Fundacja Nowosielskich, Starmach Gallery, Kraków 2000.
- PAWLUCZUK (Włodzimierz). Wierszalin – reportaż o końcu świata trzydzieści lat później.* Str. 134, (10). Biblioteka Kartek, Białystok 1999.
- PIĘCIAK (Wojciech). Kryzys wiary czy kryzys systemu?* Kościoły w Niemczech 1990-1999. Str. 80. Centrum Stosunków Międzynarodowych, Warszawa 1999.
- Polska-Ukraina: trudne pytania.* T. 5. Materiały V międzynarodowego seminarium historycznego „Stosunki polsko-ukraińskie w latach II wojny światowej”, Łuck, 27-29 kwietnia 1999. Str. 379. Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej, Związek Ukraińców w Polsce, KARTA, Warszawa 1999.
- SAWICKA (Jadwiga). Wołyń poetycki w przestrzeni kresowej.* Str. 204, (16). Wydawnictwo DiG, Warszawa 1999.

CI, CO ODESZLI

Adam F. BARAN

W STULECIE URODZIN ADAMA BIENIA

Adam Bień urodził się 14 grudnia 1899 roku w Ossali pow. sandomierski, w wielodzietnej rodzinie chłopskiej. W Sandomierzu, gdzie uczęszczał do rosyjskiego gimnazjum, związał się z tajnym skautingiem, a po 1916 r. z kołem młodzieży wiejskiej. Działał także w organizacjach szkolnych o charakterze literackim i kulturalnym. W listopadzie 1918 uczestniczył w działaniach pomocniczych POW przy przejęciu władzy wojskowej i cywilnej w Sandomierzu. Dwa lata później zdał maturę w murach sandomierskiego Collegium Gostomianum i zaraz potem zgłosił się ochotniczo do WP. Jako strzelec 3 pp. legionów przeszedł tzw. kampanię litewsko-białoruską w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r.

Po demobilizacji rozpoczął studia prawnicze. W 1925 ukończył Wydział Prawa na UW, ale nie zerwał z działalnością społeczną. W 1928 ukazała się książka „Teatry ludowe w Polsce”, którą wydał wspólnie w Jędrzejem Cierniakiem, w czerwcu 1928 znalazł się wśród współzałożycieli ZMW RP „Wici” jako wiceprezes, a w latach 1929-31 prezes ZG. Dopiero nominacja sędziowska ograniczyła jego działalność w „Wiciach”. Przed wybuchem II wojny światowej awansował na stanowisko sędziego Sądu Okręgowego w Warszawie.

We wrześniu 1939 wysłany służbowo do Lublina dostał się do niewoli niemieckiej w Węgrowie, skąd uciekł. Okres pierwszych miesięcy okupacji poświęcił pisaniu książki pt.

„Jaka ma być trzecia Polska”. Za sprawą Adama Pawłowskiego włączył się w organizację ROCh w powiecie błońskim, a już po roku pracy, wspólnie z Józefem Fabiańskim, Stanisławem Piotrowskim i Tadeuszem Rekiem, zaczął prowadzić jako przewodniczący Komisję Prawną przy Naczelnym Kierownictwie ROCh-a. Niezależnie od pracy konspiracyjnej kontynuował pracę sędziego, aż do wybuchu Powstania Warszawskiego. W maju 1943 za namową Grudzińskiego rozpoczął pracę w Delegaturze Rządu na Kraj (DRnK); w maju 1944 otrzymał nominację ministerialną z Londynu i został I zastępcą Delegata Rządu na Kraj. Używał pseudonimów: „Rybicki”, „Walkowicz” i „Witold”. Zajmował się głównie koordynacją ustawodawczą DRnK, ale podlegał mu też departament oświaty, likwidacji i Rada Narodowościowa.

W kwietniu 1944 r. w jednym z dokumentów pisał minister A. Bień do Londynu:

Rosja idzie do nas z ponowną okupacją. Idzie z niebezpiecznymi dla zmęczonego wojną społeczeństwa hasłami ideologicznymi. W stosunku do Rosji nasza postawa na pewno nie będzie tak wspaniała, bezkompromisowa i jednolita, jak to ma miejsce w stosunku do Niemców. Grozi nam w związku z posuwającą się okupacją sowiecką nasze wewnętrzne rozdarcie i bratobójcze walki. Na pewno również w ramach naszego jednolitego dotychczas ruchu ludowego.

W dniu 1 sierpnia 1944 r., na czas Powstania Warszawskiego, Jan Stanisław Jankowski przekazał Bieniowi władzę cywilną, a sam udał się do kwatery głównej Komendanta AK. Krajowa Rada Ministrów wydała wówczas dwa Dzienniki Ustaw zawierające 18 różnych aktów prawnych. Od sierpnia 1944 był we władzach Centralnego Kierownictwa Ruchu Ludowego, a po upadku powstania także w organizacji „NIE”.

Tragiczny w swych skutkach finał przywódców Polski Podziemnej miał miejsce już z końcem marca 1945 r. w Pruszkowie. W wyniku podstępnego porwania (29 marca 1945 r.) przez NKWD, 16-tu przywódców Polski Podziemnej znalazło się na moskiewskiej Łubiance. W tzw. „procesie

szesnastu" A. Bień został skazany na 5 lat więzienia i osadzony wraz z Janem S. Jankowskim, Stanisławem Jasiukowiczem i od października 1945 r. Antonim Pajdakiem.

Po odbyciu większości kary i w wyniku starań Józefa Nieckiego, w południe 13 sierpnia 1949 r. na granicy polsko-radzieckiej funkcjonariusze NKWD przekazali więźnia A. Bienia funkcjonariuszom MBP. Po tygodniowej „kwarantannie” w Warszawie na ul. Koszykowej Bień został zwolniony z więzienia. Nie mogąc uprawiać zawodu sędziego, z braku możliwości zatrudnienia i nękania co jakiś czas przez funkcjonariuszy UB, nie miał łatwego życia. Zaczął w końcu zarobkować tłumacząc literaturę rosyjską dla Ludowej Spółdzielni Wydawniczej; z życzliwą pomocą przyszedł dawny wiciarz Jan Dec, ówczesnie dyrektor LSW. Bień wydał w ten sposób ponad dwanaście tytułów takich autorów jak: Priszwin, Gałatkin, Agranowski, Katajew czy Kiaceli. Mimo to, w styczniu 1953, w Milanówku A. Bienia zatrzymało UB. Przedstawiono mu zarzut, że jest szefem krajowej konspiracji kierowanej przez Stanisława Mikołajczyka. Nie przyznał się do stawianych zarzutów i po jednym dniu został wypuszczony. Potem wzywany był jeszcze wiele razy przez UB. Usiłowano go namówić do współpracy, głównie w kontekście takich osób jak Niecko, Wycech i Banach. Nie zgodził się, ale zmuszany, po jakimś czasie zdecydował się napisać wspomnienia z okresu okupacji. Pisał je trzy miesiące, ale „tak piąte przez dwudzieste. Ani prawda cała, ani nawet pół”. Jeden z egzemplarzy jakimś sposobem dotarł nawet do paryskiej *Kultury*.

Jesienią 1953 otrzymał zgodę władz PRL na praktykę adwokacką, ale warunkiem tej decyzji była praca poza Warszawą. Udał się wtedy do Przasnysza. Relacje RWE na jego temat przysporzyły mu sporo klientów i na pracę nie narzekał. W 1956 na fali przemian zachodzących w kraju uczestniczył w zebraniach miejscowej inteligencji. „Po pewnym czasie wszystko się jednak rozchwiało. To była jedyna moja działalność społeczna na terenie Przasnysza” – wspominał Bień.

Jeszcze jako adwokat w Przasnyszu zaczął się zajmować rodzinnym gospodarstwem w Ossali. Zmęczony zawodem, w

1974 r. przeszedł na emeryturę, osiadł na ojcowiźnie i oddał się pisaniu wspomnień. Tam też powstały dwa tomy: „Bóg wysoko – dom daleko” i „Bóg wyżej – dom dalej”. Pierwszy, który dotyczył lat dzieciństwa i młodości, doczekał się publikacji w LSW dopiero w 1981 r. Na jawne wydanie wspomnień z okresu 1939-49 musiał poczekać do roku 1991. Wcześniej jednak ukazały się one w polskim drugim obiegu nakładem Wydawnictwa „Przedświt” (Warszawa, 1986 r.) i Wydawnictwa „Wici” (Chicago, 1987 r.) Po 1982 r. udzielał także licznych wywiadów prasie oficjalnej i niezależnej; wywiad przeprowadzony przez niezależny poznański *Czas* został opublikowany także w paryskich *Zeszytach Historycznych*. W czerwcu 1987 sygnował wspólnie z ks. Janem Zięją dokument założycielski Niezależnego Ruchu Ludowego „Solidarność”, który powstał z inicjatywy Konwentu Seniorów Ruchu Ludowego.

W 1990 zaproszony przez Lecha Wałęsę do Komitetu Obywatelskiego uczestniczył tylko w jednym spotkaniu, ponieważ jego ocena sytuacji nie została poważnie potraktowana. Ignorowany przez polityków, udzielał się społecznie w towarzystwach regionalnych i kombatanckich, upamiętniając m.in. historię Polskiego Państwa Podziemnego.

Jego ostatnie dwie książki ukazały się na rok przed śmiercią: „Listy z Łubianki” (WL, Kraków – 1997 r.) i tom dokumentów opracowany przez Hannę i Stanisława Bielskich: „Bóg dał – Bóg wziął” (MHPRL, Warszawa – 1997 r.)

Zmarł 4 marca 1998 r. w Warszawie. Pochowany został na cmentarzu w rodzinnej parafii, w Niekrasowie. W zdrowiu i jasności umysłu dożył sędziwego wieku, u boku drugiej żony Weroniki Olesińskiej (1908-1990), ps. „Agnieszka”, byłej łączniczki DRnK.

Adam F. BARAN

OKRUCHY HISTORII

Zenowiusz PONARSKI

ZA KULISAMI WIELKIEJ POLITYKI

Stanisław Patek wspominał o rozmowie ze Szczegółowem, który mu powiedział: „Tak w polityce różnie bywa. Dziś ja jestem ministrem, a pan pociągany do odpowiedzialności (*opalnym*), a kto wie, może przyjdzie czas kiedy pan będzie ministrem, a ja *opalnym*”. Prorocze to były słowa – pisał Patek – ja zostałem ministrem w Warszawie, a jego w Moskwie rozstrzelano”.

O tym, że sytuacje w polityce szybko się zmieniają przekonał się Marchlewski po tym, jak w dobie sierpniowej ofensywy na Kijów – gen. Anton Denikin zaproponował dowództwu polskiemu współdziałanie: chodziło mu o to, by wojsko polskie uderzyło w kierunku na Mozyrz i przesunęło linię frontu do górnego Dniestru. Po zdobyciu Kijowa Denikin zagrażał siłom sowieckim działającym w rejonie Homel-Mozyrz i proponowany atak polski – według niego i mógłby w swoim skutku dać zniszczenie 12 armii sowieckiej i doprowadzić miałby do „rozbicia i upadku Sowietów”.

Propozycja Denikina spotkała się z kontrakcją sowiecką. Rząd sowiecki dał Marchlewskiemu szerokie pełnomocnictwa do prowadzenia rokowań z Polską, do wytyczenia granic na linii wojsk polskich, łącznie z Mińskiem po stronie polskiej.

Piłsudski dobrze wiedział, że zwycięstwo „białej” Rosji umożliwi jej dyktowanie Polsce granic i jej statusu. Uznał, że nie mógłby wzywać żołnierza polskiego do dalszego wysiłku

w walce z Rosją, gdyby ziemie odebrane bolszewikom miały być przekazane „białej” Rosji. Zgodził się, ze względów taktycznych, na rokowania z „czerwoną” Rosją, która wydawała mu się mniej groźna ze względu na panujący w niej rewolucyjny chaos.

W tej sytuacji doszło do tajnych rokowań Marchlewskiego z Ignacym Boernerem, wysłannikiem Piłsudskiego, który w jego imieniu powiedział sowieckiemu wysłannikowi, że wspomaganie Denikina w walce z bolszewikami, nie może być polską racją stanu.

Rokowania toczyły się w Mikaszewiczach pod Łuckiem w październiku-listopadzie 1919 r. Równoległe doszło do rozmów między Marchlewskim a Michałem Kossakowskim o wymianie zakładników, jeńców cywilnych i więźniów.

Problem zakładników powstał po zdobyciu Wilna 19 kwietnia 1919 r. przez jazdę płk. Władysława Beliny-Prażmowskiego i 2. dywizję Legionów pod dowództwem gen. Edwarda Rydza-Śmigłego, gdy: „po ulicach rozbiegły się patrole, opanowując wojskowe budynki – jak wspominał uczestnik tych wydarzeń i ich naoczny świadek – ogromne zastępy zaskoczonego nieprzyjaciela wciąż powiększały ilość jeńców, których prowadzono nieraz partiami po kilkaset ludzi”¹. W ręce zwycięzców wpadło wielu komunistycznych przywódców Litwy i Białorusi.

Dziesięć dni później – jak głosił oficjalny komunikat sowiecki – „w odpowiedzi na zdradziecki napad regularnych wojsk polskich (...) zostali aresztowani w Moskwie, jako zakładnicy, obywatele polscy, przedstawiciele burżuazji w liczbie 250-ciu osób, wśród nich arcybiskup baron Ropp i baron Dangel. Oprócz tego zaaresztowany został cały personel przedstawicielstwa byłej Rady Regencyjnej w Moskwie, Piotrogradzie, jak również przedstawiciele byłej Rady Regencyjnej na prowincji”.

Z relacji księdza Jana Trojgi, kanclerza kurii arcybiskupiej wynika, iż: „Komisariat Polski wystąpił z żądaniem uwięzienia arcypasterza i księży, chcąc zarazem salwować życie

1. R. Miennicki, „Wilno w polskim wysiłku zbrojnym” (w:) „Wilno i ziemia wileńska”, t. I. Wilno 1930, s. 36.

uwięzionych przywódców swoich w Wilnie”². Potwierdził to Ropp w rozmowie z odwiedzającymi go osobami, po przeniesieniu do aresztu domowego. „Władze czynią go zakładnikiem polskim wobec aresztowania w Wilnie komunistycznych działaczy”³.

Edwarda Roppa aresztowano przed pałacem arcybiskupim, gdy wracał z codziennej przechadzki – jak podały źródła kościelne – stało się „na rozkaz Moskwy”. Jak bardzo to pojęcie było nieścisłe, świadczy telegram Lenina do piotrogrodzkiego przywódcy Grigorija Zinowjewa, w którym zapytywał: „Czy prawdą jest, że aresztowano jako zakładnika arcybiskupa mohylowskiego Roppa. Proszę zakomunikować na jakich warunkach można go zwolnić, wnosi o to papież”⁴.

O swym aresztowaniu Ropp powiadomił delegata apostołskiego w Warszawie, Archille Rattiego (przyszłego Piusa XI): „Zostałem uwięziony 29 kwietnia i trzymano mnie dwa miesiące i jednaście dni, najpierw w Petersburgu, później w Moskwie”⁵.

Starania o uwolnienie czynił arcybiskup J. Cieplak. Wyśłał depesze do Rady Komisarzy Ludowych w Moskwie, prezesa Rady Ministrów w Warszawie i skierował do Moskwy delegację z proboszczem parafii Św. Kazimierza, księdzem S. Ejsmontem (ucharakteryzowanym na robotnika). Delegaci nie dotarli do Lenina, którego sekretarz skierował ich do Krasikowa, odpowiedzialnego za sprawy wyznaniowe w Komisariacie Sprawiedliwości.

2. J. Ostrowski, „Zza kulis kurii biskupiej w Leningradzie”. Moskwa 1929, s. 116. Książka ta oprócz obszernego wstępu autora, członka kolegium redakcyjnego *Bezbożnika Wojującego* (organu antykatolickiej sekcji przy Centralnej Radzie Związku Wojujących Bezbożników) zawiera: pamiątniki księdza Trojgi (od 26 kwietnia do 26 września 1919), listy tegoż do arcybiskupa Roppa (czerwiec 1919 – czerwiec 1922), listy Roppa do Trojgi (1919-1922), listy Roppa do arcybiskupa Cieplaka (od 14 lipca 1919 – do 14 grudnia 1922 r.).

3. „Jego Eks. Księdzu E. Roppowi, arcybiskupowi mohylowskiemu, metropolicie Rosji w dniu 25-lecia sprawowania rządów biskupich hołd składają duchowieństwo i wierni”. Warszawa 1927, [dalej: JEKER].

4. W. Lenin, „Telegram do G.J. Zinowjewa”, [w:] W. Lenin, „Dzieła wszystkie”, Warszawa 1989. Telegram Lenina błędnie datowany 6 II 1919.

5. *Mysł Narodowa* 1924, nr 16.

Delegaci byli u Stanisława Pestkowskiego, zastępcy komisarza ds. narodowości, który zaczął z nimi rozmowę po polsku. „Odmówiliśmy, motywując tym – wspominał ks. Ejsmont – że wśród nas są Litwini i Łotysze”. Delegaci ustalili, że z dygnitarzami – Polakami będą mówić po rosyjsku i Pestkowski z nimi rozmawiał – jak podawał jeden z uczestników tych rozmów – „w złym rosyjskim języku, o wybitnie warszawskim akcencie”⁶.

W rezultacie różnych nacisków, 5 lipca, arcybiskupa Roppa umieszczono w areszcie domowym przy kościele na Gruzinach w Moskwie. „Nie zezwolono mi komunikować się z wiernymi ani kazań wygłaszać – skarżył się Rattiemu – tylko mogę prywatnie odprawiać mszę św.” W innym liście do niego napisał: „Jeśliby rząd polski przedsięwziął wobec bolszewików kroki w sprawie wydania zakładników, jeśli chodzi o moją osobę, pragnąłbym, aby mi dana była całkowita swoboda, albo też byłoby lepsze, aby wydano mnie razem z innymi”. Do arcybiskupa Cieplaka napisał 18 sierpnia: „Zamiana zakładników tutaj wisi w powietrzu, porozumienia między Warszawą a Moskwą są w toku i zakładnicy prawdziwi czekają na decyzję. Moja osoba, choć liczą mnie za najważniejszego zakładnika *osobaja statja* i zapewne mój los najbliższy zależeć będzie od postawy rządu polskiego. Nie jestem endekiem ani socjalistą więc wątpię, aby wielki nacisk na moją osobę położono”⁷.

Ropp przesłał list do Lednickiego: „Proszę go przeczytać i z niego zrobić użytek, jaki Pan będzie uważał za korzystny – pisał. – Jednak ufność w Bogu nie wyłącza, a raczej wymaga naszej pracy i współdziałania, nie na próżno mamy być łagodni jak gołąbki, i mądrzy jak węże, dlatego napisałem do Kakowskiego”⁸.

Mimo aresztu domowego Ropp był poinformowany o rokowaniach w sprawie zakładników wznowionych w lipcu 1919 r.

Marchlewski konferował z Więckowskim i Michałem

6. JEKER, s. 20.

7. Ostrowski, *op.cit.*, s. 277.

8. Archiwum Polskiej Akademii Nauk w Warszawie (dalej: APAN), mat. Lednickiego, j. 43, s. 185-186.

Kossakowskim. Ten ostatni odnotował w diariuszu, 28 lipca 1919 r.: „Za chwilę jadę z panem Aleksandrem Więckowskim, słynnym demokratą z czasów lewicy Zjazdu Wojskowych Polaków w 1917 r. do Białowieży. Dostałem rozkaz z Belwederu. Chodzi o odbycie wiążącej konferencji z wpływowym bolszewikiem, imci panem Kujawskim, w rzeczywistości Julianem Marchlewskim, w sprawie wymiany zakładników”.

Niezakończone w Białowieży rozmowy dotyczące zakładników toczyły się następnie w Mikaszewiczach, już bez udziału – zmarłego w tym czasie – Więckowskiego.

Na czele sowieckiej delegacji stanął Marchlewski, w jej składzie byli też inni Polacy: A. Sonje (naturalny syn Stanisława Patka, zastępcy delegata na Konferencję Pokojową w Paryżu, od grudnia 1919 r. ministra spraw zagranicznych), J. Jabłoński, E. Kubelis i sekretarz delegacji, Bronisława Marchlewska oraz dwaj Rosjanie, eksperci Rosyjskiego Czerwonego Krzyża. Wśród tych delegatów ważną rolę odgrywał Sonje. Boerner przywiózł list od ojca: „Drogie dziecko, co porabiasz, jakie ci słońce przyświeca? Ja szczęśliwy jestem, że mojej Polsce ukochanej wszystkie siły poświęcić mogę”. Z relacji Kossakowskiego wynika, że „Patek powiedział synowi, że się go wyrzeknie, choć ma go jednego na świecie, nie chce go znać zupełnie. Wskazał mu jednak drogę, niech niezwłocznie zerwie z Rosją i odda się w ręce władz polskich na łaskę lub niełaskę”⁹.

W trakcie rozmów omawiano sprawę zwolnienia arcybiskupa Roppa i niemieckiego jezuitę, księdza F. Muckermana. Marchlewski łączył – na wyraźne polecenie swych mocodawców – ich zwolnienie ze zgodą na przejazd Radka, aresztowanego 12 lutego 1919 r. w Niemczech, z Berlina do Rosji przez Polskę. Radek został mianowany delegatem na rokowania pokojowe z Estonią i Niemcy zgodziły się uwolnić go w przypadku, jeśli Polska zezwoli na jego przejazd przez swoje terytorium.

Po żmudnych rokowaniach Kossakowski odnotował w

9. W części protokołów sporządzonych w Mikaszewiczach, jak też w niektórych materiałach Kossakowskiego, A. Sonje (ur. w 1886 r. w Genewie) występuje jako Saunier, zgodnie z francuską pisownią jego nazwiska.

diariuszu: „Rubikon został przekroczony. Bogu dzięki. Piszę do Naczelnika Państwa.” Faktycznie, 2 listopada 1919 r. zrobiony został decydujący krok w rokowaniach i Marchlewski podpisał umowę „W sprawie ostatecznego rozstrzygnięcia kwestii o zakładnikach polskich w RSFRR”, która według sowieckiego komunikatu przyczyniła się do „ostatecznego, nie wymagającego ratyfikacji załatwienia sprawy”. Umowa przewidywała przekazanie rządowi polskiemu zakładników polskich w Rosji i zlikwidowanie systemu zakładników. Na podstawie pełnomocnictwa Towarzystwa Rosyjskiego Czerwonego Krzyża z 7 października 1919 r. i pełnomocnictwa Rady Komisarzy Ludowych RSFRR z 22 października 1919 r., Marchlewski był upoważniony do zawierania umów bez ich późniejszej ratyfikacji przez rząd sowiecki.

Podpisana umowa nie obejmowała Roppa i Muckermana; na temat pierwszego trwały rozmowy między Stolicą Apostolską a rządem polskim, drugi był obywatelem niemieckim. Na ich temat odbyła się rozmowa między Marchlewskim a Kossakowskim: „Likwidujemy zatem sprawę wszelkich więźniów i aresztowanych zupełnie radykalnie. (...) Wszyscy, z wyjątkiem – powtarza Marchlewski, a po krótkiej pauzie dorzuca – z wyjątkiem arc. Roppa (...) oraz Muckermana”¹⁰.

9 listopada podpisano umowę o wzajemnej wymianie jeńców cywilnych. Jak odnotował Kossakowski: „Prasa warszawska przyjęła wiadomość o zwolnieniu zakładników z przedziwną obojętnością, wszystkie szpalty gazet zapełniają natomiast szczegóły pożaru Teatru Rozmaitości”.

Decyzję w sprawie Radka podjął osobiście Piłsudski, wyrażając zgodę na przejazd pod eskortą z Niemiec do Polski

10. Kossakowski na posiedzeniu 9 listopada 1919 oświadczył, że arcybiskup Ropp, jako Polak z pochodzenia, korzysta z dobrodziejstwa umowy z 2 listopada i zgodnie z prawem kanonicznym może opuścić swą diecezję na czas dłuższy jedynie za zgodą Stolicy Apostolskiej; dlatego interwencje nuncjusza były niezbędne do otrzymania zgody Watykanu na wyjazd z Rosji. Muckerman zaś – według Kossakowskiego – podczas okupacji niemieckiej przeniósł się na stałe do Wilna i został tam proboszczem parafii rzymsko-katolickiej, „przeto należy go traktować jako stałego mieszkańca Wilna” (por. „J. Marchlewski w rokowaniach polsko-radzieckich w październiku-grudniu 1919 r.”, [w:] „Archiwum Ruchu Robotniczego”, t. IV, Warszawa 1977, s. 176.

pod warunkiem, że Ropp zostanie natychmiast zwolniony. Z relacji Kossakowskiego wynika, że powiadomił o tym Marchlewskiego, któremu obiecał, że po przewiezieniu arcybiskupa Roppa i księdza Muckermana, zapewni przejazd Radka przez Polskę.

10 listopada Marchlewski wyjechał do Moskwy i z trudem osiągnął zgodę na ich zwolnienie, gdyż Rada Komisarzy Ludowych zażądała uprzedniego przyjazdu Radka. Dzięki poparciu Lenina i Dzierżyńskiego, pozwolono mu na własną odpowiedzialność zdecydować w ich sprawie. Pewne szczegóły o tym przekazał w liście z 28 listopada do córki: „Miałem w Moskwie diablą orkę. Nie dosyć podpisać umowę, trzeba, żeby została wykonana jak należy, więc należało forsować. Dopiąłem swego (...) trzeba było brać za twarz różnych ludzi, by przewyciężyć gnuśność i kancelarszczyznę. Zabrałem się z temperamentem kujawskim i poszło”¹¹.

W czasie przerwy w rokowaniach Kossakowski pojechał do Warszawy. Piłsudski przyjął go wieczorem 13 listopada w sypialni i odbył z nim półtoragodzinną rozmowę. Referując rozmowy z Marchlewskim, Kossakowski użył słowa „negocjacje”. Piłsudski zareplikował, że nie negocjuje z bolszewikami, lecz mówi z nimi twardo, by ich upokorzyć i na rozmowy zgodził się „dla ratunku naszych ludzi w Rosji”. Skoro osiągnięto pozytywne wyniki, niczego więcej nie pragnie.

Po tej rozmowie Kossakowski znalazł się w rozterce. Nie podobała mu się podobna dyplomacja, gdyż Marchlewski najwyraźniej był łudzony, wprowadzany w błąd: „Przecież po usłyszaniu tych słów Piłsudskiego ani chwili by nie pozostawał na terytorium polskim. (...) Czy w rzeczywistości nic więcej od Rosji nie potrzebujemy, jak zwrotu zakładników i zabytków? A granica? A (...) pokój? – pytał zatroskany Kossakowski, kończąc swe rozważania stwierdzeniem – Zaczynam żałować wyjazdu do Warszawy”¹².

Marchlewski wrócił do Mikaszewicz 21 listopada z arcy-

11. J. Marchlewski, „Listy do żony i córki”, Warszawa, 1973, s. 266.

12. APAN w Warszawie, „Diariusz M.S. Kossakowskiego”, t. 4, cz. 2, s. 200, 201, 204.

biskupem Roppem, Danglem, Muckermanem i Marią Kossakowską (ostatnią dwójkę zabrał ze Smoleńska). Marię Kossakowską przywiózł Marchlewski z własnej inicjatywy, czyniąc gest uprzejmości wobec delegata polskiego.

Rokowania w Mikaszewiczach przywróciły wolność Muckermanowi. Podczas I wojny światowej jako kapelan wojskowy przybył z armią niemiecką do Wilna, gdzie nawiązał bliskie stosunki z Polakami i Litwinami. W styczniu 1919 r. założył Ligę Robotniczą, która po miesiącu liczyła 20 tys. członków. Aresztowanego w Wilnie, przewieziono do Smoleńska. Jak odnotował Kossakowski w diariuszu: „Przysłano mi z Wilna adres Ligi Robotniczej z 5500 podpisami, żądają od rządu polskiego, aby uzyskać najrychlejsze oswobodzenie ks. Muckermana”.

Marchlewski, wioząc go z niewoli, tak napisał o nim do córki: „Wspaniały typ: zdolny, mądry, zręczny. Gawędziliśmy ze sobą dużo i ciekawie – i dalej zauważył. – Żałowałem, że Ciebie już nie było, byłabyś pewnie zachwycona nim”. Pisał też, że Ropp zapewniał w Rzymie, dokąd jedzie; „będzie działał w kierunku pokoju. Komunizm nie przeraża go bynajmniej: Kościół może się zgodzić i z tą formą. Rozumie on, że objawy gwałtu, które są, są nieodłącznym od przewrotu głębokim zjawiskiem, lecz zjawiskiem przejściowym. (...) dla niego zwycięstwo reakcji nie może być pożądane”. Pisał dalej o Roppie i Muckermanie: „A kapitalne to: ja ich wiozę z niewoli srogiej, a oni mają kłopot jeden: w jaki sposób mogą wrócić do Rosji sowieckiej! Roppowi obiecałem to urządzić”¹³.

Muckerman wspominał o związkach z Wilnem i kościołem Św. Kazimierza: „Gdy wojska niemieckie opuściły miasto, wyjednałem pozwolenie ówczesnych władz, przywróciłem ten kościół kultowi katolickiemu i pozostawałem w nim, by spełniać obowiązki kapłańskie”¹⁴.

Po tej dygresji wskazać należy, że Kossakowski przedłożył kilka wariantów zorganizowania „tranzytu” Radka. Według

13. J. Marchlewski, „Listy...”, s. 265.

14. F. Muckerman, „Wspomnienia z niewoli bolszewickiej”. Wilno 1922, s. 3. Autor w latach 1920-26 wydawał pismo katolickie *Der Gral*; jako przeciwnik narodowego socjalizmu w 1933 r. emigrował do Holandii; w 1945 r. napisał książkę o W. Sołowiowie.

niego rozwiązanie sprawy mogły ułatwić: list Marchlewskiego do „adwokata” Radka w Berlinie, list arcybiskupa Roppa do wicekanclerza Niemiec i wybitnego działacza katolickiego Erzbergera oraz propozycja osobistej inicjatywy Muckermana w Berlinie. „W każdym wypadku – napisał w diariuszu 23 listopada – inicjatywa nie od rządu polskiego pochodzić będzie”.

W Warszawie Muckerman spotkał się z Piłsudskim i uzgodnił z nim, że w Berlinie na własną rękę uzyska zwolnienie Radka. „Od zakonnika-jezuity, uwolnionego z więzienia wespół z arcybiskupem wileńskim Roppem – pisał Radek – otrzymałem wiadomość, że między Piłsudskim a nami zawarta została tajna umowa, zgodnie z którą Polska przyrzekła, że mnie przepuści. A Niemcy nie uwierzyli w to, dopóki nie nadszedł odpowiedni telegram z Warszawy”¹⁵.

Wypuszczony z więzienia Radek wyjechał z Niemiec do Rosji. „Polacy, nie pytając nikogo o pozwolenie, zajęchali specjalnym pociągiem wprost na stację niemiecką – wspominał Radek – aż do Białegostoku pociąg konwojował szef wywiadu, pepeesowiec, kapitan Boerner.”

Ignacy Boerner, komendant Milicji Ludowej w latach 1918-1919 cieszył się szczególnym zaufaniem Piłsudskiego i powierzenie mu tej misji oznaczało, że Naczelnik Państwa uznał to za wydarzenie rangi państwowej. Podkreślił to por. Jasiński (w Białymstoku przejął od Boernera opiekę nad Radkiem) stwierdzeniem, że przed Piłsudskim odpowiada za niego głową.

Po przekroczeniu granicy Radek niebawem pojawił się w Moskwie, gdzie na Kremlu złożył relację o sytuacji w Polsce. Marchlewski skwitował jego powrót lakonicznie: „Radek przyjechał. Ciupa dobrze na niego podziałała: Uważam, że bardzo dobrze dojrzał umysłowo, tylko maniery kawiarniane pozostały”¹⁶.

Za pomoc przy uwolnieniu arcybiskupa Roppa, Kossakowski otrzymał za pośrednictwem Rattiego podziękowanie Stolicy Apostolskiej i tym miłym akcentem zakończył swą misję humanitarną.

15. K. Radek, „Kartka ze wspomnień”. *Miesięcznik Literacki* 1966 r., nr 3.

16. J. Marchlewski, „Listy...”, s. 291.

Przypadł mu jeszcze nieprzyjemny obowiązek powiadomienia Marchlewskiego, że wobec nowych okoliczności Boerner do Mikaszewicz nie przyjedzie i nic nie stoi na przeszkodzie, aby delegacje natychmiast się rozjechały.

Po zamknięciu epizodu mikaszewickiego, z końcem stycznia 1920 r. Rosja Sowiecka wystosowała na ręce Naczelnika Państwa notę pokojową, podpisaną przez Lenina, Cziczeryna i Trockiego. Propozycja ta była kłopotliwa dla Piłsudskiego, krzyżowała bowiem plan rozbicia i rozczłonkowania Rosji.

Zastanawiając się, czy nota była szczerą, co wykaże historia, Maciej Rataj napisał w pamiętnikach opierając się na źródłach sowieckich: „Osobiście uważałem i uważam ówczesne propozycje rządu Sowietów za szczerze w tym znaczeniu, iż bolszewicy naprawdę chcieli na ową chwilę pokoju, bo go potrzebowali dla umocnienia się wewnętrznego”¹⁷.

Stanęły wówczas naprzeciwko siebie Rosja Sowiecka i Polska, dwa światy – świat socjalistyczny i świat kapitalistyczny, i jest rzeczą najzupełniej zrozumiałą, że dzieliła je wzajemna głęboka nieufność.

Następny krok uczyniła Polska, która zapowiedziała przez ministra Patka rokowania w Borysowie na 10 kwietnia 1920 r. przy wstrzymaniu akcji bojowej na tym odcinku. Do rokowań nie doszło, gdyż rząd sowiecki odrzucił ten warunek, proponując zawieszenie broni na całym froncie i wyboru miejscowości rokowań poza obszarem działań wojennych.

Żadna ze stron nie zrezygnowała ze swego stanowiska i rozpoczął się krwawy konflikt. Wybuchła bez wypowiedzenia wojna polsko-sowiecka; 8 maja 1920 r. wojska polskie wkroczyły do Kijowa. W tym samym czasie Lednicki pisał, że: „Polska może doskonale z Rosją współdziałać, nie tylko wykluczona jest walka na śmierć i życie między nimi, ale możliwy jest, jako wynik konsekwentnej polityki, sojusz polsko-rosyjski przeciwko Niemcom zwrócony, od których niebezpieczeństwo nie przestanie nam grozić zarówno w bliższej, jak i dalszej przyszłości”¹⁸.

Podobne stanowisko zajął polityk sowiecki, Cziczeryn, któ-

17. M. Rataj, „Pamiętniki”. Warszawa 1965, s. 78.

18. A. Lednicki, „Nasza polityka wschodnia”. Warszawa 1922, s. 9.

ry w owych dniach napisał: „Wszystkie kwestie sporne i sprzeczności między dwiema republikami mogą być z powodzeniem ku obustronnej korzyści rozstrzygnięte pokojowo i przyjaźnie”¹⁹.

Traktat ryski podpisany 18 marca 1921 r. doprowadził do normalizacji stosunków polsko-sowieckich. Polska uzyskała uznanie swych granic na wschodzie. Odbudowanie państwa polskiego stało się historycznym faktem.

Niepodległość Polski stała się możliwa dzięki międzynarodowej rewolucji, w którą Piłsudski nie wierzył – stwierdzał Radek. „Ale wyciągnąć konsekwencje z wyzwolenia Polski mógł tylko Piłsudski – napisał w momencie jego zgonu, i dodał – pragniemy, by chowając Marszałka Piłsudskiego, społeczeństwo polskie pochowało nieufność do ZSSR”²⁰.

Zenowiusz PONARSKI

19. „Czerwona Księga. Zbiór dokumentów dyplomatycznych dotyczących rosyjsko-polskich stosunków od 1918 do 1920 r.”, Moskwa 1920, s. 8.

20. K. Radek, „Portrety i pamflety”, t. II, Warszawa 1936, s. VI, X.

Jan SZYMAŃSKI

POLSKO-UKRAIŃSKI BATALION SIŁ POKOJOWYCH ONZ

Pokłosiem zintensyfikowanych wizyt wzajemnych i spotkań roboczych stała się myśl utworzenia wspólnej jednostki wojskowej. Decyzję o utworzeniu batalionu o charakterze mieszanym podjęli ministrowie obrony Polski i Ukrainy 5 października 1995 roku podczas spotkania w Solinie.

Sprawy dotyczące formowania batalionu – z uwzględnieniem zadań w ramach realizacji ewentualnych misji pokojo-

wych pod egidą Organizacji Narodów Zjednoczonych – uzgodniono podczas kolejnych spotkań roboczych przedstawicieli dowództw, Krakowskiego OW i Przykarpackiego OW. W końcu opracowane zostały formalno-prawne podstawy tworzenia wspólnego batalionu.

Zasadniczymi dokumentami normującymi proces powstawania wspólnej jednostki wojskowej jest decyzja ministra obrony narodowej RP Nr 119/MON z 23.07.1996 r. i Rozkaz Szefa Sztabu Generalnego WP Nr 289/Sztab Gen. WP z 9.12.1996 r. w sprawie przygotowania warunków do sformowania polsko-ukraińskiego batalionu. Krakowski Okręg Wojskowy otrzymał zadanie wydzielenia pododdziałów dla batalionu i osiągnięcie przez nie gotowości do szkolenia zgrywającego do 1.01.1997 r. i gotowości do działania w składzie wspólnej jednostki do 30.06.1997 r. Na podstawie w/w dokumentów opracowany został „Harmonogram przedsięwzięć...”, projekt struktury organizacyjnej i etat batalionu oraz zarządzenie organizacyjno-przygotowawcze dowódcy Krakowskiego OW. Realizację zadań rozpoczęto od wydzielenia batalionu zmechanizowanego z 14 Brygady Pancernej w Przemyśle.

Tworzenie podstaw formalno-prawnych nie przerwało kontaktów przedstawicieli przygranicznych okręgów wojskowych, związków taktycznych i jednostek wojskowych, wręcz je zintensyfikowało. W 1996 r. pluton jednej z jednostek 14 Brygady Pancernej uczestniczył w ćwiczeniach pod kryptonimem „Tarcza Pokoju '96”. W tym samym roku w ćwiczeniu Krakowskiego Okręgu Wojskowego „Tatry '96” na poligonie w Nowej Dębie wzięła udział kompania ukraińska z załączków wspólnego batalionu. W 1997 r. pododdziały 6 Brygady Desantowo-Szturmowej (dwie kompanie szturmowe) uczestniczyły w ćwiczeniu międzynarodowym (z desantowaniem) na Ukrainie pod kryptonimem „Kozacki Step '97”.

W ramach realizacji porozumień po stronie ukraińskiej określono sposób szkolenia tworzonej wspólnej jednostki wojskowej. Według ustaleń – zaakceptowanych przez stronę polską – miało być prowadzone na przemian w Polsce i na Ukrainie – (w systemie 1-2 razy w roku). Do wspólnego szkolenia wydzielono batalion zmechanizowany z 24. „Żelaznej” dywizji Zmechanizowanej w Jaworowie.

Dowódcami 1. Mieszanego Polsko-Ukraińskiego Batalionu zostali: ze strony polskiej – ppłk Bogdan Tworkowski i ze strony ukraińskiej – mjr Włodimir Skhurat.

W 1998 r. nasiliły się wzajemne kontakty polsko-ukraińskie. Szczególnie dało się to zauważyć po spotkaniach przedstawicieli przygranicznych dowództw okręgów z Krakowa i Lwowa oraz związków taktycznych z Przemyśla i Jaworowa. W marcu przybyła do dowództwa KOW w Krakowie delegacja ukraińska z gen. płk. Piotrem Szuliakiem, dowódcą Zachodniego Dowództwa na czele. W czasie rozmów z gen. dyw. Zenonem Brykiem, dowódcą Krakowskiego Okręgu Wojskowego, uzgodniony został plan współpracy szkoleniowej tworzonej wspólnej jednostki.

Kolejny przejaw zacieśniającej się współpracy, to szkolenie oficerów obu części sztabu batalionu, które przeprowadzone zostało w kwietniu 1998 r. w oparciu o bazę szkoleniową 14 Brygady Pancernej w Przemyśle.

Ich uzupełnieniem była realizacja tzw. szkolenia wymiennego pododdziałów (na szczeblu plutonu). Najpierw pluton z 3. Brygady Zmechanizowanej z Lublina przebywał w 51. Ukraińskiej Dywizji Zmechanizowanej (w jej ośrodku szkoleniowym we Włodzimierzu Wołyńskim), a następnie w 3. Brygadzie Zmechanizowanej w Lublinie szkolił się pluton z ukraińskiej 51. Dywizji Zmechanizowanej. Dopełnieniem tej wymiany było uczestnictwo pododdziału z 6. Brygady Desantowo-Szturmowej i batalionu polsko-ukraińskiego w dwóch ćwiczeniach na terenie Wielkiej Brytanii.

Intensywne szkolenie zwięźczyło uczestnictwo sztabu batalionu oraz kompanii z części tzw. komponentu polskiego w międzynarodowym ćwiczeniu na ukraińskim poligonie w Jaworowie pod kryptonimem „Tarcza Pokoju ‘98”.

Tam też ministrowie obrony Polski i Ukrainy uznali, iż stworzona wspólna jednostka wojskowa osiągnęła zakładany poziom wyszkolenia, zgrania we wspólnych działaniach oraz, że nadszedł czas, aby ją dowartościować poprzez nadanie i wręczenie Honorowego Znaku – Sztandaru (byłem autorem jego projektu). Stało się to 18 września 1998 r.

ppłk Jan SZYMAŃSKI

POSTĘPOWA ORGANIZACJA POLSKA POP

Stosunkowo nieliczne zachowały się wspomnienia ludzi więzionych w okresie stalinowskim. Podobnie jest z organizowanym ruchem oporu przeciwko panującemu wówczas terrorowi. Większe zgrupowania, zwłaszcza Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość” (WiN), mające rozgałęzienia w skali ogólnokrajowej, są już dość dokładnie opracowane. Dużo gorzej jest natomiast z małymi gronami kilku lub kilkunastu osób, które nie mogąc pogodzić się z bezczynnością wobec otaczającej ich rzeczywistości, postanowiły działać w wąskim zakresie, niezbyt nawet wiedząc, co i jak robić. Pomimo bardzo ograniczonej ich działalności, nie mniej brutalnie byli represjonowani przez władze bezpieczeństwa, a dzisiaj są przeważnie całkowicie zapomniani. Niewielu ich jeszcze żyje i niewiele też zachowało się na ten temat dokumentacji, a jeżeli – to przeważnie są to akta sądowe ówczesnego wymiaru „sprawiedliwości”, które mimo wszystko ułatwiają odtworzenie losu ofiar komunistycznego reżimu.

Redakcja *Kultury* otrzymała ostatnio od p. Marzeny Walickiej materiał dotyczący jej ojca Zygmunta Balickiego, który wyrokiem „Wojskowego Sądu Rzeczypospolitej Ludowej” z dnia 9 sierpnia 1952, został skazany na 15 lat więzienia. W uzasadnieniu wyroku jest mowa, że Zygmunt Balicki nawiązał w Warszawie bliższy kontakt z Zygfrydem Kęszyckim i obaj postanowili zorganizować nielegalną organizację, m.in. spośród byłych członków Polskiej Partii Socjalistycznej, Stronnictwa Demokratycznego i Stronnictwa Pracy. Latem 1951 roku mieli zwerbować (warto odnotować wymienione tam nazwiska): Witolda Skórzewskiego, Henryka Cwila, Witolda Cenniuka, Stanisława Podrygałę i Józefa Wolickiego *vel* Wężyka. W tym samym czasie, bez podania dokładnej daty, na zebraniu w domu Z. Kęszyckiego, przy ulicy Żurawiej w Warszawie, znajdujący się tam członkowie tego grona złożyli przysięgę konspiracyjną, według tekstu, jaki przygotował Z. Balicki, który podał też wtedy nazwę organizacji, dając jej miano „Postępowa Organizacja Polska” (POP). Brak jest niestety bliższych danych o POP i wymienione wyżej nazwiska ułatwią może znalezienie jakiegoś po niej śladu. Dotychczas wiadomo jedynie, że za utworzenie POP-u, Zygmunt Balicki i Zygfryd Kęszycki zostali

skazani na 15 lat więzienia. W uzasadnieniu wyroku jest również zaznaczone, że w dniu 11 stycznia 1952 roku, w mieszkaniu łączniczki AK (bez podania nazwiska), na ulicy Smolnej w Warszawie, odbyło się zebranie, na którym byli obecni i gdzie zostali aresztowani: Z. Balicki, W. Skórzewski, J. Wolicki, S. Podrygało. Tego samego dnia aresztowano również we własnym mieszkaniu Z. Kęszyckiego.

W aktach sądowych znajduje się też obszerny list (14 stron *recto-verso*) z maja 1956 ręcznie napisany przez Balickiego z więzienia we Wronkach. List ten był skierowany do Prokuratury Generalnej PRL w Warszawie, z zażaleniem i z prośbą o rozpatrzenie procesu i niesłusznie wydanego wyroku. Jest to wartościowy dokument, gdzie Autor w ostrych słowach pisał o metodach łamania charakterów podczas śledztwa (metody te są dziś znane, ale każdy przeważnie autor, jak w tym wypadku, wnosi nowe elementy i własny ból tego, co przeżywał). W zakończeniu listu do prokuratora Balicki pisał: „Nie chciałbym jako człowiek czynny, społeczny, stać z założonymi rękami i patrzeć zza kurtyny z krat, nie za upływającym życiem, bo ono ma swój kres, ale za upływającą możliwością dania swemu krajowi tego wszystkiego, co człowiekowi czującemu i kochającemu Ojczyznę jest najlepszym – to jest dowodu miłości w postaci pożytecznej pracy dla dobra Polski Ludowej”.

Nawiązując do wyżej przytoczonego paragrafu, córka Zygmunta Balickiego, p. Marzena, z męża Walicka, w liście załączonym do przysłanego materiału sprawy ojca napisała: „W dzisiejszej Polsce pełnej oszołomskich wrzasko-pisków może warto byłoby te słowa przypomnieć”. Nie ulega wątpliwości, że warto przypomnieć i pamiętać o cierpieniach niewinnie więzionych ludzi. Żeby jednak cierpienia te nie poszły na marne, trzeba przede wszystkim ocalić od zapomnienia to, co było i wyjaśnić dlaczego, z myślą żeby się nie powtórzyło. Jest to zwłaszcza zadanie dla Instytutu Pamięci Narodowej, który może wreszcie ukonstytuuje się i zabezpieczy coraz trudniejszą do odnalezienia źródłową dokumentację.

Opracował Tadeusz WYRWA

ANGIELSKI PARASOL

Co to jest angielskie *fair play*? Najnowszy słownik angielsko-polski (i polsko-angielski) wydany przez znaną angielską firmę wydawniczą Collins, pod redakcją prof. Jacka Fisiaka, mówi: „uczciwy, sprawiedliwy, honorowy”. Słownik Języka Polskiego Państwowego Wydawnictwa Naukowego podaje: „lojalne przestrzeganie obowiązujących reguł”, albo: „gra, walka *fair-play*, zgodna z zasadami, uczciwa, honorowa, lojalna”. Jan Stanisławski, w swoim „Wielkim Słowniku Polsko-Angielskim i Angielsko-Polskim”, dodaje określenie „szlachetnie”. Wszyscy trzej leksykolodzy mają rację i wiedzą o co chodzi. Pominęli jednak specyficzną strukturę potocznej mowy angielskiej. A także umownego traktowania słów i określeń, tzw. *idioms*. Nie „styl” jak tłumaczy prof. Fisiak, ani „wyraz swoistej właściwości danego języka”, jak chce PWN, ani „dialekt” jak proponuje Stanisławski, ale umowny skrót myślowy, czasem po prostu przysłowie, a kiedy indziej powszechnie używany slogan, hasło, czy znak rozpoznawczy ludzi mówiących o tym samym, który skutecznie skraca długie wyjaśnienia. Angielski język bardzo lubi skróty, uproszczenia i *nicknames*, czyli przezwiska. Jeśli *fair-play* uznamy za idiom, jego umowne znaczenie jest najbliższe: „równe szanse dla wszystkich”. A dopiero potem wchodzi w grę wszystkie przymiotniki jak wyżej wymienione.

Myślę, że te właśnie „równe szanse” miał na myśli i na względzie *Group Captain*, (po polsku pułkownik) *Royal Air Force*, zasłużony zawodowy pilot wojskowy, który po wojnie prowadził w Dowództwie Lotnictwa na Kingsway w Londynie biuro umieszczania zdemobilizowanych oficerów lotnictwa w zawodach cywilnych. Miał on dobrze wyrobione poczucie *fair play*: uważał że przyznać należy równe szanse powrotu wszystkim, którzy wyszli z wojny. Pamiętam go dobrze, bo od niego zaczęła się moja kariera w londyńskiej City. Był chudy, wysoki, łysiejący, a na górnych wargach nosił czarne, podkreścone wąsy, dobrze wysmarowane jakąś błyszczącą pomadą. Nie byliśmy sobie obcy. Poznałem go jakieś parę lat przedtem w zupełnie innych okolicznościach jako dorywczy tłumacz *War Office*. Płk

Trott w tym czasie zmienił funkcję, pewnie przygotowując się do emerytury. Wiedział jak znalazłem się w jego biurze i wiedział w jakim celu. Wiedział też o mnie prawie wszystko. Miał nawet moją fotografię. Nie miał natomiast pojęcia o tym co ja potrafię robić w cywilnym angielskim życiu. Ja też nie bardzo. Zgodnie postanowiliśmy zacząć od języka francuskiego, którym posługiwałem się z łatwością od dziecka. Trott wydał mi się zadowolony, bo znalazł pierwsze zaczepienie. Z nieukrywaną radością chwycił za telefon. *Old boys network!* – krzyknął, („siatka starych przyjaciół”), na początek. Znaczyło to siatka *Royal Air Force* już w cywilu. Pierwszy telefon do *Legal and General Assurance*, wielkiej kompanii asekuracyjnej w City. Drugi telefon do innej kompanii asekuracyjnej *The Victory Insurance Company Ltd.* W godzinę potem byłem już na pierwszym spotkaniu obok dowództwa na Fleet Street (słynnej ulicy prasy). Okazało się, że na Fleet Street miała kiedyś swoje biura dyrekcja zagraniczna *Legal and General Assurance*. Przyjął mnie szef sekcji krajów mówiących po francusku, ex-major pilot RAF. Był rok 1952. Otwierała się Europa. Kompania ta miała biura we Francji i w Belgii, właśnie powracające do normalnego życia. Ofiarowano mi początkową posadę za £400 rocznie. Podziękowałem za ofertę i za czas do namysłu według wskazówek mego mentora Trotta. Pobieglem na drugie spotkanie na King William Street w samym środku City, koło London Bridge. Okazało się że ta kompania specjalizuje się w reasekuracji. Nie miałem pojęcia co to jest. Przyjął mnie jeden z dyrektorów, ziemny tym razem, oficer RAF, były wojenny szef kontroli lotów (*Flying Control*) w Indiach. Jego pierwsze pytanie było łatwe „Co wiesz o asekuracji?... „Nic!” Bałem się że drugie może być nieco trudniejsze, ale dyrektor mówił dalej... „My tu zajmujemy się reasekuracją, brytyjską i zagraniczną, choć biura mamy tylko w Londynie. Za granicą mamy korespondentów. Twój francuski może się przydać”... I zaraz potem dodał... „O reasekuracji pewnie też wiesz niewiele”... Szybko wybawiłem i jego, i siebie z kłopotu mówiąc „Nic!”. Dyrektor zamyślił się przez chwilę i z uśmiechem poinformował mnie o tym że od paru tygodni pracuje tu polski pilot myśliwski z 303 Dywizjonu. „Zaraz go tu poproszę”, powiedział. Parę słów do telefonu i za chwilę zjawił się jak się okazało por. pilot Zbigniew Żmigrodzki (zmarł po ataku serca we wczesnych latach osiemdziesiątych), który dotarł tu pewnie podobną drogą. Dyrektor zostawił nas na parę chwil rozmowy po polsku. Kiedy wrócił, Żmigrodzki wyszedł z pokoju. Dyrektor zapytał kiedy mógłbym

zacząć pracę. Powiedziałem „jutro”. Zaśmiał się. „Świetnie, ale w poniedziałek. My lubimy wszystko zaczynać od poniedziałku. Możemy ci ofiarować na początek £450 rocznie i 10% bonusu na Boże Narodzenie”... Zgodziłem się natychmiast. Tak w jeden dzień miały miejsce trzy spotkania które zadecydowały o moim życiu pod angielskim parasolem. Trott jeszcze był w biurze. Wyszliśmy razem na Kingsway. W najbliższym „pubie” piliśmy whisky. On, zamyślony niedługim rozstaniem z RAF'em, ja, przejęty i w napięciu przed nowym etapem życia. Była połowa lutego 1952 roku. Dla mnie czas najwyższy. Sześć miesięcy później, 11 lipca, urodził się mój pierwszy syn Krzysztof.

Anglosaski system profesjonalnej edukacji działa na zasadzie nieobarczania petenta zbyt dużym ciężarem zawodowej wiedzy. Pozwala mu na swobodę w znalezieniu własnej drogi do celu. Czas szukania pozostawia uczniowi. Dano mi krótkie i zwięzłe wprowadzenie, biurko i plik drukowanych na maszynie i powielonych tekstów razem z jedyną, jak mnie poinformowano, istniejącą książką o reasekuracji. Trzeba dodać że system reasekuracji wynaleźli Anglicy po pierwszej wojnie światowej, kiedy międzynarodowy rynek asekuracyjny, przez nich tradycyjnie prowadzony, zmusił ich do tego. Znowu ta koncentracja kapitału. Chodziło o to, żeby wielkie, a nawet mniejsze ryzyka jak najszerzej rozprzestrzenić wśród brytyjskich i zagranicznych instytucji. Kontrola ryzyka i większych katastrof nie podrywała wtedy kapitałów, redukując jednocześnie koszty wyrządzonych szkód. Moim pierwszym zadaniem było właśnie sporządzanie statystyk szkód i wynikających z nich strat. Statystyki te polegały na utrzymaniu ich w logicznym porządku. Najdawniejsze były na początku listy, a więc najpilniejsze. Na końcu listy – najnowsze. Logika ta, najprostsza na świecie, wymagała płacenia strat zaczynając od początku listy, która nigdy się nie kończyła i dawała czas na dokładne zbadanie wszystkich okoliczności każdej straty nim za nią zapłacono. O tym jak moja lista pracowała w praktyce przekonałem się już w rok potem. Oto na wiosnę 1953 roku poważna katastrofa powodzi dotknęła wschodnie wybrzeże wyspy. Morze Północne wybuchło od Wschodu a na lądzie wylały rzeki. Sztorm szalał dobrych parę dni. Straty były wielkie. Ale straty te były na szarym końcu listy przez pięć lat czekając na obliczenie i zbadanie co się komu należy. Kiedy w końcu strata ta doszła do szczytu listy nie byłem już za nią odpowiedzialny od trzech lat. Po paru awansach byłem odpowiedzialny za sprawy zagraniczne: kraje posługujące się językiem francuskim. Z miesiąca na miesiąc czekałem na moż-

liwość wyjazdu do Francji czy Belgii. To był głównie mój teren działania. Ale na służbowe wyjazdy musiałem jeszcze poczekać.

Jeśli miałem wątpliwości co do „równych szans”, rozwiały się one szybko. Anglosaski system profesjonalnej zaprawy do realnej pracy pozostawiał wiele wolności. Zasadą była obserwacja innych. Z niej należało wyciągać co się da i odrzucać to co dało się ulepszyć. To był kapitał początkowy do własnego użytku. Szybka orientacja wskazała oszczędność w zadawaniu pytań. Anglicy nie bardzo lubią odpowiadać na pytania kiedy nie wystarcza odpowiedź „tak” albo „nie”. Gdy rozplývają się w wyjaśnieniach, przeważnie nie znają odpowiedzi. Szukając siebie, obcokrajowca, w tym nowym i nieznanym świecie, długo nie znajdowałem w nim nic bliskiego w porównaniu z tym co było przedtem. Zimowa londyńska mgła kazała iść przed siebie nie patrząc na boki ani w tył. Wieczorem wracałem do domu myśląc o jutrze tak jak się myśli o wizycie u dentysty. Powoli, każdy nowy dzień, każde jutro nabierało fascynacji nowości. Rozpoznawałem nowy świat, nowych ludzi i nowe elementy współżycia z nimi. I tak było przez wiele lat. W ciągu tych lat jeśli nie połączył nas absolutnie język, połączyło nas w całości uczucie respektu dla indywidualnej swobody poruszania się w tym świecie niegdyś potęgi, w latach pięćdziesiątych już u jej schyłku.

Krzysztof MUSZKOWSKI

Fragment większej całości

Adrian TYSZKIEWICZ

NIEZNANE LISTY HENRYKA SIENKIEWICZA DO ADAMA STEFANA SAPIEHY

„Sienkiewicza znałem blisko, żyłem z nim w stosunkach przyjacielskich, miałem cześć nie tylko dla jego talentu i wysokiej kultury umysłowej, ale i dla jego gorącego patriotyzmu.

tyzmu i tego mocnego polskiego sposobu reagowania na nasze sprawy, jakim się odznaczał. Liczyłem też wiele na rolę, jaką w tej historycznej chwili¹ odegra. Niestety, odmówił on jakiegokolwiek zaimanifestowania swojego politycznego stanowiska wobec wojny. (...) Stanął na czele komitetu pomocy dla ofiar wojny w Polsce, z siedzibą w Vevey, i w tej pracy wyłącznie się zamknął.”² W takich oto słowach Roman Dmowski w jednej ze swoich publikacji wspomina osobę Henryka Sienkiewicza, kreśląc jednocześnie bardzo wyrazisty portret pisarza. Z przytoczonej tu opinii jasno wynika, że laureat Nagrody Nobla stronił i unikał zaangażowania w działalność polityczną po którejkolwiek ze stron w ówczesnej polityce polskiej. Wydaje się, że miał on dar i umiejętność spoglądania na sprawy narodu i państwa z dystansu. Dlatego też Sienkiewicz uznał kwestię pomocy humanitarnej dla ludności polskiej wszystkich zaborów za sprawę pierwszorzędnej wagi. Zachowując polityczną neutralność mógł spodziewać się życzliwości z wielu stron, co byłoby raczej niemożliwe w przypadku jasnej deklaracji sympatii bądź przynależności do danego obozu czy orientacji politycznej.

Henryk Sienkiewicz przybył do Szwajcarii 4 października 1915 roku. Osiadł w miejscowości Vevey nad Jeziorem Genewskim w kantonie Vaud³. Opuścił on swoją posiadłość w Oblęgorku, gdyż nie chciał być przedmiotem zakusów i manipulacji politycznej różnych grup, czego doświadczył był w sierpniu 1915 roku, kiedy to kilka osób, z Michałem Sokolnickim na czele, złożyło pisarzowi propozycję przystąpienia do planowanej akcji przeciw Niemcom i Austro-Węgrom⁴. Podczas pobytu w Szwajcarii był jednym z organizatorów utworzonego w dniu 9 stycznia 1915 roku w Lo-

1. Mowa tu o okresie I wojny światowej, który dla wielu Polaków był czasem wielkiej nadziei związanej z odzyskaniem niepodległości.

2. R. Dmowski, „Polityka polska i odbudowanie państwa”, Warszawa 1989, t. I, s. 234-235.

3. W tym samym kantonie, w miejscowości Riond-Bosson pod Morges znajdowała się posiadłość Ignacego Paderewskiego, która stanowiła niezwykle prężny ośrodek polskiego życia politycznego.

4. R. Dmowski, „Polityka Polska...”, *op. cit.*, s. 234.

zanie z inicjatywy Erazma Piltza⁵, Komitetu Generalnego Pomocy Ofiarom Wojny w Polsce. 19 stycznia tegoż roku Sienkiewicz wraz z Ignacym Paderewskim uzyskał w czasie audiencji u prezydenta Szwajcarii Giuseppe Motty⁶ formalną zgodę na prowadzenie działalności filantropijnej. Od tego momentu Komitet rozpoczął w pełni legalny i oficjalny byt. Prezesem został Sienkiewicz, Paderewski piastował stanowisko wiceprezesa, natomiast na czele Komisji Wykonawczej postawiono Antoniego Osuchowskiego⁷. Pierwszoplanową postacią w Komitecie był Sienkiewicz, co znalazło swój wyraz w używanej potocznie nazwie „Komitet Veveyski” (bądź „Komitet z Vevey”) sugerującej, iż głównym ośrodkiem akcji humanitarnej – i tak było w rzeczywistości – jest miejsce pobytu prezesa organizacji. Ignacy Paderewski zajmował się głównie zbiórką funduszy na bieżącą działalność, wykorzystując swoje rozległe znajomości i powiązania towarzyskie w krajach Europy Zachodniej, a głównie w Stanach Zjednoczonych, gdzie przebywał od kwietnia 1915 do listopada roku 1918.

Od początku aktywności Komitet szwajcarski nawiązał ściśle stosunki i zakrojoną na szeroką skalę współpracę z powstałym w Krakowie z inicjatywy księcia biskupa Adama Stefana Sapiehy Książęco-Biskupim Komiteciem⁸. Obie powyższe organizacje powstały niemal równolegle, przyjmując zbieżny, prawie identyczny odnośnie głównych celów i założeń program działania. Paradoksalnym może wydawać się tu fakt, że były to inicjatywy podjęte zupełnie niezależnie od siebie. Komitet Veveyski w bardzo wydatnym stopniu wspomógł

5. Erazm Piltz (1851-1929), konserwatywny działacz polityczny i publicysta, jeden z przywódców Stronnictwa Polityki Realnej, m.in. prezes Centralnej Agencji Polskiej w Lozannie, współzałożyciel Komitetu Narodowego Polskiego i delegat na konferencję pokojową w Paryżu.

6. Giuseppe Motta (1871-1940), konserwatysta, członek Partii Konserwatywno-Katolickiej, wielokrotny minister, w latach 1915-1937 pięciokrotnie piastował urząd prezydenta Szwajcarii.

7. Antoni Osuchowski (1848-1928), prawnik, działacz społeczny i oświatowy, publicysta, m.in. założyciel Towarzystwa Opieki Kulturalnej nad Polakami Zagranicą im. Adama Mickiewicza.

8. Pełna nazwa organizacji brzmiała Krakowski Biskupi Komitet Pomocy dla Dotkniętych Klęską Wojny, powszechnie zwano ją Książęco-Biskupim Komiteciem, w skrócie KBK.

działania Sapiehy – był swoistym centrum finansowym, przez który przepływały środki kierowane do Krakowa z zagranicy. Dzięki wysiłkom Sienkiewicza i innych działaczy, Komitet Biskupi mógł na przykład otrzymać datki pieniężne pochodzące z wielkiej akcji składkowej przeprowadzonej 21 sierpnia 1915 w parafiach katolickich całego świata – część zebranej sumy (blisko 2 miliony franków szwajcarskich) wpłynęła na konto Komitetu z Vevey, który przekazał ją do właściwego adresata. Mimo iż pomysł akcji nie wyszedł ze Szwajcarii – była to inicjatywa biskupa Sapiehy, na którą uzyskano zgodę i błogosławieństwo papieża Benedykta XV – to udział Komitetu Generalnego okazał się niezbędny. Za sprawą starań Paderewskiego i Sienkiewicza, oprócz nieustających darowizn pieniężnych, wysyłano do kraju także wiele darów materialnych, na przykład: transporty mleka skondensowanego, mąki, tłuszczów i odzieży o łącznej wartości 230.618 koron austriackich⁹.

Henryk Sienkiewicz pełnił urząd prezesa Komitetu Generalnego nieprzerwanie do swojej śmierci w 1916 roku. Nie przeszkodziła mu w tym postępująca choroba i co się z tym wiąże utrata sił. Do ostatnich chwil swojego życia pracował na rzecz Polski i Polaków. Dla zamieszczonych poniżej listów¹⁰ Sienkiewicza do A.S. Sapiehy charakterystyczna jest wielka troska o los mieszkańców ziem polskich i równie wielka nadzieja na zorganizowanie rychłej dla nich pomocy. Autor korespondencji zdawał się pokładać także ogromną ufność w osobę i zabiegi Paderewskiego, który podjął akcję o charakterze kwesty w Stanach Zjednoczonych. Wiara Sienkiewicza w pomyślność i sukces podjętego dzieła była tak duża, że nie zachwiały jej nawet częste kłopoty z zebraniem wystarczających środków oraz mizerne efekty współpracy z takimi organizacjami jak Amerykański Komitet Pomocy Polsce¹¹. Wszystkie te niedogodności podkreślają skalę trudności

9. J. Wolny (red.), „Księga Sapieżyńska”, Kraków 1982, t. I, s. 271.

10. Wszystkie te listy znajdują się w Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie, w tzw. Tekach Sapieżyńskich – zbiorach dokumentów dotyczących życia i działalności metropolity krakowskiego.

11. Popularnie zwany Komitetem Rockefellera bądź K. Rockefellerowskim. Powstał on w maju 1915 roku, o czym poinformował

zadań, jakich podjęli się członkowie Komitetu Generalnego.

Komitet Veveyski w czasie swej działalności w latach 1915-1919 zebrał 19.712.881,54 fr. szw.

Adrian TYSZKIEWICZ



27 I 1915

Vevey. Grand Hotel

Ekscelencjo, Najprzewielebniejszy Księżę Biskupie,

Jak dalece konieczność pomocy dla Królestwa i Galicyi narzuciła się siłą rzeczy wszystkim Polakom, dowodem na to jest, że w chwili, w której otrzymaliśmy wspaniałą odezwę W. Ekscelencyi tworzył się w Lozannie Komitet z celem odwołania się o taką pomoc do wszystkich narodów chrześcijańskich. Na prezesa i wiceprezesa Komitetu wybrano mnie i I. Paderewskiego ponieważ nazwiska nasze znane są za granicami naszego kraju. Ośmieliliśmy [się] w liście członków z Galicyi umieścić i nazwisko W. Ekscelencyi – i umieściliśmy je na pierwszym miejscu, jako duchowego pasterza naszego narodu, obecnie zaś dołączamy gorącą prośbę o zgodę na to i przynależność do Komitetu, ze względu na jego cel i zadanie.

Siedzibą i ogniskiem prac Komitetu jest Szwajcaria, jako kraj neutralny, z którego najłatwiej się porozumiewać ze wszystkimi innymi i z trzema dzielnicami naszego kraju. Prezydent obecny szwajcarski p. Motta, przyjął myśl utworzenia Komitetu z największą życzliwością i przyrzekł otoczyć go opieką własną i opieką rady związkowej. Utworzenie naszej instytucji zostało notyfikowane za pomocą tutejszych legacji rządów państw wojujących i we wszystkich legacjach doznało przychylnego przyjęcia. Cel Komitetu, jak to dołączony program objaśnia, jest czysto filantropijny, obcy wszelkim orientacjom i wszelkiej polityce, tak, że jedynym

biskupa Sapiechę ambasador USA w Berlinie James Watson Gerard w liście z 11 maja (list ów znajduje się w Archiwum Kurii Krakowskiej).

naszym zadaniem będzie dostarczyć chleba głodnym, zboża na zasiew rolnikom, oraz podnieść z ruin zburzone wioski i miasteczka.

Liczemy na pomoc wszystkich potrochu razem narodów, lecz głównie na Stany Zjednoczone Północnej Ameryki, w których książki moje znane są powszechnie, a osoba i artyzm Paderewskiego cieszą się wyjątkowym uznaniem. Paderewski wyjechał też już z Morges z zamiarem popierania sprawy osobiście we Francji, Anglii i Ameryce.

Odezwę, którą napisałem do narodów ucywilizowanych załączam. Starałem się w niej, obok żądania pomocy, o zachowanie godności narodowej. – Odezwa zostanie rozesłana drogą telegraficzną do wszystkich europejskich i amerykańskich dzienników. Na wydatki Komitetu urządziliśmy składkę między Polakami bawiącymi w Szwajcarii, tak, aby ofiary które nadejdą mogły być użyte całkowicie na pomoc zniszczonej przez wojnę ludności.

Wysłaliśmy również depezę do Rzymu z prośbą o błogosławieństwo Ojca Św. dla naszych przedsięwzięć.

Papiery, które wraz z tym listem przesyłam, wyjaśniają dokładnie program i zadania Komitetu. Żywię nadzieję, że zgodne są one we wszystkim ze wzruszającą odezwą W. Ekscelecyi – i w tej nadziei ośmielam się powtórzyć prośbę o przyjęcie godności członka honorowego, a zarazem załączyć jeszcze jedną – o błogosławieństwo pasterskie i o modlitwę, by Bóg nie odmówił nam swej pomocy.

Pozostaję z najgłębszą czcią

Henryk SIENKIEWICZ

Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie, sygnatura: T.S.VI/23

Vevey Suisse. 20/IV 1915
Gr. Hotel Vevey

Ekscelencjo, Najdostojniejszy Księżu Biskupie

Wczoraj doszły nas wiadomości z Olkusza, powiatu olkuskiego i z okolicznych kopalni o straszliwej nędzy w jaką popadła miejscowa ludność, zarówno wiejska, jak miejska i robotnicza. Otrzymałem podanie podpisane przez kilkunastu obywateli olkuskich z błaganiem o szybką pomoc i z opisem klęski głodowej, powodującej niesłychaną śmiertelność, zwłaszcza wśród dzieci. Na nieszczęście, po ostatnich przesyłkach, fundusz nasz jest w tej chwili wyczerpany, a zasób pozostały w kasie nie przenosi 30.000 fr. – Z tego powodu ośmielałem się zwrócić z prośbą do W. Ekscelencji, by raczyła z ostatnich 150.000 fr., które wysłaliśmy w tych dniach, przeznaczyć stosowny do rozmiarów nędzy zasiłek dla tych nieszczęśliwych. Najbardziej byłyby pożądane zapasy w naturze (chleb, mąka, kartofle, etc.), ale tych my nie możemy wysłać, albowiem Szwajcaria zakazała już wywozu zboża. Moglibyśmy tylko wysłać stąd parę wagonów skondensowanego mleka do Krakowa, o ile by W. Ekscelencja zechciała łaskawie uzyskać pozwolenie miejscowych władz wojskowych na dalszą ich przesyłkę do Olkusza. W razie zgody na to Komendy Krakowskiej proszę o wiadomość drogą telegraficzną.

Mam nadzieję, że wkrótce będziemy mogli dostarczyć W. Ekscelencji dalszych środków pieniężnych, gdyż przecięciowo wpływa do naszej kasy znacznie więcej niż 10.000 fr. dziennie. Rozesłaliśmy już znaczne kwoty do Krakowa, do Galicyi Wschodniej (przez Warszawę) do Komitetu Poznańskiego, do Centralnego w Warszawie i do biskupów w Królestwie. Zebraliśmy dotąd milion szesnaście tysięcy fr. – i spodziewamy się zebrać nie licząc tego co zdoła uzyskać Paderewski, znacznie więcej.

Dotychczas działa jednak jedynie i wyłącznie moja odezwa, liczymy zaś na to, że Paderewski, który w tej chwili jest w Ameryce potrafi zdobyć nierównie większe fundusze.

Działalność jego, pozbawiona zupełnie tendencji politycznej, czysto filantropijna, będzie z wszelką pewnością skuteczniejsza od mojej odezwy, bo jakkolwiek nazwisko moje nie jest w Ameryce całkiem nieznane, Paderewski posiada ponadto w sferach najbogatszych mnóstwo osobistych stosunków, których ja nie mam i nigdy nie miałem. Ma on nadzieję poruszyć amerykańskich milionerów i miliardarów, bo co do amerykańskich Polaków, co dali już co mogli i więcej niż mogli.

Za kilka lub kilkanaście dni zasoby nasze mogą znacznie wzrosnąć i wówczas prześlemy osobny fundusz na Olkusz, zanim to jednak nastąpi, poważam się polecić tę okolicę ojcowskiemu sercu i szczególnej opiece W. Ekscelencyi, gdyż natychmiastowa pomoc jest tam niezbędna.

Zostaję z najgłębszą czcią

Henryk SIENKIEWICZ

Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie, sygnatura: T.S.VI/51

Vevey, Hotel du Lac,
30 X 1916

Ekscelencjo, Najdostojniejszy Księżę Biskupie

Wpływy nasze są zawsze jeszcze nieznaczące, a fundusze szczupłe, gdyż mamy do płacenia za wagony streszczonego mleka przesłane do kraju dla dzieci. Rozmyślamy tu ciągle nad tem, jakby poruszyć na nowo ofiarność powszechną wszędzie, a zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki, gdyż poważniejsze kwoty zebrali tylko między sobą Polacy, a ludność amerykańska właściwa i inne narodowości zebrały w stosunku do miejscowych bogactw, niewiele. Na Komisję Rockefellerowską nie należy zbyt liczyć. Wiemy od urzędników tej Komisji, że obecnie posiada ona milion

dolarów na Polskę i na Serbię. Ale pieniędzmi na Polskę sami chcą rozporządzać i idzie to jakoś bardzo opieszale. Proponowali nam nawet, abyśmy pieniądze przez nas zbierane oddawali im do rozporządzania, co odrzuciliśmy stanowczo. Znając lepiej kraj, stosunki i wszystkie krajowe komitety, potrafimy lepiej dopilnować, aby zasiłki dochodziły do rąk ludności prawdziwie polskiej i były sprawiedliwie rozdzielane. Mamy jednakże i w Komisji Rockefellerowskiej szczerze życzliwego nam człowieka, p. Bicknela, który zdoła może coś dla nas uczynić.

Ten pan Bicknel jest zarazem jednym z dyrektorów Amerykańskiego Czerwonego Krzyża. Otóż organ tej instytucji „American Red Cross Magazine” zażądał ode mnie artykułu o nędzy w Polsce. Przed dwoma miesiącami artykuł ten wysłałem, obecnie zaś otrzymałem odpowiedź z podziękowaniem – rzeczywiście bardzo gorącą, w której zapewniają mnie, że obraz, który skreśliłem niewątpliwie poruszy ich czytelników.

Oby tak było. Magazyn ten ma ćwierć miliona prenumeratorów, a między nimi wielu miejscowych bogaczy. Gdyby ci wzięli do serca naszą nędzę, można by mieć nadzieję znacznej pomocy. W każdym razie artykuł ten zastąpić może poniekąd naszą odezwę, nad którą rozmyślaliśmy tu i jeszcze rozmyślamy.

Wszystko to jednak są tylko widoki na przyszłość, a tym czasem przypływ jest mały. Jeśli się powiększy, pierwszą naszą myślą będzie ułatwić w jak najszerzej mierze błogosławioną działalność W. Ekscelencyi i Biskupiego Komitetu.

Pozostaję z najgłębszą czcią

Henryk SIENKIEWICZ

Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie, sygnatura: T.S.VI/120.

LISTY DO REDAKCJI

Montreal, 18 lutego 2000 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 130 *Zeszytów Historycznych* ukazał się artykuł Jerzego R. Krzyżanowskiego „Powieść o Krystynie Skarbek”.

Kilka lat temu, robiąc kwerendę w Public Record Office (PRO) w Londynie, natrafiłem przypadkowo na dokumenty o misjach brytyjskich w Polsce. Zorganizowano ich trzy, ale tylko jedna FRESTON została zrzucona w Polsce pod koniec 1944 roku. Leciała ona do Polski czterokrotnie: 21/22 października, 18/19 listopada, 25/26 grudnia, aż wreszcie została zrzucona w nocy z 26/27 grudnia 1944 roku.

Planowano też dwie inne misje, które były gotowe do odlotu z Campo Casale (Brindisi) 20 listopada 1944 roku. Mianowicie: FERNHAM (czterooosobowa, w której był mjr Kowerski-Kennedy) i FLAMSTEAD, również czterooosobowa. Natomiast jednoosobowa „pół-misja” FOLKESTONE (a nie Folkstone jak w pracy zbiorowej „Drogi Cichociemnych” i u Tucholskiego „Cichociemni”) miała być łącznikową pomiędzy tamtymi trzema misjami. Stanowiła ją Miss Christine Granville w stopniu Flt/Officer W.A.A.F. Posiadała ona własne szyfry i miała skakać w mundurze W.A.A.F. Misja FERNHAM miała być zrzucona na placówkę „Pajak” k/Piotrkowa i przypuszczalnie z nią również FOLKESTONE. Odwołano ją jednak telegramem z 18 stycznia 1945 roku. Niewątpliwie na skutek zimowej ofensywy sowieckiej (PRO sygn. HS 4/251).

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Kajetan BIENIECKI



Warszawa, 5.01.2000

Szanowny Panie,

Chciałabym w imieniu wydawnictwa ASKON poinformować Pana, że przygotowujemy wydanie książki-albumu „Monte Cassino – historia, ludzie, pamięć”. Praca ta poświęcona będzie zarówno samej bitwie, jak i przede wszystkim jej bohaterom – uczestnikom walk o Monte Cassino, których losy często rzucały w różne miejsca świata. Poszczególne rozdziały tej pracy będą poświęcone: historii 2 Korpusu, bitwie, pamięci o poległych, pamięci o żywych jak i pomnikowi Monte Cassino, odsłoniętemu w Warszawie w 1999 r. Książka zawierać będzie także liczne zdjęcia z okresu bitwy z 1944 r., jej uczestników, współczesne zdjęcia klasztoru i cmentarza polskiego na Monte Cassino.

Planujemy wydanie książki na papierze kredowym, w twardej oprawie, szytej nićmi w maju 2000 r. po polsku i po angielsku. Patronat honorowy sprawuje Komitet na czele z Ireną Anders, wdową po gen. Andersie. Jednocześnie ogłosiliśmy subskrypcję – imienna lista subskrybentów zostanie umieszczona na końcu książki.

Byłoby nam bardzo miło, gdyby Pan, uczestnik bitwy pod Monte Cassino, wypełnił naszą ankietę i tym samym znalazł się wśród bohaterów naszej książki.

Pragniemy również dodać, że wydana przez nas ostatnio książka Stanisława Kopfa „Muzy tamtych dni”, poświęcona Powstaniu Warszawskiemu, została wyróżniona przez prezydenta m.st. Warszawy dyplomem honorowym Varsaviana 1998 roku.

Z poważaniem

dr Iwona GRABOWSKA-LIPIŃSKA
Prezes Zarządu

●

DOKTOROWI W. POLISZCZUKOWI W ODPOWIEDZI

W 130. numerze *Zeszytów Historycznych* ukazał się list doktora Wiktora Poliszczuka, autora między innymi książki „Gorzka prawda”, w którym odniósł się on do mojego artykułu „Ostro, ale czy zawsze prawdziwie?” (patrz: *ZH* nr 128, s. 89-97). Doktor Poliszczuk naszkicował w nim intrygujący obraz mej osoby. Kim zatem – według niego – jestem? Otóż „początkującym historykiem” dotkniętym „wadą tupetu”, który nie potrafi „przetrawić” dysertacji doktorskiej pana Poliszczuka. Są to dla mnie „za wysokie progi”.

Poza tym „brak mi wiedzy”, „nie jestem zdolny”, „nie znam” i „nie rozumiem elementarnych rzeczy”, wreszcie „kłamie w ślad za ukraińskimi nacjonalistycznymi historykami”, a nawet „idę (...) dalej”. Biorę udział w „zakłamaniu”, nie jestem „samodzielny w pracach badawczych” i „ulegam wpływow politycznym”. Pan Poliszczuk zwraca mi też uwagę iż „nie wszystko można młodemu człowiekowi”, a już szczególnie „podważać opinii człowieka doświadczonego”.

Co tu dużo mówić – nie dość, że ze mnie karierowicz i niewychowany smarkacz, to jeszcze tuman i krętacz. Zapewne jedynie wrodzonemu tupetowi zawdzięczam, iż po tej – przyznają Czytelnicy – niewesołej konstatacji postanowiłem jednak sprawdzić, jakie to merytoryczne argumenty przytacza przeciwko mnie doktor W. Poliszczuk.

Oburzenie autora „Gorzkiej prawdy” wywołało określenie jego prac, jako „noszących charakter publicystyki politycznej”. Tymczasem, zdaniem W. Poliszczuka „nie ma argumentów na naukowe podważenie” jego prac, skoro „ani Motyka, ani nikt inny” do tej pory ich merytorycznie nie skrytykował. Chciałbym nieśmiało przypomnieć panu doktorowi W. Poliszczukowi o wystąpieniu, jakie miał w 1996 r. w Instytucie Studiów Politycznych PAN w Warszawie. Obecni na nim pracownicy ISP PAN dość zgodnie poddali jego poglądy zdecydowanej krytyce. Były wśród nich osoby o tak niekwestionowanym autorytecie naukowym, jak np. prof. Tomasz Strzembosz. Od tej pory od czasu do czasu można znaleźć w publikacjach pana Poliszczuka cierpkie uwagi pod adresem mojego Instytutu. Oczywiście, można nie zgadzać się z przedstawionymi mu zarzutami, ale żeby zaraz twierdzić, że nikt nigdy nie krytykował...

W tym miejscu muszę pokrótce wyjaśnić, dlaczego uważam książki W. Poliszczuka za publicystykę historyczno-polityczną. Jest tak, między innymi, z powodu stosowanej przez niego metody selekcjonowania faktów. Mamy z nią do czynienia również w liście do *Zeszytów Historycznych*. Przykładowo, wbrew sugestiom W. Poliszczuka, nigdy nie negowałem wpływu poglądów Doncowa na światopogląd działaczy OUN. Dziwi mnie natomiast, czemu doktor Poliszczuk nie wspomina, iż Doncow „wiązał interes państwowy Ukrainy z istnieniem silnych państw – Polski, Rumunii i Węgier” oraz „bagatelizował znaczenie konfliktu polsko-ukraińskiego (...) w porównaniu z charakterem zagrożenia rosyjskiego” (za: Tomasz Stryjek, „Ukraińska idea narodowa okresu międzywojennego”, Wrocław 2000, s.129). Właśnie z tego powodu Ambasada RP w Bukareszcie, pomimo jego filofaszystowskich poglądów, wydała mu paszport po wrześniu 1939 r.

Pan Poliszczuk zarzuca mi, że w artykule zamieszczonym w piśmie *Karta* za L. Szankowskim, byłem członkiem OUN-UPA, powtórzyłem informację o współudziale polskiej policji w spaleniu wsi Malin na Wołyniu (zainteresowanych tą faktycznie kontrower-

syjną problematyką odsyłam do *Karty* nr 24, s. 126-140 oraz nr 28, s. 151-152). Nawet się przy tym nie zająknie, iż w przypisie powołuje się, oprócz książki Szankowskiego, także na odnaleziony w archiwum w Kijowie list prawosławnego biskupa rówieńskokrzymienieckiego Platona do biskupa Polikarpa.

Według pana Poliszczuka w artykule „Ostro, ale czy zawsze prawdziwie?” „usiłuje (...) idąc torem wytyczonym przez nacjonalistów ukraińskich zrównoważyć ‘zabijanie’ z ‘zabijaniem’”. Tymczasem w swoim tekście wyraźnie stwierdzam: „Nie chcę stawiać znaku równości pomiędzy akcjami UPA a polskim odwetem” (patrz: *ZH* nr 128, s. 91), a po przytoczeniu paru przykładów polskich działań antyukraińskich zaraz dodaje: „Opisane fakty były odwetem” (patrz: *ZH* nr 128 s. 92). Pan Poliszczuk nie zauważył moich słów, czy nie chciał zauważyć?

To nie są przeoczenia wynikające z emocji pisania polemiki. W innych publikacjach W. Poliszczuka jest podobnie. I tak, w książce „Gorzka prawda” doktor W. Poliszczuk uparcie twierdzi, jakoby członkowie OUN, tak banderowcy, jak i melnykowcy cieszyli się minimalnym poparciem społecznym. Na dowód m.in. przytacza kilkakrotnie fragmenty wspomnień ewangelika Mychajło Podworniaaka („Witer z Wołyni”, Winnipeg 1981). Można tam znaleźć np. następujący cytat: „...UPA miała wszystko co jej było potrzebne, ale nie miała najważniejszego – nie miała poparcia ludności... Doszło do tego, że ludzie cieszyli się, jeśli Niemcy z Polakami gdzieś rozbijali powstańców”. Polecam wszystkim Czytelnikom *ZH* porównanie tego cytatu z oryginałem (patrz: W. Poliszczuk, „Gorzka Prawda. Zbrodniczość OUN-UPA”, Toronto-Warszawa-Kijów 1995, s. 267; M. Podworniak, „Witer z Wołyni”, Winnipeg 1981, s.199). Okazuje się, iż doktor Poliszczuk pominął zdanie znajdujące się pośrodku przywołanych słów. Brzmi ono: „Sympatie ludzi były po stronie grupy melnykowców, a banderowców uważali za swoich wrogów”...

Nieco wcześniej (s. 179-181) Podworniak pisze, że „ludność Wołynia (...) podtrzymywała” UPA, dopóki ta nie „podzieliła się” na melnykowców i banderowców. Zaczęto darzyć ją niechęcią, ponieważ rywalizację wygrali banderowcy, zaś „większość (...) ludzi na Wołyniu była po stronie melnykowców”, którzy byli „bardziej tolerancyjni” i do „ewangelickich wiernych odnosili się dobrze”.

Oczywiście, M. Podworniak idealizuje melnykowców, ale dlaczego doktor Poliszczuk pomija milczeniem jego opinie? Bo nie pasują mu do teorii?

W liście Wiktora Poliszczuka znalazłem jedno stwierdzenie z którym się w pełni zgadzam. Niewątpliwie, jestem od niego młodszy. Ale, dalibóg Panie Doktorze, co ten argument ma wspólnego z naukową dyskusją o stosunkach polsko-ukraińskich w latach 1939-1948?

Grzegorz MOTYKA

Szanowny Panie Redaktorze!

Zgadzam się całkowicie z Pańską oceną A. Lednickiego, że był wielkim Polakiem. Poświęciłem mu pracę doktorską, napisaną w 1980 r. w Poznaniu pod kierunkiem prof. J. Pajewskiego, „Spór o koncepcje polityczne z okresu I wojny światowej (Studium o procesie Z. Wasilewskiego o zniesławienie A.L.)”. Egzemplarze pracy są w bibliotekach uniwersyteckich Poznania i Toronto oraz w Książnicy Pomorskiej w Szczecinie.

W pracy „Wokół sprawy polskiej na Wschodzie”, która nie ukazała się wskutek likwidacji wydawnictwa (znajdując się już w drukarni) występuje A.L. jako główny bohater książki. Maszynopis jej był udostępniony W. Bułhakowi, który korzystał z niego w publikacji „Kluczowe problemy polityki polskiej w Rosji (marzec-listopad 1917 r.) w działalności A.L.” (*Przegląd Wschodni*, t. II, z. 1/5 z 1992/93).

K. Pol (ZH nr 129) w szkicu o A.L. podając najważniejsze źródła wskazał na mój artykuł w „Szkicach z dziejów adwokatury polskiej” seria 2 (Warszawa 1978). Nadmieniam, że w z. 3 „Szkiców” (Warszawa 1983), opublikowane były sprostowania i uzupełnienia do uprzedniego artykułu. W nich podałem dotąd nieopublikowaną informację, że A.L. w 1927 r. był wybrany prezydentem m. Wilna, lecz mandatu nie przyjął.

Obecnie, na podstawie nowych materiałów, przygotowuję publikację o kowieńskiej misji A.L. Wiemy niewiele o niej, a była kolejnym krokiem Marszałka J. Piłsudskiego w dążeniu do normalizacji stosunków z Litwą. Przypomnę, że A.L. w 1927 r. na łamach *Paneuropy*, z. 2 z 1927 r. wypowiadał się za uregulowaniem kwestii litewskiej, wymagającej odrębnego potraktowania, podkreślając: „sam pochodzę z prowincji litewskiej i znam dobrze tę problematykę”. Polemizował z Voldemarąsem w estońskim piśmie *Kaia* w listopadzie 1928 r.

Polemika doczekała się odrębnej publikacji, „Pologne et Lithuanie. Deux articles”, wydanej w 1928 r. przez *Messenger Polonais à Varsovie*. Polemika już po wystąpieniu J. Piłsudskiego w Genewie zwróciła uwagę Marszałka na osobę jego przyszłego wysłannika do Kowna.

Również za oceanem ukazują się publikacje o A.L. Andrew Kier Wise pisał o nim w *The Polish Review* (Vol. XLII, nr 1) w artykule „The search for slavic unity: A.L. and the russian revolution of 1905”.

Zenowiusz PONARSKI

Warszawa 22.10.1999 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem „list polemiczny” Panów Andrzeja Grzywacza i Marcina Kwietnia w odniesieniu do wypowiedzianej w moim liście do *Zeszytów Historycznych* oceny artykułu ww. Panów „Sikorszczycy kontra Sanatorzy”.

Nie wchodząc w meritum polemiki obu autorów listu: wskazuje ona tylko, że wciąż zachowuje się emocjonalny podział *Sikorszczycy – Sanatorzy*. Mnie autorzy polemiki zaliczyli do *Sikorszczyków*. Jestem historykiem, mam lat 34 i nie jestem ani *Sikorszczykiem*, ani *Sanatorem* ani *Dmowszczykiem* ani Bóg wie kim jeszcze.

Metoda polemiki stosowana przez PP. Grzywacza i Kwietnia przypomina mi sposób odpierania zarzutów, jaki stosuje Sojusz Lewicy Demokratycznej wobec prowadzonej przez obóz rządzący dzisiaj w Polsce polityki wobec przeszłości.

Załączam wyrazy głębokiego szacunku

Tadeusz P. RUTKOWSKI



Warszawa, dn. 3.02.2000 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z dużą przykrością przeczytałam w *Zeszytach Historycznych* (1999 r., nr 129) tekst p. S. Mazurkiewicza, w którym zaatakował on mego nieżyjącego ojca Józefa Rybickiego. Łamiąc wszelkie dobre obyczaje włożył w usta mego ojca nieprawdziwe, fikcyjne stwierdzenia.

Wykaz dowódców AK szczególnie bliskich memu ojcu – co rzekomo wynika z jego wspomnień – został przez S. Mazurkiewicza dowolnie zestawiony.

List wysłany przez Jana Mazurkiewicza z więzienia już w dniu aresztowania (1 sierpnia 1945 r.) nie mógł być brany pod uwagę przez mego ojca, gdyż o istnieniu tego listu nie wiedział.

Resztę pozostawiam bez komentarza. Ubolewania godny jest fakt publikacji tego typu tekstu.

Uprzejmie proszę o zamieszczenie mego listu w *Zeszytach Historycznych*.

Hanna RYBICKA

3 lutego 2000

Szanowny Panie Redaktorze.

Nawiązując do omówienia powieści o Krystynie Skarbek (130 *Zeszyty Historyczne*, str. 188) warto by dodać, że zarówno Ona jak i Andrzej Kowerski pochowani są we wspólnym grobie nr 1062 N.E. w centralnej części katolickiego cmentarza Kensal Green na Willesden w Londynie, na którym leży wielu Polaków. Na ich pomniku znajdują się następujące napisy.

Niżej:

Andrzej Kowerski-Kennedy

Virtuti Militari M.B.E.

Poland Munich

18.5.12 8.12.88

Wyżej:

Krystyna Skarbek-Granville

G.M. O.B.E.

Croix de Guerre avec Palmes

litera Alfa litera Omega

Poland London

1.5.15 15.6.52

litera W

Nad pomnikiem dominuje wysoki krzyż, a na nim tarcza z orłem i Matką Boską.

Znaczenie skrótów:

M.B.E. – Member (of the Order) of the British Empire

G.M. – George Medal

O.B.E. – Officer of the (Order of the) British Empire

Pozostaję z szacunkiem

Z. S. SIEMASZKO

7 IX 1999

Drogi Panie Redaktorze,

Przeglądając niedawno interesującą książkę Jacka Tebinki, „Polityka brytyjska wobec problemu granicy polsko-radzieckiej

1939-1945" (Warszawa, 1998) natrafiłem w jednym z przypisów na zdanie dotyczące mojego artykułiku z *Zeszytów* pt. „Telegram Ambasadora Steinhardta” (*Zeszyty Historyczne* 84, 1988). Mowa w nim była o telegramie, w którym przedstawiciel USA w Moskwie informował Waszyngton o tajnych klauzulach paktu Ribbentrop-Mołotow. Artykułowi temu p. Tebinka poświęca następującą uwagę: „Sporo zamieszania w polskiej historiografii poczynił P. Wandycz publikując telegram Steinhardta jako nieznany i odnaleziony w archiwach dokument. Wbrew temu co pisze Wandycz, telegram nie został pominięty w serii wydawnictw dokumentów Departamentu Stanu” (*Foreign Relations of the United States*.)

Przyznam się, że nie bardzo rozumiem na czym polegało owe „zamieszanie”. Istotnie cytując oryginał dokumentu na którym są pieczętki wydziałów przez które przeszedł i parafy czy adnotacje, nie sprawdziłem czy dokument ten został później wydrukowany w serii *Foreign Relations*. To niewątpliwe niedopatrzenie nie wpłynęło jednak na moje interpretacje czy domysły. Chodziło mi głównie o zwrócenie uwagi na sam telegram oraz okoliczności towarzyszące wysłaniu go i użytek zrobiony z niego w Waszyngtonie. Interesujące było dla mnie źródło informacji Steinhardta oraz fakt, że ówczesny sekretarz stanu Cordell Hull nie wymienia go *expresis verbis* w swych pamiętnikach. Wnioskowałem z tego, że Hull nie przywiązywał doń wielkiej wagi lub może nawet nie pokazał Rooseveltowi. A jeśli tak, to czemu o tym nic nie pisze. Zaintrygował mnie brak tego dokumentu w archiwum Roosevelta w bibliotece prezydenckiej w Hyde Park. Wysunąłem hipotezę, że telegram Steinhardta został „potraktowany rutynowo” czego nie musi zmieniać fakt, że ogłoszono go później drukiem. P. Tebinka sądzi, że wyrażona przez jednego z polskich historyków błędna opinia o zaginięciu tego dokumentu, ukazała się „zapewne pod wpływem publikacji Wandycza”. Byłoby to o tyle dziwne, gdyż podaję wyraźnie w jakim zespole akt telegram ten się znajduje. Muszę przyznać, iż całe to rzekome „zamieszanie w polskiej historiografii”, które ponoć spowodowałem jest dla mnie zaskoczeniem.

Łączę najlepsze wyrazy

Piotr WANDYCZ

SPIS TREŚCI

Andrzej Grzywacz , Marcin Kwiecień: <i>Rada Narodowa Rzeczypospolitej Polskiej w walce z sanatorami 1939-41</i>	3
Jerzy Witold Solecki: <i>Sen o spadochronach</i>	85

DOKUMENTY

Grzegorz Mazur: <i>Rozmowy polsko-ukraińskie w Rumunii 1940 r.</i>	106
Doman Rogoyski: <i>List Domana Rogoyskiego do Władysława Poboga-Malinowskiego z 31.03.45</i>	119

WSPOMNIENIA

Marian K. Dziewanowski: <i>Jak szkolono oficerów kawalerii w Polsce przedwojennej</i>	135
---	-----

WOLNA TRYBUNA

Tomasz Mianowicz: <i>Ku pokrzepieniu umysłów</i>	156
---	-----

KSIĄŻKI

Czesław Karkowski: <i>„Holender”</i>	169
Tadeusz Wyrwa: <i>Przewrotna działalność gen. Tatara</i>	175
Z.S. Siemaszko: <i>Polacy i Żydzi w ujęciu Sarnera</i> ..	190
<i>Książki nadestane</i>	197

CI, CO ODESZLI

Adam F. Baran: *W stulecie urodzin Adama Bienia* . 199

OKRUCHY HISTORII

Zenowiusz Ponarski: <i>Za kulisami wielkiej polityki</i> . .	203
Jan Szymański: <i>Polsko-ukraiński batalion sił pokojowych ONZ</i>	213
<i>Postępowa Organizacja Polska POP</i>	216
Krzysztof Muszkowski: <i>Angielski parasol</i>	218
Adrian Tyszkiewicz: <i>Nieznane listy Henryka Sienkiewicza do Adama Stefana Sapiehy</i>	221

LISTY DO REDAKCJI

Kajetan Bieniecki: <i>Na marginesie artykułu J.R. Krzyżanowskiego „Powieść o Krystynie Skarbek” (Zeszyty Historyczne, nr 130)</i>	230
Iwona Grabowska-Lipińska: <i>Zapowiedź wydania książki „Monte Cassino – historia, ludzie, pamięć”</i> .	231
Grzegorz Motyka: <i>„Doktorowi W. Poliszczukowi w odpowiedzi”</i>	231
Zenowiusz Ponarski: <i>A. Lednicki – komentarz bibliograficzny</i>	234
Tadeusz P. Rutkowski: <i>Uwagi do artykułu A. Grzywacza i M. Kwietnia „Sikorszczycy kontra Sanatorzy” (Zeszyty Historyczne, nr 127 i 129)</i>	235
Hanna Rybicka: <i>Polemika z tekstem S. Mazurkiewicza „Czy Radosław był postacią kontrowersyjną” (Zeszyty Historyczne, nr 129)</i>	235
Z.S. Siemaszko: <i>Uzupełnienie artykułu o Krystynie Skarbek (Zeszyty Historyczne, nr 130)</i>	236
Piotr Wandycz: <i>Komentarz do własnego artykułu „Telegram ambasadora Steinhardta” (Zeszyty Historyczne, nr 84 z 1989 r.) na marginesie książki Jacka Tebinki „Polityka brytyjska wobec problemu granicy polsko-radzieckiej 1939-45”</i>	236

ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 30 mars 2000
SUR LES PRESSES
DE
L'IMPRIMERIE NOUVELLE
16-24, RUE SOUBISE,
93400 SAINT-OUEN
Dépôt légal : 1^{er} trim. 2000
N° d'imprimeur : 5249

